

DOKUMENTY

GŁOS

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1980

GLOS

LIBRARY OF THE

UNIVERSITY OF CHICAGO
1100 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637

BIBLIOTEKA « KULTURY »

2012
TOM 315

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

DOKUMENTY

GŁOS

NIEZALEŻNY MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-POLITYCZNY

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1980

DOKUMENTY

2010

DO CZYTELNIKA

Niektóre czasopisma powielane w Polsce poza zasięgiem cenzury doczekały się za granicą kompletnej reedycji co najmniej kilku numerów. W wersji drukowanej ukazały się kwartalniki Zapis, Spotkania i Puls, a także miesięcznik Opinia. Tom, który Czytelnik ma przed sobą, nie jest reedycją. Jest to wybór artykułów publicystycznych. Z żalem trzeba było pominąć publikowane w Głosie felietony i przeglądy prasy, teksty Adama Lipca, Jana Woreczki, Grzegorza Gracjana. Wybór nie obejmuje polemik, których toczono wiele: w Głosie spierano się o niezależne ruchy społeczne, o warunki korzystania z prawa do strajku, o rolę rozmaitych nurtów wewnątrz PZPR we współczesnej historii Polski, o wybory w PRL. Gdyby miejsca starczyło, należałoby z pewnością zamieścić więcej artykułów, jakie prawie w każdym numerze Głosu publikuje Drużynowy Timur analizując sytuację międzynarodową. Pominięto przeglądy wydarzeń w kraju i za granicą. Wybór obejmuje teksty o współczesnej rzeczywistości polskiej: o gospodarce, prawie, kulturze, o tradycjach, z którymi współczesność jest związana i o przyszłości, którą kształtują rozwijające się obecnie wielonurtowe i zróżnicowane ruchy społeczne. Publicyści Głosu biorą udział w dyskusji o teraźniejszości i perspektywach Polski.

Głos powstał w środowisku związanym z pomocą robotnikom po strajkach i demonstracjach z czerwca 1976 roku. Pismo stawia sobie jednak cele nie tylko najbliższe. W Głosie od pierwszego numeru mówi się o tworzeniu warunków sprzyjających dla niepodległości i demokracji w Polsce.

Od dwóch przeszło lat rozwija się w Polsce prasa niezależna. Ten ruch wydawniczy, nie podporządkowany państwu, partii i cenzurze, współwystępuje z tworzeniem się niezależnych poro-

rozumień obywateli. Ruch ten jest częścią procesu, prowadzącego do odtworzenia niezależnego życia społecznego.

Dobrze, aby czytelnik pamiętał, że Głos, tak jak inne czasopisma i wydawnictwa, opiera się nie tylko na pracy redaktorów i autorów. Pismo tworzą także ci, którzy teksty piszą na maszynie, powielają je, składają strony, zajmują się kolportażem. Głos ukazywał się i ukazuje dzięki ich pracy, często anonimowej, żmudnej i niewdzięcznej.

Głos jest niezależnym pismem społeczno-politycznym. Inicjatywa jego wydawania wyszła ze środowiska związanego z działalnością KOR, a obecnie Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Chcemy jednocześnie, by pismo służyło celom szerszym i wybiegającym dalej w przyszłość. Cele te odzwierciedla „Deklaracja Ruchu Demokratycznego”, którą opublikowaliśmy w Głosie nr 1. Łączy nas przekonanie, że suwerenność i demokracja w Polsce są osiągalne, a najwłaściwszą drogą ku temu jest tworzenie niezależnych od władz samorządnych instytucji społecznych.

REDAKCJA

Redakcja:

Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Marek Tarniewski.

Adres redakcji:

*Antoni Macierewicz
Warszawa, ul. Klaudyńy 34 m. 126.*

Z redakcją stale współpracują: Krzysztof Hagemajer, Jan Józef Lipski, Wojciech Onyszkiewicz, Zbigniew Romaszewski, Jan Walc.

PROGRAMY I IDEE

DEKLARACJA RUCHU DEMOKRATYCZNEGO

I. Kraj nasz przeżywa dziś głęboki kryzys gospodarczy, polityczny i społeczny. Tragiczne wydarzenia w Poznaniu (1956), na Wybrzeżu (1970), w Radomiu, Ursusie, Płocku (1976) wskazują, że kryzys dzisiejszy jest rezultatem sposobu rządzenia narzucanego społeczeństwu przez lata i stosunków między nim a władzą. Źródłem obecnej dezorganizacji gospodarczej, rozkładu władzy i demoralizacji społeczeństwa jest wyłączenie obywateli z ich praw, a państwa z suwerenności. Przed nami wszystkimi staje dziś zadanie naprawy Rzeczypospolitej. Uważamy, że niezbędne przemiany powinny doprowadzić do zapewnienia:

— Wolności przekonań. Wolności tej nie ma, gdy poglądy, religia czy przynależność partyjno-polityczna przesądzają w praktyce o prawie obywatela do stanowisk w państwowych instytucjach i urzędach, organizacjach społecznych i gospodarce narodowej. O prawie do tych — i wszelkich innych — stanowisk winny rozstrzygać jedynie kwalifikacje, indywidualne zdolności i uczciwość osobista.

— Wolności słowa i informacji. Bez wolności słowa — nie ma rozwoju kultury i zamiera życie społeczne. Gdy cenzuruje się informacje, zniekształca się świadomość społeczną. Gdy wszystkie publikacje przed ukazaniem się podlegają cenzurze, a wydawnictwa i środki masowego przekazu są kontrolowane przez państwo — nie dopuszcza się do powstania opinii publicznej: obywatele nie mogą świadomie ustosunkować się do żadnej decyzji władzy, ta zaś nie wie, jaki jest stosunek społeczeństwa do jej polityki. Szczególnie groźne następstwa działań cenzury prewencyjnej oraz państwowego monopolu słowa dotyczą literaturę sztukę i naukę, uniemożliwiając im pełnienie doniosłych

społecznie funkcji. Dlatego związkom pracowniczym, stowarzyszeniom twórczym, religijnym i innym trzeba umożliwić powołanie niezależnych od państwa wydawnictw i czasopism. Należy znieść cenzurę prewencyjną, a odpowiedzialność za naruszenie ustawy prasowej egzekwować tylko w drodze postępowania sądowego.

— Wolności zrzeszeń, stowarzyszeń i zgromadzeń. Wolności tej nie ma, gdy sprawująca władzę państwową partia podporządkowuje sobie środkami administracyjnymi wszelkie stowarzyszenia i związki.

— Wolności pracy. Nie ma tej wolności, gdy władza państwowa uzurpuje sobie prawa jedynego pracodawcy, a związki zawodowe podporządkowane są partii rządzącej. W tych warunkach próby obrony interesów pracowniczych grożą rozlewem krwi, a w każdym razie prowadzić mogą do poważnych zaburzeń. Dlatego wszystkim pracującym należy zapewnić możliwość swobodnego wyboru własnej reprezentacji zawodowej, niezależnej od organów państwowych lub partyjnych. Należy zagwarantować również prawo do strajku.

Tylko po urzeczywistnieniu tych wolności cele i środki współdziałania społeczeństwa mogą być ustalone drogą porozumiewania się obywateli i ich ugrupowań zawodowych, społecznych, politycznych itd., w swobodnej dyskusji bezpośrednio oraz za pośrednictwem rzeczywistych przedstawicieli wyłonionych w autentycznych wyborach. Jesteśmy jednocześnie przekonani, że szczególne znaczenie dla współpracy społeczeństwa posiadają samorządne organizacje lokalne, regionalne, kulturalne i społeczne, realizujące dążenia swych członków niezależnie od organizacji państwowych.

II. Pierwszym krokiem w tym kierunku powinna być realizacja ratyfikowanych przez Radę Państwa Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka. Wymaga to zasadniczych zmian w wielu dziedzinach naszego ustawodawstwa, a w szczególności w ordynacji wyborczej, aktach prawodawczych regulujących sprawę zgromadzeń, stowarzyszeń, prasy i wydawnictw, w ustawie o związkach zawodowych i Kodeksie Pracy, w prawie karnym, w ustawie o ustroju sądownictwa, przepisach paszportowych i celnych. Głębokim zmianom będzie musiała ulec dotychczasowa praktyka działania organów władzy, zwłaszcza w dziedzinie ochrony porządku i bezpieczeństwa, wymiaru sprawiedliwości, wykonywania kary pozbawienia wolności, rozjemstwa w sprawach pracowniczych.

III. Bez względu na to czy władze państwowe okażą poczucie realizmu i spełnią wymienione tu postulaty, ruch demokratyczny społeczeństwa polskiego musi przyjąć współodpowiedzialność za przyszłość kraju. Ruch ten od lat tworzyli ludzie występujący w obronie swobody słowa i myśli, w obronie osób więzionych i prześladowanych za działalność i przekonania społeczne, polityczne i religijne. W ostatnich dwu latach ruch ten gwałtownie się rozszerzył. Na przełomie roku 1976/1977 tysiące ludzi protestowało przeciw narzuconym zmianom Konstytucji, broniąc swobód obywatelskich. Obrona robotników bitych, więzionych i torturowanych, masowo wyrzucanych z pracy za protest czerwcowy — stała się zasadniczą formą walki o prawa człowieka i obywatela. Ruch solidarności i pomocy doprowadził we wrześniu 1976 roku do powstania Komitetu Obrony Robotników. Ruch ten walczy o demokratyzację życia naszego kraju, realizuje konkretne zadania, przede wszystkim pomoc ludziom prześladowanym. W maju, czerwcu i lipcu 1977 mimo nasilonej akcji represyjnej do ruchu demokratycznego przyłączyły się setki studentów, robotników, rolników i intelektualistów. Solidarnościowe głódówki wskazały nowe formy walki o prawa człowieka i obywatela. W Krakowie podczas wielotysięcznej demonstracji powołano Studencki Komitet Solidarności, który wziął na siebie organizowanie samorządnych działań środowiska akademickiego. Podobne komitety powstają w innych miastach uniwersyteckich.

Działalność KOR-u, zbiorowe wystąpienia robotników Ursusa, listy robotników z Grudziądza, stoczniowców gdańskich, górników kopalni „Gliwice”, wreszcie skuteczny strajk w Pabianicach dowodzą, że — mimo represji — właśnie współdziałanie robotników i inteligencji prowadzi do demokratycznego organizowania się społeczeństwa.

W ostatnim czasie rozwinęła się również działalność wydawnicza. Ukazują się czasopisma informacyjne, polityczne, kulturalne.

IV. Udział tysięcy ludzi w dotychczasowym działaniu ruchu demokratycznego i zdobyte przy tym doświadczenia wskazują, że w chwili obecnej można podjąć na szeroką skalę i w sposób trwały walkę o demokrację i suwerenność.

My, niżej podpisani, przekonani jesteśmy, że program ten może być realizowany już tu i teraz. Wzywamy do udziału w szerokim ruchu demokratycznym przez tworzenie niezależnych samorządnych instytucji społecznych wykonujących konkretne zadania w obronie praw człowieka i obywatela.

Świadomość spustoszeń w postawach moralnych młodych

pokoleń sprawia, że za kwestię o zasadniczej wadze dla przyszłości kraju należy uznać naprawę całego systemu edukacji narodowej. Wobec niepowodzeń dotychczasowych prób reformy oświaty, zwracamy się z apelem do praktyków i teoretyków oświaty, do ludzi nauki i kultury — o udział w ruchu na rzecz gruntownej reformy systemu oświatowego, zgodnie z interesem narodowym i potrzebami przyszłości. Pierwszym krokiem na tej drodze musi być przywrócenie właściwego miejsca prawdzie w wychowaniu i nauczaniu młodzieży.

W zakładach pracy winny powstawać przedstawicielstwa pracowników reprezentujące interesy załogi wobec administracji. Przedstawicielstwa takie mogą powstać w oparciu o istniejące organizacje związkowe lub poza nimi, ale koniecznie przy trwałej pomocy ekspertów w dziedzinie prawa, ekonomii, socjologii itp. Wzywamy do takiej pomocy.

Niezbędne jest tworzenie przedstawicielstw chłopów, drobnych wytwórców — w oparciu o istniejące na wsi organizacje lub niezależnie od nich. Przedstawicielstwa te nie mogą powstać i skutecznie działać bez udziału związanej z wsią inteligencji: agronomów, socjologów wsi, ekonomistów rolnictwa, lekarzy i nauczycieli itp. Wzywamy do takiej współpracy.

Celem stałej i odpowiedzialnej kontroli jakości produktów i ich cen, spółdzielczości mieszkaniowej i nieuczciwej dystrybucji towarów (pewex, konsumy) — nieodzowne jest sformowanie się ruchu konsumentów, który kontrolę taką wzięłby w swoje ręce.

Od ekonomistów, inżynierów, socjologów i wszystkich tych, którzy z racji zatrudnienia i kwalifikacji świadomi są stanu gospodarki narodowej i konieczności jej naprawy — oczekujemy współdziałania w pracy nad zagadnieniami reformy gospodarczej oraz publikowania w niezależnym ruchu wydawniczym sprawozdań, tez, projektów związanych ze stanem gospodarki i jej reformą.

Apelujemy do pracowników nauki — świadomych jak wielkie spustoszenie w nauce i kulturze narodowej przynosi podporządkowanie życia naukowego administracji partyjno-państwowej — aby podjęli stałe współdziałanie w walce o wolność nauki i autonomię instytucji naukowych. Trzeba także koniecznie tworzyć warunki moralne i materialne dla tych ludzi nauki i kultury, których niezależność myśli uczyniła przedmiotem represji. Wzywamy wszystkich obywateli do korzystania z przysługujących im statutowych uprawnień w związkach zawodowych, stowarzyszeniach spółdzielczych i kulturalnych w celu przywrócenia im samorządności.

Wzywamy wszystkich do współdziałania z niezależnym ruchem wydawniczym. Jego rozwój i powodzenie zależą od jakości dostarczanych tekstów, czynnego udziału w kolportażu, wreszcie od pomocy finansowej.

Zwracamy się do wszystkich ludzi dobrej woli o solidarne występowanie przeciw samowoli aparatu administracyjnego, policji, sądownictwa, więziennictwa. Zwracamy się o współpracę z Komitetem Samoobrony Społecznej, którego celem jest:

1. walka z represjami stosowanymi z powodów politycznych, światopoglądowych, wyznaniowych, rasowych i udzielanie pomocy ludziom z tych powodów represjonowanym;
2. walka z łamaniem praworządności i pomoc pokrzywdzonym;
3. walka o instytucjonalne zabezpieczenie praw i wolności obywatelskich;
4. popieranie i obrona wszelkich inicjatyw społecznych zmierzających do realizacji praw człowieka i obywatela.

Ruch demokratyczny działa jawnie i zgodnie z obowiązującym w Polsce porządkiem prawnym, którego integralną część stanowią Pakty Praw Człowieka i Obywatela.

Jesteśmy jak najgłębiej przekonani, iż współtworząc i rozwijając ten ruch spełniamy obowiązek obywatelski i patriotyczny służąc dobrej sprawie Ojczyzny, Narodu, Człowieka.

Jan Ajzner
Marian Banaś
Stanisław Barańczak
Marek Barański
Joanna Barczyk
Konrad Bieliński
Jacek Bierezin
Bogusława Blajfer
Seweryn Blumsztajn
Magdalena Bocheńska
Teresa Bogucka
Grzegorz Boguta
Magdalena Boguta
Bogdan Borusewicz
Andrzej Celiński
Mirosław Chojecki
Bogdan Chwedeńczuk

Ludwik Cohn
Ludwik Dorn
Urszula Doroszevska
Marek Drabikowski
Maria Dziewicka
Wojciech Fałkowski
Jerzy Geresz
Marzena Górszczyk-Kęcik
Franciszek Grabarczyk
Helena Zofia Gromiec
Włodzimierz Gromiec
Mieczysław Grudziński
Marcin Gogulski
Janusz Gwozdziowski
Helena Hagemajer
Krzysztof Hagemajer
Wincenty Heinrich

Joanna Jankowska
Andrzej Jastrzębski
Aldona Jawłowska
Jerzy Jedlicki
Piotr Kałużyński
Marek Karpiński
Jan Kelus
Tadeusz Kensy
Wiesław Piotr Kęcik
Jan Kielanowski
Eugeniusz Kloc
Grażyna Kopińska
Aleksandra Korewa
Barbara Kossakowska-
Drabikowska
Tadeusz Kowalik
Anka Kowalska
Sergiusz Kowalski
Stanisław Krajewski
Sławomir Kretkowski
Dariusz Kupiecki
Jacek Kuroń
Elżbieta Lewińska
Ewa Ligocka
Edward Lipiński
Jan Józef Lipski
Jan Lityński
Witold Łuczywo
Antoni Macierewicz
Leszek Maleszka
Elżbieta Malicka
Wojciech Malicki
Grzegorz Maliszewski
Adam Michnik
Piotr Naimski
Jan Olszewski
Wojciech Onyszkiewicz
Wojciech Oracz

Wojciech Ostrowski
Hanka Ostrowska
Alicja Walasiuk
Leopold Gierek
Elżbieta Jasińska
Krzysztof Łączyński
Antoni Pajdak
Zenon Pałka
Bartosz Pietrzak
Magdalena Piwnicka
Janusz Przewłocki
Maciej Razzacher
Zofia Romaszewska
Zbigniew Romaszewski
Józef Ruszer
Józef Rybicki
Wojciech Zbigniew Samoliński
Aniela Steinsbergowa
Władysław Sulecki
Ewa Sułkowska-Bierezin
Witold Sułkowski
Jadwiga Szczęsna
Joanna Szczęsna
Adam Szczypiorski
Stanisław Śmigiel
Józef Śreniowski
Łukasz Świerż
Jan Walc
Bronisław Wildstein
Roman Wojciechowski
Henryk Wujec
Zbigniew Wysocki
Błażej Wyszowski
Piotr Zaborowski
Bogdan Zalega
Wacław Zawadzki
Andrzej Zozula
Anna Zórawska

Głos Nr 1.

NOTATKI O SAMORZĄDZIE

1. Na podwórkach wielu nowych osiedli nie ma krzywych linii do gry w klasy, rysowanych byle czym i przez byle kogo. Idealnie równe kwadraty klas wymalowano tam olejną farbą, a uczynili to pracownicy państwowi, zapewne zgodnie z projektem kogoś w tej dziedzinie kompetentnego.

Oczywiście dzieci w upaństwowione klasy nie grają.

Nie, nie chcę tu demaskować systemu. To zbyt banalne. Odnotowuję tę obserwację, bo wydaje mi się symboliczna dla stosunków między państwem a samorządem.

Jestem wychowawcą, a wychowanie wyobrażam sobie jako takie samorządne działanie społeczne, w którym młodzież wspólnie z dorosłymi świadomie zmienia swój świat i siebie. Dwadzieścia lat temu próbowałem inicjować takie działanie, poszukiwałem samorządnych inicjatyw, chciałem o nich pisać i uczyć się z ich doświadczeń. Mógłbym napisać książkę o ukatrupieniu samodzielnej grupowej aktywności przez upaństwowienie. Właśnie tak jak w historyjce z grą w klasy załatwiono założoną przez entuzjastów wychowania spółdzielnię pracy byłych nieletnich przestępców, stowarzyszenia regionalne, kluby inteligencji, teatry studenckie... Władze państwowe poparły cenną społecznie inicjatywę: przydzieliły środki, wyznaczyły dyrektora i urzędników, narzuciły program działania. Słowem, rysowały klasy i szlag trafił działalność. Przetawiała być samorządna i ustawała całkowicie.

Powoli zaczynałem rozumieć, że wszystko sprowadza się do tego, kto rysuje klasy, w które grają władze państwowe. Dla naszych rozmyślań ważne jest, że nie rysuje ich społeczeństwo. Władzę państwową w naszym kraju sprawuje się w oparciu o wyłączenie społeczeństwa z inicjatywy, informacji, decyzji. Każda samorządna inicjatywa społeczna narusza monopol państwa i tym samym podstawy sprawowania władzy.

Gdzieś w latach sześćdziesiątych uznałem, że naprzód trzeba zmienić system polityczny, a dopiero później powrócić do społecznego działania. Samorządne inicjatywy związane z Komitetem Obrony Robotników przekonały mnie, że nie miałem racji. Okazało się, że jeśli inicjatywa taka przełamie monopol państwa jednocześnie w zakresie inicjatywy, decyzji, informacji, a przy

tym zyska społeczne poparcie, mimo oporu władz może skutecznie działać. Dziś coraz więcej jest inicjatyw tego rodzaju i tym samym większe są szanse ich skuteczności. Im więcej powstanie i będzie działać różnorodnych instytucji, tym lepiej będzie zorganizowane społeczeństwo, tym większe będą szanse formułowania rzeczywistych społecznych dążeń i także politycznego organizowania się do ich realizacji. Jest to zatem proces stopniowej, konsekwentnej zmiany systemu. Kraj nasz jest przecież — formalnie rzecz biorąc — parlamentarną demokracją. Możemy to, co formalne, uczynić rzeczywistym.

2. W więzieniu rozmawia się głównie o więzieniach. Wiadomo, są lepsze i gorsze, każde znajduje swoich zwolenników. Przepraszam, nie każde, bo właśnie w jednej jedynej sprawie wszyscy więźniowie są zgodni: tam, gdzie jest samorząd — nie ma życia. To zupełnie zrozumiałe, samorząd więzienny polega na tym, że zamiast zawodowego funkcjonariusza — panem życia i śmierci jest drugi więzień. Często sadysta, najczęściej były milicjant lub ubek, a z reguły lizus, donosiciel, żadna władzy kreatura.

Jest coś z filozofii stanowej czy może nawet kastowej w tej powszechnej w naszym kraju formie samorządu. Samorząd uczniowski szczególnie w młodszych latach szkoły podstawowej polegać ma na tym, że rządzi ktoś z uczniów faktycznie wyznaczony przez nauczyciela i wyręczający go w brudnej robocie zapisywania niegrzecznych. Analogicznie zbudowany jest samorząd robotniczy, chłopski i jakie tam jeszcze władza zechce wymyślić. Twórca tej idei wierzył widocznie, że jeśli jakiś robotnik otrzymuje kawałek władzy nad kolegami, natychmiast dzięki mistycznej więzi udział w sprawowaniu tej władzy otrzymują wszyscy inni robotnicy.

Może więc opozycja nie powinna posługiwać się pojęciem samorządu jako zbyt skompromitowanym?

Nim jeszcze to słowo zostało w naszym kraju chytrze przemienione w swoje własne upaństwowione zaprzeczenie, znaczyło: rządzić się samemu, a więc nie oddzielać programowania i zarządzania od wykonawstwa. Właśnie tak jak czyni to rzemieślnik, albo poeta, którzy zarazem tworzą ideę tego, co ma być wykonane, i nadają tej idei kształt materialny, wytwarzając but, poemat, stół. Tyle, że chodzi tu o coś dalece bardziej skomplikowanego, jako że wytwórcą jest gromada, kilka, kilkadziesiąt czy nawet kilkaset osób. Rzecz bowiem idzie o sprawy, które trzeba załatwiać gromadnie, a coraz więcej jest takich spraw w naszym życiu.

Wszyscy chcemy samorządzić — to po prostu fakt. Nawet ci, którzy są zwolennikami hierarchii i dyscypliny niezwykle często mają na myśli taką hierarchię, na której szczycie oni zostaną postawieni.

Spółdzielnie, stowarzyszenia, kluby są zatem nie tylko po to, aby ułatwić zaopatrzenie, zbudować mieszkanie, obronić zabytki i opiekować się dziećmi, ale także i po to, aby samorządzić, czyli suwerennie tworzyć swoje życie. Każdy kto uprawia działkę, majsterkuje, pisze w wolnej chwili wiersz, esej, pamiętnik, w niedzielę maluje obrazy — czyni to m.in. dlatego, aby ocalić w swoim życiu choć kawałek miejsca na suwerenne tworzenie, widać jest to dobro takie samo jak mieszkanie, ubranie, żywność. Kiedy zbieramy się, aby wspólnie organizować zaopatrzenie, budownictwo mieszkaniowe, opiekę nad dziećmi — zarazem osiągamy co najmniej dwa cele: ten, który jest naszym celem bezpośrednim oraz poczucie suwerennego tworzenia.

3. Demokracja parlamentarna to nie samorząd, to nawet przeciwieństwo samorządu. Polega ona na tym, że ogół obywateli w ramach systemu przedstawicielskiego posiada wpływ na działalność ustawodawczą państwa, któremu każdy podporządkowuje się w sferze wykonawczej. Programowanie i zarządzanie, inaczej niż w samorządzie — jest tu więc oddzielone od wykonawstwa. Dlatego anarcho-syndykaliści, jak i anarcho-kooperatyści, są przeciwnikami demokracji parlamentarnej i w ogóle państwa. Nie ukrywam, bliskie mi jest marzenie o społeczeństwie, w którym każdy człowiek w swobodnych związkach z innymi jest suwerennym twórcą całego swojego życia. Takiego stanu nie można wprowadzić żadnym dekretem, nie można go ustanowić, a można wyłącznie tworzyć w stopniowym, długotrwałym procesie. Społeczeństwo może się organizować w pełni samorządnie — jeżeli w ogóle może — tylko wtedy, gdy jego członkowie zachcą w swoim wolnym czasie aktywnie działać w samorządach. Demokracja parlamentarna zaś jest jedynym znanym dotąd systemem sprawowania władzy państwowej, w którym obywatele mogą ograniczać tę władzę swymi samorządными inicjatywami. O tyle właśnie może być mniej nakazów i zakazów państwowych, o ile więcej będzie samorządności i samodyscypliny.

A swoją drogą fakt, że chcemy budować demokrację parlamentarną w ruchu samorządów stanowi wielką szansę społeczeństwa polskiego: taka bowiem będzie Rzeczypospolita, jak działanie, w którym ją tworzymy.

Głos Nr 1.

Irena NOWAKOWA

FUNKCJE MILCZENIA I NIEMILCZENIA INTELIGENCJI W SYSTEMIE SCENTRALIZOWANEJ WŁADZY

System w którym żyjemy ma pewien swoisty — dobrze znany Polakom — rytm cyklicznego funkcjonowania. Okresy coraz większej koncentracji władzy, zacieśniania struktur instytucjonalnych i związanej z tym degeneracji wszelkich procesów życia społecznego przeplatane są co kilka lat okresami rozluźnienia i częściowej naprawy, które przychodzą po krwawych wstrząsach społecznych lub po jakichś przyzwalających na minimum swobody gestach władzy. Procesy totalizacji i detotalizacji kraju następują po sobie w ramach systemu scentralizowanej władzy partyjno-państwowej i mimo że władza ta pozostaje scentralizowana zmieniają zasadniczo życie społeczeństwa. Tylko dzięki okresom rozluźnienia społeczeństwo polskie może jakoś żyć i przetrwać jakoś, będąc czymś więcej niż apatyczną masą ludzi pozbawionych podmiotowości i osobowości.

W okresach totalizacji społeczeństwo polskie, a przede wszystkim inteligencja zamiera i staje się masą ludzi izolowanych, pozbawionych możliwości oddziaływania na to, co się dzieje. Każdy funkcjonuje jako część centralnie sterowanego systemu, niejako w roli narzędzia, mając odcięte wszelkie możliwości własnej inicjatywy, nie tylko w życiu publicznym, ale w swojej pracy zawodowej. Izolacja społeczna uniemożliwia opór przeciw szkodliwym akcjom władz i ludzi, którzy przede wszystkim dążą do własnej kariery. Prawie każdy, kto nie chce brać udziału w sprawowaniu ucisku i szkodliwym dla społeczeństwa działaniu, ogranicza się wtedy do tego, by w miarę możliwości ratować co się da w swojej dziedzinie zawodowej i wbrew trudnościom w miarę uczciwie wykonywać swoją pracę.

Okresy liberalizacji cechują się ożywieniem środowisk inteligentnych i tworzeniem się w nich nie istniejącej uprzednio opinii publicznej. Ma to zasadnicze znaczenie dla życia kraju. Atomizacja społeczeństwa, zniszczenie sieci porozumiewania się jest podstawowym czynnikiem totalitarnej władzy, a niezależna opinia publiczna i integracja środowisk inteligentnych odgrywają istotną rolę w procesie detotalizacji. Wraz ze wzrostem niezależnej sieci porozumień w społeczeństwie i rozwojem ośrodków opinii możliwe staje się spontaniczne, niezależne współdziałanie poszczególnych ludzi i środowisk społecznych. Możliwy staje się

nacisk na władzę w kierunku uelastycznienia struktury organu zacyjnej, bardziej racjonalnych decyzji.

Trwały i szeroki rynek opinii publicznej jest najbardziej skutecznym środkiem, który bez wstrząsów społecznych prowadzi do rozluźnienia ucisku i stworzenia warunków naprawy funkcjonowania instytucji. Ze wszystkich warstw społecznych inteligencja ma największe możliwości stworzenia go i utrzymania. Inteligencja bowiem może względnie łatwo tworzyć ośrodki opinii na gruncie istniejących struktur instytucjonalnych, stowarzyszeń zawodowych, różnych komisji, rad wydziałów, na konferencjach i wszelkich większych zebraniach. Względnie łatwo może też łączyć te ośrodki w szeroką opinię publiczną.

Choć wiedza o roli opinii środowisk inteligenckich jest naszą powszechną tajemnicą, nie zawsze jednak potrafimy z tej wiedzy wyciągać wnioski i w oparciu o nie formułować dyrektywy działania. Każdy okres rozluźnienia ujawnia, jak powszechnie jest ono upragnione i jak wiele wspólnych celów łączy ludzi w naszym społeczeństwie, a jednak w chwili obecnej stanowimy w większości milczącą i bezsilną masę. Po czerwcowym proteście klasy robotniczej najodważniejsza część inteligencji współdziałając z robotnikami stworzyła jawną opozycję, ale we wszystkich innych dziedzinach sytuacja pozostała bez zmian: sztywne struktury instytucjonalne uniemożliwiający jakokolwiek poprawę, ciężka sytuacja ogółu społeczeństwa, szkodliwe efekty nieprawidłowego funkcjonowania instytucji. Wśród ogółu inteligencji panuje cisza i bezwład. Każdy samotnie walczy na codzień o to, żeby mimo wszystko wykonać jakoś swe zadania zawodowe, by jego praca zawodowa nie była zupełnie pozbawiona sensu — wysiłki te jednak pozbawione są mocy oddziaływania w szerszej skali. Jeśli nie zmienią się warunki pracy inteligencji, jeśli nie otworzą się możliwości działania w inteligenckich zawodach, nie może być żadnej poprawy w społeczeństwie. Inteligencja pełni kluczowe funkcje w rozwoju nauki, kultury, produkcji, w nauczaniu, w lecznictwie, handlu i innych dziedzinach życia społecznego. Stąd jej działalność jest szczególnie ważna dla prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa i dla życia materialnego i psychicznego narodu.

Czy w obecnej sytuacji inteligencja nie czekając na inicjatywę władz sama może przekształcić się w żywe środowisko społeczne, dysponujące własną siłą, zdolną zmienić warunki działania i zapoczątkować proces odnowy?

Tworzenie się opinii publicznej w systemie władzy scentralizowanej ma swoją wewnętrzną dynamikę. Jeśli w różnych środowiskach inteligenckich na terenie, gdzie spotykają się w więk-

szym gronie co pewien czas ludzie mający podobne problemy, pewna niewielka nawet liczba osób zaczyna odważniej mówić, poruszając jakieś istotne problemy zawodowe czy społeczne, tym samym zmienia dla innych istniejący układ warunków. Zmniejsza dla nich rzeczywiste i domniemane zagrożenie związane z publicznym występowaniem z podobnymi sprawami. Przerywa wytworzoną milczeniem atomizację społeczną swoich środowisk i integrując je na nowo, stwarza społeczną siłę. Każde odważniejsze wystąpienie na zebraniu, gdzie znajduje się nieco większe grono ludzi o wspólnych problemach, w miejsce osamotnienia i pustki społecznej stwarza więź, o którą mogą oprzeć się inni. Każde stwarza okazję innym do włączenia się do dyskusji i okazania swego poparcia. Stwarza też nowe standardy, przesuwając granicę między tym, „co można mówić” a tym „czego mówić nie należy”. Wiedza o tym, co zostało powiedziane rozpowszechnia się, a między już ożywionymi kręgami społecznymi nawiązują się porozumienia. Zamiast pozbawionej jakiejkolwiek informacji, zatomizowanej masy inteligencja zaczyna wówczas tworzyć środowisko zdolne do działania. Być może brak nam jednak na to wyobraźni, gdy istnieje jeszcze pustka społeczna, w której ludzie boją się mówić, lub nie mówią, czując się bezsilni.

Marek Tarniewski w pierwszym numerze *Głosu* wskazuje na konieczność tworzenia niezależnych grup i struktur społecznych. Wydaje się, że przynajmniej równie ważne jest zapoczątkowanie przez inteligencję procesu tworzenia niezależnej opinii publicznej na gruncie istniejących struktur instytucjonalnych. Tak jak strajki stanowią potężne narzędzie działania klasy robotniczej, tak rynek opinii publicznej jest potężnym środkiem w ręku inteligencji. Inteligencja nie jest bowiem bezsilna, a opinia publiczna, jeśli powstanie w szerszej skali, na ogół działa skutecznie. Przypomnijmy sobie falę listów protestacyjnych w sprawie zmian konstytucji, masowe protesty przeciw represjom poczerwcowym czy po aresztowaniu członków i sympatyków KOR-u. Jak bez nich wyglądałaby obecnie konstytucja, czy doszłoby do amnestii, co byłoby z członkami i sympatykami KOR-u — czy zostaliby zwolnieni, czy może fala aresztowań objęłaby znacznie szersze kręgi?

Opinia publiczna jest tym środkiem, który może bez wstrząsów społecznych otworzyć możliwości działania na terenie zawodowym i w życiu społecznym, stworzyć warunki do inicjatyw niezbędnych dla naprawy istniejącego stanu rzeczy. Jeśli nie stworzymy jej, nie spełnimy swego zadania wobec reszty narodu i będziemy współodpowiedzialni za to co jest, i za to, co może się stać. Warto sobie do końca zdać sprawę z tego, że stwo-

rzenie i utrzymanie opinii publicznej leży przede wszystkim, a może wyłącznie, w możliwościach inteligencji.

Głos Nr 3.

Marek TARNIEWSKI

POLARYZACJA I RÓŻNORODNOŚĆ

Pod koniec zeszłego roku można było przeczytać, że w Polsce wyodrębniają się niezależne ruchy polityczne (niezależne od PRL i PZPR). Najpierw były ruchy samoobrony społecznej: Komitet Obrony Robotników, następnie Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Stwierdzono, że Komitet i Ruch nie są organizacjami politycznymi. Na jesieni 1977 roku ogłoszono Deklarację Ruchu Demokratycznego. Deklaracja, nawiązując do listu 59, formułowała ogólne cele społeczne i polityczne, nie tylko związane z samoobroną społeczną (na jesieni powstał Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”). W grudniu 1977 (w 8 numerze *Opinii*) można było znaleźć informacje o czterech tendencjach politycznych skupionych w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela — o tendencji niepodległościowej, demokratycznej, chrześcijańskiej i ludowej.

Trzeba te oznajmienia odnotować, ale ciągle jeszcze wydają się trochę przedwczesne. Nie wiadomo, czy rzeczywiście powstają już ruchy polityczne, czy nadal wybiera się tylko nazwy i hasła. Wygląda tak, jakby demokraci, niepodległościowcy lub obrońcy praw człowieka chwytali słowa, którymi się nazywają. Jakby mówili: to nasze i odtąd tylko my będziemy się tym słowem posługiwać.

Tymczasem słowa są dawne i wspólne. Pisano już: Wolność, Równość, Niepodległość — Wolność i Niezawisłość — Niepodległość i Demokracja.

Obecnie te słowa niezbyt dobrze nadają się do odróżniania ludzi w Polsce. Jeśli ktoś chce różnić się politycznie od innych, musiałby użyć nowych słów, może nawet je wymyśleć.

Niewiele mogą tu pomóc takie skróty jak „lewica” i „prawica”. Prawica jest konserwatywna, pragnie utrzymać *status quo*. Prawicą byłiby więc członkowie PZPR (zapewne nie wszyscy). Lewica walczy o zmiany. Lewicowa byłaby więc prawie cała opozycja. Tym bardziej lewicowa, im bardziej radykalna.

Zresztą, może Polska ciągle jeszcze dzieli się na endeków i piłsudczyków. Pierwsi chcą choćby częściowej ugody z Rosją i mówią (głośno lub po cichu): „Polska, ale dla Polaków”. Drudzy chcą pełnej niezawisłości, a sprawa polska jest dla nich nie tylko sprawą Polaków (Osmańczyk mógł nie dostrzegać tych różnic, Cat-Mackiewicz lub Jasienica je widzieli; Rzeczpospolita Polska nie jest tym samym co „Rzeczpospolita Polaków”).

Na emigracji Stronnictwo Narodowe na pewno różni się od PPS. W każdym z tych ugrupowań toczą się zresztą spory i następują rozłamy. Ponadto zaś emigracyjni piłsudczycy są czym innym niż socjaliści. Ale czy te różnice mają jakieś odpowiedniki obecnie w Polsce?

Może KOR to piłsudczycy, a Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela jest endecją? Może jest odwrotnie? A może endecy przeszli już wszyscy do PZPR (a komuniści już stamtąd wszyscy wystąpili)? Wiemy jednak, że w PZPR są jeszcze komuniści, istnieją też bezpartyjni endecy. Pomieszenie komunistyczno-endeckie komplikuje sytuację.

Ludzie radzą sobie z takimi komplikacjami jak potrafią i za wszelką cenę chcą rzeczywistość uporządkować. To my jesteśmy skomplikowani — dają czasem słuchaczom do zrozumienia przedstawiciele tworzących się ugrupowań. Innych łatwo nazwać jednym lub dwoma słowami. To są nacjonaliści i prawica polityczna. A tanto — niedawni komuniści i ich sympatycy. Teraźniejszość bywa określana przez przeszłość, a ludzie nie przez to kim są, ale z kim się przyjaźnią. Uważa się widać, że przeszłość, a szczególnie komunistyczna, pozostawia trwałe ślady. Na delikwencie, a także w bliższym i dalszym otoczeniu. Uważa się też, że wiadomo, co w PRL jest nacjonalizmem i prawicą. Nacjonalizm jest patriotyzmem napastliwym. Przeciw komu ten napad może być skierowany? Sztucznie tworzy się przeciwstawne tendencje, które słuchają się niezbyt uważnie (choćby dlatego, że nie jest pewne, czy istnieją). Tworzą się strony, które twierdzą, że wiedzą, kim przeciwnicy są naprawdę (bez względu na to, jak przeciwnicy się zachowują).

A może jednak warto wiedzieć, co kto robi, mówi i pisze. Okazuje się, że niezależne działania społeczne — obrona praw człowieka, samoobrona społeczna, działania wychowawcze, informacyjne i kulturalne — stanowią minimum zgody. Są też różnice. Czasem dotyczą one przeszłości poszczególnych ludzi, czasem ich teraźniejszości. Trudniej stwierdzić różnice między ugrupowaniami. Ruch *chłopski*, ruch *robotniczy*, ruch *studencki* są sferami wpływów otwartymi dla ideologii. Nie są to — i może nie

będą — ruchy wyodrębnione ideologicznie i jednolite ideologicznie.

Ugrupowania i nurty *katolickie* istnieją już w PRL nawet w Sejmie. Gdy powstanie jeszcze jedna katolicka grupa lub partia, Kościół zapewne nie przegna jej spod swych skrzydeł. Kościół przyjmie wielu. Najprawdopodobniej jednak nadal nie będzie żadnych ugrupowań traktował jako swej reprezentacji.

Polska powinna być *niepodległa* — ten postulat ma w Polsce niewielu przeciwników. Do niepodległości jednak społeczeństwo może być lepiej lub gorzej przygotowane. Można przygotować się już dziś — nie pozwalając zapomnieć tradycji, podejmując działania wychowawcze, a także odmawiając udziału w poczynaniach niesuwerennych. Przygotowanie niepodległości przez niezależne działania społeczne jest częścią opozycyjnego minimum zgody.

O *demokracji* w przyszłej Polsce mówiono już w XIX wieku. Do demokracji jednak można także być lepiej lub gorzej przygotowanym. Demokracja wymaga samokształcenia społecznego, doświadczeń praktycznych, prób i błędów. Niezależne działania społeczne mogą być przez ich uczestników kształtowane demokratycznie. Wtedy realizuje się w nich demokracja, nie tylko niezależność.

Można tworzyć namiastki różnic ideowych i politycznych nadając nazwy i epitety sobie i innym. Dwubiegunowy układ antagonistyczny przydaje się w systemie parlamentarnym. Nie może jednak wyczerpać wszystkich źróźnicowań. W ustroju scentralizowanym i ujednoczonym niezbędna jest różnorodność. Wewnątrz opozycji nie jest potrzebna polaryzacja (my — oni), ale rozmaite różnice działań i poglądów: różnorodność działań niezależnych od PRL i PZPR. Zwiększanie tej różnorodności nie jest marnotrawstwem. Różnorodność nie pobudza tyle niepotrzebnej wrogości co układ o dwu biegunach przeciwstawnych.

G ł o s Nr 4.

Bohdan CYWIŃSKI

MITY LEWICY I PRAWICY A PRZYSZŁOŚĆ SPOŁECZEŃSTWA

Ideologiczna opozycja między lewicą a prawicą znaczyła wiele w dziejach polskiej myśli i działań politycznych lat 1890-1945.

Lewica był to mit postępu, sprawiedliwości społecznej, tradycja hasła francuskiej rewolucji, myśl o rewindykacjach społecznych, ekonomicznych, cywilizacyjnych i kulturalnych praw robotnika i jednocześnie obojętność wobec duchowej tradycji katolickiego społeczeństwa. Mit Judymów i szklanych domów, ale także pragnienie rewolucji bezwzględnej i krwawej. Odmian lewicy było wiele — tych humanistycznych i uniwersalistycznych i tych formujących ludzi o mentalności komisarzy.

Tych patriotycznych i tych szczerze lekceważących polską rację stanu.

Prawica też miała swoje odmiany. Jeżeli akuszerem lewicy było judzenie przeciw posiadaczom, to narodzeniu prawicy towarzyszył lęk przed hołotą. Ducha prawicy polskiej nobilitowała idea narodu, nie podjęta dosyć wcześniej i dosyć konsekwentnie przez obóz lewicy. Myśl o nadrzędności bytu narodowego nad wszystkimi problemami ustrojowymi zintegrowała wielką część podmiotowo reagujących środowisk społecznych i skłoniła je ku prawicy. To sprawiło, że przebudzenie się społeczeństwa na przełomie stuleci w znacznej mierze dokonało się pod hasłami prawicowymi, to stworzyło jej historyczny dorobek. W postawionym na piedestale narodzie uznano jednak nie jego wartość ideową, ale siłę, historii kazano potwierdzić nie tyle ducha, ile biologię i pewność siebie, patriotyzm zakazano ksenofobią, szowinizmem i lekceważeniem słabszych, w świadomość społeczną wpojono antysemityzm i obawę przed masonskim spiskiem. Zapoznaną przez lewicę duchowość chrześcijańską narodu w znacznej mierze uczyniono narzędziem walki nie tylko z błędami lewicy, ale i z jej wartościami.

Walka prawicy i lewicy w Polsce stała się nie walką interesów, ale walką dwóch duchowości, dwóch tradycji i dwóch wiar. I choć takie dwubarwne widzenie najnowszych dziejów mentalności społecznej w Polsce jest wielkim uproszczeniem, to jednak tłumaczy ono niespodziewanie wiele ze świadomych lub półświadomych wyborów, predylekcji, sympatii i antypatii, jakie odnajdujemy nie tylko w zachowaniach naszych dziadków i ojców, ale i w nas samych dzisiaj.

Rok 1945 i to, co nastąpiło później, w istocie opozycję między prawicą i lewicą uczyniło bezprzedmiotową. Nie wszyscy na lewicy i prawicy — zrozumieli to od razu. W punkcie wyjścia sowiecki system komunistyczny ze swym hałaśliwym powoływaniem się na hasła i ideały lewicowe mógł wydawać się rzeczywistą kontynuacją tej tradycji. Prawica została zakneblowana i zniszczona od razu. Lewicy dano wybór między zniszczeniem i deprawacją polityczną. I ludzie lewicy przyjęli ten wybór

rozmaicie. Wielu spośród nich uznało możliwość poparcia systemu — i system ten w jego najgorszym stalinowskim okresie współtworzyło. Później ich udziałem stały się odejścia od władzy ku społeczeństwu, odejścia wielorako trudne, często kosztowne, ale czasem zaskakująco późne.

Dzisiaj bezprzedmiotowość dawnej opozycji prawica - lewica jest już jaskrawo widoczna. Jest miejsce i czas na spotkanie ponad dawnymi podziałami. A jednak okazuje się ono trudne psychospołecznie.

Niełatwo jest wyzbyć się dawnych podejrzeń. Współczesne młode nawet pokolenie inteligencji — o różnej dziś przecież społecznej genealogii — okazuje się dziedzicem ideologicznych uprzedzeń dziadków. Podejrzeniom o nacjonalizm, antysemityzm i antyliberalizm z jednej strony odpowiada po drugiej stronie niechęć i brak zaufania do tych, których choćby rodzinna genealogia wiąże z polskim komunizmem.

Upředzenia te wydają mi się dzisiaj obłędne — i zarazem bardzo niebezpieczne społecznie. Czym innym jest bowiem pożądana różnorodność myśli ideologicznej, a czym innym rysowanie — już w punkcie wyjścia i przed sformułowaniem jakiegokolwiek programu — kredowych kół mających rodzące się inicjatywy z góry podzielić na godne lub niegodne zaufania. Jest w tym nawrót do najgorszych tradycji polskiego życia politycznego.

Zjawisko dziedziczenia cech mentalności charakterystycznych dla lewicy i prawicy jest łatwo zauważalnym i wytłumaczalnym faktem. Wraz z ideałami i wartościami odziedziczeniu ulegają uprzedzenia i wady. Sądzę, że wymogiem zarówno rozumu jak i uczciwości jest umieć zrewidować własne tradycje i odsiać w nich ziarno od plewy. Podobnie trzeba umieć odnaleźć wartości w tradycji cudzej.

Być może wymaga to współdziałania historyków myśli politycznej i mentalności społecznej. Ideologiczne zaangażowanie, a często zaciętrzewienie jest w historiografii polskiej (nawet z wyłączeniem szkoły marksistowskiej) cechą szczególnie rozwiniętą już od paru pokoleń. Może dlatego tyle w niej schematów i czarno-białych sądów wartościujących, a tak mało komplementarnego ujmowania wartości reprezentowanych przez różne kierunki myśli.

Szukając programu społecznego samowychowania i próbując go zakorzenić w polskiej tradycji nie sposób nie natknąć się na ten czarno-biały schemat. Ominąć go się nie da, trzeba mu ulec lub go przełamać. Od wyboru w tym miejscu zależeć będzie, czy proponowana tradycja poprzednich pokoleń będzie

integrować społeczeństwo we wspólnotę, czy bezsensownie rozbijać je na skłócone ze sobą odłamy.

Głos Nr 4.

Antoni MACIEREWICZ

TRADYCJE POLITYCZNE W PRL

Wszelka niezależna działalność w PRL napotyka na przeszkodę w braku tradycji, doświadczenia, wzorców postępowania. Komunizm narzucony Polsce po wojnie, zdezaktualizował istniejące dotąd kierunki działania politycznego. Zaden z nich nie ostał się pod niszczącym wpływem stalinowskiego terronu i totalitarnej propagandy, która na rzecz marksizmu-leninizmu zawłaszczyła najszczytniejsze hasła ludzkości. Komunizm przedstawiono jako najbardziej demokratyczny, postępowy i sprawiedliwy system w historii człowieczeństwa. Każdorazowo odwoływano się do interesów coraz to innych, nowych grup i — trzeba przyznać — częściowo je realizowano, by zaraz potem warstwy te rozbić, podporządkować komunistycznemu Lewiatanowi. Bezrolne chłopstwo, urzędnicy i inteligencja, robotnicy i technokracja byli kolejnymi beneficjentami i pariasami systemu. Zniszczono ruch ludowy, socjalistyczny, narodowy.

Aby jednak utrzymać władzę opartą na obcej przemocy nie wystarczyło zlikwidować przeciwników, trzeba było wymazać pamięć o nich. W partyjnej wersji historii Polski nie ma państwa podziemnego z okresu okupacji, stalinizmu, przewrotu październikowego, demonstracji studenckich 1957 i 1968 roku, krwawo stłumionego buntu robotników Wybrzeża, powszechnego strajku w czerwcu 1976 roku. W imię Historii zlikwidowano historię. Istnieje tylko czas teraźniejszy.

Powszechny terror uniemożliwiał w praktyce tworzenie programów niepodległościowych. Dostrzegalne publicznie załączki myśli politycznej powstawały w ramach marksizmu-leninizmu: była to myśl cenzuralnie uprzywilejowana. Nic więc dziwnego, że to właśnie rewizjonizm był najbardziej widocznym nurtem, który wypracowywał myśl polityczną i narzędzia politycznego działania. W okresie Października, a i jeszcze długie lata póź-

niej, rewizjonizm oferował opozycyjną formułę działania względnie tolerowaną przez PZPR. Nie przypadkiem pierwsze represje policyjne po październiku 1956 spadły na Związek Młodych Demokratów — jedyną grupę, która w okresie odwilży wyszła poza formułę rewizjonistów postulujących demokrację socjalistyczną z towarzyszem Wiesławem na czele.

Rewizjonizm stawiający na walki frakcyjne, izolowany społecznie i od społeczeństwa się izolujący, rozpadł się wraz z klęską rewizjonistycznego skrzydła w PZPR. Pozostawił po sobie złą tradycję niewiary w działanie wychodzące poza „demokrację socjalistyczną” i poza elitę społeczną, oraz nieufność do polskich tradycji narodowych.

Akcja pomocy dla represjonowanych po czerwcu robotników, a później założenie KOR zrodziły się z impulsu moralnego, ponad taktykę stawiającego obowiązek solidarności, i z doświadczeń ruchu studenckiego z 1968 roku, gdy to Komitety Studenckie powstawały niezależnie od oficjalnej struktury organizacyjnej. Wypracowano formułę działania opartą o koncepcję tworzenia niezależnych od państwa instytucji społecznych. W przyszłości mogą się one złożyć na nową infrastrukturę życia społecznego w Polsce, zastępując zdegenerowane państwowo-partyjne fasadowe instytucje. Jednocześnie, już dzisiaj tworzą ośrodki wolnego życia, swym istnieniem i aktywnością pobudzając szersze grupy społeczeństwa. Choć grupy te wciąż są względnie nieliczne, werbalizując społeczne potrzeby stanowią realną siłę nacisku na władzę.

Wydawałoby się, że w tej sytuacji nie ma miejsca na podziały prawica - lewica, zwłaszcza, że przez ostatnie dwa lata jednostki tylko przyznawały się do myśli lewicowej. Dopiero ostatnio odżyły w gronie opozycji terminy prawica i lewica w formie wzajemnych oskarżeń, przy czym „prawicę” cechować ma awanturnictwo, „lewicę” zaś ugodowość. A jednocześnie, dziś, wśród opozycji nie ma chyba nikogo, kto zaakceptowałby swą przynależność do prawicy, lewicą zaś nazywają się zarówno ci, którzy widzą możliwość reformowania obecnego systemu politycznego, jak i ci, którzy go radykalnie negują.

Czasem wydaje się, jakbyśmy kontynuowali narzucone nam przed 30 laty pomieszanie pojęć i wizję podziałów ideowych, w których jedynym miernikiem był stosunek do komunizmu. Podobnie dziś o prawicowość oskarża się tych, którzy odrzucając rewizjonizm, szukają inspiracji u twórców polskiej nowożytnej myśli politycznej — Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Gdy przywołują oni demokratyczne tradycje narodu polskiego,

wskazują na wypracowane wtedy wzory działania — zarzuca się im nacjonalizm i awanturnictwo. Szkodliwość takich osądów jest oczywista. Jest bowiem naturalne, że młodzi ludzie podejmujący dziś, po kilkudziesięcioletniej przerwie, na nowo idee niepodległościowe, szukają wzorców i tradycji, na których mogliby się oprzeć. Trudno zaś, by tradycją tą stawał się rewizjonizm.

Warto tu zwrócić uwagę na pewien paradoks. Roman Dmowski w swym znanym artykule z 1905 roku o Stronnictwie Narodowo-Demokratycznym podkreślał, iż podstawową zasługą SND było wyrwanie myśli polskiej z dylematu powstanie - praca organiczna. Wydaje się, iż podobną rolę można przypisać KOR-owi. Z tego punktu widzenia w działalności środowiska związanego z KOR można by znaleźć więcej nawiązań do Ligi Narodowej czy wczesnego SND. Budowa samoobrony społecznej opartej o solidarność i aktywne działanie żywo przypomina Miłkowskiego postulat obrony czynnej i Skarbu Narodowego. Publiczne wykłady — akcją oświatową, ukoronowaną powstaniem Macierzy Szkolnej. Hasła porozumienia społeczeństwa i władzy przypominają solidaryzm społeczny i postulaty autonomii głoszone przez endecję. A przecież podejmujących te działania oskarża się niekiedy o lewicowość!

Podziały ideowe w Polsce dopiero się kształtują. Istotne różnice sprowadzają się do tradycji rodzinnych, temperamentu, uwarunkowań środowiskowych i wreszcie — co może być najważniejsze — do odmiennej taktyki, podyktowanej m.in. horyzontem wyobraźni politycznej. Szermowanie obecnie terminami „prawica”, „lewica” aby rzucić odium na przeciwników utrwała sztywne linie podziału na swoich i obcych wewnątrz opozycji i w żaden sposób nie przyczynia się do krystalizacji autentycznych różnic ideowych. Gdyby zaś nawiązywać do tradycji sprzed 70 lat, trzeba by powiedzieć, że prawicę tworzą ci, którzy w utrzymaniu obecnego ustroju politycznego widzą gwarancję własnego statusu społecznego i gospodarczego. Nie jest to mała grupa i nie ogranicza się tylko do aparatu rządzącego, choć oczywiście, im bliżej PZPR, tym cechy związane z postawą prawicową są częstsze. Czymże bowiem innym jest dziś ta partia, jak nie gwarantem przywilejów: gospodarczych, politycznych, społecznych? Prawica jest więc konserwatywna, choć jej jednak nie o konserwowanie wartości, lecz sytuacji. Lewicę widziałbym zaś wśród grup wysuwających program odzyskania niepodległości, kładących nacisk na podmiotowość społeczeństwa, rewindykację polityczne i społeczno-gospodarcze. Przed stu laty blisko PPS umiała przetłumaczyć bunt klasowy robotników na walkę o niepodległość. Później ujmując swój program posłużyła się hasłem:

Wolność, Równość, Niepodległość. Jeśli myśl lewicowa ma się dziś w Polsce odrodzić, musi hasła te podjąć na nowo.

Ponad zaś wszelkie różnice stawiać musimy świadomość, iż nikt nie ma monopolu na opozycję i „jedynie słuszne” rozwiązania. Życie społeczno-polityczne w naszym kraju dopiero się odradza: ciągle jeszcze mamy wybór między zaciętrzewieniem w walce o „rząd dusz” i współpracą wszystkich dążących do Wolności i Niezawisłości.

Głos Nr 4.

Marek TARNIEWSKI

DEMOKRACJA, INICJATYWA, KONTROLA SPOŁECZNA

W pierwszym numerze *Głosu* ukazała się „Deklaracja Ruchu Demokratycznego”. Była to jedna z prób sprecyzowania sensu i celu dążeń demokratycznych w warunkach Polski współczesnej. W „Deklaracji” cytowano obszernie fragmenty „Listu 59”, który bezpośrednio odnosił się do projektowanych pod koniec 1975 roku poprawek do konstytucji PRL. Miały one zalegalizować funkcjonowanie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jako prawnie usankcjonowanego monopolistycznego podmiotu życia społecznego. Legalizacja tego przywileju partii politycznej miała nastąpić w systemie niemal powszechnego upaństwowienia, rozbudowane państwo miałoby legalnie przejść pod władzę partii.

Projektowane poprawki do konstytucji postulowały nową rzeczywistość prawną, ale w tym sensie nie była to rzeczywistość nowa, że po prostu usankcjonowano by istniejący stan rzeczy. Ustrój panujący w Polsce jest właśnie systemem, w którym rola państwa jest olbrzymia, państwo zaś jest nadzorowane przez partię polityczną o szczególnej — scentralizowanej i zuniiformizowanej — organizacji wewnętrznej. Taka jest rzeczywistość, a w dodatku celem dążeń władz jest „utrwalanie i umacnianie” tego stanu rzeczy. Ponadto zaś dążenia te pozostają w zgodzie z komunistycznym projektem ideologicznym. Projekt ten postuluje upaństwowienie społeczności, oddanie jej pod nadzór partyjny, centralizację życia społecznego i wyłączenie „wolnej gry sił

politycznych”, to znaczy ośrodków niezależnych od partii i państwa.

Oczywiście, czym innym jest opis systemu społecznego i dążeń władz, a czym innym sankcjonowanie prawne i moralne tego, co się opisuje. Nie jest dziwne, że ruch demokratyczny w Polsce nie aprobeuje istniejącego stanu rzeczy i występuje przeciw praktyce określanej jako kierownicza lub przewodnia rola PZPR. Rola tej partii w wielu dziedzinach polega na zastępowaniu agend państwa, instancje partyjne działają ponad urzędami państwowymi — jako instancje zwierzchnie.

W wyborach do Sejmu i do rozmaitych organizacji społecznych wielu ludzi skreśla członków PZPR — protestując przeciw partyjnemu nadzorowi nad państwem i społeczeństwem. Nie odróżnia się wtedy osób (a niekiedy warto to czynić). Protest skierowany jest przeciw antydemokratycznemu działaniu instytucji.

W demokratycznym systemie społecznym podmiotem władzy jest zbiorowość. Jej rola podmiotowa polega na tym, że ostatecznie jej jako całości przysługują uprawnienia związane ze sprawowaniem władzy. Władza może być przez zbiorowość delegowana i może stać się wyspecjalizowaną funkcją społeczną. Ale jej sprawowanie wymaga wtedy przyzwolenia społecznego, odnawianego w wyborach. Musi też być przez społeczność nadzorowane. Sprawujący władzę pełnią służbę społeczną i zobowiązani są do składania sprawozdań. Są kontrolowani i wiedzą, że grozi im odwołanie.

Oczywiście, demokracja nie funkcjonuje bez kłopotów. Pojawiają się one między innymi wtedy, gdy uprawnienia podmiotowe mają przysługiwać wielkim zbiorowościom. Z rozmaitych względów — kompetencyjnych, organizacyjnych i czasowych — w wielu dziedzinach coraz częściej władzę sprawują specjaliści (a w każdym razie byłoby dobrze, gdyby specjaliści ją sprawowali). W tych warunkach nabiera znaczenia pytanie, czy i jak można pogodzić demokrację (a więc podmiotowe uprawnienia polityczne społeczności) z delegowaniem władzy i jej kompetentnym i sprawnym działaniem.

Pogodzenie uprawnień demokratycznych i kompetentnego rządu nie jest możliwe w systemie monopartyjnym. Jeśli w jakiegokolwiek dziedzinie konieczne jest wyodrębnienie ośrodka władzy, a zbiorowość ma być mimo to rządzona demokratycznie, to muszą w niej istnieć ośrodki społeczne niezależne od władzy. Możliwości podejmowania inicjatyw, kontrolowania władz, zaskarżania decyzji i wpływania na ich zmiany przysługują w systemie demokratycznym każdemu, kogo decyzje dotyczą, a więc w

przypadku wielu decyzji państwowych możliwości te przysługują wszystkim obywatelom. Niekiedy powołuje się pośrednie, specjalistyczne agendy inicjatywy niezależnej od władz i niezależnej kontroli społecznej. Taką agendą są rzecznicy interesu społecznego, obrońcy praw obywateli, do których każdy poszkodowany może się zwrócić (urząd ombudsmana w Szwecji). W wielu krajach istnieje sądowa kontrola legalności ustaw i sądowa kontrola decyzji administracyjnych (trybunał konstytucyjny, sądownictwo administracyjne).

Dotychczasowa koncepcja partii komunistycznych i komunistyczny sposób sprawowania władzy przeciwstawiają się działaniom społecznym niezależnym od ośrodka rządzącego. Partia polityczna (a właściwie jej kierownictwo) ma być jedynym ośrodkiem inicjatywy i do partii należeć ma ewentualna kontrola administracji. W tej wersji zadaniem partii jest czuwanie nad sposobem, w jaki administracja wykonuje partyjne polecenia (świadczy o tym między innymi obyczaj łączenia funkcji I sekretarza terenowych komitetów PZPR i przewodniczącego rady narodowej). Pisanie przez osoby bezpartyjne listów interwencyjnych do instancji PZPR dowodzi ugruntowania się w mentalności społecznej koncepcji partii jako podmiotu inicjatywy i kontroli. Ci, którzy tę rolę partii akceptują, zrzekają się części praw na rzecz organizacji rządzącej.

Sytuacja, w której większość społeczeństwa nie jest podmiotem życia społecznego, występowała między innymi w ustroju niewolnictwa państwowego. Podobieństwa między tym ustrojem a monopartyjnym ustrojem etatystycznym polegają na upaństwowieniu życia społecznego, a przede wszystkim gospodarki, na tym, że ludzie są pozbawieni obrony przed władzą i nie istnieją ośrodki pośredniczące, niezależne i samorządne.

W tych dziedzinach, w jakich władza jest ograniczona z zewnątrz, w jakich jest sprawowana niesuwerennie, nie ma na ogół miejsca na demokrację. Przede wszystkim gdy niesuwerennie wyznacza się politykę zagraniczną i wojskową, nie mogą one być kształtowane demokratycznie. Co prawda, bywa tak, że działanie w warunkach ograniczeń zewnętrznych uzyskuje przyzwolenie społeczne (choćby czasowe i warunkowe — ze względu na sytuację, którą trudno zmienić). W systemie niedemokratycznym nikt jednak nie sprawdzi, czy takie przyzwolenie istnieje.

Okoliczności zewnętrzne stanowią niekiedy podporę i usprawiedliwienie systemów niedemokratycznych. Podporą tych systemów jest też państwowy monopol przemocy (policja i armia funkcjonująca jako policja) i państwowy monopol informacji (cenzura). Zarządcy systemu niedemokratycznego wiedzą, że wol-

ność organizacji i informacji ograniczałyby ich uprzywilejowaną pozycję. Istnienie tych wolności i wypracowywanie ich przez obywateli ma znaczenie wychowawcze. Udział w niezależnych instytucjach i ośrodkach działania sprzyja utrwalaniu postaw demokratycznych, upowszechnianiu poczucia podmiotowości. Demokracja to instytucje, ale warunkiem ich działania jest wola i umiejętność korzystania z nich i powoływania instytucji nowych. Instytucje demokratyczne i demokratyczna kultura polityczna wspierają się wzajemnie. Wypracowane w ostatnich latach w Polsce sposoby niezależnego działania społecznego mają istotne znaczenie dla tworzenia demokratycznej kultury politycznej.

Głos Nr 6.

Marek TURBACZ

NIEPODLEGŁOŚĆ

Jestem przeciwny nieuzasadnionym nadziejom. Nie wierzę w łatwe i rychłe zwycięstwo. Uważam, że tylko zasadnicze zmiany w Rosji mogą nam umożliwić uzyskanie wolności i demokracji. Uważam, że system komunistyczny w Rosji jest bardzo stabilny i nie można oczekiwać jego zmiany w bliskim okresie, oraz że pociąga to za sobą stabilność rosyjskiego imperium, w skład którego wchodzimy. Uważam więc, że nie jest na razie możliwe wywalczenie niepodległości Polski. Jednak niepodległość jest jednym z zasadniczych celów które przyświecają naszej dzisiejszej działalności i które będziemy usiłowali osiągnąć w sprzyjających okolicznościach.

Sytuacja państwa satelitarnego

Niepodległe jest państwo, którego władze nie są podtrzymywane przez czynniki zewnętrzne i w którym decyzje polityczne zapadają wewnątrz kraju, a nie są narzucane z zewnątrz. Niepodległość jest stanem niestopniowalnym. Każde państwo jest w pewnym stopniu zależne od czynników zewnętrznych i podlega

naciskom z zewnątrz, ale istotne jest to, czy naciski te mają znaczenie decydujące — czy władze państwa mają w ostatecznym rozrachunku swobodę podjęcia decyzji (choćby za cenę pewnych kosztów politycznych czy gospodarczych). Francja i Grecja mogły wystąpić z NATO — są więc państwami niepodległymi. Gdy Węgry chciały wystąpić z Paktu Warszawskiego, uniemożliwiła to rosyjska interwencja — nie są więc niepodległe.

Stanem stopniowalnym jest natomiast „podległość”. Istnieją różne stopnie ograniczenia suwerenności — zależności kraju od obcego państwa. Istnieje sytuacja pełnego zniewolenia, gdy kraj nie ma żadnej autonomii — sytuacja Litwy w latach 1795-1918. Na skali stopni ograniczenia suwerenności istnieje istotny punkt-granica, od której kraj posiada własną państwowość, tzn. formalnie nie wchodzi w skład większej struktury państwowej, a władzę formalnie sprawują wyłącznie jego obywatele. Poniżej tej granicy znajdują się takie kraje, jak Litwa, powyżej — takie jak Polska.

Nie ma jednoznacznej granicy między „podległością” a „niepodległością” — rzeczywistość społeczna jest zbyt skomplikowana aby dała się opisywać jednoznacznymi pojęciami. Jałowym byłoby zastanawianie się, czy Rumunia lub Liban są niepodległe. (Z punktu widzenia intelektualnego ważniejsze jest ustalenie stanu faktycznego, niż przypisanie odpowiedniej etykiety, z punktu widzenia emocjonalnego jest odwrotnie). Przeważnie jednak sytuacja jest oczywista i możemy jednoznacznie stwierdzić, czy kraj jest podległy czy niepodległy. Polska bez wątpienia jest państwem podległym Rosji.

Ograniczenie suwerenności Polski przez Rosję polega na:

1. Gwarantowaniu stabilności systemu politycznego, narzucanego w latach 1944-48 (totalitarnej dyktatury partii komunistycznej) i systemu gospodarczego (gospodarki kontrolowanej w ogromnej mierze przez państwo centralnie zarządzane), oraz gwarantowaniu trwałości określonej praktyki politycznej. (Obecne władze w Polsce utrzymują się w znacznej mierze dzięki poparciu Rosji, ponieważ przeważająca większość społeczeństwa polskiego nie akceptuje istniejącej sytuacji politycznej).

2. Podporządkowaniu sobie w znacznym stopniu polskiego kierownictwa politycznego — narzucaniu pożądaných przez siebie posunięć w sferze polityki zagranicznej i wewnętrznej (zarówno posunięć czysto politycznych jak i gospodarczych i kulturalnych); kontrolowaniu składu personalnego kierownictwa, mieszanu się w rozgrywki frakcyjne i personalne oraz posługiwaniu się agentami politycznymi.

3. Utrzymaniu Polski w podporządkowanym sobie pakcie wojskowym i związku gospodarczym.

Zasadniczym środkiem przy pomocy którego Rosja utrzymuje w podległości państwa satelitarne, jest groźba użycia siły, uwiarygodniona przez interwencje w NRD, na Węgrzech i w Czechosłowacji — wobec Polski zastosowana w 1956 roku.

Opozycja polityczna w Polsce odwołuje się do haseł niepodległościowych. Hasło niepodległości stoi na równorzędnym (a nawet pierwszym) miejscu z hasłami demokracji i wolności politycznej w Programie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego¹ i w programie kierunków politycznych, związanych z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela^{2 3}. Znacznie słabiej jest ono akcentowane w Deklaracji Ruchu Demokratycznego⁴. Cele niepodległościowe podkreśla natomiast mocno Jacek Kuroń w „Myślach o programie działania”⁵.

Wysuwanie haseł niepodległościowych uważam za słuszne. Naród, który pragnie niepodległości, powinien ją posiadać. Nawet jeżeli jest ona na razie nieosiągalna, naród powinien pamiętać o niej jako o jednej z naczelnych wartości. Brak suwerenności jest dla nas tym dotkliwszy, że utraciliśmy ją na rzecz państwa totalitarnego, które narzuca nam swój system polityczny.

W świadomości dzisiejszych Polaków tradycja walki o niepodległość jest znacznie silniejsza niż tradycja walki o demokrację, wolność polityczną czy sprawiedliwość społeczną. Przez cały okres rozbiorów poczucie braku niepodległości było najsilniejszym elementem świadomości narodowej. Niepodległość posiada dla Polaków ogromną wartość dzięki temu, że tak długo byli jej pozbawieni. Jednak obecnie znaczna część społeczeństwa uważa Polskę za kraj niepodległy, a władzę za swoją, choć wrogą — zdając sobie równocześnie sprawę z rosyjskich wpływów i z groźbą interwencji. Utożsamia bowiem niepodległość z posiadaniem

1. „Polskiemu Porozumieniu Niepodległościowemu przyświecają następujące cele ogólne:

1) Odzyskanie przez Polskę rzeczywistej suwerenności”. Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, Polska, 1976.

2. „Demokracja i niepodległość” artykuł redakcyjny, *Opinia*, 7/77.

3. *Opinia*, 8/1977.

4. „Źródłem obecnej dezorganizacji gospodarczej, rozkładu władzy i demoralizacji społeczeństwa jest wyłączenie obywateli z ich praw a państwa z suwerenności”... „Udział tysięcy ludzi w dotychczasowym działaniu ruchu demokratycznego i zdobyte przy tym doświadczenia wskazują, że w chwili obecnej można podjąć na szeroką skalę i w sposób trwały walkę o demokrację i suwerenność”. Deklaracja Ruchu Demokratycznego, Polska, 1977.

5. J. Kuroń, *Myśli o programie działania*, Warszawa, 1976, Aneks 13-14, 1977.

własnej państwowości. Jest to bardzo istotna „deformacja” świadomości polskiego społeczeństwa. Konieczne jest ugruntowanie w narodzie świadomości, że Polska nie jest obecnie krajem niepodległym, akcentowanie, że walka o demokratyzację i wolność polityczną jest zarazem walką o rozszerzenie suwerenności dzisiaj i o niepodległość w przyszłości oraz odwoływanie się do tradycji politycznych okresu rozbiorów. Hasła niepodległości mogą poruszyć Polaków bardziej niż same hasła wolności i demokracji.

Nie sądzę, aby z punktu widzenia Rosji hasła niepodległościowe były bardziej drażliwe niż hasła demokracji i wolności politycznej — również godzące w same podstawy systemu. Nie sądzę również, aby teza o niesuwerenności Polski miała bardziej komplikować stosunki z władzami niż teza o ich niedemokratycznym charakterze. Władze ustąpią przed żądaniem opozycji, kiedy zostaną do tego zmuszone i kiedy uświadomią sobie, że wymagają tego ich interesy. Nie będzie wówczas miało dla nich znaczenia, do jakiego programu odwoływała się opozycja. (W powoływaniu się przez przeciwników na Marksa i Lenina władze widziały raczej niebezpieczeństwo niż okoliczności łagodzące. To iż w marcu 1968 roku studenci zarzekali się, że stoją na gruncie socjalizmu i przyjaźni polsko-radzieckiej nie ocaliło ich ruchu przed rozgromieniem).

Istotną trudność dla opozycji stwarza natomiast fakt, że hasła niepodległościowe i odwoływanie się do wartości narodowych nie mogą spotkać się z szerszym poparciem opinii publicznej Zachodu. W XIX wieku polskie dążenia niepodległościowe spotykały się z powszechnym zrozumieniem opinii publicznej, gdyż był to okres walki ludów europejskich o państwa narodowe przeciw systemowi legitymistyczno-monarchicznemu. Dzisiaj dążenia narodowościowe narodów zniewolonych przez Rosję spotykają się często z nieufnością, z podejrzeniem o szowinizm. Społeczeństwa Zachodu nie rozumieją Litwinów, Ukraińców, Polaków, dążących do niepodległości. Są skłonne poprzeć walkę o wolność polityczną i demokrację — nie o suwerenność⁶. Opozycja nie może

6. Charakterystyczny był artykuł W. Brandta w *Die Zeit* (fragmenty *Opinia* 8/1977) oraz artykuł w *Tiden* (czasopiśmie szwedzkich socjaldemokratów; przedruk — „Przejsie do demokracji w warunkach komunizmu”, *Kultura*, 10/361/1977, gdzie stwierdzono m.in.: „Trudno jest nie odnieść się z respektem do wyrażonych w programie (PPN-u, przyp. M.T.) dążeń do wyzwolenia narodowego, jednak pewne sformułowania, w których wyczuwa się gorący nacjonalizm, budzą mimo wszystko niepokój, a to ze względu na złe doświadczenia, jakie miała Europa z nacjonalizmem”.

jednak z tego powodu zaprzestać wysuwania haseł niepodległościowych. Należy tłumaczyć Zachodowi, jaka jest sytuacja krajów należących do rosyjskiego imperium i powoływać się na Pakty Praw Człowieka, wyraźnie przyznające narodom prawo do samostanowienia. Należy też bardzo wyraźnie formalnie oddzielać instytucje społeczne, których zadaniem jest obrona represjonowanych od ruchów politycznych. Część opinii zachodniej (i niektórzy z zachodnich polityków) poprze obronę represjonowanych za walkę o prawa człowieka, choć nie poprze samej walki o te prawa — to znaczy nie poprze ruchów dążących do zmiany systemu politycznego czy do odzyskania niepodległości. Zachodnie ruchy polityczne są skłonne popierać ugrupowania opozycyjne pokrewne im ideowo (na przykład socjaldemokraci są skłonni popierać ugrupowania uznane przez nich za „socjalistyczne” a odnoszą się z rezerwą do „nacjonalistycznych”). Polskie społeczeństwo może preferować odmienne kierunki polityczne niż zachodnia opinia publiczna. Tymczasem chodzi o to, aby obrona represjonowanych miała jak najszersze poparcie zarówno opinii światowej jak i krajowej.



Wszelkie programy polityczne, wysunięte ostatnimi czasy przez opozycję a poruszające zagadnienia walki o niepodległość przyjmują, że rozszerzenie suwerenności Polski można osiągnąć poprzez walkę o demokracyzację i liberalizację, „budzenie” społeczeństwa, tworzenie niezależnych ruchów i struktur społecznych. Umożliwi to stworzenie zorganizowanego i stałego nacisku na polskie władze. Nacisk ten może spowodować stopniowe zmiany narzuconego nam systemu i praktyki politycznej oraz przeciwdziałać niektórym posunięciom narzucanym tym władzom przez Rosję. Programy te różnią się natomiast oceną tego, jak dalece można tą metodą rozszerzyć suwerenność, dopóki w samej Rosji nie zajdą głębsze zmiany. Twierdzę, że dzisiejsza Rosja nie zezwoli na żadną z następujących zmian sytuacji Polski:

1. Odsunięcie od władzy partii komunistycznej, przejście do systemu demokracji wielopartyjnej.

2. Zniesienie kontroli środków masowego przekazu.

3. Całkowite uniezależnienie się Polski w polityce zagranicznej, formalne zerwanie związków politycznych z Rosją (np. ogłoszenie neutralności).

4. Uniezależnienie się militarne, wystąpienie z Paktu Warszawskiego.

Interesy rosyjskich przywódców bezwzględnie wymagają nie-

dopuszczenia do tego, aby choć w jednym z państw satelitarnych system komunistyczny został obalony. Wywarłoby to fatalny wpływ na trwałość całego imperium i na trwałość komunistycznego systemu w Rosji. Dopuszczenie do tego — to nie poświęcenie jednej figury, a zaryzykowanie całej partii. Rosja nie może zwłaszcza zezwolić na niepodległość Polski ze względu na jej położenie geograficzne i na to, że jest ona największym z państw satelitarnych. Interwencja w Polsce kosztowałaby zapewne Rosję drożej, niż interwencje w Czechosłowacji i na Węgrzech, ale zapłacenie tej ceny byłoby konieczne. Uważam, że Rosja nie pozwoli na przekroczenie wyżej określonych granic, dopóki będzie się w niej utrzymywać obecny system i dopóki będzie w stanie dokonać interwencji.

Nie zgadzam się z opinią Jacka Kuronia, który w „Myślach o programie działania⁷” pisał: „Jako Naród, społeczeństwo zorganizowane w ruchach społecznych, możemy świadomie, uwzględniając okoliczności zewnętrzne, zrezygnować z części swej suwerenności [...] na rzecz ościennego mocarstwa. Celem w tym względzie byłby status Finlandii — parlamentarnej demokracji, ograniczonej w polityce zagranicznej i wewnętrznej o tyle, o ile dotyczy to bezpośrednio wyraźnie sformułowanych interesów Związku Radzieckiego. Z dzisiejszej perspektywy status Finlandii wydaje się całkowicie nierealny. Z całkowicie realnej perspektywy Trzeciej Polski ruchów społecznych program finlandyzacji może się okazać umiarkowany”. Uważam, że „wyraźnie sformułowane interesy Związku Radzieckiego” (doktryna Breżniewa) nie pozwalają na osiągnięcie przez Polskę „statusu Finlandii — parlamentarnej demokracji” — umożliwiającej odsunięcie od władzy partii komunistycznej. Nacisk ruchów społecznych może przynieść zwiększenie suwerenności Polski, ale nie tak znaczne. Na Węgrzech i w Czechosłowacji przeważająca większość narodu była przeciwna interwencji i była zorganizowana w ruchy społeczne. Polska jest większym krajem niż tamte, ale dysproporcja się w stosunku do Rosji (i pozostałych państw satelitarnych) jest wystarczająca.



Jako dowód na to, że Polska mogłaby w niedługim czasie osiągnąć niepodległość (bez uprzednich zmian w Rosji) i że nie należy demonizować groźby rosyjskiej interwencji przytacza się czasami przykład Jugosławii, Albanii, Rumunii. Opinię tę uważam za niesłuszną. Żaden z krajów europejskich, które unieza-

7. J. Kuroń, *op. cit.*

leżniły się od Rosji, nie miał tego znaczenia strategicznego, co Polska. Żaden z nich nie wchodził uprzednio w skład imperium rosyjskiego. (Myślę, że motyw ten jest w pewnym stopniu istotny dla rosyjskich przywódców. Charakterystyczne jest, że korzystając z paktu z Niemcami Stalin usiłował zająć te kraje i tereny, które wchodziły w skład carskiej Rosji).

Wszystkie programy opozycji demokratycznej są zgodne co do tego, że nie wolno akceptować niepodległości bez demokracji. Tymczasem wyżej wymienione kraje (a także Chiny) uniezależniły się od Rosji w sytuacji, gdy istniała w nich dyktatura komunistyczna i terror, podobny jak w Rosji, oraz zwarte kierownictwo, dobrze kontrolujące partię, policję i wojsko. Umożliwiało to skuteczne przeciwstawienie się Rosji, która nie mogła oprzeć się na czynnikach wewnętrznych (elementy prorosyjskie były bezwzględnie eliminowane). Interwencja rosyjska w tych krajach oznaczała regularną wojnę a nie zdławienie powstania ludowego, jak na Węgrzech. Przywódcy tych państw dążyli do uniezależnienia się od Rosji, a nie do demokracji — do przemian systemu komunistycznego. (Analiza przypadków, w których Rosja interweniowała i w których nie interweniowała wydaje się świadczyć za słusznością tezy, że z punktu widzenia rosyjskich przywódców groźniejsze są zmiany systemu komunistycznego, niż dążenie państw satelitarnych do niepodległości. Jest to zrozumiałe, gdyż załamanie się systemu komunistycznego daje gorszy przykład obywatelom ZSRR). Polskie społeczeństwo i opozycja nie mogą akceptować rozwiązania polegającego na tym, że wprowadzi się rządy silnej ręki, aby uniezależnić się od Rosji — a potem już partia będzie reprezentowała interesy narodowe i — być może — przeprowadzi liberalizację. (Rozwiązanie takie sugerują niekiedy komuniści). Naród mógłby poprzeć przywódcę komunistycznego, — zwłaszcza należący do kierunku nacjonalistycznego, który dążyłby do zwiększenia suwerenności i do przeprowadzenia stopniowej liberalizacji systemu. Nadzieje na to wiązano na wielką skalę z Gomułką i na znacznie mniejszą z Gierkiem. W obu przypadkach nadzieje te zawiodły dlatego, że przywódcy ci ich zrealizować nie chcieli i nie mogli.

Nic nie wskazuje na to, aby w bliskiej przyszłości polscy przywódcy komunistyczni dążyli do zwiększenia suwerenności państwa — przy jednoczesnej liberalizacji lub bez⁸. „Góra” PZPR jest na to zbyt rozbita i spenetrowana przez rosyjskich agentów politycznych oraz za bardzo boi się własnego społeczeństwa.

8. M. Turbacz, „Polska — rok 1984”, *Zapis*, 6/1978.

Szanse zmian w Rosji

Jakie są możliwości, że w samej Rosji zajdą decydujące zmiany? Naród rosyjski nie ma żywych tradycji demokratycznych, nie ma tradycji przestrzegania praw człowieka. Już w XIX wieku Rosja wyróżniała się wśród państw europejskich despotyzmem rządów i stanowiła symbol samowładztwa i zniewolenia. W okresie stalinowskim terror służył nie tylko jako narzędzie represji — był metodą kształtowania społeczeństwa. Stalinizm dokonał operacji na postawach i świadomości ludzkiej, której celem było zniweczenie wszystkich zmian, dokonanych w świadomości Rosjan przez działalność ruchów liberalnych i socjalistycznych oraz rewolucję; zniewolenie społeczeństwa przez terror i kłamstwo, zamienienie go w stado zastraszonych, posłusznych niewolników. Społeczeństwo rosyjskie dotąd nie przezwyciężyło skutków tej operacji. (Zgadzam się w zasadzie z bardzo pesymistyczną oceną świadomości i postaw rosyjskiego społeczeństwa, daną przez Amalrika⁹). W okresie od śmierci Stalina do chwili obecnej nastąpiły w Rosji wielkie zmiany. Ustał masowy terror — obecnie natężenie represji w Rosji nie jest wyższe, niż w przeciętnym dyktatorsko rządonym państwie. Znacznie wzrósł poziom życia. Jest on niski w porównaniu z istniejącym na Zachodzie, ale wysoki w porównaniu z nędzą, panującą w czasach stalinowskich. Największą przemianę stanowiło powstanie i trwanie mimo ostrych represji ruchu dysydenckiego. Choć sama struktura systemu politycznego nie uległa zmianie, nastąpiły bardzo istotne zmiany praktyki społecznej. Obecnie dochodzą do głosu pokolenia wychowane po śmierci Stalina. Okazać się to może ważnym czynnikiem, umożliwiającym przemianę postaw i świadomości oraz zmiany systemu sowieckiego.



Rosyjscy dysydenci są bardzo nieliczni i izolowani społecznie. Muszą oni stawiać czoła nieporównanie silniejszym represjom i działają w o wiele trudniejszych warunkach niż polska opozycja demokratyczna. Nie można wykluczyć, że nastąpi w bliskim okresie znaczne rozszerzenie się ruchu liberalno-demokratycznego w Rosji (tak jak w Polsce w ciągu ostatnich dwóch lat), ale to nie zmieni istotnego układu sił. Wydaje mi się, że długo jeszcze ruch ten nie potrafi osiągnąć szerszego zasięgu społecznego i wy-

9. A. Amalrik, *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* Instytut Literacki, Paryż, 1970.

wrząc istotnego wpływu na system. Zbyt silne jest zniewolenie tego społeczeństwa i za bardzo brak tradycji liberalno-demokratycznych, zbyt silna jest tradycja despotyzmu i biurokratycznych rządów. Sądzę jednak, że ruch dysydencki nie wygaśnie i że istnieje pewna szansa, iż jego działalność może na dłuższą metę zainicjować proces przemian świadomości i postaw rosyjskiego społeczeństwa. Precedensem jest tu proces, jaki zaszedł wśród rosyjskiej inteligencji i robotników w drugiej połowie XIX wieku.

Uważam, że ruchy narodowościowe — walka ujarzmionych narodów Związku Radzieckiego o niepodległość, większą suwerenność czy choćby zwiększenie swobody (o kulturę, szkolnictwo, język, narodową tradycję) — mogą stać się o wiele istotniejszym czynnikiem zmian, niż rosyjski ruch dysydencki. Ruchy narodowościowe mają o wiele szerszy zasięg i poparcie społeczne (masowe wystąpienia na Litwie i w Gruzji ostatnimi czasy), oraz tradycję. Ruchy te wprowadzają do rosyjskiego imperium element buntu i oporu, automatycznie stają się źródłem walki nie tylko o prawa narodowe ale i o swobody polityczne. Podobną choć nie tak znaczną rolę odegrać też mogą ruchy religijne. Czwartym ważnym czynnikiem, powodującym zmiany w Związku Radzieckim mogą być ruchy socjalne — domagające się wzrostu stopy życiowej oraz zmniejszenia nierówności społecznych i przywilejów, usankcjonowanych przez system. Rozwojowi tych ruchów przeciwdziała w pewnym stopniu fakt, iż Rosjanie (w odróżnieniu od Polaków) mają zbyt mało możliwości porównywania poziomu swego życia z materialnym standardem Zachodu.

Istnieje pewna możliwość, że walka o władzę na szczytach KPZR (zwłaszcza jeżeli kryć się za nią będzie różnica koncepcji i postaw) przybierze tak bardzo na sile, że wykroczy poza rozgrywki wewnętrzpartyjne i stanie się czynnikiem destabilizującym system. Sytuacja taka miała miejsce w Rosji po śmierci Stalina, w Polsce i na Węgrzech w 1956 roku, w Czechosłowacji w 1968 roku, w Chinach podczas rewolucji kulturalnej. Jest jednak niezbyt prawdopodobne aby doszło do tego w Rosji w bliskiej przyszłości. Sytuacja po śmierci Stalina była odmienna niż teraz. Natężenie terroru do jakiego doprowadził Stalin, było znacznie wyższe niż wymagały tego interesy systemu i aparatu władzy. Poprzez terror Stalin zabezpieczał się przed możliwością „przewrotu pałacowego”, niszczył wszystkich, którzy mogli (choćby potencjalnie) przeciwstawić mu się. Terror godził również w samą elitę władzy, w partię, aparat bezpieczeństwa i wojsko oraz dezorganizował państwo. Spowodowało to po śmierci

Stalina powstanie wśród elity władzy kierunku dążącego do „odwilży”. Dzisiaj natężenie terroru w Rosji jest zgodne z interesami władzy (mogło by być nawet nieco wyższe). Nic nie wskazuje na istnienie czy też możliwość powstania wśród „góry” KPZR silnej frakcji, dążącej do reformy systemu. Po rozgrywkach frakcyjnych, w których chodzi jedynie o władzę a nie o przeforsowanie własnych koncepcji, w interesie wojujących frakcji leży trwałość systemu, a więc nieujawnianie konfliktów i nie odwoływanie się do społeczeństwa. Gdyby nawet któraś z frakcji chciała uciec się do poparcia społecznego, to odwoływanie się do ideologii mocarstwowej i szowinizmu daje większe szanse zdobycia tego poparcia niż kurs liberalny.

Często wysuwa się tezę, że same potrzeby współczesnej gospodarki zmuszą komunistycznych przywódców do liberalizacji, ponieważ w warunkach biurokratycznej dyktatury nie jest możliwy w dzisiejszych czasach efektywny rozwój ekonomiczny. Tezę tę uważam za nierealistyczną. W ciągu całej historii Związku Radzieckiego względy ekonomiczne były poświęcane dla politycznych interesów władzy lub w imię doktryny. Tylko nacisk społeczeństwa mógłby zmusić władze do ustępstw.



Uważam za nieprawdopodobny nawrót terroru w Rosji o takim natężeniu jak w czasach stalinowskich. Za mało prawdopodobne uważam też bardzo silne zaostrzenie kursu. Pewne zaostrzenie — katastrofalne dla aktualnie działających dysydentów — może oczywiście nastąpić. Nie wystarczy ono jednak do stłumienia na czas dłuższy ruchu oporu. (Dzieje walki Kościoła z kolejnymi herezjami są najlepszym przykładem, że na dłuższą metę terror jest bezsilny wobec idei). Partia i jej „góra” dobrze pamiętają, że rozpętanie terroru powyżej pewnych granic zagraża również ich bezpieczeństwu. Polityka mocarstwowa wymaga pewnego liczenia się z opinią światową. Możliwe jest utrzymywanie się przez dłuższy czas systemu totalitarnego bez zasadniczych zmian. Jest to sytuacja najbardziej prawdopodobna w przypadku, gdy nie rozwinie się silny ruch oporu o szerokim zapleczu społecznym. W przypadku, gdy rozwiną się w Rosji silne ruchy oporu (jest to warunek konieczny, choć nie wystarczający), możliwa jest stopniowa liberalizacja i demokratyzacja systemu. Proces liberalizacji Rosji — kraju wielowiekowego despotyzmu — musi być długotrwały. Mało jest prawdopodobne, aby w dającej się przewidzieć przyszłości (na przykład do końca wieku)

doprowadzić mógł do utworzenia się w Rosji demokracji wielopartyjnej. Przesądza o tym brak tradycji demokratycznych oraz to, że zbyt silny będzie opór aparatu władzy. Możliwa jest natomiast stopniowa ewolucja w ramach systemu monopartyjnego — spadek represyjności, zmniejszenie się kontroli aparatu władzy nad społeczeństwem, zmniejszanie się roli ideologii na rzecz pragmatyki, reformy gospodarcze, rozwój autentycznego samorządu, wewnętrzna demokratyzacja partii komunistycznej, rozwój nieoficjalnych ruchów społecznych tolerowanych przez władze, polepszanie się sytuacji narodów nierosyjskich.

Istnieje również możliwość ostrego załamania się systemu. Wydaje mi się, że spowodować to mogłaby tylko walka o niepodległość ujarzmionych narodów Związku Radzieckiego lub ostry kryzys ekonomiczny (na przykład związany z kryzysem światowym i nieurodzajem), pociągający za sobą gwałtowne obniżenie stopy życiowej i masowe bunty ludności. Mógłby nastąpić rozpad państwa lub zmiana obecnego systemu.

Odrzucam jako nierealną wizję przyszłości Rosji, przedstawioną przez Amalrika¹⁰. Wyobrażał on sobie, że system komunistyczny w Rosji rozpadnie się wskutek wojny z Chinami. Uważam wojnę między Rosją a Chinami za niezbyt prawdopodobną — zbyt groźna jest ona dla obu stron. Uważam, że nieprawdopodobny jest taki jej przebieg i skutki jak to opisuje Amalrik. Amalrik wyobrażał sobie, że będzie to wojna długotrwała i trudna, która musi spowodować powszechne niezadowolenie ludności i bunt. Przenosił on automatycznie w przyszłość schemat wojny z Japonią (1904-1905) i Pierwszej Wojny Światowej. Nie brał pod uwagę specyfiki współczesnych wojen oraz nienawiści Rosjan do Chińczyków.

Jeśli zajdą zmiany w Rosji...

Warunkiem odzyskania przez Polskę niepodległości są zmiany w Rosji — znaczne osłabienie rosyjskiego systemu totalitarnego oraz natężenie się konfliktów wewnętrznych. Nadzieje na niepodległość wiążą się w pierwszym rzędzie nie z demokratyzacją Rosji ale z jej osłabieniem. Jeśli nastąpiłby proces liberalizacji Rosji, to musiałby on doprowadzić do wzrostu konfliktów wewnętrznych — do ujawnienia się wszystkich, tłumionych siłą sprzeczności (przede wszystkim do znacznego nasilenia się ruchów narodowościowych). To z kolei musiałoby doprowadzić do osła-

10. Amalrik, *op. cit.*

bień imperium — do osłabienia kontroli nad państwami satelitarnymi, a więc i do wzrostu suwerenności Polski. Zmalałaby lub zniknęłaby groźba interwencji. Rosja nie przeciwstawiałaby się procesowi liberalizacji systemu w Polsce. Zmniejszyłyby się element konfrontacji w stosunkach Wschód-Zachód, a więc za kontrolowaniem Polski przestałyby przemawiać względy strategiczne. Jeżeli nie od razu niepodległość, to chociaż osiągnięcie statusu Finlandii stałoby się realnym programem. W przypadku jeżeli proces liberalizacji nie nastąpiłby, a konflikty wewnętrzne znacznie by się nasiliły, Rosja również by osłabła i zmniejszyłyby się jej nacisk na państwa satelitarne.

Ostre załamanie się systemu w Rosji musiałyby przynieść Polsce niepodległość.

Demokratyzacja Rosji nie musiałyby automatycznie pociągać za sobą zaniku wielkoruskiego szowinizmu i dążeń mocarstwowych (mogłoby to być natomiast skutkiem długofalowym).

Zdławienie polskich powstań w XIX wieku cieszyło się poparciem przeważającej większości społeczeństwa rosyjskiego. Po rewolucji lutowej Rząd Tymczasowy nie porzucił mocarstwowych dążeń i kontynuował wojnę. „Biali” nie chcieli przyznać Polsce prawa do niepodległości, mimo że liczyli na jej poparcie. Bolszewicy w teorii przyznają narodom prawo do samostanowienia, w praktyce podporządkowywali je bezwzględnie rosyjskiej centrali. (W początkowej fazie było to związane z totalitarnym systemem rządów i z ideą rewolucji światowej, później zatriumfował rosyjski nacjonalizm i idea mocarstwowości). Nic nie wskazuje na to, aby Rosjanie byli dziś mniej szowinistyczni niż w XIX wieku. Dysydenci, przyznający nierosyjskim narodom Związku Radzieckiego prawo do niepodległości zasługują na nasz najwyższy szacunek. Nie wolno jednak zapominać, że ich postawa nie jest typowa dla rosyjskiego społeczeństwa. Ogół Rosjan będzie się przeciwstawiał rozpadowi imperium. Liberalizacja Rosji nie musiałyby więc automatycznie przynieść niepodległości nierosyjskim narodom Związku Radzieckiego, choć przyniosłaby im zapewne wzrost swobód.



Powiedziawszy tyle o rosyjskim szowinizmie, chciałbym również przypomnieć Polakom nasz własny stosunek do Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i Żydów w okresie Drugiej Rzeczypospolitej. Naród nasz świeżo po odzyskaniu niepodległości — ograniczał jak mógł autonomię mniejszości słowiańskich. Tak haniebne czyny jak pacyfikacja Ukrainy cieszyły się poparciem

znacznej części społeczeństwa¹¹. Musimy stale pamiętać o niebezpieczeństwie szowinizmu i niebezpieczeństwie odwoływania się do nienawiści. Nie można zacierać rzeczywistych różnic, istniejących w tradycji politycznej, w świadomości i postawach narodów. Ale nie wolno nam również hodować antyrosyjskich stereotypów, a jednocześnie idealizować nasz naród i naszą tradycję. Działaniem i myślą opozycji powinno kierować pragnienie realizacji wartości — a nie resentymenty i nienawiść w stosunku do Rosjan i komunistów. Jeżeli nastąpi destabilizacja rosyjskiego imperium, Polacy muszą poprzeć dążenia niepodległościowe Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy i Estonii. Niepodległość tych krajów byłaby dla nas istotnym zabezpieczeniem przed rosyjskim imperializmem. Musimy wtedy dążyć do sojuszu i przyjaźni z tymi krajami. Nie może być mowy o jakichkolwiek pretensjach granicznych w stosunku do nich — granice utworzone po Drugiej Wojnie Światowej muszą być uznane za nienaruszalne.



W XIX wieku musieliśmy czekać na konflikt europejski. Teraz musimy czekać na zmiany w Rosji. Nie możemy się wyrzec myśli o niepodległości i demokracji, jak nam radzą niektórzy zachodni politycy, czy choćby jej nie ujawniać — jak nam radzą niektórzy rodacy. Musimy sobie zdawać sprawę, że w chwili obecnej są to cele nieosiągalne, ale że naszą dzisiejszą działalnością możemy przyczynić się do osiągnięcia ich w przyszłości. Nasza działalność wpływa w jakimś stopniu na rozwój ruchów opozycyjnych w Rosji i w innych państwach satelitarnych.

Kiedy powstanie sytuacja, w której nie będzie możliwa rosyjska interwencja, wówczas będziemy mieli do czynienia jedynie z polską władzą komunistyczną. Jednym z zasadniczych celów naszej działalności jest to, aby społeczeństwo było wtedy gotowe do konfrontacji. Musimy dążyć do tego, aby realnym programem był wówczas już nie „komunizm z ludzką twarzą” (jak proponowałem w obecnej sytuacji¹²), ale pluralistyczna demokracja. Nie wolno zapominać, że komunistyczna dyktatura w Polsce posiada też pewną własną siłę — opiera się na wojsku, policji i na całym aparacie władzy (partyjnym, państwowym, gospodarczym). Wielu dyktaturom wystarczy takie oparcie, o ile przeważająca część społeczeństwa pozostaje bierna. Sądzę, że polskie społeczeństwo po-

11. J. Łobodowski, „Dzieje osiemdziesięciolecia”, *Kultura* Nr 5/356, 1977.

12. M. Turbacz, „Możliwości działania opozycji w Polsce”, *Polska*, 1976, *Aneks* 16-17, 1977.

trafiłoby wywalczyć demokrację i że dyktatura ta musiałaby upaść (tak jak to miało miejsce w Hiszpanii, Portugalii, Grecji), gdyby nie miała rosyjskiego poparcia. Nie lekceważyłbym jednak w żadnym przypadku tej zasadniczej rozgrywki.

Od tego, co zostanie zrobione przedtem, zależy w dużym stopniu, jaka będzie ta odrodzona Polska. Dźwigamy ogromne brzemie skutków długoletniego totalitaryzmu — demoralizacji, braku inicjatywy społecznej, braku nawyków związanych z demokracją i samorządnością, nieumiejętności politycznego myślenia. Zadaniem ruchu opozycyjnego i nieoficjalnych instytucji społecznych — równie ważnym jak walka o liberalizację, demokrację i wzrost suwerenności — jest uczenie społeczeństwa już dzisiaj, aby potrafiło być podmiotem polityki i życia społecznego — a nie przedmiotem.

Głos Nr 6.

Jan Józef LIPSKI

PRAWICA — LEWICA

To prawda, że sytuacja człowieka, pytanego dziś, co to lewica a co prawica — przypomina sytuację kogoś, kto przez pół godziny kręcił się w kółko i nie wie już nie tylko gdzie Wschód a gdzie Zachód, ale nawet nie umie rozemnić się w tym, którą rękę ma nazwać prawą a którą lewą. Socjaldemokrata szwedzki to prawica wobec Jeżowa i Berii. Jeszcze bardziej na prawo znajdowali się konserwatyści różnych odcieni, liberalni lecz nie leseferyscy. A jeszcze bardziej na prawo polski Obóz Narodowo-Radykalny „Falanga”, głoszący program upaństwowienia środków produkcji, związków zawodowych, wszystkich dziedzin życia społecznego i poddanie ich władzy monopartii, sprawującej kontrolę życia narodowego w każdej fabryce, każdej wsi, każdym urzędzie i banku, każdej gazecie, każdej szkole.

Czy stary podział na lewicę i prawicę nie ma dziś sensu zupełnie — a istnieje wyłącznie na zasadzie inercji świadomości społecznej, ciężenia nieadekwantnych tradycji nad współczesnością?

Myślę, że pewną pomocą dla rozwiązania tej łamigłówki może

być uproszczony rzut oka na historię podziału „prawica-lewica”. Rozróżnienie to ma proveniencję XVIII-wieczną i wiąże się z dziejami Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która wypisała na swych sztandarach hasła „Wolność - Równość - Braterstwo”. Od-tąd są to tradycyjne hasła lewicy, różnie zresztą modyfikowane. (Lewica narodów walczących z obcą dominacją dodawała chętnie — kosztem Braterstwa — Niezawisłość lub Niepodległość; le-wica o tradycjach liberalistycznych wołała często Sprawiedliwość od Równości itp. warianty). Braterstwo ma przy tym charakter wyraźnie moralistyczny — z konkretnymi programami społecz-nymi wiąże się raczej Wolność i Równość, toteż ich historia na tle zmieniających się dziejów jest dla historii lewicy szczególnie waż-na. Już Rewolucja Francuska przyniosła lewicy wiele rozczarowań i sprzecznych interpretacji. Ale okres pierwszy — między Rewo-lucją Polityczną a XIX-wieczną Rewolucją Przemysłową, jest pod tym względem epoką niewinnej naiwności. Zarówno liberalizm (leseferyzm), jak i socjalizm są potomstwem Wielkiej Rewolucji Francuskiej: po Rewolucji Przemysłowej podzielono się hasłami, lecz z podziwu godną niekonsekwencją. Leseferysty, a więc kla-syczni ideologowie kapitalizmu bronili — w imię wolności — prawa do nierówności, wyłączając się w ten sposób z tradycji lewicowych. Socjaliści natomiast pozostali przy komplecie hasł Wielkiej Rewolucji Francuskiej, chociaż coraz bardziej narastała wśród nich świadomość możliwego dylematu: Wolność lub Rów-ność. Co prawda układ warunków politycznych nie sprzyjał zrazu uwyrażeniu się tego dylematu: głosząc wolność leseferystyczne mieszczaństwo bynajmniej nie było skłonne do rozszerzenia za-kresu wolności politycznych, co opóźniło wyklarowanie się w socjalizmie różnych postaw, które spowodowały w XX wieku, i to przeważnie dopiero po Pierwszej Wojnie Światowej, rozszczepie-nie się ruchu na socjaldemokratów i rezygnujących (niekoniecz-nie werbalnie) z wolności komunistów.

Wiek XX przyniósł ostre rozpoznanie trudności w uzgodnie-niu postulatów Wolności i Równości. Naprzeciw totalitaryz-mowi faszystowskiemu stanął totalizm, wywodzący się z ideologii socjalistycznej, lecz od niej oderwany: komunizm (i to w skraj-nej odmianie kolejno po sobie następujących stadiów leninizmu-stalinizmu) czyli rezygnacja z Wolności w imię... Równości. Wspólna geneza i wspólne zagrożenie ze strony faszyzmu — przez cały ten trzeci okres dziejów pojęć „lewicy-prawicy” pozwalały utrzymywać fikcję wspólnoty różnych odłamów, zupełnie do sie-bie niepodobnych, odłamów pierwotnie jednego socjalizmu (nigdy zresztą nie był on „jeden”, lecz póki praktyka sprawowania wła-

dzy nie przyniosła weryfikacji i falsyfikacji tych postaw — można było poważnie mówić o „jedności”). Dominowało tu jedynie wspólne hasło Równość, które zdominowało świadomość lewicy zachodnioeuropejskiej karykaturalnie długo, jeżeli zdać sobie sprawę z realiów politycznych. Dopiero realia takie, jak zbrojna interwencja na Węgrzech i w Czechosłowacji oraz wielka demonstracja systemu polityczno-policyjnego w bloku sowieckim, postępująca od 1956 roku (z istotną rolą opozycji w ZSRR — Sołżenicyna, Sacharowa itd. oraz opozycji w „demoludach”) — zaczęły zmieniać (jeszcze nie do końca) świadomość lewicy europejskiej. Pod tym względem „dzięki” doświadczeniu wielu spraw na własnej skórze, lewica polska nie jest spóźniona wobec zachodnioeuropejskiej, przeciwnie.

Gdy okazało się, że w państwie „socjalistycznym” nie ma równości między członkami wysokiego aparatu partyjno-państwowego a łągiernikami, ba, między średnim aparatem a kołchoźnikami, ba, między dolnymi ogniwami aparatu, milicją itd., a robotnikami mit począł się kruszyć. Stare hasło socjaldemokratów, że nie ma socjalizmu bez wolności, zaczęło znów torować sobie drogę do umysłów i emocji. Co więcej — w płaszczyźnie czysto teoretycznej zaczęła pojawiać się świadomość, że dylemat Wolności i Równości był przesadny i logicznie podejrzany. Czym jest Wolność jak nie Równością wobec prawa, jak nie Równością w życiu społecznym, politycznym, kulturalnym, religijnym. Aż dziwnie, że tak długo nie zauważono, że ideologie i postawy egalitarne, gdy głoszą tylko równą dystrybucję dóbr materialnych, przeczą w istocie pojęciu Równości i stają się z miejsca odrażającą fikcją. Nie ma tak i nie będzie, by ktoś ograniczający wolność innych w imię Równości zechciał (i był zdolny moralnie) wypełnić swe zobowiązanie.

Klęska pseudoegalitarnej frazeologii totalitarnego komunizmu dokonała się na naszych oczach. Jej triumfy były szczególnie odrażające, gdyż nieporównanie bardziej zakłamane, jakościowo bardziej niż to nawet, co umieli w dziedzinie propagandy pokazać faszyści. Stoimy przed nowym okresem świadomości społeczno-politycznej. Czy pojęcia „lewica-prawica” będą w nim nieprzydatne? Z tego co wyżej powiedziałem — wynika coś przeciwnego. Rozszczepienie się dziedzictwa Wielkiej Rewolucji Francuskiej na liberalizm (leseferyzm) i socjalizm w XIX wieku nie wyeliminowało pojęcia lewicy, przeciwnie, uczyniło to pojęcie jeszcze bardziej przydatnym, by eliminować z „lewicy” jedną z linii ewolucyjnych. Dziś gdy w coraz powszechniejszej świadomości, zarówno na nietotalitarnej, tradycyjnej „prawicy” jak i

analogicznej „lewicy” — niebezpieczeństwem nr 1 i przeciwnikiem nr 1 jest totalizm, bez względu na swą genezę — terminy „prawica” i „lewica” stają się konieczne (czym je zastąpić), by wyodrębnić egalitarystyczną część opozycji antytotalitarnej, egalitarystyczną, czyli powracającą do tradycyjnego repertuaru haseł lewicy, do postulatu i programu równego dostępu do dóbr duchowych, kulturalnych, politycznych oraz równego w zasadzie (równość miarkowana w pewnych granicach wymogami sprawiedliwości) podziału dóbr materialnych. Nie zgadzam się z tymi, którzy sądzą, że to wyodrębnienie się lewicy, przynajmniej w świadomości społecznej, jest zbędne lub przedwczesne. Przeciwnie. Sporne może być, w jakich instytucjonalnych formach mogłaby się dziś lewica wyrażać i kontynuować i w jakich granicach celowe byłoby takie wyodrębnienie się. Nie mniej jednak zasada pluralizmu, którą wpoili w nas doświadczenia z totalizmem, przemawia za tym wyodrębnieniem. Lewica jest tradycyjnie uczulona na parę motywów, np. niebezpieczeństwo nacjonalizmu. Odcięcie się od złej tradycji niedotrzegania totalizmu w liniach ewolucyjnych wywodzących się z tego samego pnia lewicy pozwoli zwiększyć wrażliwość lewicy na niebezpieczeństwo zdominowania jednostki przez państwo, naród i inne kolektywy lub hipostazy. Niebezpieczeństwa te są realne nie tylko w formach totalitarnych — lecz również na prawicy polityczno-społecznej; mogą nawet odrodzić totalizm już po jego kłęsce. Nie twierdzę, że lewica jest *ex definitione* wolna od takich niebezpieczeństw. Tym potrzebniejszy jest pluralizm i kontrola z prawa.

„Prawica-lewica” to pojęcia, związane z praktyką parlamentarną. Totalizmy więc w ogóle tu się nie mieszczą i są z „innego” wymiaru. Nie są one ani na prawo, ani na lewo. Nie siedzimy z nimi na tej samej sali.

Głos Nr 7.

Marek TARNIEWSKI

NIEPODLEGŁOŚĆ OD WEWNĄTRZ

Sześćdziesięciolecie niepodległości. Trzydzieści cztery lata podległości. Jest to okazja — dobra jak wiele innych — do przypomnienia punktów węzłowych w dziejach najnowszych naszego kraju, do przypomnienia wydarzeń, w których dążenia

polskie ścierały się z zewnętrznymi wpływami i naciskami, nie-jeden raz z agresją, okupacją, eksterminacją. Jest to dobra okazja do rozważań o formach i mechanizmach podległości, a także o perspektywach jej zmniejszenia.

Mówi się o rosnącej współzależności państw we współczesnym świecie, w którym coraz więcej spraw jest (lub powinno być) przedmiotem wspólnej troski. Rzadko kto tę współzależność kwestionuje. Istnieje jednak doktryna polityczna, która stwierdza lub postuluje nie tylko współzależności, lecz związki podporządkowania. Jest to doktryna ograniczonej suwerenności krajów leżących w strefie wpływów radzieckich (w praktyce chodzi tu o państwa członkowskie Układu Warszawskiego).

Doktrynę tę — niezbyt słusznie — kojarzy się tylko z nazwiskiem Breżniewa. Breżniew nie był jednak pierwszy. Można wskazać długotrwałą obecność tej doktryny w polityce rosyjskiej i radzieckiej. Względną nowością wersji obecnej jest może powiązanie niesuwerenności z socjalizmem, deklarowanie przez ZSRR gotowości obrony ustroju, a więc przede wszystkim szczególnej struktury władzy, w krajach socjalistycznych.

Doktryna ograniczonej suwerenności oddziałuje propagandowo. Jeśli nawet zaprzecza się jej istnieniu, to przy okazji nadaje się jej rozgłos i formuje jej zasady. Doktryna ta istnieje zresztą także w sposób bardziej konkretny. Nie tylko jest chwytem propagandowym, stosuje się ją w praktyce. Dość bogata jest lista sposobów ograniczania (czy wręcz likwidowania) suwerenności. Gotowe do interwencji wojska na terytorium innych krajów zapewniają skuteczność perswazji politycznej. Nierównoprawne porozumienia wojskowe i gospodarcze stanowią dla jednej strony korzyść bezpośrednią, wciągając drugą stronę głębiej w niesuwerenność. Przejawem niesuwerenności jest kształtowanie decyzji rządowych przez państwo obce. Dokonuje się to w oficjalnych pertraktacjach lub pośrednio: przez osoby i intuicje, które jawnie lub niejawnie — niekiedy zgodnie z oficjalną ideologią — realizują w kraju niesuwerennym interesy obcego państwa.

Warto uświadomić sobie, że postulat niepodległości lub suwerenności nie precyzuje form ustrojowych. Postulat ten nie mówi nic określonego o sprawach wewnętrznych kraju. Jeśli podległość ma zostać usunięta, można pytać co dalej: w jaki sposób niepodległość będzie realizowana. Pisano już wielokrotnie, że niepodległość na tym polega, że ostateczne decyzje o losach zbiorowości podejmowane są na miejscu: w zbiorowości a nie poza nią. Ale te decyzje mogą być rozmaite i podejmowane w różny sposób. Rzadko może je podejmować zbiorowość jako

całość. Nie zawsze też decyduje większość. Władza sprawowana w sposób niepodległy, a więc w ostatecznym rozrachunku niezależnie od presji zewnętrznych, może nie liczyć się z osobami, wobec których jest sprawowana, może uniezależniać się od presji społecznych. Nie w każdej zbiorowości istnieją mechanizmy przekształcania woli jednostek w decyzje dotyczące ogółu. Władza suwerenna nie zawsze realizuje zasady i postulaty demokracji.

Związek Radziecki jest niepodległy. Jest państwem suwerennym, mimo, że trudno mówić o niepodległości narodów, które w tym państwie się znalazły. Niepodległe są Chiny, także Jugosławia. Komunizm nie przekreśla niepodległości państw. Nie przekreśla również tej niepodległości Układ Warszawski rozumiany literalnie. Natomiast politycy i propagandziści radzieccy nadają sformułowaniom Układu Warszawskiego takie interpretacje, które kolejnym radzieckim interwencjom wojskowym mogłyby przydać choć trochę legalności.

Komunizm może z niepodległością współistnieć. Ale zapewne nie wszędzie. Jest wątpliwe, czy w warunkach niepodległości komunistyczne formy ustrojowe mogłyby się w Polsce ostać. Czy ostałaby się kierownicza rola partii, czy nie zmieniłby się zakres upaństwowienia i centralizmu? Sposób organizacji społeczeństwa, trwanie struktury władzy w zasadniczo niezmienionym kształcie zależy w naszej sytuacji od aktywnej obecności radzieckiej. W warunkach niepodległości decydowałby o tym wszystkim wewnętrzny układ sił społecznych.

Kto twierdzi, że komunizm jest polską racją stanu, zwraca uwagę na zależność zasadniczych cech ustroju od sytuacji geopolitycznej. Niektóre właściwości ustrojowe ulegają jednak zmianom. Zmienia się choćby zasięg ingerencji władz. W niektórych przypadkach zasięg tych ingerencji rośnie, w innych pewne dziedziny życia wymykają się spod partyjno-państwowej kontroli. Warto wpływać na kształt zmian i warto myśleć o przyszłości, choćbyśmy nie prędko mieli przekonać się, jakie sposoby organizacji społeczeństwa zaistnieją w Polsce niepodległej. Przyszłe formy ustrojowe zależą od przygotowawczych działań obecnych.

Zauważmy: o ile niepodległość dotyczy państwa, o tyle podległość może dotyczyć także obywateli. Podległość jest przekazywana, przenosi ją państwo zależne, a państwo totalitarne jest do roli pośrednika niesuwerenności dobrze dostosowane. Umacnianie się ustroju socjalistycznego w Polsce i w krajach ościennych polega między innymi na tym, że podległość obejmuje coraz szersze rzesze, doskonala się mechanizmy państwowo-partyjnej kontroli. Władze starają się ukształtować człowieka nowego typu,

od którego łatwiej uzyskiwano by posłuszeństwo. Władze zmierzają do tego, by rozmaite grupy społeczne mogły wiązać swe interesy z kontynuacją obecnych form ustrojowych. Powodzenie tych zabiegów jest sprawą odrębną. Cel jednak można dostrzec wyraźnie. Efektem miałyby być popularyzacja zależności, jej ugruntowanie w społeczeństwie.

Przekazywanie niesuwerenności nie jest tylko zadaniem poszczególnych ludzi. Wykonują je instytucje. Wśród nich PZPR, partia w zamierzeniu monolityczna (bez wewnętrznych podziałów politycznych) i scentralizowana. Wierchołek PZPR jest namiastką rządu i kierownictwo tej partii — nie dbając o legalizm — często zastępuje rząd nominalny i inne władze państwowe, między innymi w pertraktacjach z ośrodkami zewnętrznymi. Instytucje w nowym ustroju podstawowe — partia, policja, cenzura — są dobrymi przekąźnikami niesuwerenności. Strzegą jej, dążą do jej upowszechnienia. Ich zadaniem jest wymierzanie kar opornym, ukrywanie informacji, rozdawanie posłusznym nagród i przywilejów. Instytucje wiążą ludzi z ustrojem, a pośrednio z jego zewnętrzną podporą. Uzgadniane na zewnątrz cele polityczne mogą dzięki pośrednictwu instytucji być sprawniej realizowane. Ale ta realizacja nie zawsze przebiega łatwo, napotyka niekiedy opór. Wielu ludzi w instytucjach oficjalnych dąży mimo wszystko do zmniejszenia zakresu polskiej podległości.

Ograniczoną suwerenność odczuwa się w życiu codziennym, mówi o niej gazeta, plakat, sklep. Odczuwa się ją w gospodarce, oświacie, w wojsku. Doktrynie, która te ograniczenia postuluje, można jednak przeciwstawić inną: doktrynę ograniczania niesuwerenności.

Nie tylko Breżniew realizuje swoje — i poprzedników — idee. Ideom tym przeciwstawia się niepodległość obywateli i instytucji. Łatwiej niż suwerenność państwa można w dzisiejszej Polsce dostrzec suwerenność poszczególnych ludzi, realizowaną w działaniach społecznych niepodporządkowanych władzom, a na gotowości obywateli do podporządkowania wspiera się podległość państwa. Obecnie tę podległość osiąga się w ten sposób, że interesy obce realizuje personel miejscowy. Kiedyś natomiast ważnymi instytucjami — przede wszystkim wojskiem i policją — kierowali bezpośrednio zagraniczni doradcy i specjaliści.

W niezależnej instytucji lub organizacji decyzje dotyczące zbiorowości podejmowane są w niej samej, nie poza nią. Skala takich autonomicznych decyzji nie jest obecnie olbrzymia. Ale istnienie niezależnych instytucji należy do warunków niepodle-

głości Polski. Niepodległość zaczyna się w ludziach i instytucjach suwerennych, niepodporządkowanych władzy partyjnej, w niezależnym organizowaniu się i wypracowywaniu trudnych czasem do osiągnięcia porozumień. Niesuwerenność ulega ograniczeniu wewnątrz instytucji i stowarzyszeń oficjalnych — tam, gdzie ludzie opierają się narzucanym z zewnątrz decyzjom niekorzystnym dla interesów kraju, gdzie usiłują — choćby tylko w swojej dziedzinie zawodowej — coś zmienić na lepsze, uratować od zagrożenia lub zagłady. Takie starania nie są bezsensowne. Od ich powodzenia zależy, jak w najbliższej przyszłości będą żyć ludzie w Polsce.

Realizacja polskich interesów jest ciągle jeszcze możliwa w pracy nauczyciela lub inżyniera. Jest możliwa także poza oficjalnymi instytucjami i poza strukturą władzy: w niezależnym życiu społecznym. W ten sposób tworzy się w działaniu warunki sprzyjające niepodległości.

Łatwiej będzie w przyszłości osiągnąć niepodległość państwa i wypracowywać zgodny z wolą narodu kształt niepodległości, jeśli niesuwerenność ludzi i instytucji zmniejszy się już dziś. Podległość państwa może być ograniczona, jeśli ludzie mniej skwapliwie będą ją realizować i upowszechniać. Groźne jest działanie instytucji przekazujących społeczeństwu niesuwerenność. Ale tę groźbę może zmniejszać opór rozmaitych warstw społecznych, realizowanie w życiu społecznym wartości wbrew instytucjom nadzoru i kontroli.

„Godłem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest wizerunek orła białego w czerwonym polu” (art. 103 konstytucji PRL). Orzeł bez korony jest dobrym symbolem obecnej polskiej państwowości. Ta państwowość jako transmisja niesuwerenności nie jest jednak wieczna. W sześćdziesięciolecie niepodległości warto nie tylko niepodległość wspominać. Można niepodległość przygotowywać ograniczając niesuwerenność.

Głos Nr 10.

GOSPODARKA

Ewa RYBARKA

URAWNIŁOWKA, BODŹCE, EGALITARYZM

Polityka społeczna jest w Polsce oficjalnie egalitarna. Słusznie jednak w latach 40-tych i 50-tych społeczeństwo, w interesie którego miano taką politykę realizować, nadało jej pogardliwą i z rosyjską brzmiącą nazwę „urawniłowka”.

Proponowany egalitaryzm sprowadzał się bowiem do równego podziału dóbr materialnych. Egalitaryzm to była niska i mało zróżnicowana płaca niezależna od efektywności i wydajności pracy. Hasło egalitaryzmu nie obejmowało już natomiast kwestii udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem czy urzędem, samorządności, wpływu na decyzje gospodarcze i społeczne, dostępu do informacji i możliwości wyrażania własnego stanowiska. Hasło egalitaryzmu było także kierowane przeciw jednostkom lub grupom, które w oczach władzy wzbogaciły się „nadmiernie”, uniezależniając się od niej choćby w niewielkiej mierze. „Po równo” znaczyło często „nie za dużo”, wtedy, gdy chodziło o rzekomych kułaków (dzisiaj nazywanych rolnikami), rzemieślników czy drobny handel prywatny, a także o tysiące gospodyń domowych, emerytów i innych drobnych ciułaczy, których tak boleśnie dotknęła wymiana pieniądza w 1950 roku.

Dla ścisłości należy dodać, że urawniłowka nie wszystkich dotyczyła. Równość była dla społeczeństwa, a dostawy towarów niedostępnych na rynku dla wąskiej elity władzy. Ten dualizm nie był jednak oficjalny, specjalne sklepy ukrywano za żółtymi frankami.

Złudzenia równości czy też nadzieje równości wzmocniał też awans społeczny. Stara hierarchia społeczna, której najmniej żałowano, została zniszczona. Szerokie warstwy zyskały istotnie możliwości dawniej niedostępne. Trzeba jednak rozróżnić rze-

czywiście dokonujący się masowy awans od dostępności kariery. Nowe elity władzy były nieukształtowane i niezamknięte, posiadały wolne miejsca. Każdy mógł być dokooptowany (bo przecież nie wybrany), jeżeli wykazał tylko odpowiednią, tzn. po myśli władzy, inicjatywę. Była równość, bo z dołów można było trafić na samą niemal górę i stanowiło to argument na rzecz nowego układu, który na wyobraźnię wielu potencjalnych karierowiczów oddziaływał z pewnością silniej niż hasło „urawniłowki”.

Dopóki stan zaspokojenia podstawowych potrzeb społeczeństwa był niski, dualizm konsumpcji i urawniłowka mogły się utrzymywać. Niewielką ilość dóbr luksusowych sprowadzano z zagranicy, zaopatrzenie rynku natomiast wymagało małego asortymentu towarów o niezbyt wysokiej jakości, co pozwalało stosować w gospodarce prymitywne metody wytwarzania, planowania i zarządzania. Mechanizmy gospodarcze były względnie nieskomplikowane, co pozwalało na podejmowanie decyzji przez niekompetentną władzę bez groźby dla solidności systemu. Inwestowano w gałęzie produkcji, w których można było stosować proste formy płacy i niezłożone technologie (choć przez to często bywały one przestarzałe) oraz proste mierniki efektów produkcyjnych. Czym bardziej jednak gospodarka staje się skomplikowana, tym bardziej system ten jest marnotrawny, pogłębia zapóźnienia myśli technicznej i utrwała przestarzałą strukturę przemysłu, niweczy możliwości handlu zagranicznego z krajami bardziej zaawansowanymi.

W miarę zaspakajania podstawowych potrzeb stara polityka gospodarcza przestawała być skuteczna. Nawet potrzeby wyłącznie materialne niepomiarne wzrosły, zaczęła się liczyć jakość towarów lub ich dostępność w handlu, przedmiotami poszukiwanymi stały się pralki, telewizory, samochody, mieszkania. By więc podtrzymać system gospodarowania konieczne stało się zaspokajanie — w jakiejś przynajmniej mierze — tych nowych potrzeb. Zmuszało to do wytwarzania większej ilości i bardziej zróżnicowanych towarów, których produkcja wymagała z kolei pracownika o wyższych kwalifikacjach. Nowoczesny przemysł potrzebuje jednostek z inicjatywą nawet na niższych stanowiskach oraz poczucia odpowiedzialności za wykonywaną pracę. Ta pętla zależności wydawała wyrok na stary system produkcji. Od końca lat pięćdziesiątych już oficjalnie mówi się o konieczności reformy gospodarczej.

W przemówieniach poprzednika Gierka, Gomułki, znalazło to wyraz w twierdzeniu konieczności przejścia do „intensywnego” etapu produkcji i skończenia z etapem ekstensywnym tzn.

zwiększania produkcji nie przez zwiększanie ilości pracujących, lecz przez poprawę jakości pracy. Ta konieczność wiąże się obecnie nie tylko z wymogami nowoczesnego przemysłu ale także z brakiem dużej ilości nowych rąk do pracy po wyczerpaniu się zasobów wyżu demograficznego. Jednostka i jej motywacje, których nie sposób sprowadzić jedynie do problemów czysto materialnych, zaczęła odgrywać coraz większą rolę we wszelkich procesach produkcyjnych.

W nowych warunkach hasło egalitaryzmu, rozumianego jako urawniówka przestał więc być funkcjonalne. Przestało też być wygodne, gdy dawniejsze drogi łatwego awansu zostały zamknięte, a na górnych piętrach drabiny społecznej zaczyna brakować wolnych miejsc. Nowe elity chcą korzystać bardziej otwarcie ze zdobytej pozycji materialnej, uczynić z niej narzędzie własnego prestiżu. Wiadomo, bogaci budzą respekt. Szukano więc rozwiązań, które pozwoliłyby na bardziej skomplikowaną i bardziej efektywną produkcję, z drugiej zaś strony nie kwestionowano zdobycia poza plecami społeczeństwa przywilejów materialnych. Pierwsze próby odejścia od polityki egalitaryzmu miały miejsce w latach 60-tych. Wprowadzając zmiany nie przywrócono jednak demokracji gospodarczej i obywatelskiej, nie uwolniono przepływu informacji, nie zezwolono na samorządność, co jest przecież warunkiem niezbędnym usprawnienia planowania i gospodarowania. Odchodząc od idiotyzmu urawniówki postawiono fałszywy i wyolbrzymiony problem tzw. „bodźców” ekonomicznych. Powiązać one miały ściślej wydajność z płacą, co dodatkowo, poza szeroko rozpowszechnionym systemem pracy akordowej, miało stworzyć system różnicowanej motywacji materialnej do lepszej pracy. Ta nowa ideologia usprawiedliwiała też rosnące różnice majątkowe. Im kto wyżej stał w hierarchii władzy, tym „silniejszy” miał mieć bodziec w złotówkach.

Polityka bodźców pogłębiała rozwarstwienie społeczne i utrzymywała powstały w epoce stalinowskiej podział na dwa sposoby konsumpcji. Pierwszy, skierowany na zaspokojenie potrzeb podstawowych i drugi „luksusowy” dla awangardy klasy robotniczej. Lata 1971-1975 pogłębiły tylko istniejące dawniej różnice w dochodach. O ile płace minimalne wzrosły z 800 do 1.200 zł., płaca maksymalna wzrosła co najmniej dwukrotnie. Różnice te pogłębione są dodatkowo przywilejami płynącymi z zajmowanego stanowiska, jak talony na samochód, przydziały na mieszkania, dochodowe zagraniczne wyjazdy służbowe. Planowana czerwcową podwyżka cen niefortunnie dla władz podkreśliła te zmiany poprzez wiązanie wysokości rekompensat z wysokością płacy.

Były one jednoznacznie niekorzystne dla gorzej zarabiających. Czerwiec 1976 dał bolesny dowód wadliwości systemu gospodarowania.

Bodźce nie spełniły swego zadania. Rezygnacja z urawniłowki nie spowodowała intensyfikacji produkcji, bowiem całość gospodarki zaprojektowana była wadliwie. Przemysł produkuje zbyt mało dóbr konsumpcyjnych by zarobione pieniądze można było dobrze spożytkować. Polityka bodźców rozbudza jedynie apetyty konsumpcyjne, nie jest jednak w stanie ich zaspokoić. Zła ekonomia stwarza też tysiące sposobów łatwiejszego od dobrej pracy zdobycia pieniędzy, jak fucha, czarny rynek, czy zwykła kradzież. Droga do nowoczesnej gospodarki nie prowadzi przez system bodźców, które wycisnąć mają z pracownika maksimum wysiłku. Nie wśród ciężko harującego (nieraz po 12 godzin i w niedzielę) świata pracy, a w systemie gospodarowania ukryte są „rezerwy”.

Usprawnić gospodarkę trzeba na wszystkich szczeblach, przede wszystkim na tych najwyższych. Trzeba po temu rzeczywistych bodźców, a jedynym w tym wypadku rozwiązaniem jest skuteczna kontrola sprawowana przez opinię publiczną. Działacze, których decyzje niezgodne są ze zdrowym rozsądkiem i głosem społeczeństwa, winni być zmuszeni do ustępowania.

Naszą gospodarkę modernizować można przez przemyślane reformy życia ekonomicznego i publicznego, a nie przez pogłębianie nieegalitarnej polityki społecznej.

Głos Nr 1.

Krzysztof HAGEMAJER

KONSUMENT, PLAN, DEMOKRACJA

Niezaspokojone potrzeby

Konsument, więc każdy z nas — styka się nieustannie ze zjawiskami utrudniającymi życie i czasem wprost uniemożliwiającymi zaspokojenie podstawowych potrzeb. Najdotkliwsze są braki na rynku, przejściowe lub permanentne, braki często zaska-

kujące, bo dotyczące towarów powszechnego użytku których produkcja nie wymaga wielkich nakładów inwestycyjnych, ani importu. Widoczny jest też — choć zakamuflowany — stały wzrost cen. I wreszcie sprawy wielkiej skali, w których pomimo oczywistych preferencji społecznych, wyrażanych m.in. w milionach odłożonych złotych, a nawet pomimo deklaracji władz gospodarczych i politycznych, zapowiadających rychłą realizację społecznego zapotrzebowania — sytuacja latami się nie zmienia i rozpoznane potrzeby nadal pozostają niezaspokojone... Przykładem tego ostatniego zjawiska jest przede wszystkim sprawa mieszkań i budownictwa mieszkaniowego.

Spraw takich i sytuacji jest więcej. Konsument jest często zupełnie bezradny wobec handlu czy producenta, od którego otrzymuje niepełnowartościowy towar czy usługę bez możliwości reklamacji lub dochodzenia własnych praw, których zresztą na ogół nie zna, albo też nie są one jasno określone. Ludzie nie mają zaufania do publikowanych oficjalnie wskaźników wzrostu cen, tak rażąco odbiegają one od obserwacji wynoszonych codziennie ze sklepów (i ilości pieniędzy codziennie w tych sklepach pozostawianych).

Uprzywilejowani

Głębokie niezadowolenie powoduje — zwłaszcza w grupach społecznych o niższych dochodach — rozszerzający się stale system nierównego dostępu do dóbr. System ten polega albo na zróżnicowanych cenach (dotyczy to np. mięsa, mieszkań, samochodów), albo na rosnącym uprzywilejowaniu posiadaczy walut wymienialnych poprzez zwiększający się stale zakres działania tzw. „eksportu wewnętrznego” (PEWEX), gdzie dostać można prawie wszystko to, czego brak na rynku wewnętrznym (żywność, mieszkania, narzędzia rolnicze, a nawet paczki dla więźniów, w których wolno przesać artykuły, jakich w zwykłych paczkach wysyłać nie wolno, np. czekoladę, czy soki owocowe), wreszcie system ten to przywileje szczególne, przypominające całkiem dokładnie osławiony system „złoty firańek”. To przydziały mieszkań czy samochodów na warunkach i w terminie specjalnym, zwiększona możliwość korzystania ze świadczeń („specjalne” zaopatrzenie bufetów czy stołówek pracowników wybranych instytucji i zamkniętych środowisk wybrańców).

Ogólnie rzecz biorąc, nie istnieje żaden mechanizm, który by skutecznie wymuszał na producentach, handlu czy centralnym planiście branie pod uwagę interesów konsumenta. A wszystko to ma miejsce w gospodarce, której celem według podręczników ekonomii oraz stale ponawianych kwestii i deklaracji politycznych jest zaspokajanie potrzeb społeczeństwa. Przyczyny obecnego stanu rzeczy — nie sprzyjającego interesom konsumenta — leżą przede wszystkim w systemie zależności pomiędzy przedsiębiorstwem, centralnymi organami planowania i potrzebami społecznymi. System oceny działalności przedsiębiorstw produkcyjnych i handlowych sprowadza się do oceny wykonania planu, ale więź między formułowaniem zadań planu a potrzebami społecznymi jest bardzo słaba. Powoduje to z kolei zatracenie się więzi producent - konsument. Nie działa mechanizm rynkowy ani mechanizm konkurencji, ani żaden inny mechanizm nacisku potrzeb konsumentów bezpośrednio na handel i producenta. Żadania produkcyjne wstawiane do planu przedsiębiorstw nie odpowiadają w dostatecznym stopniu rodzajowi i hierarchii potrzeb odczuwanych przez ludność. Ponadto zaś system ocen stosowanych do wykonania tych zadań jest o tyle wadliwy, że aż nazbyt często pozwala przedsiębiorstwu „wykonywać” swój plan nie zaspokajając faktycznych potrzeb społecznych.

Oczywiście mogłoby — i powinno — dziać się tak, by wykonanie przez przedsiębiorstwo planu oznaczało w sposób konieczny równoczesne zaspokojenie — jakościowe i ilościowe — potrzeb nabywców. Tak jednak nie jest. Dlaczego? Przyczyn jest wiele i są one różne na różnych kolejnych etapach drogi od potrzeb indywidualnych konsumentów, poprzez procedurę kształtowania się planu na szczeblu centralnym, przekazywania planu centralnego niższemu szczeblom, aż po plan przedsiębiorstwa i mechanizm jego funkcjonowania.

Jak powstaje plan

Pierwsze zagadnienie to proces formułowania ogólnych celów rozwoju społecznego i gospodarczego kraju i procedura tworzenia planu ogólnogospodarczego. Problemy jakie tu występują to już nie tylko sprawy konsumentów, ale znacznie szersze problemy reprezentacji i udziału wszystkich interesów społecznych we wspomnianych wyżej procesach. Obecnie sytuacja nie wygląda

tak, by twórcą planu był jakiś jeden ośrodek decyzyjny. *Plan powstaje jako wynik przetargów ukrytych przed opinią publiczną*, przetargów w których biorą udział różne gałęziowe i terenowe grupy nacisku. Pozostałe interesy społeczne, interesy różnych warstw i grup społecznych uwzględnione są w takim stopniu, w jakim aktualne kierownictwo chce i może je rozpoznać, w jakim ocenia, że ich uwzględnienie mogłoby wywołać negatywne reakcje społeczne zakłócające realizację planu, w jakim wreszcie interesy te mogą zostać przeforsowane w konfrontacji z innymi uczestnikami przetargu.

Interesy konsumentów w budowie planu ogólnogospodarczego trudno jest oddzielić od innych interesów społecznych, zwłaszcza, że często interesy różnych grup konsumenckich są sprzeczne, czasem ze względu na różnice w pozycji społecznej i dochodach, niekiedy zaś ze względu na odmienny charakter i interes danej grupy w jej roli producenta. Na przykład znamienny tu jest fakt, iż w grupach o wysokich dochodach występuje niezadowolenie z utrzymujących się formalnie niskich cen mięsa, uznawanych za przyczynę jego braku na rynku. Inny przykład to niekorzystna dla rolników struktura cen żywności i artykułów przemysłowych, zwłaszcza tych, które są środkami produkcji w rolnictwie. Struktura ta może wpłynąć antagonizująco na stosunek rolników do robotników przemysłowych.

Demokratyzacja planowania

Plan więc musi być wynikiem kompromisu czy przetargu, wynikiem konfrontacji różnych interesów. Jednakże aby dojść do sformułowania planu akceptowanego w społeczeństwie, a więc przez to społeczeństwo w dalszym ciągu aktywnie realizowanego, owo społeczeństwo musi w tworzeniu tego planu mieć swój czynny udział. *Demokratyzacja planowania* — to ujawnienie i zinstytucjonalizowanie przetargu, o którym była mowa, to dopuszczenie społeczeństwa do udziału w budowie planu. Ułatwić to może postulowana jeszcze w okresie Października 1956 rzeczywista *polityczna dyskusja nad planem*. Aby to się spełniło muszą istnieć reprezentacje społecznych interesów, realne przedstawicielstwa społeczne. Udział w budowie planu reprezentacji społecznych takich, jak ruch spółdzielczy, związki zawodowe, czy inne tego rodzaju instytucje, a także udział ekspertów i instytutów badania opinii publicznej umożliwi stworzenie więzi pomiędzy potrzebami społecznymi a planem, zagwarantuje fak-

tyczne funkcjonowanie tej więzi. Autentyczny społeczny charakter instytucji biorących udział w tworzeniu planu ułatwi społeczną akceptację i zrozumienie konieczności uwzględniania w planie ograniczeń wynikających z zasad racjonalności gospodarczej, trendów rozwojowych czy sytuacji globalnej.

Rzeczywisty udział społeczny w tworzeniu planu zmienia oczywiście także atmosferę, w jakiej jest on realizowany. Musi ulec zmianie także system wykonania planu, system funkcjonowania gospodarki. Jednak podstawowym warunkiem powodzenia wszelkich reform gospodarczych jest proces demokratyzacji planowania. Wszelkie reformy polegające na tzw. decentralizacji bez demokratyzacji planowania (a więc bez reprezentacji interesów społecznych na wszystkich szczeblach gospodarczych od przedsiębiorstwa do planisty centralnego), albo kończą się niepowodzeniem (przykładu dostarcza historia reform gospodarczych w naszym kraju), albo powodują obok skutków ekonomicznie pozytywnych — także skutki negatywne społecznie (silne rozwarstwienie społeczne będące wynikiem reformy gospodarczej na Węgrzech).

Ruch konsumentów

Potrzebne jest więc forum na którym można by dojść do rozsądnego i zaakceptowanego kompromisu między różnymi społecznymi interesami. Potrzebna jest rzetelna, wiarygodna i dobrze upowszechniona informacja, przede wszystkim o cenach, kosztach utrzymania i tempie ich wzrostu. Zasady obliczania wskaźników kosztów utrzymania powinny być publicznie znane. Potrzebne są zasady prawne jasno określające pozycję konsumenta wobec producenta i sprzedawcy w sytuacjach konfliktowych. Potrzebna jest — być może — jakaś wyższa instancja rozstrzygająca spory klient — sprzedawca, konsument — producent.

Przedsiębiorstwo produkcyjne czy handlowe, niezależnie od tego, czy działa w scentralizowanym czy zdecentralizowanym systemie gospodarczym, powinno być obiektem działania ruchu konsumenckiego. Formy tego oddziaływania mogą być różne: postulowana przez prof. Edwarda Lipińskiego „Rada Konsumentów” w przedsiębiorstwie, biorąca stale udział w podejmowaniu decyzji co do jakości asortymentu produkcji czy cen, komitety konsumenckie, spółdzielcze i samorządy mieszkańców osiedli kontrolujące zaopatrzenie sklepów i zajmujące się wszystkimi sprawami związanymi z potrzebami konsumentów w społeczności

lokalnej, komitety spółdzielcze i samorządy mieszkańców kontrolujące budownictwo i administrację mieszkaniową w swoim rejonie. Ruch konsumencki winien być podstawą demokratycznego planowania i uczestniczącej w nim reprezentacji interesów społecznych. Ruch konsumencki obok ruchu spółdzielczego, związkowego i innych samorządnych ruchów społecznych, jest szkołą demokracji, a więc i demokratycznego planowania. Ruch konsumencki — obrona interesów konsumenta — wywodzi się z ruchu związkowego i spółdzielczego, powinien być z tymi ruchami związany i może być ich częścią. Broniąc interesów konsumenta, powinno się jednocześnie kształtować strukturę konsumpcji, uczyć racjonalnego zaspokajania potrzeb, rozwijać nowe potrzeby, eliminować potrzeby pozorne. Jak każdy inny ruch społeczny, ruch konsumencki wymaga informacji, odpowiednich wydawnictw, współdziałania ekspertów i specjalistycznych instytutów badawczych w zakresie prawa, towaroznawstwa, żywienia itp.

Reformy ogólne nie wystarczą

Po okresie, gdy oficjalnie twierdzono, że wszelkie instytucje służące ochronie interesów konsumenta są u nas zbędne, gdyż cała gospodarka z wszelkimi jej instytucjami jest z natury rzeczy nastawiona na zaspokojenie tych interesów — przyszedł okres, gdy fikcyjność takiego ujęcia sprawy stała się tak dalece oczywista, że na IX plenum KC PZPR pierwszy sekretarz tej partii zaproponował rozważenie powołania przy Radzie Ministrów — komitetu do spraw rynku, którego zadaniem miałyby być między innymi ochrona interesów konsumenta. Andrzej Zawisłak w numerze 44 *Przeglądu Technicznego* słusznie pisze o potrzebie zinstytucjonalizowania społecznego wsparcia dla działalności takiego komitetu. Zgadzam się z autorem, że „jedynym realnym systemem zabezpieczenia (potrzeb konsumenta) w naszej sytuacji może być system zabezpieczeń instytucjonalnych”. Potrzebny jest zarówno system odpowiednich zabezpieczeń prawnych, jak i system zinstytucjonalizowanego społecznego nacisku na wszystkie szczeble gospodarowania, jak wreszcie zagwarantowany udział efektywnej reprezentacji społecznej w podejmowaniu decyzji.

Głos Nr 3.

ROZWIĄZANIE

„Rok 1978 — WITAMY Z NADZIEJĄ” — brzmi wielki napis na 1 stronie *Polityki* z 31. XII. 1977 r. Poniżej napisu pytanie: „Co nas czeka w roku 1978?” i jako odpowiedź na to pytanie — artykuł zastępcy redaktora naczelnego — głównego specjalisty gospodarczego pisma Zygmunta Szeligi pt. „Pierwszy, drugi rok manewru”.

Szeliga pisze, że choć osiągnięcia są bezsporne to jednak na przełomie pierwszego i drugiego roku manewru gospodarczego odczuwamy pewien niedosyt, ale „w pewnym stopniu wynika on nie tyle z niedostatku osiągnięć, co z nadmiaru oczekiwań”, bowiem na początku lat 70-tych zostaliśmy „jakby rozpieszczeni”.

Co prawda „tego, owego zabrakło do planu”, ale były przyczyny obiektywne: „zupełnie wyjątkowo pechowy układ warunków klimatycznych” oraz „niesprzyjający nam przebieg koniunktury w świecie kapitalistycznym”.

Co prawda nasza wina też była, a mianowicie „niezadowalająca efektywność i dyscyplina realizacji planu”. Manewr trzeba było wymuszać decyzjami administracyjnymi. Ale mimo wszystko „manewr został zapoczątkowany”, a co najważniejsze: „Nastąpiło więc niewątpliwie zwolnienie ogólnego tempa rozwoju, co było jedną z podstawowych przesłanek manewru i co daje możliwość uporządkowania gospodarki”. Została zapoczątkowana „pozytywna zmiana w strukturze produkcji”.

Co prawda ludność nie odczuwa jeszcze efektów zwiększenia produkcji rynkowej, ale za rok będzie te efekty odczuwać, pod jednym warunkiem, który musi być w tym celu spełniony — płace nie mogą rosnać tak szybko jak dotychczas, bowiem „największe nawet i owocne wysiłki na rzecz maksymalizacji produkcji i podaży rynkowej nie rozwiążą w pełni problemu i nie dadzą satysfakcjonujących wyników, jeśli wzrostowi podaży ciągle będzie towarzyszył identyczny albo i większy wzrost dochodów i popytu — jak to miało miejsce w poprzednich latach, włącznie z pierwszym rokiem manewru”.

W roku 1977 tempo wzrostu „dochodów ludności było ciągle za wysokie, mimo że zostało znacznie skorygowane przez wzrost niektórych cen i kosztów utrzymania”.

Oczywiście nie chodzi o przejściowe, choćby krótkotrwałe obniżenie realnej stopy życiowej. By to zrozumieć trzeba się cofnąć do początku lat 70-tych.

„Była wtedy Polska — pisze Szeliga — mówiąc w skrócie, uproszczeniu, krajem głodu pieniądza, głodu towarów, głodu mieszkań”. Nie można było likwidować trzech głodów naraz, „na pierwszy plan musiała zostać wysunięta likwidacja głodu pieniądza bo tylko to mogło... zapewnić powszechne odczucie wzrostu stopy życiowej”. Dla ilustracji osiągnięć Szeliga zestawia dwie liczby. W roku 1970 za czasów Gomułki 525 mld. zł., w 1977 przychody ludności wynosiły już 1.200 mld. zł. Jak widzimy prawie 2,5 razy więcej. By wspomóc Szeligę warto zaznaczyć, że był to wzrost nie tylko ilościowy. Przecież wprowadzono, złotowe zamiast rwących się banknotów, wymieniono wszystkie banknoty, nawet nowoczesną 1.000 złotówkę z Kopernikiem wprowadzoną przez Gomułkę, wycofano faktycznie z obiegu niepotrzebne grosiki 2 i 5 groszówki. Wprowadzono za to banknoty 200 i 2.000 złotych. Mamy obecnie pieniądze i to pieniądze wysokiej jakości, nie odbiegające od standardów europejskich. W tej dziedzinie 7 lat Gierka przyniosło więcej niż 14-letnie rządy Gomułki.

Szeliga pisze: „Manewr to przestawienie hierarchii. Na czoło wysuwa się zaspokojenie głodu towarów i w nieco dalszej perspektywie głodu mieszkań”.

Na tym chyba opierają swe nadzieje redaktorzy *Polityki*. Bo jeśli w ubiegłej 5-latacie nastawiliśmy się na likwidację głodu pieniądza i osiągnęliśmy tak oszałamiający sukces, to zastosowanie manewru w obecnym pięcioleciu należy uznać za niosące podobne sukcesy w zaopatrzeniu rynku, a częściowo w budownictwie mieszkaniowym. Bo nawet jeśli za parę lat Szeliga wyjaśni, że nie można było głodu mieszkaniowego likwidować razem z głodem towarów, to wygląda na to, że nie minie dziesięć lat (1 pięciolatka na likwidację głodu towarów, druga na likwidację głodu mieszkań) i jeśli będzie głód, to tylko z powodu niedostatku żywności, a głównie mięsa. Bowiem „skala zadań w tej dziedzinie produkcji żywności jest gigantyczna”. W przyszłości „rozsądek, realizm nakazuje dwie rzeczy: konsekwentne, systematyczne wykonywanie programu żywnościowego oraz uzbrojenie się w cierpliwość”.

Stwierdzam, że efekty (realizacji programu żywnościowego) „długo jeszcze będą niewspółmierne do społecznych oczekiwań i potrzeb”, kończy Szeliga swój artykuł.

Szelidze można by zadać wiele pytań np. czy wraz z próbą likwidacji głodu towarów nie pojawi się znów głód pieniądza... Nie rozpraszaźmy się jednak, by nie przeoczyć głównego osiągnięcia twórcy Teorii Głodów. Szeliga twierdzi mianowicie, że stopa życiowa po grudniu 1970 roku wzrosła radykalnie, bo ludzie dostali pieniądze. A teraz na rynku pojawiają się towary, które ludzie za te pieniądze będą mogli kupić i ich stopa życiowa znów radykalnie wzrośnie, mimo że nie wzrosną dochody lub wzrosną nieznacznie. To przecież genialne! Gdyby dawać jednocześnie pieniądze ludziom i towary do sklepów to stopa życiowa wzrosła by *tylko raz* i wcale nie radykalnie, gdyż likwidowanie dwóch głodów naraz jest zawsze powolne.

Głos Nr 4.

Marek TARNIEWSKI

SPÓR O GOSPODARKE

Były dyrektor Banku Polskiego, Zygmunt Karpiński w swoich pamiętnikach pisze o losie złota, które przed wojną było zabezpieczeniem polskiej waluty. Złoto w roku 1939 wywieziono do Rumunii, następnie w części do Wielkiej Brytanii, a w części przez Afrykę Francuską do Stanów Zjednoczonych. Po wojnie złoto wróciło do kraju i wiadomo, że część już po powrocie nowe władze sprzedały za granicę. Od lat pięćdziesiątych mienie Banku Polskiego przejął Narodowy Bank Polski. Sprawozdania tej nowej instytucji milczą o losach polskiego złota i niełatwo ustalić, co się z nim stało. Jest ono jednak własnością społeczeństwa, a nie jakiejś partii politycznej. Dlatego mamy prawo znać nie tylko wojenne, ale i powojenne losy polskiego złota.

Na ogół nie korzysta się w pełni z wiedzy o tym, że gospodarka polska jest (przynajmniej nominalnie) własnością społeczną. Jeśli zaś taki jest charakter własności, to zarządcy gospodarki są zobowiązani do zdawania szczegółowych sprawozdań z tego, co się dzieje z majątkiem, jaki znalazł się pod ich zarządem.

Mówi się, że jedną z cech nowego ustroju jest uspołecznienie bogactwa naturalnych, podstawowych środków produkcji, finansów i handlu zagranicznego. Dziedziny te zostały oddane pod zarząd państwowy. Ale jeśli istnieje zarząd, to sprawozdania muszą być składane.

Gospodarka państwowa musi być gospodarką znaną publicznie w szczegółach, i w szczegółach kontrolowaną przez społeczeństwo. Władze powinny społeczeństwu przedstawiać rachunki. Jak wygląda finansowa strona działalności PEWEX-u? Wielu ludzi zachowuje się tak, jakby PEWEX był przedsiębiorstwem anonimowym, nie wiadomo czym. Handel zagraniczny również bywa traktowany, jakby był działalnością gospodarczą prowadzoną nie wiadomo przez kogo, nie wiadomo w czym imieniu. Tymczasem z prawnego punktu widzenia działalność tę prowadzi się ze środków społecznych i w imieniu społeczeństwa. Jeśli tak, to społeczeństwo ma prawo wiedzieć jaki jest walutowy i rzeczowy bilans handlu zagranicznego, co i gdzie sprzedaje się i kupuje. A także — jaki jest bilans gospodarki zasobami naturalnymi. Czy polska gospodarka przyrodą nie ma charakteru rabunkowego, czy nie jest przede wszystkim obliczona na to, by mogła przetrwać obecna ekipa rządząca. Zapewne nieprzypadkowo cenzura wydaje zakazy publikacji o zniszczeniach środowiska naturalnego. W nowym ustroju wystąpiło jedyne w swoim rodzaju połączenie funkcji organizacyjnych i kierowniczych. Ta sama grupa ludzi kieruje gospodarką, cenzurą i innymi dziedzinami życia społecznego. Zarządza dobrami narodu i uniemożliwia informowanie społeczeństwa o stanie tych dóbr.

Zatwierdzenie budżetu przez Sejm nie jest wyjściem wystarczającym. Funkcje pieniądza w gospodarce państwowej są bardzo szczególne (pieniądz jest tu umownym narzędziem rozliczeniowym) i wobec tego budżet państwa ma w znacznej mierze umowny charakter.

Oprócz publicznego dyskutowania planów gospodarczych niezbędne są okresowe (składane na przykład co pół roku) sprawozdania prezesa Rady Ministrów ze stanu gospodarki, a w tym — handlu zagranicznego z podziałem na kierunki, z informacjami o wielkości obrotów i o cenach. Sprawozdanie powinno mówić o wielkości emisji pieniądza, o stanie płac, inwestycji, o sposobie gospodarowania zasobami naturalnymi.

Przemówień było już wiele. Nie jest potrzebne jeszcze jedno przemówienie, ale zwykły raport urzędnika o stanie powierzonych mu dóbr. Ten urzędnik i inni urzędnicy obowiązani są zdawać szczegółowo sprawę z tego, co dzieje się w gospodarce narodowej, jaki jest stan zasobów i środków produkcji, jak przebiega wymiana towarów i krążenie pieniądza. Sprawozdania, rzecz prosta, trzeba kontrolować. W instytucjach społecznych jest to zadanie komisji rewizyjnych. Dopóki zaś nie będzie szczegółowych sprawozdań oficjalnych, ośrodki niezależnego ruchu spo-

łecznego powinny podjąć się zarówno funkcji sprawozdawczo-informacyjnych, jak i kontrolnych.

Pokazywanie przez telewizję lejącej się surówki może być bardzo dekoracyjne. Ale nie tak wygląda sprawozdanie. Potrzebny jest bilans opłacalności hutnictwa, uwzględniający wydatki i wpływy zagraniczne (sporządzony między innymi dla Huty Katowice). Niezbędne są dane o przeznaczeniu uzyskanych przez Polskę kredytów zagranicznych, o reeksporcie, a więc o warunkach pośredniczącej roli Polski w międzynarodowych transakcjach handlowych.

W ustroju o upaństwowionej gospodarce ważną rolę wśród praw człowieka i obywatela odgrywają uprawnienia związane z możliwością kontroli decyzji gospodarczych. Prawa obywateli nakładają obowiązki na państwo. Jest ono mianowicie zobowiązane do właściwego gospodarowania mieniem ogólnonarodowym, do składania sprawozdań ze stanu zarządzanych dóbr. Konieczna jest społeczna kontrola działalności państwowej. Taką kontrolę zaczynają już sprawować niezależne ugrupowania społeczne i niezależne ośrodki opinii. Informacja o gospodarce jest zadaniem, które (choćby w części) mogą realizować wydawnictwa niezależne.

Głos Nr 5.

Krzysztof HAGEMAJER

NADZIEJE I ROZCZAROWANIA
czyli
O POLSKICH REFORMACH GOSPODARCZYCH
1946 - 1973

Ewolucja systemów gospodarczych odbywa się zwykle bardzo powoli, ale w gospodarce scentralizowanej, kierowanej przez biurokrację państwową wszelkie zmiany, choć ich konieczność dyktują względy technologiczne, wymogi efektywności gospodarowania, potrzeby społeczne — napotykać na dodatkowe bariery sztywnych struktur administracyjnych, maskowanych doktryną, a wspieranych interesami biurokratycznego aparatu.

Okres 1945-1948, w którym decydowały się losy systemu gospodarczego w Polsce, był o tyle wyjątkowy, że wojna i okupacja pozostawiły po sobie nie tylko zniszczenie materialne, ale

zburzyły — lub co najmniej silnie naruszyły — stare struktury własnościowe i instytucjonalne, a w rezultacie możliwe było budowanie systemu gospodarczego „od nowa” i wprowadzanie zmian o charakterze rewolucyjnym. Stwarzało to szansę, jak sądzono, racjonalnej przebudowy całej gospodarki, szansę usunięcia wad i braków dawnego systemu.

Socjalizm przeciw biurokracji

Wśród wielu istniejących wówczas koncepcji zmian, najbardziej dziś interesująca jest ta, którą można by nazwać *socjalistyczną*. Koncepcja ta przyjmowała *trójsektorowy* charakter gospodarki: 1) państwowy wielki przemysł, 2) spółdzielczość (handel, częściowo produkcja przemysłowa, budowlana, usługi itp., 3) prywatny przemysł drobny, rzemiosło, rolnictwo (chłopskie). Istotną rolę odgrywała także własność komunalna. W związku z tym kształtowała się odpowiadająca takiemu układowi koncepcja planowania i zarządzania gospodarką, kładąca duży nacisk na sterowanie metodami „pośrednimi” i koordynującą rolę planu.

W powstających zaraz po wojnie Tymczasowych Zarządach Państwowych poszczególnych przedsiębiorstw brali udział: mianowany dyrektor, delegat Rady Zakładowej, delegat samorządu lokalnego — a więc w zarządzie przedsiębiorstwa była reprezentacja państwa, załogi i społeczności żyjącej w najbliższym otoczeniu przedsiębiorstwa. Rady Zakładowe nie były wówczas częścią organizacji związkowej: prócz obrony interesów pracowniczych były także organem partycypacji załogi w zarządzaniu przedsiębiorstwem.

Kontrolę nad całością działalności przedsiębiorstwa, według koncepcji socjalistycznej miała sprawować Rada Nadzorcza, uprawniona m.in. do powoływania dyrektora. W skład Rady wchodziły przedstawiciele samych wytwórców (m.in. Rady Zakładowej), nabywców i reprezentanci interesu ogólnospołecznego (np. przedstawiciele Centralnego Urzędu Planowania). By ów „interes ogólnospołeczny” nie był frazesem, wykorzystywanym przez biurokrację państwową, miała gwarantować Naczelna Izba Gospodarcza, jako druga izba parlamentu. W całości gospodarki narodowej przeciwwagą dla własności i władzy państwowej miała być spółdzielczość i działalność gospodarza samorządów terytorialnych. Wszystko to wynikało ze świadomości zagrożenia, jakim staje się skupienie władzy gospodarczej w rękach biurokracji państwowej. Świadomość ta znalazła np. wyraz w artykule Oskara Langego „Gospodarcze podstawy demokracji w Polsce”, opubli-

kowanym po raz pierwszy w 1943 roku w Londynie, a przedrukowanym w 1947 roku w Polsce w PPS-owskim *Przeglądzie Socjalistycznym*. Wśród podstawowych wymogów i zadań nowego ustroju Lange podkreśla z naciskiem konieczność usunięcia „wszystkich przywilejów w rozdziale dochodu, wynikających czy to ze skoncentrowanej własności... czy też z przywilejów władzy i przywilejów politycznych” oraz konieczność uniemożliwienia na przyszłość koncentracji potęgi gospodarczej bądź w rękach prywatnych kapitalistów i ziemiaństwa, bądź w rękach biurokracji państwowej. Lange domaga się stałej i silnej *kontroli społecznej* nad życiem gospodarczym, gdyż upaństwowienie wielu dziedzin życia gospodarczego „stwarza nowe... groźne dla demokracji niebezpieczeństwo w postaci koncentracji potęgi gospodarczej w rękach biurokracji państwowej i związanych z tym przywilejów w podziale dochodu”. Aby temu przeciwdziałać „ośrodki dyspozycji gospodarczej muszą być: 1) ściśle oddzielone od administracyjno-politycznego aparatu państwowego... 2) zorganizowane na zasadach demokratycznego samorządu i demokracji kontroli z dołu (np. przez wybór samorządów przez przedstawicieli niezależnych grup interesów, jak konsumentów, pracowników itp. Ponadto demokratyczna kontrola nad uspołecznioną częścią gospodarki musi być wzmocniona przez istnienie niezależnego ruchu robotniczego (zwłaszcza zawodowego), spółdzielczości oraz odpowiednich organizacji reprezentujących interesy gospodarcze chłopów”.

W pierwszych latach po wojnie *istniała więc, kładąc nacisk na demokratyczność — socjalistyczna koncepcja systemu gospodarczego*. Istniały też pewne podstawy dla jej realizacji. Podstawą taką było m.in.: 1) istnienie równoprawnej teoretycznie, rzeczywiście odrębnej partii — PPS, mającej utrwalone tradycją poparcie w masach robotniczych i wśród części inteligencji, 2) przetrwanie, wyniszczonego przez okupację, lecz mającego duży autorytet w lokalnych społecznościach — starego aktywu działaczy spółdzielczych i komunalnych, 3) istnienie — jako odrębnej i ważnej instytucji — Centralnego Urzędu Planowania, w którym dominowali zwolennicy tej właśnie koncepcji.

Otwarty pozostaje problem, czy klęska poniesiona przez tę *socjalistyczną* koncepcję gospodarki była spowodowana tylko presją zewnętrzną, wymuszającą realizowanie zamiast tego — modelu „radzieckiego” czy też — zbyt słabym poparciem społecznym, zbyt małą aktywnością na rzecz takiego kierunku przemian w społeczeństwie, znużonym i wyniszczonym wojną i okupacją, skłonny do przyjęcia perspektyw stabilizacji za każdą prawie cenę.

Powstanie systemu: konsekwencje dla przyszłości

Zwycięstwo idei totalnego upaństwowienia i maksymalnej centralizacji gospodarki nie było oczywiście aktem jednorazowym. Był to proces, rozpoczynający się już w pierwszych latach powojennych (np. kolejne modyfikacje i sposób realizowania ustawy nacjonalizacyjnej, idące znacznie dalej niż początkowe deklaracje; lokalne i rozproszone, ale powoli składające się na usystematyzowaną całość, akcje administracyjne m.in. przy użyciu Komisji Specjalnej do Spraw Gospodarczych i aparatu bezpieczeństwa „podgryzające działalność samorządową i spółdzielczą”). Kolejne fazy tego procesu to najpierw tzw. „bitwa o handel”, następnie — faktyczna likwidacja spółdzielczości i własności komunalnej w przemyśle, potem — ograniczenie, a właściwie zniszczenie rzemiosła i rozpoczęcie — przy użyciu środków przymusu — procesu upaństwowienia rolnictwa. Formalnym ukoronowaniem zaś było potępienie socjalistycznej koncepcji planu w ostrej rozprawie z CUP i zmiany polityczne w 1948 roku (zjednoczenie partii i związana z tym czystka w szeregach PPS).

W okresie kilku lat następnych, zostały w Polsce stworzone podstawy systemu gospodarczego, który w swej istocie trwa do dziś. Jest on oparty na totalnym upaństwowieniu i na scentralizowanym priorytecie przemysłu ciężkiego. Losy kolejno podejmowanych prób reformy — od 1956 roku po dziś — wskazują, że system ten charakteryzuje się swoistą trwałością czy „bezwładnością” i jest niepodatny na nieznaczne nawet reformy. Splot powiązanych z tym systemem interesów dość jest silny na to, by paraliżować wszelkie próby wprowadzenia doń „obcych” mu elementów, jak samodzielność przedsiębiorstwa, samorząd robotniczy, rachunek ekonomiczny prowadzony na niższych szczeblach itp. Im dłużej zaś on istnieje tym potężniejsze stają się owe interesy, tym większy opór stawiany zmianom — a w rezultacie — tym większy staje się zakres zmian w systemie, niezbędnych dla pokonania tego oporu.

Wiele procesów, jakie się dokonały, ma charakter nieodwracalny lub bardzo trudno odwracalny. Do nieodwracalnych należy zasięg własności państwowej w przemyśle: ewentualne zmiany mogą i powinny dotyczyć tylko sposobu zarządzania i funkcjonowania (w niektórych tylko przypadkach formę własności bezpośrednio państwową można było zastąpić własnością komunalną).

Jeżeli chodzi o własność spółdzielczą, trzydziestoletnie niszczenie wszelkiej inicjatywy w tym zakresie, likwidacja istniejących tradycji, wreszcie — zbiurokratyzowanie i podporządkowanie państwowej administracji gospodarczej tego, co ze spół-

dzielczości w Polsce pozostało sprawią, że ożywienie ruchu spółdzielczego wymaga zbiegu wyjątkowych warunków politycznych i społecznych — i gruntownej, może długotrwałej edukacji społeczeństwa w duchu demokracji i samorządności. Spółdzielczości prawdziwej bowiem nie da się zadekretować, musi istnieć aktywny ruch społeczny na jej rzecz. Należy o tym pamiętać przy formułowaniu programów reform. Podobnie ma się sprawa samorządów pracowniczych i lokalnych, ruchu związkowego itp.

Październik: akceptacja i negacja status quo

W 1956 roku jednak te usztywniające gospodarkę procesy nie były jeszcze tak zaawansowane. Ujawniła się możliwość oddolnego odrzucenia wymuszonej, sztucznej kolektywizacji rolnictwa. Powstał oddolny ruch na rzecz samorządu robotniczego — na którym w dużej mierze opierały się przemiany tamtego okresu. Istniała wreszcie szansa na odrodzenie — w demokratycznym systemie politycznym — autentycznej spółdzielczości spożywców, mieszkaniowej a nawet najbardziej skompromitowanej, lecz najważniejszej — produkcyjnej. Tych szans jednak nie wykorzystano. Oczywiście, w ówczesnej dyskusji o gospodarce były głosy, podnoszące te problemy. Główny nurt dyskusji skupił się jednak na sprawie decentralizacji gospodarki państwowej.

Zakres centralizacji i decentralizacji; plan centralny, egzekwowany środkami administracyjno-nakazowymi — a oddziaływanie na względnie autonomiczne ośrodki czy szczeble decyzyjne metodami tzw. „pośrednimi” (czy parametrycznymi) — to były główne elementy dyskusji po 1956 roku. To także punkt wyjścia dla większości koncepcji teoretycznych lat późniejszych, aż po rok 1968. Dyskutując jednak o zaletach, skali i granicach decentralizacji, wysuwając wobec władz postulaty zmian w modelu zarządzania gospodarką — zapominano o tym, że z systemem scentralizowanym związane są nabyte i utrwalone interesy biurokracji gospodarczej, i o tym, że interesy te stawiać będą opór wszelkim ograniczającym je zmianom. Zapominano, że realizacja procesu reform wymaga koniecznie stworzenia dla nich społecznego poparcia, znajdującego możliwość wyrazu, wymaga stworzenia silnej przeciwwagi dla owych „usztywniających”, konserwatywnych interesów, wymaga *społecznych i politycznych gwarancji instytucjonalnych*. W październikowej dyskusji zwrócił na to uwagę Stefan Kurowski pisząc: „Dyskusja o modelu jest sporem o cele, jest sporem 'ideologicznym'. Dyskusji takiej nie wygramy akademickimi argumentami. Dyskusję taką wygramy

walką sił społecznych, zorganizowanych przeciw oporowi biurokracji". W 1956 roku sądzono, że gwarantem reformy staną się w gospodarce rady robotnicze, samorządy. Nie brano jednak pod uwagę, że nie może istnieć autentyczny ruch samorządowy bez, choćby ograniczonej, demokracji politycznej.

Postulat demokratyzacji gospodarowania jako niezbędnego elementu reformy gospodarczej był zresztą w tej dyskusji wysuwany. Nikt jednak nie konkretyzował wymogów co do instytucjonalnych polityczno-prawnych zabezpieczeń tego warunku. Postulowano publiczną dyskusję nad planem. Podkreślano — z góry zakładając realność „konstytucyjnie” gwarantowanego przedstawicielstwa społecznego w Sejmie — rolę Sejmu w ustalaniu celów gospodarczych i społecznych oraz planów rozwoju. „Tezy Rady Ekonomicznej” podkreślały konieczność „demokratyzacji życia gospodarczego poprzez aktywny udział załóg i rad robotniczych, rad narodowych i Sejmu w ustalaniu planów”. Warunkiem miała być „jawność życia gospodarczego, takie formułowanie problemów planów, aby czynniki (te) miały pełne rozeznanie alternatyw, stanowiących realny przedmiot wyboru ekonomicznego”. Komisja Planowania — podobnie jak CUP z lat 1945-1948 — byłaby wyłącznie organem planowania i studiów ekonomicznych. Za realizację uchwalanego przez Sejm planu miał być odpowiedzialny rząd i poszczególne resorty. Plany przedsiębiorstw miały być — według postulatów Oskara Langego i J. Pajestki — samodzielne, nie dyktowane i nie zatwierdzane przez resorty czy inne organy centralne. Zwraca uwagę „ekonomiczne” czy nawet „inżynierjno-ekonomiczne” zawężenie postulatów reformatorskich, skrajna wstrzeźliwość w krytyce instytucji o polityczno-społecznym charakterze. Skuteczność decentralizacji i demokratyzacji gospodarki miały zapewniać trzy ustawy: 1) o rozszerzeniu uprawnień państwowych przedsiębiorstw przemysłowych, 2) o radach robotniczych (rada sprawuje zarząd przedsiębiorstwa; dyrektor stosuje się do jej dyrektyw, zachowując kierownictwo przy ich wykonaniu; dyrektor jest mianowany za zgodą rady, która też może wystąpić z wnioskiem o jego odwołanie); 3) o funduszu zakładowym (stwarzając podstawy materialnego zainteresowania załogi w racjonalnym prowadzeniu przedsiębiorstwa). Gwarancje te okazały się zbyt słabe. Znacznej części tych ustaw nigdy nie wprowadzono w życie. Uprawnienia rad robotniczych stopniowo ograniczono, aż po Utworzenie Konferencji Samorządu Robotniczego (proces ten w latach siedemdziesiątych przypiecętowano, likwidując rady robotnicze w większości zakładów pracy). Stopniowo wprowadzano nowe uzależnienia przedsiębiorstw od organów centralnych. Nigdy nie zrealizowano

postulatów dotyczących „demokratyzacji planowania”. Rada Ekonomiczna przez pewien czas funkcjonowała jako stosunkowo niezależny ośrodek, opracowujący koncepcje reformy gospodarczej i ekspertyzy, dotyczące sytuacji gospodarczej, nie miała jednak wpływu na bieg rzeczywistych zdarzeń, a wkrótce jej działalność zamarła zupełnie.

Złe i dobre nauki płynące z rozczarowań

Myśl ekonomiczna okresu następnego kształtowała się pod wpływem doświadczeń dyskusji „O modelu gospodarczym” z 1956 roku i niepowodzeń zapoczątkowanego a niezrealizowanego procesu reform. Trudno byłoby jednak w rozważaniach ekonomistów z lat sześćdziesiątych dostrzec głębszą analizę przyczyn tego niepowodzenia i wyciągnięcie z niej konsekwentnie wniosków.

Dyskusja „październikowa” wybuchła żywiołowo, jako dyskusja polityczna i publicystyczna o dość nieskoordynowanym i chaotycznym charakterze. Rok 1956 zastał ekonomistów źle przygotowanych do teoretycznej analizy gospodarki; wiedza o jej rzeczywistym funkcjonowaniu, o prawach nią rządzących, była niewielka. Dopiero lata sześćdziesiąte rozwinęły plon owej dyskusji publicystycznej, próbując go uporządkować w postaci teoretycznych modeli gospodarki zdecentralizowanej, planowanej centralnie. „Ogólne problemy funkcjonowania gospodarki socjalistycznej” — książka Włodzimierza Brusa, wydana w 1961 roku — stała się jedną z najważniejszych prac ekonomicznych tego okresu i wywarła znaczny wpływ na rodzące się koncepcje reform, nie tylko w Polsce ale i w Czechosłowacji i na Węgrzech. Zrodził się nurt — później ochrzczony przez propagandę partyjną mianem „rewizjonizmu”. Dowodzono przewagi systemu zdecentralizowanego, wykorzystującego w pewnym stopniu mechanizmy rynkowe nad systemem nakazowego planowania i zarządzania gospodarką. Formułowano postulaty reform gospodarczych, mających podnieść efektywność gospodarki, umożliwić gospodarowanie „intensywne” nie „ekstensywne”, spowodować wyzwolenie inicjatywy i dążenie do innowacji.

Propozycje te jednak w polskiej praktyce nie miały prawie żadnych efektów. Samo słowo „model” w kontekście dyskusji „modelowej” straciło prawo bytu na łamach prasy. Podobny los spotkał zresztą później skreślany przez cenzurę termin „reforma gospodarcza”. PZPR wprawdzie włączyła na stałe do swych uchwał i tez formuły o „ulepszaniu”, „unowocześnianiu”

czy „doskonaleniu” systemu funkcjonowania gospodarki. Podejmowano także co pewien czas ograniczone i wycinkowe próby zmian na zasadzie tzw. „eksperymentów”. Jednakże po jakimś czasie każda z tych prób okazywała się niewypałem i po paru latach podejmowano następną. Wszystko to wprowadzało zamieszanie w systemie funkcjonowania gospodarki, wywoływało zniechęcenie i opór przeciwko kolejnym próbom „doskonalenia”, zwiększało poczucie niepewności — a to z kolei hamowało i tak nieliczne inicjatywy. Nigdy natomiast nie podjęto *kompleksowej próby reform, obejmującej jednocześnie system planowania, system funkcjonowania gospodarki i system cen*. W tej sytuacji cząstkowe „eksperymenty”, stanowiące niejako wyizolowane, obce wtręty w niezmiennym i bezwładnym otoczeniu, z góry były skazane na niepowodzenie. (W swoim czasie, koła ekonomistów obiegał tzw. „węgierski dowcip o polskiej reformie gospodarczej”: „W Polsce ruch drogowy jest prawostronny. Ale Polacy dowiedzieli się, że w niektórych krajach jest on lewostronny i to dobrze działa. Wobec tego, tytułem „eksperymentu” postanowili, że dziesięć procent pojazdów będzie jeździć lewą stroną”. W takim chyba właśnie kontekście wykształcił się drugi interesujący nurt rozważań nad funkcjonowaniem gospodarki i możliwościami jego zrjonalizowania, reprezentowany przez Aleksego Wakara i grupę jego uczniów i współpracowników. Część z nich — przede wszystkim sam Wakar — początkowo opowiadała się za systemem planowania i zarządzania opartym na tzw. „rachunku pośrednim”: za modelem zdecentralizowanym, wykorzystującym w znacznej mierze mechanizmy rynkowe. W połowie lat sześćdziesiątych jednak ich stanowisko uległo zasadniczej zmianie. We wstępie do pracy zbiorowej „Zarys teorii gospodarki socjalistycznej” autorzy ci twierdzą, że zwolennicy zarządzania przy pomocy metod „pośrednich” nie dostrzegają społecznych — czytaj: instytucjonalnych — przeszkód, uniemożliwiających pełne i kompleksowe zastosowanie tych metod. Kombinowanie zaś ze sobą metod, należących do świata „rachunku pośredniego” (wykorzystanie mechanizmów rynkowych i związanych z tym kryteriów) z metodami ze świata „rachunku bezpośredniego” (centralizacja i nakazy) nie daje korzystnych skutków, niszczy natomiast spójność stosowanego systemu. Autorzy piszą: „Patrząc wstecz, wydaje się całkowicie naturalne zastanowienie się nad faktycznie istniejącymi zasadami funkcjonowania gospodarki społecznej zanim przymierzy się do niej taki czy inny model. U wielu ekonomistów bieg rzeczy jest jednak często odwracany: najpierw model, następnie zaś rzeczywistość, którą nagina się do przyjętego schematu”. Autorzy więc postanowili „uwolnić się

od zapędów reformatorskich” i stawiają sobie za zadanie *opisanie* naszej rzeczywistości gospodarczej i „sformułowanie postulatów uprawnień nie w oparciu o oderwane od rzeczywistości konstrukcje modelowe, ale w taki sposób, by nie burzyć integralności istniejącego sposobu zarządzania gospodarką socjalistyczną”. Stanowisko „wakarowców” było wyrazem rozczarowania niepowodzeniem postulowanych przez ekonomistów reform, upatrującym przyczyny niepowodzenia w „niespójności” owych reform z istniejącym systemem gospodarczym. Ewolucja poglądów Włodzimierza Brusa, od powoływanej wyżej pracy z 1961 roku do ostatniej jego książki „*Uspołecznienie i ustrój polityczny*”, wynika ze zrozumienia faktu, iż *reforma gospodarcza nie jest sprawą samej tylko techniki zarządzania i planowania, ale jest procesem społecznym i politycznym, odbywającym się w warunkach konfliktu interesów społecznych*. Powodzenie zmian w systemie gospodarowania, zmierzających do podniesienia efektywności, zależy od *społecznego nacisku na taki właśnie kierunek zmian*, od instytucji politycznej demokracji, które umożliwiłyby artykułowanie się tego nacisku. Na to jednak, aby dążenie do efektywności było dążeniem społeczeństwa, musi ono być w jego interesie. A w tym celu własność środków produkcji musi mieć charakter rzeczywiście *społeczny*. Akt nacjonalizacji tworzy własność *państwową*, *uspołecznienie* zaś — to proces, którego istotą jest demokracja polityczna. Istnieje korelacja między stopniem uspołecznienia a poziomem efektywności gospodarczej. Z jednej strony — tylko proces politycznej demokratyzacji umożliwi zmiany, podnoszące efektywność gospodarki, z drugiej — poziom sił wytwórczych, komplikowanie się procesów gospodarczych, nowe techniki i technologie, warunki zewnętrzne gospodarowania — a więc czynniki, które „wymuszają” efektywność spowodują demokratyzację, niezbędną do wprowadzenia reform gospodarczych.

Po Grudniu

Książka Brusa mogła się ukazać już tylko poza krajem. Grudzień 1970 roku miał charakter protestu ekonomicznego, którego siła i zasięg zostały zwiększone w rezultacie zastosowanych środków represji. Wydarzenia 1968 roku określiły atmosferę polityczną w jakiej dokonywały się zmiany pogrudniowe, miały też istotny wpływ na sytuację w naukach społecznych, w tym i ekonomii. Zasób wiedzy o mechanizmach funkcjonowania gospodarki był znacznie większy niż w 1956 roku, nie wszyscy ekonomiści jednak mieli możliwość pracy naukowej i wypowiedzania

swoich poglądów, wiele koncepcji obłożono też anatemą „rewizjonizmu”.

Władze pogrudniowe musiały wysunąć program radykalnej poprawy ekonomicznej. Stawiano sobie dwa cele: *szybkiego wzrostu* i zwiększenia *efektywności* gospodarowania. Realizacja tych celów wymagała zmian sposobu kierowania gospodarką. Nastąpiły istotne zmiany w stosunku do indywidualnego rolnictwa — obejmujące przede wszystkim zniesienie tak zwanych dostaw obowiązkowych. Nie doszło jednak do konsekwentnej zmiany polityki w tym zakresie, a meandry koniunkturalne i ideologiczne tej polityki doprowadziły, jako jedna z przyczyn, do kryzysu połowy lat siedemdziesiątych.

Podjęto także próbę reformy gospodarki państwowej. Cechą charakterystyczną tej reformy był *gabinetowy* tryb tworzenia tej koncepcji. Powołano Komisję Partyjno-Rządową dla Unowocześnienia Systemu Funkcjonowania Gospodarki i Państwa. Udział ekspertów w pracach Komisji był dość szeroki, w dużej części wykorzystano istniejący zasób wiedzy, jednakże sama koncepcja nie stała się przedmiotem publicznej dyskusji. Było to wynikiem ściśle ekonomicznego charakteru ruchu społecznego, towarzyszącego zmianom pogrudniowym, ekonomicznego w wąskim znaczeniu żądań płacowych i bytowych. Presja ta wymusiła zmianę polityki gospodarczej, jednak brak nacisku o szerszym, politycznym charakterze, brak społecznego ruchu na rzecz zmian społecznych i politycznych, brak atmosfery ożywienia intelektualnego, rodzącego koncepcję zmian w gospodarce i systemie politycznym umożliwił traktowanie reformy instrumentalnie i politycznie, jako jednego ze środków realizacji presji płacowej, jak i wyjścia ze stagnacji gospodarczej. Wpłynęło to na kształt polityki gospodarczej tego okresu, faworyzującej interesy silniejszych, tworzącej w gospodarce i społeczeństwie „wyspy” dobrobytu i postępu ekonomicznego (załamała się ona ostatecznie w wyniku protestu z czerwca 1976). Wpłynęło także na kształt i zakres reformy, umożliwiło bowiem niekontrolowane przetargi pomiędzy zainteresowanymi ośrodkami władzy co do charakteru i trybu przeprowadzanych zmian.

Koncepcja reformy opierała się na stworzeniu dwóch podstawowych podmiotów gospodarowania: *wielkich organizacji gospodarczych* (WOG), działających samodzielnie na zasadach rozrachunku ekonomicznego i *centrum* jako reprezentanta interesu ogólnospołecznego, sterującego procesami gospodarczymi. Centrum miało obejmować centralne organy gospodarcze wraz z tzw. ministerstwami branżowymi. Miało to zasadniczo zmienić charakter tych ministerstw — instytucji, wykazujących tendencję

do reprezentowania wobec centrum i podległych jednostek interesów resortu jako swego rodzaju superkoncernu. Odtąd miały one reprezentować interes ogólnospołeczny i prowadzić „politykę państwa w swoim zakresie działania”.

Centrum miało oddziaływać na organizacje gospodarcze głównie przy pomocy tzw. instrumentów ekonomicznych (parametrów) ustalanych na okresy wieloletnie, co umożliwi samodzielne i długofalowe planowanie w WOG-ach w warunkach stabilnych „reguł gry”. Ten sposób sterowania gospodarką miał się ściśle wiązać ze zmianami w sposobie planowania, polegającymi na odejściu od planowania rocznego i oparciu procesu planowania na planach perspektywicznych i pięcioletnich. Koncepcja reformy nie wiązała się z żadnymi propozycjami społecznych i instytucjonalnych gwarancji formułowania „interesu ogólnospołecznego” nie dawała (nie stwarzała takich gwarancji „zasada konsultacji”), nie zaproponowano też żadnych wystarczających sposobów przeciwdziałania monopolistycznym tendencjom z jakimi musiała się wiązać działalność WOG-ów, pominięto w ostatecznej koncepcji całkowicie problem samorządu pracowniczego.

Na losach reformy zaważył sposób wprowadzenia jej w życie. WOG-i jako „jednostki inicjujące” miały obejmować stopniowo coraz to nowe dziedziny gospodarki, w zależności od sprawdzania się nowych zasad. Na następne etapy odłożono wprowadzenie pozostałych elementów koncepcji, przede wszystkim zmian w planowaniu i strukturze instytucjonalnej centrum gospodarczego. Przyjęto tezę o „ciągłości doskonalenia systemu funkcjonowania gospodarki”. Wynikała ona między innymi, z ograniczeń politycznych. Zmiany systemu planowania, zmiana roli ministerstw branżowych oznaczałyby przesunięcie gestii podejmowania decyzji z jednych ośrodków do innych. W okresie po grudniu 1970 roku obawiano się takich przesunięć, spodziewano się oporu, sygnalizowanego zresztą w trakcie opracowywania koncepcji. Obawiano się destabilizacji aparatu biurokratycznego.

W skutkach zasada „ciągłości” okazała się niewiele różnić od „eksperymentów” lat sześćdziesiątych. Wprawdzie WOG-i objęły znaczną część gospodarki, nowe zasady spotkały się także z pozytywnym przyjęciem w aparacie „menadżerskim”. Konsekwencja procesu zmian uzależniona była jednak od stabilności politycznej i gospodarczej. Rozwój gospodarki w warunkach starego systemu planowania i struktury „branżowej” podważał tę stabilność. Rosnące napięcia, wywołane rozdętym programem inwestycyjnym, nieproporcjonalnościami wzrostu, inflacją i rosnącym zadłużeniem gospodarki wzmacniane były przez tradycyjny system planowania, który ułatwiał powrót do stosowania ograni-

czeń i nakazów. To z kolei stwarzało pole dla przetargów pomiędzy interesami resortowymi czy regionalnymi a centrum. Następował samowzmacniający się proces nasilania się metod administracyjnych i nakazowych. W tej sytuacji coraz wyraźniejsza stawała się obcość nowego systemu. Stopniowo wprowadzano ograniczenia w jego funkcjonowaniu aż do praktycznie całkowitej jego likwidacji.

J. G. Zieliński, dawniej jeden z czołowych przedstawicieli szkoły Wakara, pisze o masie krytycznej systemu, która pozostawiona nienaruszona w procesie zmian, powoduje odrzucenie lub zniekształcenie nowowprowadzonych rozwiązań. Zakres zmian wprowadzonych w życie w latach siedemdziesiątych nie objął tej masy krytycznej, zabrakło odpowiednich warunków politycznych i wystarczającej presji społecznej. Kryzys gospodarczy przyspieszył „odrzucenie” reformy.

Warunki reformy i doświadczenia 30-lecia

Mechanizm niepowodzenia reformy ostatnich lat stał się przedmiotem licznych analiz ekonomicznych i socjologicznych. W fazie wcześniejszej rozważania nad reformą polegały przede wszystkim na ekonomicznym czy ideologicznym uzasadnianiu takiego czy innego „modelu” gospodarczego, przy założeniu równych szans realizacji każdego z nich. Obecnie poszukuje się „obiektywnie działających mechanizmów, bądź to związanych z historią systemu, bądź też z jego obecną strukturą i warunkami działania. Mechanizmy te powodują, iż przy wyborze dalszych kierunków rozwoju w żadnym wypadku nie można mówić o dowolności, że swoboda manewru jest wyraźnie określona”. W tym nurcie rozważań należałoby umieścić i zagadnienia uspołecznienia czy demokratyzacji politycznej jako warunkujące zakres i skuteczność zmian, i teorię „masy krytycznej” systemu, którą należy przekroczyć by reforma się powiodła.

Szczególne znaczenie należy przypisać analizom socjologicznym, dążącym do wyjaśnienia przyczyn stabilności i nierreformowalności „tradycyjnego” systemu gospodarczego. Jadwiga Staniszkis widzi te przyczyny w wielu płaszczyznach: w sferze ideologii i struktur myślowych przez tę ideologię ukształtowanych, w sferze funkcjonowania interesów grupowych, wreszcie w sferze struktury gospodarki, ukształtowanej historycznie, która „wyzwała siły, sprzyjające stabilizacji, a nawet reprodukcji rozszerzonej określonych struktur instytucjonalnych. Prace tej autorki, a także „socjologia planowania” W. Narojka, czy też prace innych

socjologów, dają obraz funkcjonowania mechanizmów decyzyjnych w gospodarce planowanej centralnie, pozwalają na wyciągnięcie wniosków o konieczności *zmian politycznych* jakie muszą towarzyszyć zmianom gospodarczym.

Ujawnienie różnic interesów, występujących w systemie gospodarczo-społecznym, zinstytucjonalizowanie sposobów ich konfrontacji i reguł rozwiązywania, proces demokratyzacji w sferze gospodarczej i politycznej — to warunki konieczne powodzenia zmian w systemie funkcjonowania gospodarki, zmian umożliwiających planowanie zgodne z akceptowanymi społecznie celami oraz efektywną tych celów realizację.

BIBLIOGRAFIA

1. W. Brus, *Ogólne problemy funkcjonowania gospodarki socjalistycznej*, Warszawa, 1961.
2. A. Wakar, J. Beksiak, J. G. Zieliński i inni, *Zarys teorii gospodarki socjalistycznej*, Warszawa, 1965.
3. W. Narojek, *Społeczeństwo planujące*, Warszawa, 1973.
4. J. G. Zieliński, *Polskie reformy gospodarcze*, Londyn, 1974.
5. W. Brus, *Uspołecznienie a ustrój polityczny*, wyd. „Aneks”, 1974.
6. J. Pajestka, B. Gliński i inni, *Zarys systemu funkcjonowania jednostek inicjujących*, Warszawa, 1975.
7. J. Staniszkis, *Struktura jako rezultat procesów adaptacyjnych organizacji w: Organizacje*, Warszawa, 1976.

G ł o s Nr 6.

Prof. Karol S.

DZIEŃ DZISIEJSZY I JUTRO POLSKIEJ GOSPODARKI

W związku z toczącą się w prasie opozycyjnej dyskusją na tematy gospodarcze poprosiliśmy o wywiad w tej sprawie profesora Karola S., znanego specjalistę od problematyki zarządzania i polityki gospodarczej.

Pytanie: — Panie Profesorze, zapewne czytał Pan „Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju”, wydane w kwietniu przez Niezależną Oficynę Wydawniczą i opatrzone przedmową profesora Edwarda Lipińskiego. Były też na ten temat publikacje w *Opinii*. Co Pan mógłby na ten temat powiedzieć *Głowski*?

Odpowiedź: — Istotnie, znam „Uwagi”, o których Pan mówi — czytałem również wypowiedzi na ten temat trójki ekonomistów, Walentego Niedbała, Krzysztofa Ostańca i Andrzeja Skrzętnego. Otóż te publikacje można by potraktować jako początek programowej dyskusji na tematy gospodarcze, w wolnej prasie. Były na ten temat publikacje w *Opinii*, ale wątek ten nie był kontynuowany, a również i inne czasopisma nie podjęły tej sprawy.

P.: — Może pisaliśmy o tym zbyt ogólnie...

O.: — Z pewnością było wiele pilniejszych tematów, jak np. sprawy praworządności. Trzeba jednak uświadomić sobie, że problemy gospodarcze są najszerszą i stałą płaszczyzną konfliktu między społeczeństwem a PZPR i od ich rozwiązania zależy szereg innych spraw. Również propozycje, jakie w tej sprawie może przedstawić opozycja, będą świadectwem jej dojrzałości politycznej i wykażą społeczeństwu, że jest alternatywa dla polityki PZPR.

P.: — Przejdźmy więc do meritum...

O.: — Słusznie „Uwagi” stwierdzają, że gospodarka nasza przeżywa kryzys. Diagnoza jest trafna, ale rację mają tutaj trzej ekonomiści, którzy wytykają „Uwagom”, że opisując ten kryzys, dość pobieżnie traktują sprawy ściśle gospodarcze. Kryzys ekonomiczny, który przeżywa nasz kraj ma o wiele głębszy i ostrzejszy charakter, niżby to wynikało z półstronicowego opisu w „Uwagach”. Jest to zarówno kryzys strukturalny jak i koniunkturalny. Najnowsze zjawiska rozprężenia i dezorganizacji gospodarczej nałożyły się na długookresowe zaniedbania, wytwarzając sytuację wręcz katastrofalną. Na tym tle, zwłaszcza w obliczu narastającego od paru lat zwykłego bałaganu i dysfunkcjonalizacji poszczególnych ogniw gospodarki, jak urągawisko brzmi zapewnienie Edwarda Gierka, zamieszczone w wywiadzie jugosłowiańskiego tygodnika i przedrukowane w *Polityce*, że „uporządkowaliśmy nasze wewnętrzne sprawy w gospodarce”.

P.: — Czy o przyczynach tego stanu rzeczy można powiedzieć coś, co nie było dotychczas dostatecznie eksponowane?

O.: — Etiologia i geneza kryzysu naszej gospodarki były już wielokrotnie omawiane, choć nie zostało to nigdy zebrane w jednym opracowaniu. Tutaj wskażę pewne elementy o charakterze czynników sprawczych, które nie wyczerpują oczywiście tematu. Nie pretenduję przy tym do oryginalności w ich prezentowaniu.

Obejmując władzę w 1970 roku Edward Gierek uzyskał dwa rodzaje kredytu: kredyt zaufania od społeczeństwa i kredyt w twardej walucie od krajów kapitalistycznych. Mając te dwa kredyty, Gierek mógł przeprowadzić zasadniczą sanację gospodarki, sanację systemową w zakresie jej funkcjonowania i sanację strukturalną, w zakresie proporcji i kierunków rozwoju. Nie zrobił ani jednego ani drugiego. Można powiedzieć obrazowo, że wlał nowe i obfite wino do starego, dziurawego worka, zamiast przedtem ten worek naprawić.

P.: — Ale były wówczas próby...

O.: — Tak, cała akcja związana z tzw. Komisją Szydłaka. Trudno powiedzieć, czy było to działanie od początku pozorowane, czy też myślano wówczas szczerze o przebudowie systemu funkcjonowania gospodarki. Niezależnie jednak od intencji, można było obserwować, jak propozycje reform, już na początku dość umiarkowane, były kolejno ograniczane i w końcu, po długich targach, urodził się ułomny system tzw. WOG-ów, który niczego nie ułatwiał. Ponieważ jednak zapewniał odrobinę samodzielności zjednoczeniom, więc zazdrosny tzw. „centralny planifikator” nie mógł i tego tolerować. System WOG-ów po dwóch latach utrudnionego działania został „zreformowany”. To, co teraz działa stanowi zarządzanie bardziej scentralizowane i administracyjne niż kiedykolwiek. W tej dziedzinie szansa została więc zmarnowana. Inną dziedziną, którą trzeba było radykalnie zreformować, był układ cen. Od początku PRL układ ten był wadliwy, nastawiony jak to mówią ekonomiści na funkcję realizacyjną ceny a nie na jej funkcję kalkulacyjną.

P.: — Co to znaczy?

O.: — To znaczy, że cena nie ma informować o kosztach społecznych produktu, lecz ma zapewniać niektórym producentom — sprzedawcom najwyższe utargi, a niektórym uprzywilejowanym nabywcom — najniższe koszty nabycia. Stąd ogromne podatki pośrednie, obciążające ceny jednych towarów i ogromne dotacje, uzupełniające ceny innych towarów. Po kilkudziesięciu latach takich praktyk, układ cen w Polsce jest kompletnie wypaczony, co uniemożliwia jakikolwiek rachunek gospodarczy i zupełnie wypacza zarówno strukturę produkcji jak i strukturę popytu.

P.: — Twierdzi więc Pan, że uniemożliwia to rachunek gospodarczy. Tymczasem ostatnio w dokumentach oficjalnych mówi się szczególnie dużo o rachunku gospodarczym.

O.: — Mówi się ale nie ma to żadnego realnego znaczenia. Ci, którzy to mówią i piszą, albo nie rozumieją, co to jest rachunek gospodarczy i że nie można go prowadzić, nie mając tzw. „prawdziwych cen” albo nie wierzą w to, co mówią. Jeżeli wierzą, a nie rozumieją, to są mówiąc niedelikatnie — niekompetentni. Jeżeli rozumieją, a nie wierzą, to są cyniczni. Podejrzewam, że są tam i tacy i tacy, natomiast brak jest takich, którzy by mieli i rozum i wiarę. Ale idźmy dalej. Nie zrobiono więc reformy cen, choć była po temu możliwość i polityczna i ekonomiczna. Taką reformę cen trzeba dofinansować. Należało więc utrzymać wprowadzony przez Gomułkę poziom cen żywności, a część kredytów zagranicznych przeznaczyć na wzrost płac i na pokrycie tych podwyższonych płac zwiększoną podażą towarów przemysłowych, których ceny trzeba było wcześniej obniżyć. Wówczas uzyskano by zmianę relacji cen żywności do cen towarów przemysłowych, a jednocześnie podniesiono by płace realne. Zwyżka płac realnych przy urealnionych cenach żywności byłaby trwała. Natomiast to, co zrobiono: podniesienie płac przy sztucznie zamrożonych cenach żywności okazało się nietrwałe i od kilku lat ruch cen i to również cen żywności pożera szybko uzyskany poprzednio wzrost płac. Wreszcie, nie zmieniono kierunków produkcji i kierunków handlu zagranicznego. Tak jak przed grudniem 1970 a nawet bardziej, rozwijano głównie produkcję środków produkcji, co wyraziło się przede wszystkim w stałym rozwijaniu przemysłu ciężkiego, maszynowego, chemicznego i pozostawianiu w tyle przemysłu lekkiego i spożywczego oraz wszystkich nieprzemysłowych działów gospodarki. W inwestycjach stale zwiększano udział tzw. inwestycji produkcyjnych, ograniczając udział inwestycji w sferze konsumpcji społecznej do symbolicznych 20 % (a pamiętajmy, że w tym mieszczą się nakłady na budownictwo mieszkaniowe). Jednym słowem, nie zrobiono nic, aby olbrzymie kredyty zagraniczne wykorzystać na konwersję gospodarki i przestawienie jej z obłądnych torów produkcji dla produkcji na produkcję dla człowieka..

P.: — Zmieniono nawet nazewnictwo planu. Zamiast Planu Gospodarczego od siedmiu lat mamy Plan Społeczno-Gospodarczy, a przymiotnik „społeczny” ma oznaczać wysunięcie na pierwsze miejsce sprawy zaspokojenia potrzeb społeczeństwa.

O.: — Po tej linii możemy pójść dalej. Zmieniono nie tylko nazwę planu ale także wiele elementów w propagandzie polityczno-gospodarczej. Wymyślono nowe slogany, jak np. „Budujemy drugą Polskę”, lub „Aby Polska rosła w siłę a ludzie żyli dostatniej”. Na tle słabości budownictwa mieszkaniowego i katastro-

falnego zaopatrzenia w żywność, oba te zawołania są po prostu kpiną z codziennych doświadczeń społeczeństwa. Ogólnego obrazu nie zmieniają pewne posunięcia dokonane w dziedzinie polityki społecznej, zresztą niewystarczające i niejednoznaczne, jak np. owe emerytury dla rolników. I ostatnia z ważnych spraw: nie wprowadzono konsekwentnie nowej polityki rolnej, lecz stosowano zmienną i pełną wahań taktykę w gruncie rzeczy ograniczającą rozwój gospodarstw indywidualnych i podrywającą zaufanie chłopów.

P.: — To właśnie owe dziury w worku, przez które wyciekły kredyty dolarowe?

O.: — Trafnie Pan to ujął.

P.: — Czy to jednak w końcu niedobrze, że te kredyty zasilają naszą gospodarkę? Konkretnie mówiąc, jak należy oceniać rolę kredytów zachodnich?

O.: — Ambiwalentnie. Z jednej strony dobrze się stało, że zaciągnęliśmy kredyty w krajach zachodnich, gdyż można było oczekiwać, iż to zwiąże naszą gospodarkę z Zachodem i doprowadzi do pewnych jej zmian. W tej fazie oceniałem pozytywnie tę politykę. Jednak później przewagę uzyskał element negatywny. Okazało się, że kredyty zachodnie są protezą, która pozwala właśnie na utrwalenie dotychczasowego systemu gospodarczego, gdyż pokrywa jego niedołęstwo, stwarzając pozory dynamiki inwestycyjnej i dynamiki płac z wewnętrznych zasobów gospodarki. Szczególnie drastycznie ta ich rola występuje w kredytach zbożowych. Ogromna kredytowa sprzedaż zbóż Polsce przez USA pozwala partii prowadzić w rolnictwie politykę ograniczania gospodarstw indywidualnych, politykę marnotrawstwa ziemi przez przekazywanie jej SKR-om, politykę przygotowywania peגיעeryzacji. Taki jest teraz sens polityczny tych kredytów i tamci powinni o tym wiedzieć.

P.: — Ale adresatem Pana rady powinni być „nasi” a nie „tamci” i kiedy jest już źle, to dobrze chociaż, że „tamci” sprzedają zboże na kredyt. Odwróćmy zależność, i gdyby polityka rolna była rozsądna kredyty nie byłyby potrzebne. Ale wracając do tematu, co trzeba zrobić, aby zatkać dziury w worku?

O.: — To, co powiedziałem, oznacza, że wszystkie problemy, jakie stały przed gospodarką polską w roku 1970, stoją również obecnie, w roku 1978, tylko w zaostrzonej formie. Pyta Pan, co trzeba zrobić? Wspomniane na wstępie „Uwagi” zawierają pewne propozycje niewystarczające, a niektóre nawet wprost nie

do przyjęcia, jak np. postulat ograniczenia żądań podwyżek płac. Wydaje się, że zarówno trzej ekonomiści jak i autorzy „Uwag” nie doceniają różnic między programem długookresowym, który jest właściwie wykazem celów, a programem doraźnym, który musi nakreślić drogi i metody przejścia od stanu obecnego do stanu, w którym można będzie realizować program docelowy. Jeżeli chodzi o program docelowy, to na ogół panuje zgoda: chcemy zmiany struktury gospodarki w kierunku zwiększenia udziału — jak to się mówi — funduszu spożycia i chcemy zmiany systemu funkcjonowania gospodarki przez rozluźnienie żelaznego gorsetu centralizmu administracyjnego.

P.: — Ale jak to zrobić?

O.: — Właśnie tutaj potrzebny jest program doraźny, czyli program przejścia. Trzeba zdać sobie przy tym sprawę, że nie może to być tylko program gospodarczy, ale muszą to być także działania polityczne i moralno-społeczne.

P.: — Od czego zacząć?

O.: — Trudność polega na tym, że wyprowadzenie gospodarki z tego obecnego kryzysu wymaga pewnych działań, które mogą być dla pewnej części społeczeństwa niepopularne. Trzeba po prostu zapłacić za szkody i błędy, popełnione przez dotychczasową politykę i ktoś, kto chce ratować gospodarkę, musi to uczynić. Zacząć trzeba od rzeczy prostej, ale bardzo ważnej: od przywrócenia w Polsce gospodarki towarowo-pieniężnej, choćby w tym zakresie, jaki miała do roku 1970.

P.: — Może zechciałby Pan to wyjaśnić?

O.: — Z przyjemnością. W naszym kraju są wprowadzone pieniądze, płaci się nimi za towary w sklepie, ale zakres obrotu pieniężnego zawęża się coraz bardziej. Gospodarstwa domowe, czyli my, oraz przedsiębiorstwa, czyli zakłady w których pracujemy, kupują potrzebne im rzeczy, przedmioty konsumpcji i środki produkcji za pieniądze, ale to jest pozór. Faktycznie uzyskujemy te dobra z przydziału. Pewien stan reglamentacji występował zawsze w gospodarce PRL i pieniądź w tym systemie nigdy nie odgrywał aktywnej roli. Ale w poprzednim okresie podział dochodu w ujęciu wartościowym, czyli w postaci pieniądza mniej więcej odpowiadał podziałowi w ujęciu rzeczowym. Mówiąc obrazowo: podział dochodu narodowego na maszyny i chleb określał podział pieniędzy, przeznaczonych na maszyny i chleb. Wynikało z tego, że podział pieniężny, jakkolwiek wtórny jednak

raz dokonany, stanowił czynnik dyscyplinujący strukturę rzeczową dochodu narodowego. Pamiętajmy o tym, że chodzi tu o podział pieniężny dochodu narodowego, który występował w planie w postaci funduszu płac, limitów inwestycyjnych, wydatków budżetu itd., a nie o żywiłowe przesunięcia strumienia pieniądza. Jednym słowem, w poprzednim okresie pieniężna strona planu miała pokrycie w jej stronie rzeczowej, przynajmniej w ramach dużych grup asortymentowych. Obecnie ta elementarna zasada jakiego takiego porządku została zburzona. Nie wchodzimy już w przyczyny tej patologii, ale warto wskazać, że ilustracją jej jest wysunięte hasło i metoda tzw. „Planu otwartego” — wyjątkowo szkodliwa dewiacja.

P.: — Innymi słowy, plan jest niezbilansowany?

O.: — Tak to się nazywa w żargonie planistycznym, choć oznacza to tylko część tego zjawiska, o którym mówię. A więc, podział rzeczowy dochodu narodowego dokonuje się w całkowitym oderwaniu od jego strony wartościowej. Centralny planista, którego nazwać by należało centralnym sabotażystą, dokonuje podziału dóbr i usług, składających się na bieżący i przyszły dochód narodowy, nie oglądając się na podział pieniędzy, jakiego sam uprzednio lub jednocześnie dokonał w planie. Dziedzina, w której występuje to zjawisko w jaskrawej formie, są inwestycje. Nie wystarczy być w planie, nie wystarczy mieć limitu inwestycyjnego, trzeba mieć zapewnioną tzw. moc wykonawczą, która to moc została rozdysponowana na pniu już, bez uwzględnienia tego, kto i na co ma limit inwestycyjny. Nawet jeżeli przydzielono ją zgodnie z limitem, to w każdej chwili może być przerzucana na inną budowę, a „limit” zostanie zamrożony (tak to dzwacznie brzmi w żargonie planistycznym). Ilustracją tej sytuacji były metody budowy huty „Katowice”, gdy milicja na drogach zatrzymywała samochody ciężarowe, wiozące materiały budowlane (jakikolwiek i dokądkolwiek) i kierowała na plac budowy huty, gdzie zwalano to wszystko bez żadnego planu, ładu i składu... Wynika więc z tego, że pieniądz (planowy) wprawdzie jest jeszcze na ogół warunkiem koniecznym, ale coraz bardziej jest warunkiem niewystarczającym dla uruchomienia procesów gospodarczych. To trzeba natychmiast i radykalnie zmienić. W ten sposób pozbawi się centralnego „planistę” głównego narzędzia dezorganizowania gospodarki.

P.: — A co dalej?

O.: — Gdy już przywrócimy pieniądzwowi jakie takie znaczenie, to trzeba następnie przywrócić dyspozycję nad nim tym, którzy

go zarabiają, to znaczy przedsiębiorstwom. Taki jest ekonomiczny sens postulatu samodzielności przedsiębiorstw. Trzeba więc radykalnie ograniczyć powiązania przedsiębiorstw z budżetem przez to, że zmniejszy się podatki, jakie przedsiębiorstwa wpłacają do budżetu. Należy zdecydowanie większą część nadwyżki ekonomicznej pozostawić w przedsiębiorstwie, tworząc przez to fundusz dla samofinansowania jego rozwoju. Pozostawienie większej części nadwyżki ekonomicznej w przedsiębiorstwie doprowadzi — i to będzie trzeci krok — do zmniejszenia budżetu tej pompy ssąco-tłoczącej która od kogo innego ssie i komu innemu tłoczy, stanowiąc jakby gigantyczne zwrotnice, przy pomocy których centralny planista przestawia tory procesów gospodarczych. W 1978 roku budżet obejmuje ponad 57 % dochodu narodowego i to stanowi (po przywróceniu pieniądzwowi pokrycia rzeczowego) główne narzędzie woluntaryzmu gospodarczego. Ograniczając dochody budżetu, uniemożliwiamy finansowanie kilkusetmiliardowych dotacji, które wypaczają strukturę produkcji i popytu oraz relacje cen.

P.: — Czy to znaczy, że budżet będzie miał mniej pieniędzy na finansowanie klasycznych wydatków budżetowych?

O.: — Nic podobnego. Cała sfera tzw. konsumpcji społecznej musi być nadal finansowana z budżetu (oświata, ochrona zdrowia, kultura itd.) i to w znacznie większej obfitości niż dotychczas. Likwidacji ulegnie natomiast część w budżecie, zwana „finansowaniem gospodarki narodowej”. Wreszcie, w czwartym roku, trzeba zmienić pozycję polityczno-gospodarczą banku centralnego, uniezależniając go od centralnego planisty w zakresie emisji i osłabiając tę zależność w bieżącej polityce kredytowej. Jest to konieczne, aby centralny planista, pozbawiony dotychczasowych dochodów budżetowych, nie kreował pieniądza przez jego drukowanie (robi to również obecnie) i aby nie wypaczał swoimi preferencjami kredytowymi i dotacyjnymi kierunków rozwoju gospodarki.

P.: — Czy zatem centralny planista nie będzie mógł podejmować decyzji inwestycyjnych, dotyczących nowych, wielkich inwestycji?

O.: — Absolutnie nie! Doświadczenie wykazało, że czyni on to w sposób nieodpowiedzialny i ta jego działalność jest główną, bezpośrednią przyczyną naszych obecnych trudności gospodarczych.

P.: — Kto ma zatem to robić i co ma robić centralny planista?

O.: — Strukturotwórcze decyzje inwestycyjne będą podejmować branżowe zrzeszenia (spółki) przedsiębiorstw w trybie samofinansowania zasilanego oczywiście kredytem bankowym, na własny rachunek i ryzyko. Natomiast centralny planista może zająć się planem perspektywicznym.

P.: — Jak mają działać przedsiębiorstwa, od których tak wiele będzie się oczekiwać?

O.: — Właśnie o nich chcę kilka słów powiedzieć. Skazane na samofinansowanie, a przy tym wyposażone w samorząd robotniczy (prawdziwy) staną się rzeczywistymi przedsiębiorstwami, ponoszącymi odpowiedzialność za swoją gospodarkę. Ta sytuacja wymusi na nich zwiększenie efektywności, co wyrazi się dostosowaniem produkcji do potrzeb rynku, poprawą jakości, a z drugiej strony objawi się oszczędnościami w zaangażowaniu czynników produkcji, czyli surowców i siły roboczej. Należy przewidzieć zwolnienie części obecnie zatrudnionych jako likwidację tzw. zatrudnienia społecznego.

P.: — A więc bezrobocie?

O.: — Po co zaraz takie groźne słowo? Po prostu wynik konwersji gospodarczej, koniecznej dla uzdrowienia naszej ekonomiki. Ale to jest właśnie jedno z niepopularnych pociągnięć, które trzeba zrobić. Nie oznacza to jednak bezrobocia, tylko przesunięcie ludzi do innych przedsiębiorstw, co oczywiście może wiązać się z pewnymi trudnościami. Dla ich pokonania trzeba mieć odpowiedni fundusz, nazwijmy go funduszem Konwersji.

P.: — Przyzna Pan, Profesorze, że niektórzy ludzie boją się tego systemu, którego obraz Pan nakreślił?

O.: — Nie jestem pyszałkowatym propagandzistą i przyznaję to. Ludzie boją się, że stracą zabezpieczenie społeczne, które obecny system choć w skromnym zakresie im gwarantuje. Dlatego też trzeba podkreślić, że instytucje zabezpieczenia społecznego pozostaną i w nowym systemie, a środki na ten cel zostaną zagwarantowane. Natomiast musi zniknąć ta swoista forma zabezpieczenia społecznego, która tutaj wyrosła i która wyraża się znanym powiedzeniem: „Czy się stoi, czy się leży, od państwa nam się należy”. Każdy, kto żyje, musi mieć zabezpieczone minimum społeczne, wszystko, co ponad to, będzie wynikiem pracy i przedsiębiorczości.

P.: — Gdy mowa o przedsiębiorczości, to co z rozwarstwieniem dochodów?

O.: — Jest nieuniknione. Również i dlatego, że trzeba otworzyć możliwości tworzenia przedsiębiorstw poza układem państwowym, w szerokiej sferze usług, drobnego przemysłu, rolnictwa itd., co pozwoli wchłonąć przesuniętą siłę roboczą i jednocześnie poprawi strukturę produkcji.

P.: — Wszystko to jest bardzo interesujące, ale wydaje mi się dość ogólne...

O.: — Ogólne, ale nie ogólnikowe, lecz konkretne. Konkrety mogą mówić nie tylko o szczegółach, lecz na początku winny dotyczyć właśnie ogólnych zasad systemu. Opracowanie szczegółów nie jest trudne. Można by usiąść przy biurku na kilka tygodni i zrobić szczegółowy „algorytm przejścia” z opisem poszczególnych działań, etapów, rozwiązań, ról gospodarczych i społecznych poszczególnych instytucji, wytypowaniem możliwych alternatyw po każdym kroku itp. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że nowy system nie może urodzić się za biurkiem, lecz musi być rezultatem doświadczeń tysięcy i milionów ludzi, dokonywanych metodą prób... i błędów. Jego powstanie to cały proces społeczny i wtedy będzie on autentyczny i akceptowany.

P.: — Kto to wszystko ma zrobić?

O.: — Pan, ja, my wszyscy. Poeta pisał:

*„Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi,
niechże w nie duch Twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi”.*

Naród śpi, a treść jego snów układa towarzysz Gierek, mając go samochodem i dobrze wyposażonym mieszkaniem (*Polityka* nr 22/78). Ubogi duchem to sen... Naród śpi, gdy część jego synów, wielu porządnych ludzi i dobrych Polaków została skorumpowana legitymacją partyjną. Większość pozostaje jednak w bierności dlatego, że nie wierzy w możliwość alternatywy. Głównym czynnikiem, który tak hipnotyzująco działa jest przekonanie o niezmierzonej, jakoby, potędze Rosji, która — jak przed wiekami — pełni rolę gwarantki obecnego stanu w Polsce. Sytuacja międzynarodowa od czasu do czasu potwierdza to przekonanie, a niektórzy ludzie z Zachodu, przyjeżdżając tutaj, pogłębiają defetyzm. Brak wiary w alternatywę rodzi bierność. Partii udało się wmówić ludziom, że jej „socjalizm” jest tak nieuchronny jak śmierć...

P.: — A czy według Pana jest nieuchronny?

O.: — Oczywiście że nie. System został stworzony przez ludzi i przez ludzi może być obalony. Postawa fatalistyczna jest niegodna człowieka, wolnego człowieka! Trzeba ludzi natchnąć wiarą, że po pierwsze, sytuacja zewnętrzna ulega ciągłej zmianie i my też możemy być jednym z czynników tej zmiany...

P.: — Jest jeszcze sprawa kosztów...

O.: — Nie trzeba zaraz przewidywać sytuacji krańcowych. Jest wiele wyjść pośrednich i rozwiązań stopniowych, ale trzeba do tego dążyć. Po drugie, sytuacja wewnętrzna kraju może się rozwijać w pewnej autonomii do nacisku z zewnątrz, co daje nam określone możliwości. Działanie demokratycznej opozycji, konkretne działania KSS „KOR” pokazały, że takie możliwości istnieją. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że są one daleko niewykorzystane.

P.: — Opozycja ma jeszcze przyszłość przed sobą...

O.: — A może wzrosnąć w siłę tylko w działaniu. Trzeba więc naród zbudzić ze snu i zorganizować do działania obywatelskiego. Trzeba podjąć dyskusję nad Programem Ocalenia, ocalenia przed postępującym rabunkiem pracy narodu, przed wyjąłowaniem jego duszy, przed rabunkiem bogactw naturalnych kraju. Program powinien być wszechstronny, ale w sprawach gospodarczych obowiązek opracowania takiego programu mają ludzie uważający się za ekonomistów. Przecież jest ich wielu: profesorów, doktorów, dyrektorów przedsiębiorstw, menadżerów. Jest tragiczne, w swojej wymowie społecznej i ludzkiej, że sztandar niezależnej obywatelskiej myśli ekonomicznej wznosi prawie samotnie profesor Edward Lipiński, człowiek dziewięćdziesięcioletni, a żwawi pięćdziesięciolatek na stołkach profesorskich i dyrektorskich pokornie powtarzają ogłupiające komunały i posłusznie wykonują szkodliwe dyrektywy.

P.: — Pojedynczy ludzie, indywidualnie, nie mogą wiele zdziałać. Trzeba współpracy, porozumień, organizacji...

O.: — Ma Pan rację. Ale są przecież organizacje społeczno-zawodowe, a Polacy mają szczytne tradycje działalności społecznikowskiej i samorządowej. Istnieje NOT, istnieje Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, od pewnego czasu dodające do swej nazwy określenie „Stowarzyszenie wyższej użyteczności”. Gdzież jest ta wyższa użyteczność? Czy w tych sloganowych wykładach, które taśmowo chałturzą PTE-owskie Dyrekcje Szkolenia Zawodowego? Dlaczego PTE, w obliczu kolejnych kryzysów naszej

gospodarki, nie podejmuje wielkiej, obywatelskiej dyskusji? Czy prezes prof. dr hab. Józef Pajestka i inni promineneci tego „Towarzystwa” nie zdają sobie sprawy ze swej społecznej i moralnej odpowiedzialności? I cóż odpowiedzą w przyszłości, gdy postawi się im pytanie: „Wiele was było i co zrobiliście?”.

G ł o s Nr 7.

Mateusz MATECKI

POZA SPOŁECZEŃSTWEM

W pierwszym numerze *Twórczości* w 1945 roku ukazał się esej Kazimierza Wyki „Gospodarka wyłączona”. Wyka pisał o skutkach Drugiej Wojny Światowej w dziedzinie psychologii gospodarczej w Polsce. Podczas gdy dla obywateli państw sprzymierzonych nie podbitych przez Niemcy Druga Wojna Światowa była okresem mobilizacji sił nie tylko na frontach, ale i w gospodarce, w Polsce gospodarka została wówczas wyłączona ze sfery działań składających się na ruch oporu politycznego, wojskowego, kulturalnego. Przemysł został w znacznej mierze przejęty przez okupanta, a to, co z gospodarki pozostało w rękach polskich, ograniczało się do rolnictwa i drobnego handlu. Ta ułomna gospodarka rozwijała się nielegalnie (lub na pograniczu legalności): kolidowała z prawem stanowionym i bezprawiem stosowanym przez okupanta; prowadzenie działalności gospodarczej było zagrożone drakońskimi karami.

„Gospodarka wyłączona moralnie z życia narodu pozostawiła fatalne nawyki psychologiczne [...]. Teraz dopiero płacimy psychologiczną cenę okupacji” — pisał Wyka w 1945 roku. Cena do zapłacenia podniosła się jeszcze od tego czasu. Gospodarka wyłączona nie skończyła się wraz z okupacją niemiecką i wkroczeniem do Polski wojsk radzieckich. Do dziś gospodarka nie jest wyłączona w życie społeczne kraju. Nie jest to dziwne, gdyż życie społeczne istnieje w formach szczątkowych. Gospodarkę włączono do polityki, a więc do dziedziny zastrzeżonej dla kierownictwa PZPR. Upolitycznienie gospodarki odrywa ją od życia społecznego i czyni ją narzędziem utrzymywania się przy władzy tych, którzy władzę w swe ręce dostali.

Gospodarkę upaństwowiono i nie jest ona nadzorowana i kontrolowana przez społeczeństwo. Wokół działalności gospodarczej narosły natomiast szczególne interesy. Oczywiście, nie jest złem samym w sobie, gdy ktoś działa zgodnie z własnym interesem. Rzecz jednak w tym, że w gospodarce upaństwowionej nie wynaleziono mechanizmów, które sprzyjałyby stosunkowo mało szkodliwemu sumowaniu się interesów indywidualnych i przekładaniu działań zgodnych z interesem indywidualnym w działania pozytywne dla szerszych zbiorowości społecznych.

Spostrzeżono już, że w monopartyjnym systemie etatystycznym dochodzi do skutku umowa społeczna zawierana jawnie lub milcząco przez władzę z jej poddanymi. Państwo i partia dają poddanym ochronę w proporcji do ich podporządkowania się i gotowości do posłuszeństwa. Członek PZPR uzyskuje lepsze warunki niż bezpartyjny, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa — lepsze niż ktoś ze sfer pozapolicyjnych. W gospodarce zawiera się podobne umowy. Pracownicy są premiowani w zależności od tego, w jakiej mierze są skłonni do podporządkowania. Mówi się z tej racji o *quasi*-feudalnych właściwościach socjalizmu istniejącego rzeczywiście.

Obserwator z zewnątrz mógłby stwierdzić, że przecież jest jeszcze jedna strona umowy, rzadko dostrzegana: klient, który korzysta z działalności instytucji, takich jak placówki służby zdrowia lub szkolnictwa. Otóż to jest uczestnik procesów gospodarczych, który zwykle przegrywa i niewiele znaczy w umowie, jaką pracownik — funkcjonariusz zawiera ze zwierzchnikami, a pośrednio — przez kolejnych zwierzchników — z kierownictwem partyjno-państwowym. Klient może jednak nie przegrywać. Tak dzieje się, gdy należy do grupy uprzywilejowanej lub jest z nią związany i z tej racji jego interes może być uwzględniany przez rozdawców dóbr: mieszkań, miejsc na uczelni, paszportów, towarów zwykłych i luksusowych.

Problem jest trudny: jak zmienić warunki socjalistycznej umowy społecznej, tak aby uwzględniały one interesy nabywcy usług i towarów (nieodpłatne przydzielanie usług i towarów nie powinno zmniejszać uprawnień odbiorców). Czy możliwe jest zatem co najmniej częściowe przywrócenie społeczeństwu gospodarki narodowej, wytwórczości i usług? Włączenie gospodarki do życia społecznego nie przestało być problemem od 1945 roku.

G ł o s Nr 8.

Zygmunt KARLIŃSKI

MITY GOSPODARCZE

Niniejsze opracowanie jest w jakimś sensie kontynuacją „Listu do przyjaciół”. Z tego też względu na wstępie przypomnę tezy, do których w sposób bezpośredni lub pośredni będę odwoływał się w tym artykule.

Quasi-feudalizm

Prawa rządzące naszym społeczeństwem są podobne do praw rządzących społeczeństwem feudalnym. Etatom w instytucjach przypisane są określone przywileje. Każdy ma swego seniora, którym może być jego bezpośredni przełożony lub instytucja nadająca przywileje wraz z etatem. Przywilejem jest cały zakres spraw, które można załatwić dzięki pełnionemu stanowisku. Im wartość tych przywilejów jest większa od wynagrodzenia, tym większa jest zależność od seniora, tym silniej będzie działało w naszym społeczeństwie prawo racjonalności właściwe feudalizmowi. Wartość obywatela zależy nie od tego, co zrobił, jak wykonał swą pracę, lecz od tego, jak oceni go senior, którego jest wasalem lub poddanym. Ponieważ rozdawnictwo przywilejów jest powszechne, a wartość ich znacznie przekracza wartość wynagrodzenia (np. przydział mieszkania odpowiada sumie 300 tys. do 1 mln. złotych), to podstawowym celem, jaki realizują obywatele Polski jest maksymalizacja (rozszerzenie, pomnażanie) przywilejów. Wobec tego postępowaniem racjonalnym będzie takie, które pozwala uzyskać jak najwięcej przywilejów. Będzie to takie zachowanie, które najbardziej zadowoli seniorów i wyniesie nas w ich oczach. Z tego też względu teza o „negatywnej selekcji kadr”, choć atrakcyjna, jest niepełna. Tzw. „negatywny dobór kadr” jest podporządkowany głównemu celowi zachowań w naszym społeczeństwie, tj. rozszerzeniu i obronie przywilejów. Dobiera się takich ludzi, którzy najlepiej obsłużą feudała i wzmocnią jego pozycję w oczach jego z kolei seniora, tymczasem mówiąc o „negatywnej selekcji kadr” mamy na myśli sytuację, gdy dobór kadr jest nieracjonalny, lub też gdy ludzie wybrani postępują nieracjonalnie.

Panuje u nas nieporozumienie co do określenia „postępowanie racjonalne”. Zakłada się milcząco, że „postępowanie racjonal-

ne” jest ponadczasowe i jednoznaczne dla całego świata. Jednakże w rzeczywistości dla każdej struktury społecznej istnieje odmienne „postępowanie racjonalne”, związane ściśle z tą strukturą. Racjonalne jest takie postępowanie, które pozwala na realizowanie głównego celu działań w danym społeczeństwie. Jeśli takim celem jest rozszerzenie przywilejów (np. w feudalizmie), to postępowaniem racjonalnym będzie zdobywanie przywilejów. W przypadku gdy takim celem jest maksymalizacja zysku (w kapitalizmie), to postępowaniem racjonalnym będzie maksymalizacja dochodu przy określonym nakładzie lub minimalizacja nakładów przy określonym dochodzie.

Ponieważ nasza gospodarka oraz nasza świadomość społeczna nie są feudalne, a tylko są rządzone prawami podobnymi jak w społeczeństwie feudalnym, nazwałem naszą strukturę społeczną *quasi-feudalną*. Nazwa ta ma na celu jedynie ułatwienie prowadzenia wywodu. Charakterystyczną cechą systemu *quasi-feudalnego* jest jego opadająca wydajność. Przyczynia się do tego niska mobilność społeczna, przyrost naturalny, brak chłonności innowacji i postępu technicznego, ciągle rosnący niezbędny poziom konsumpcji, wreszcie straty wynikające z niskiego poziomu produkcji oraz błędnych decyzji gospodarczych. Przez wydajność systemu rozumiem stosunek dochodu narodowego wytworzonego do iloczynu społecznie niezbędnego jednostkowego poziomu konsumpcji przez liczbę ludności biorącej udział w konsumpcji tego dochodu.

Mity gospodarcze

W wyniku wielkich braków w naukach społecznych spowodowanych przez niedemokratyczną strukturę polityczną, przez indoktrynację prymitywnej ideologii, przez cenzurę, świadomość nasza jest oparta na mitologicznym widzeniu zjawisk społeczno-gospodarczych. Główne mity utrudniające nam zrozumienie rzeczywistości to: „gospodarka planowa”, „rynek”, „ceny”, „reforma gospodarcza”, „samorząd”.

Gospodarka planowa

Zacznijmy od gospodarki planowej. Dyskusja o wyższości lub niższości gospodarki planowej od systemu rynkowego należy do tej samej kategorii co dyskusja o wyższości świąt Bożego Na-

rodzenia nad świętami Wielkiejjocy. Gospodarki planowej do-tychczas nigdy i nigdzie nie zrealizowano. Te systemy gospodar-cze które określa się mianem gospodarki planowej, są tylko roz-winiętymi systemami ekonomii wojennej, które najsprawniej dzia-łyły w stanie wojny lub mobilizacji. Systemy panujące w krajach socjalistycznych mają cechy charakterystyczne dla gospodarki wo-jennej, której istotą jest bilansowanie potrzeb według stałych norm oraz dostarczenie poszczególnym jednostkom gospodarczym i innym środków, wyliczonych według rozdzielnika. Podstawo-wym instrumentem, zapewniającym sprawną realizację uprzed-nio zbilansowanych potrzeb jest rozkaz. W takim systemie istnieją tylko dwa problemy: poprawny bilans (ekonomiści taki bilans nazywają planem) — oraz sprawna dystrybucja. A jeśli coś nie wychodzi, to uważa się, że źle zrealizowano rozkaz lub, że sabotażyści źle zbilansowali potrzeby.

Metoda bilansowania pociąga za sobą określone rozwiązania organizacyjne i narzuca określony sposób widzenia zjawisk gospo-darczych. Z pola zainteresowania władz, ekspertów i społeczeń-stwa wymyka się wiele istotnych zjawisk. Np. mało kto zwraca uwagę na fakt, że za znane ujemne zjawisko, jakim jest nad-mierny pęd do inwestycji, odpowiada wąska interpretacja sław-nego wzoru prof. M. Kaleckiego, według którego jedyną drogą wzrostu dochodu narodowego są inwestycje. Interpretacja ta jest abecadłem ekonomistów polskich, wierzą w nią też bez zastrzeżeń władze. Realizacja jest ewidentnie szkodliwa. Jeśli nasze ekonomiczne myślenie nie wychodzi poza mechanizm bilan-sowania, to usprawnienia będą szły albo w kierunku ulepszeń w konstrukcji bilansu, a wtedy będziemy głosili hasła typu „Infor-matyka kluczem do dobrobytu” albo też w kierunku poprawy dystrybucji przez decentralizację i jakieś modele typu WOG (Wielkie Organizacje Gospodarcze).

Z potrzeby bilansowania rodzi się m.in. pęd do autarkii, do rozwijania gałęzi surowcowych i przemysłu zbrojeniowego. Przy autarkii bilansowanie jest łatwiejsze i bardziej realne, zaś gałęzie surowcowe bilansować jest najłatwiej. Bilansowanie przemysłu przetwórczego (a zwłaszcza lekkiego) jest niemal niemożliwe. W gospodarce bilansowej istnieje silny nacisk ekspertów i władz na kolektywizację i upaństwowienie rolnictwa, bo wtedy można bilansować środki a następnie sprawnie je rozdzielać. W syste-mie gospodarki wojennej lub bilansowej, dyskusja „centralizm czy decentralizacja” jest pusta — żaden z wariantów nie zmienia bowiem istoty zła. Twierdzenie, że model centralistyczny jest lepszy lub gorszy od modelu zdecentralizowanego jest w ramach takiego systemu gospodarczego nie uzasadnione. W praktyce, że

względu na możliwości stojącej do dyspozycji techniki bilansowania, trzeba rezygnować z modelu ściśle centralistycznego. Natomiast „błędy w bilansowaniu” w modelu zdecentralizowanym zmuszają do ingerencji centrali, ingerencji często nietrafnych i zbyt nerwowych. Historia działalności ekipy gierkowskiej potwierdziła w całości tezę o konsekwencjach decentralizacji w systemie gospodarki bilansowej. Po grudniu zdecentralizowano niektóre decyzje gospodarcze, zdecentralizowano w pewnym sensie nawet planowanie, które stało się wynikiem przetargów dołu z górą. Wynikły z tego bałagan w planowaniu, znany wszystkim, został opisany w wydanych przez Niezależną Oficynę Wydawniczą „Uwagach o sytuacji gospodarczej kraju”. Zarówno model zdecentralizowany jak i centralistyczny opierają się na stagnacyjnym systemie gospodarki wojennej. Niezależnie od tego, który będzie realizowany, skutki muszą być negatywne dla społeczeństwa.

Naiwni ekonomiści proponują wariantowanie planów (czytaj bilansu). Nie wiadomo tylko, w jakim celu i w jaki sposób mają te warianty powstawać, ponieważ plan nie jest wynikiem ani jakichś racjonalnych założeń, ani realizacji uprzednio określonych preferencji społecznych. Plan powstaje drogą przetargów między Komisją Planowania a resortami; między resortem a zjednoczeniami; między zjednoczeniem a przedsiębiorcami. Co roku w zjednoczeniu odbywa się się „walka o plan”. Zjednoczenia walczą z resortem o przydział jak najmniejszego zadania. Natomiast swoim przedsiębiorstwom starają się narzucić jak najwyższe zadania, co jest dodatkową przyczyną olbrzymiej presji na inwestycje w naszej gospodarce. Przedsiębiorstwa walczą o inwestycje, bo w ramach inwestycji można pofolgować w dysponowaniu funduszem płac. A jak bardzo można sobie pofolgować, niech świadczy Huta Katowice, gdzie na każdą wydaną złotówkę — 50 groszy przypada na płace. Jest to przerażający wskaźnik, jeżeli weźmiemy pod uwagę dużą kapitałochłonność inwestycji tego typu.

Wypunktujmy, jakie problemy nie mogą być pomyślnie rozwiązane w gospodarce bilansowej: innowacje, postęp techniczny w procesie produkcji, wynalazki, sterowanie procesami stochastycznymi, gospodarka samorządowa, realizacja nowych potrzeb, tworzenie nowych produktów. Nie znaczy to, że w gospodarce bilansowej (wojennej) wymienione wyżej zagadnienia w ogóle nie są rozwiązywane. Znaczy to tylko tyle, że rozwiązywanie tych zagadnień dezorganizuje gospodarkę, jest jednym z czynników bałaganu, a postęp gospodarczy możliwy jest często tylko dzięki temu bałaganowi. Czy można w gospodarce bilansowej stworzyć dobry plan?

Zastanówmy się, co to jest dobry plan i kto ma decydować o jego walorach. Dla aparatu gospodarczego dobry plan polega na tym, że można go zrealizować bez wysiłku i ryzyka. Plany takie można łatwo tworzyć, takie w praktyce powstają. Dla społeczeństwa dobry plan to taki plan, który realizuje najlepiej jego potrzeby. Jeśli nawet w cudowny sposób udało by się plan taki stworzyć, to w gospodarce bilansowej nigdy nie uda się go zrealizować. A to dlatego, że plan dobry dla społeczeństwa wymaga wzrostu wydajności całego układu gospodarczego, a nie tylko robotnika.

Powstają pytania, jak długo może działać system gospodarki bilansowej? Jaka wykształci się struktura społeczna, jeśli taki system będzie działał dostatecznie długo?

Wynikiem działania systemu bilansowego jest określona sytuacja polityczna wraz ze specyficznymi instrumentami sprawowania władzy takimi jak terror polityczny, monopol niedemokratycznej partii, korupcja, nieprzestrzeganie prawa, które często jest zmieniane i niestabilne. W tych warunkach gospodarka bilansowa wykształciła w Polsce *quasi*-feudalną strukturę społeczną z feudalną racjonalnością działania.

Ze społecznego punktu widzenia istnienie gospodarki bilansowej na dłuższą metę jest niemożliwe, gdyż powoduje spadającą wydajność systemu. Natomiast z punktu widzenia władzy politycznej jest to system wymarzony i w swej prostocie bardzo atrakcyjny. Z punktu widzenia konsumenta jest to system dobry, dopóki realizuje jego potrzeby. Z chwilą, gdy potrzeby konsumenta przestaną być realizowane, konsumenci będą dążyli do zreformowania systemu poprzez decentralizację, samorząd lub wprowadzenie elementów gospodarki rynkowej, tak jakby elementy gospodarki rynkowej miały jakąkolwiek moc poza systemem rynkowym.

Model gospodarki bilansowej powstał jako uogólnienie gospodarstwa domowego; a w rzeczywistości gospodarka narodowa nie jest ani uogólnieniem gospodarstwa domowego, ani też uogólnieniem gospodarstwa chłopskiego, jak to sobie wyobrażała ekipa Gomułki. Gospodarka narodowa jest to złożony system wielorakich procesów gospodarczych i społecznych. W takim przypadku planowanie nie może być bilansowaniem potrzeb, lecz musi stać się sterowaniem rozwojem poszczególnych procesów. Tragedia polega na tym, że tkwimy w micie gospodarki planowej nie mając planowania. Do tego dodajmy kolejny mit: reform, które mają reformować gospodarkę planową, to jest coś czego nie ma.

Innym mitem, który leży u podstaw wszelkich prób zreformowania systemu gospodarki bilansowej, jest koncepcja funkcji spełnianych w naszej gospodarce przez ceny. Twierdzi się, że spełniają one (1) funkcje sterujące, np. zrównywanie popytu z podażą, dystrybucji dochodu, oraz (2) informujące, tzn. informują producentów i konsumentów o kosztach produktów, a przez to mają informować przedsiębiorstwa o pożądanych kierunkach zużycia środków produkcji, a indywidualnych konsumentów — o pożądanych kierunkach spożycia. Tymczasem w naszej gospodarce ceny są jedynie instrumentem dystrybucji dochodów. Służą wprawdzie do ustalenia poziomu konsumpcji globalnej lecz nie regulują struktury konsumpcji, to znaczy nie sterują kierunkami spożycia. Dzieje się tak dlatego, że kierunki rozwoju produkcji wynikają z bilansu (planu) a nie z informacji cenowej.

Ponieważ struktura cen nie jest dopasowana ani do struktury konsumpcji ludności, ani do zapotrzebowania przedsiębiorstw, nikt kupując nie patrzy na ceny, lecz nabywa to, co w danej chwili jest.

Tak więc ceny nie mogą w gospodarce bilansowej spełniać funkcji informacyjnych, a tym bardziej sterujących. W zarządzaniu informacja jest to przecież wiadomość, która inicjuje jakąś reakcję lub decyzję. Wszelkie manipulowanie cenami może w gospodarce bilansowej służyć li tylko do drenażu pieniądza, który, jak już wyżej pisaliśmy, państwu nie przynosi większych korzyści, a może prowadzić do stagnacyjnej równowagi gospodarczej. Podwyżki cen lub ich obniżki mogą prowadzić do redystrybucji dochodów między poszczególne grupy społeczne, pod warunkiem, że dokonuje się to na towarach, których konsumpcja różnicuje te grupy społeczne. Podwyżka cen (drenaż) prowadzi do weryfikacji podziału planowanego globalnego dochodu narodowego na inwestycje i konsumpcję, oczywiście z korzyścią dla inwestycji. A więc planowany podział jest przekreślony. A przecież możliwość planowania konsumpcji i inwestycji jest przyczyną, dla której cały świat kroczy ku różnym formom gospodarki planowej. Podział dochodu na inwestycje i konsumpcję jest najważniejszą decyzją gospodarczą dla jakiegokolwiek typu gospodarki planowej czy też rynkowej. Pęd do inwestowania powoduje, że państwo dąży do maksymalnego drenażu pieniądza znajdującego się w rękach indywidualnych konsumentów. W praktyce polityka cen i polityka podatkowa zwiększa stopę inwestycji. Pogląd, że ceny w gospodarce bilansowej są lub też mogą być para-

metrami decyzji gospodarczych jest pobożnym życzeniem, jest mitem, który dotychczas bardzo dużo kosztuje społeczeństwo.

Pragnienie reform

Duża niewydolność gospodarki powoduje silne pragnienie reform. Pragnienie to jest silniejsze od potrzeby dokonania dokładnej analizy istniejącego stanu rzeczy. Podstawową przesłanką, przyjmowaną w domyśle przez reformistów, jest przekonanie, że aparat gospodarczy potrafi oraz chce rozwiązać problemy gospodarcze zgodnie z ogólnym interesem. W tym miejscu należy reformistom zwrócić uwagę na to, że gdyby przesłanka ta była prawdziwa, to proponowane reformy nie byłyby w ogóle potrzebne.

Główną tendencją dotychczas proponowanych reform była potrzeba zapewnienia możliwości podejmowania bezbłędnych decyzji. Propozycje reform nie szły więc w kierunku usprawnienia, korygowania błędnych decyzji, naprawiania szkód wynikłych z tych decyzji oraz szybkiego wykrywania negatywnych zjawisk gospodarczych, lecz w kierunku decentralizacji, ulepszania samorządu oraz powoływania różnych społecznych ciał doradczo-kontrolnych.

Inną przesłanką dokonywanych reform było przekonanie, że można zbudować taki wskaźnik oceny przedsiębiorstw, który pozwoliłby na decentralizację decyzji przy centralizacji planowania (bilansowania). Załogi byłyby premiowane w zależności od tego wskaźnika, a kierownictwa byłyby doskonałe na ten wskaźnik wrażliwe. Wrażliwość ta byłaby pozytywna, tzn. jeśli załoga i kierownictwo przedsiębiorstwa chciałyby uzyskać lepszą ocenę (premię), to jedyną drogą byłoby usprawnienie produkcji. W koncepcji tej nie bierze się w ogóle pod uwagę możliwości istnienia negatywnej wrażliwości na wskaźnik. Polega ona na tym, że załoga uzyskuje dobrą ocenę drogą decyzji negatywnych z punktu widzenia twórców wskaźnika, takich jak podwyżka cen, ucieczka od niewygodnego asortymentu, zwiększenie kosztów produkcji itp. Wskaźniki te miałyby być oparte o ceny, których wartość parametryczna nie istnieje przecież w systemie gospodarki bilansowej.

Rynkowa reforma funkcjonowania gospodarki zakłada po pierwsze, że taki rynek istnieje, po drugie zaś, że kierownictwo przedsiębiorstwa działa rzeczywiście w oparciu o plan i ceny. Ceny z kolei potrzebne są do racjonalnego funkcjonowania gospodarki w ramach przyjętego planu. W tym momencie powstaje

sprzeczność kierunku działania gospodarczego przedsiębiorstwa wynikającego z planu — z kierunkiem działania wynikającym z informacji cenowej. Aby ta sprzeczność została rozwiązana, struktura cen musiałaby być zgodna ze strukturą planu. W tym przypadku struktura cen będzie musiała zmieniać się wraz z planem. Grozi to oczywiście niestabilnością struktury cen. Niestabilna struktura cen przestaje jednak wpływać na podmioty gospodarcze. Aby ceny mogły być parametrem decyzji skłaniającym do obniżki kosztów produkcji, trzeba by zmusić przedsiębiorstwa do zainteresowania się realizacją swego towaru na rynku. W obecnej chwili przedsiębiorstwo sprzedaje produkt państwowemu przedsiębiorstwu handlowemu i to, co się dalej dzieje z tym produktem, jest mu obojętne. Uspołeczniony handel martwi się jak upchnąć towar. Ponosi koszty utrzymania towaru w sprzedaży, najwygodniej mu w takim razie obracać jak najmniejszą ilość towaru. Powstaje w ten sposób znana wszystkim sytuacja — przemysł wykonuje plany, a towarów w sklepach brak. Gdzie są towary? Są one m.in. w hurtowniach (nie muszą to być tylko buble).

Przedsiębiorstwa martwią się tylko o plan, a nie o realizację produkcji na rynku. Nie martwią się też o plajtę finansową, jeśli bowiem splajtuje przedsiębiorstwo, to za plajtę odpowiada tylko władza. Stąd tyle różnych instytucji, które dbają o to, aby przedsiębiorstwa broń Boże nie splajtowały. Plajta nie jest problemem kierownictwa przedsiębiorstwa ani tym bardziej załóg. Jeśli chcielibyśmy, żeby przedsiębiorstwa tworzyły plany w oparciu o rynek, to ten rynek musiałby być bardzo silny, a kierownictwo przedsiębiorstw musiałoby być bardzo wrażliwe na informację rynkową i musiałoby umieć tę informację rynkową analizować, a następnie na nią reagować. Z umiejętnością analizowania informacji rynkowej i reagowania na nią sprawa nie jest prosta, nie wystarczy dokonać reorganizacji i wydać nowe przepisy. Pomijając ogromny problem walki z nawykami, trzeba zmienić w tym momencie cały sposób podejmowania decyzji. Potrzebny jest do tego inny aparat pojęciowy, praktyczne metody rozwiązywania problemów zupełnie nowych dla aparatu gospodarczego, takich jak prognozowanie i marketing. Takiej metodologii działania gospodarczego, niezbędnej w systemie gospodarki rynkowej, ekonomia socjalizmu nie stworzyła. Oprócz tego trzeba byłoby rynek wzmocnić importem konkurencyjnym, bo nie można przecież liczyć na mechanizm wolnej konkurencji. Musielibyśmy zgodzić się na bankructwa i nieudane przedsiębiorstwa. Wszystko to nie mieści się w gospodarce bilansowej oraz w feudalnej strukturze politycznej naszego kraju. Ogniwa aparatu gospodar-

czego nie są w ogóle wrażliwe na ceny. Są natomiast wrażliwe na ocenę, dokonaną przez stosujących wyżej feudałów. Straty, jakie kierownik jednostki gospodarczej poniesie w wyniku negatywnej oceny przez feudała są znacznie większe, niż korzyści, jakie może osiągnąć z prawidłowej reakcji na ceny.

Rady robotnicze

Istnieje u nas mocno zakorzeniony mit rad robotniczych. Jest to mit piękny i szlachetny, jednakże z punktu widzenia mechanizmów gospodarczych zastąpienie technokratów radami robotniczymi niczego nie zmienia. Wartość decyzji i jej jakość nie zależy od tego kto ją podejmuje. Wiadomo przecież, że wartość ta zależy od adekwatności decyzji do rzeczywistości oraz od realności realizacji decyzji. Oczywiście łatwiej jest realizować decyzje podjęte przez ciała mające społeczną akceptację. Ale jest to już polityka i nie dotyczy meritum problemów sterowania gospodarką.

Z chwilą przekazania decyzji radom robotniczym stajemy przed problemem wrażliwości tych rad na wskaźniki oraz na ceny. Stajemy przed problemem podejmowania decyzji i dodatkowo jeszcze przed problemem kompetencji takiego ciała. Na to, aby rady robotnicze mogły autentycznie działać, muszą istnieć takie zagadnienia, które tylko rady będą mogły rozwiązywać. Musi być odpowiednie pole decyzji, aby w radach znaleźli się ludzie aktywni, którzy pragną i potrafią decyzje podejmować. Musi istnieć taki układ, w którym decyzje gospodarcze byłyby sprawniej podejmowane przez rady robotnicze niż przez technokratów. Nie wystarczy wołać o rady robotnicze, o zwiększenie ich roli, trzeba jeszcze określić układ warunków gospodarczych i społecznych niezbędnych do tego, aby te rady rzeczywiście podejmowały i realizowały decyzje zgodne z interesem społecznym. Aktualne pole działania samorządu robotniczego sprowadza się do decyzji czy dwieście złotych ma dostać panna Mania czy pan Edzio. Do takiego samorządu nigdy nie wejdą ludzie aktywni, będą szli tam, gdzie rzeczywiście można podejmować decyzje albo machną ręką — po co mi to — i staną na uboczu.

Jestem przeciwnikiem dotychczasowych propozycji reform dlatego, że rzeczywistość gospodarcza przedstawia się ich autorom w fałszywym obrazie. Obraz ten skażony jest bilansomanią, pseudoplanami oraz pseudoproblemami gospodarczymi. Nie dostrzega się, że społeczeństwo tkwi w układzie gier feudalnych. Nie chcemy przyznać się do wielkiej niewiedzy o sobie, o prawach rządzących społeczeństwem i naszymi reakcjami. Trzeba wiedzieć, że bez uporządkowania prawa — prawa w sensie praworządności

i demokratyzacji stosunków społecznych — nie uporządkujemy reguł społecznych decydujących o kryteriach decyzji. Bez tego nie mamy co marzyć o jakiegokolwiek reformie gospodarczej. Dla nas jedyna droga to ewolucja ze społeczeństwa feudalnego w społeczeństwo wolne i nowoczesne. Ewolucja od ekonomii bilansowej do ekonomii stochastycznej. Ewolucja od umysłu zniewolonego mitami do umysłu wolnego od przesądów.

G ł o s Nr 8.

Zygmunt KARLIŃSKI

UWAGI DO UWAG

Praca pod tytułem „Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju” jest klasycznym przykładem funkcjonowania w naszej świadomości mitów gospodarczych. W oparciu o te mity dokonana jest ocena sytuacji gospodarczej, jak też zgłoszone są propozycje niezbędnych zmian. Chciałbym podkreślić tu dużą zasługę Autorów, ich wysiłek oraz wielką odwagę pisania na tak drażliwy i zaciemniony temat, jakim jest sytuacja gospodarcza Polski.

Na początku opracowania Autorzy wyliczają wszystkie wady i braki gospodarki, o których można usłyszeć w tramwajach, kolejkach, w zakładach pracy i na przyjęciach. Jeżeli chodzi o moje upodobania, to brak mi w tej pracy analiz ujemnych zjawisk ekonomicznych, brak pokazania mechanizmów, funkcjonujących w naszej gospodarce, tym bardziej, że po wyliczeniu objawów zgłaszają Autorzy pakiet niezbędnych posunięć. Na co uskarżają się Autorzy materiału:

„Przeważającą część decyzji centralnych, nawet najważniejszych, podejmuje się poza planem; incydentalnie, bez wszechstronnego uzgodnienia ich konsekwencji. Nie tylko społeczeństwo nie ma żadnego wpływu na te decyzje, lecz prawie nie uwzględnia się również opinii niezależnych ekspertów”. „Eliminowano wszelkie koncepcje nieoficjalne, jeżeli dotyczyły jakichkolwiek istotniejszych kwestii. Nie tylko nie istniały możliwości przedstawienia nieoficjalnych koncepcji opinii publicznej, ale zablokowano nawet możliwości przedstawienia ich władzom”. „W obecnym systemie interesy materialne dyrektorów i załóg są sprzeczne z interesami gospodarki narodowej”. „Rozwój gospodarczy był kształtowany przez decyzje, podejmowane incydentalnie, w da-

nym momencie skutecznie przepchnięte przez ten lub inny ośrodek władzy, te żywiołowe procesy w obrębie centralnych władz gospodarczych anarchizowały całe życie gospodarcze. Określenie preferencji społecznych i ustalenie polityki, zgodnej z tymi preferencjami stało się fikcją. Postanowienia planu centralnego pozostawały na papierze”.

Analizując starannie powyższe stwierdzenia powinniśmy zrozumieć, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji. Poza określeniem „kryzys gospodarczy” oraz stwierdzeniem, że za to wszystko odpowiada niedemokratyczna władza, nie nasuwają się żadne inne wnioski. Zarzut, że plan był na papierze, jest permanentnie słuszny od samego początku istnienia gospodarki planowej. Obecnie tak nas to razi, gdyż na każdym kroku widzimy bałagan. Ale właśnie ten bałagan pozwolił na unowocześnienie przemysłu, co jest ilustracją wyżej zgłoszonej przeze mnie tezy, że w gospodarce bilansowej postęp techniczny jest możliwy tylko dzięki bałaganowi. Teza o sprzeczności interesów wymaga chwili zastanowienia.

Odnosi się wrażenie, że gdyby nie było sprzeczności interesów, to automatycznie poprawiłaby się sprawność naszej gospodarki. Teza o sprzeczności jest jednak nieprecyzyjna, jak też niczym nie udokumentowana. Autorom zapewne chodzi o to, że dyrekcje i załogi nie są zainteresowane w racjonalizacji swojej działalności gospodarczej. Oczywiście chodzi tu o racjonalizację w sensie maksymalizacji dochodu (zysku).

Taki brak zainteresowania nie musi wynikać jednak ze sprzeczności interesów. Jeżeli chciałoby się obronić tezę o takiej sprzeczności, to trzeba by było wykazać, że gdy załogi racjonalizują swoją działalność, to jednocześnie realizują interesy sprzeczne z celami gospodarki narodowej. Obronienie tej tezy byłoby obroną gospodarki bilansowej. Osobiście nie mam nic przeciwko istnieniu sprzeczności interesów pomiędzy poszczególnymi uczestnikami procesu gospodarczego. Więcej powiem: boję się braku takich sprzeczności. Istotne jest, jak rozwiązuje się te sprzeczności, z jakim wynikiem dla całej gospodarki. Na przykład, sprzeczność interesów między producentem a konsumentem radioodbiorników może być rozwiązana w dwojaki sposób: albo producent przystosuje się do życzeń konsumentów albo konsumenci do warunków producenta. Jedyny moment wspólnoty interesów w tym wypadku może nastąpić wtedy, gdy producent i konsumenci w ogóle nie chcą produkcji radioodbiorników. Widzimy, że niezbyt zachęcająca jest ta wspólnota interesów. Autorzy przemycają świadomie lub nieświadomie tezę, że władze autorytatyw-

nie, bez liczenia się z czymkolwiek zdaniem, a szczególnie z ekspertami, podejmowały decyzje gospodarcze.

Nie jest moim celem obrona niedemokratycznej władzy, lecz zrozumienie procesów i zjawisk, jakie występują w naszym społeczeństwie. Twierdzenie ekspertów „myśmy chcieli dobrze, tylko oni nas nie słuchali” możemy włożyć między bajki dla grzecznych dzieci. Prawdą natomiast jest, że niedemokratyczny system spowodował zupełny brak odpowiedzialności ekspertów za ich wnioski. Często wnioski te były wynikiem radosnej twórczości, często wreszcie przygotowywano je pod zgadywane z fusów życzenia władz. Wytworzyło to brak zaufania władz do ekspertów, a z drugiej strony pogardę ekspertów dla władz za wstrzemięźliwość, obawy i taktkę odwlekania decyzji do momentu, kiedy można było podjąć tylko jedną decyzję. Twierdzenie, że były formułowane inne, nieoficjalne koncepcje gospodarcze, budzi co najmniej wątpliwości. Do roku 1974 ekonomiści zajmowali się radosną twórczością, różnice pomiędzy nimi sprowadzały się do dyskusji, ile procent komu przydzielić.

Prawdą natomiast jest, że występował ostry konflikt między aparatem gospodarczym a Komisją Planowania. Po grudniu 1970 roku aparat gospodarczy otrzymał większy zakres decyzji, można nawet mówić o daleko idącej decentralizacji decyzji gospodarczych. Do 1975 roku wszelkie konflikty między Komisją Planowania, resortami lub zjednoczeniami były przez władze rozstrzygane na korzyść tych ostatnich. Powodem takiego obrotu sprawy był oczywiście brak zaufania do kompetencji Komisji Planowania, która broniła bilansu o wątpliwych dla wszystkich wartościach. Z drugiej zaś strony wystąpiło przekonanie, że jeśli przeznaczy się środki na przemysł, to na pewno wcześniej czy później się to zwróci. Główne pretensje ekonomistów do Konferencji partyjnej dotyczą niewyrażenia zgody na podwyżki cen żywności oraz niepowstrzymania nadmiernych inwestycji.

Zgadzam się, że za kryzys gospodarczy odpowiada głównie niedemokratyczny system władzy, tylko że system ten wpłynął na sytuację gospodarczą inaczej, niż to tłumaczą Autorzy omawianego materiału. Nie o to chodzi, że podejmowano decyzje autokratycznie, bo gdyby te decyzje były idealne, to nikt nie miałby pretensji. Chodzi o to, że wytworzono pustkę metodologiczną i technologiczną w procesie podejmowania decyzji. Każda decyzja była zarazem dobra i zła, nie było metody na określenie, która jest prawidłowa. W tej sytuacji jedynym rozwiązaniem stało się podejmowanie tych decyzji, których nie podjąć nie można było. Stąd właśnie wypływa cała żywiołowość decyzji, jakie władze podejmowały. Mało tego — władze podejmując wymuszone

decyzje, za każdym razem bały się ich. Wystarczy podać jako przykład podwyżkę cen w 1976 roku, z którą władze bardzo się ościagały. Podjęły tę decyzję w takiej sytuacji politycznej i międzynarodowej, że w wypadku jakichkolwiek rozruchów niemożliwa była interwencja zewnętrzna¹. Nie mówiąc już o tym, że Milicji Obywatelskiej odebrano broń palną.

Autorzy „Uwag...” poza głównym winowajcą kryzysu, jakim jest niedemokratyczny system, przyczynę wszelkich nieszczęść gospodarczych widzą w braku równowagi. „Brak równowagi pogłębił społeczną nieefektywność działania organizacji gospodarczych. Przede wszystkim, wyłączony został mechanizm ekonomicznego przymusu racjonalizacji”. Teza ta jest atrakcyjna podobnie jak wszystkie inne omawiane w tym materiale, ale mija się z rzeczywistością. To właśnie na odwrót, nieefektywność działania organizacji gospodarczych oraz brak istnienia mechanizmu racjonalizującego działalność spowodowały brak równowagi rynkowej. „Ofiarą braku równowagi rynkowej padła reforma gospodarcza”.

Paradoksalne, ale rzeczywistość względem Autorów jest przewrotna, zamienia im przyczynę na skutek, a skutki na przyczyny. Oto wspomniana reforma — WOG-i — była jednym z głównych winowajców inflacji. Kierownictwo i załogi WOG-ów okazały się negatywnie wrażliwe na wskaźniki wartości dodanej. Wachlarz decyzji, jakie można było podjąć, aby uzyskać dobry wskaźnik wartości dodanej bez żadnych pozytywnych skutków w procesie produkcji był przecież dość duży. Z tych możliwości WOG-i szczerze korzystały. Ich kierownictwa świadomie podrażały koszty produkcji. W swoim czasie badano, jaki wpływ ma ruch cen na wartościowy przyrost produkcji — dla WOG-ów wpływ ten był największy. Nierzadkie były przypadki ukrywania spadku produkcji wzrostem cen.

Tyle uwag, jeżeli chodzi o ocenę sytuacji gospodarczej kraju. Proponowany pakiet niezbędnych reform jest konsekwencją powierchowości tej oceny. Podzielony jest on na dwie grupy, jako że mamy dwóch winowajców: niedemokratyczną władzę oraz brak równowagi. Pierwsza część mówi — jak zdemokratyzować władzę, druga — jak osiągnąć równowagę. Postulaty zmian politycznych są bardzo hasłowe: ograniczenie cenzury, wzmocnienie przedstawicielstwa, zwiększenie niezależności związków zawodowych, autentyczne samorządy w zakładach pracy. Poza wzmianką o cenzurze, wszystkie te postulaty znajdują się od lat w uchwałach zjazdowych PZPR i wielu innych ciekawych

1. W następnym tygodniu po podwyżce odbywała się narada Partii Komunistycznych w Berlinie.

deklaracjach. Trudno jest dyskutować z hasłami — widmami, jedynie warto zwrócić uwagę na ten drobny fakt, że formalnie od strony prawnej, poza cenzurą, wszystkie te hasła są spełnione. Tak więc, problem w zasadzie istnieje nie w przepisach, lecz w rzeczywistości. A jak tę rzeczywistość zmienić, tego Autorzy nie piszą. Piszą natomiast: „Nie sądzimy, by należało postulować kształtowanie samodzielności związków zawodowych jako prostej kopii modelu, którego dopracował się ruch zawodowy w kapitalistycznych krajach Zachodu. Realia naszej gospodarki są inne”. Przyjmują oni tezę, że skoro nie ma podziału na właścicieli środków produkcji oraz na siłę najemną, to i nie ma sprzeczności interesów między pracodawcami a zatrudnionymi. Teza ta jest tylko drobną odmianą prymitywnego komunizmu, dla którego już samo uspołecznienie środków produkcji wprowadzało raj i sprawiedliwość społeczną na ziemię.

Można by się zgodzić, że uspołecznienie środków produkcji usuwało przyczynę niesprawiedliwości, lecz materia krzywd społecznych jest bardziej skomplikowana. Możliwość konfliktów i ich różnorodność jest znacznie bogatsza, niż to wymieniają Autorzy. Tak więc, odżegnywanie się od pełnej samodzielności związków zawodowych budzi poważne wątpliwości o jakie związki zawodowe Autorom chodzi.

Rzeczywistość, którą pragniemy zmienić jest kształtowana przez fikcję prawną. Fikcja prawna jest wynikiem nadmiernej ilości przepisów, często ze sobą sprzecznych, wynikiem działalności pozaprawnej całego społeczeństwa, a w szczególności aparatu państwowego i partyjnego, nie mówiąc już o aparacie policyjnym. Praktycznie każdy obywatel znajduje się poza prawem i w ten sposób prawo nie pełni u nas żadnych funkcji organizujących społeczeństwo. Pozwolę sobie, nie dyskutując bezpośrednio ze zgłoszonymi przez Autorów postulatami politycznymi, zgłosić zmiany instytucjonalne, jakie uważam za niezbędne. Dla zahamowania tworzenia zbędnych lub sprzecznych przepisów z obowiązującymi ustawami oraz zahamowania działalności aparatu administracyjnego, sprzecznej z tymi ustawami, należałoby powołać sądownictwo administracyjne, którego funkcje mogłyby pełnić istniejące komisje arbitrażowe. Do zadań takiego sądownictwa należałaby kontrola wydawanych zarządzeń i przepisów administracyjnych; gdyby jakieś rozporządzenie było sprzeczne z obowiązującymi ustawami, sądownictwo to miałoby prawo i obowiązek uchylać je.

Przed sądownictwem administracyjnym obywatele mieliby prawo zaskarżać wszelkie decyzje administracyjne (np. decyzje cenzury, decyzje paszportowe i inne). Żadna nowa ustawa ciała

przedstawicielskiego nie mogłaby być wprowadzona w życie bez pisemnej opinii odpowiedniego szczebla sądu administracyjnego, co do jej zgodności z obowiązującymi przepisami. Musiałyby nastąpić zmiany w ustawach o prasie, wydawnictwach, cenzurze, paszportach, stowarzyszeniach i zgromadzeniach.

Wymienione przeze mnie postulaty opierają się na tezie, że każdy układ prawny staje się fikcyjnym, jeżeli nie są przestrzegane prawa człowieka i obywatela. Jest to tylko mała część niezbędnych zmian, aby przywrócić funkcjonowanie prawa w naszym kraju. W chwili obecnej należy dokładnie prześledzić przykłady nadużywania prawa, dokonywane przez prokuraturę, organy MO, kolegia orzekające etc. i tak sformułować postulaty zmian, aby w przyszłości tego rodzaju nadużycia nie były możliwe. Z tego też względu jestem głęboko wdzięczny za lekcje nadużywania prawa, dawane przez wymienione instytucje.

W doraźnych propozycjach gospodarczych Autorzy „Uwag...” stawiają tezę o racjonalnej strukturze cen, do której należy dojść poprzez reformę cen. Mówienie ogólnikowo o racjonalnej strukturze cen bez podania kryteriów tej racjonalności jest nieodpowiedzialnym gołosłowiem, które podważa zaufanie do rzetelności takiego programu. Twierdzenie, że ceny powinny być oparte na kosztach produkcji ma tę wadę, że koszty te obliczane są w oparciu właśnie o te nieracjonalne ceny. Ponadto koszty produkcji obecnie wcale nie odzwierciedlają nakładów niezbędnych dla wytworzenia wyrobu. Oparcie cen o ceny światowe jest na ogół dla wszystkich decyzją co najmniej wątpliwą, w każdym bądź razie racjonalnej struktury cen nie uzyska się opierając ceny o koszty produkcji lub ceny światowe. Obecna wadliwa struktura cen jest wynikiem niesprawiedliwości istniejących w gospodarce polskiej oraz polityki fiskalnej państwa, która sprowadza się do maksymalizacji akumulacji pieniężnej na wszystkich towarach, przeznaczonych na rynek. Tak więc, nie ma co marzyć o reformie cen, która dałaby racjonalną strukturę, ponieważ reforma ta, niezależnie od szczerych lub nieszczerych intencji jej twórców, będzie prowadziła tylko do obniżenia konsumpcji a nie do racjonalizacji struktury. Jeżeli rzeczywiście chcielibyśmy osiągnąć poprawę w strukturze cen, należałoby usprawnić gospodarkę oraz zmienić politykę fiskalną państwa. Nie wiadomo też, dlaczego proponowaną reformę cen miano by uzyskać przez podwyżkę cen niektórych wyrobów, a nie przez obniżkę cen innych. W domyśle Autorzy przyjmują zasadę, że cena jest nieracjonalna wtedy, gdy państwo do niej dokłada.

Przypuśćmy, że dla towaru „A” dopłaca państwo 10 zł. do jednej sztuki. Tak się złożyło, że na materiałach i narzędziach,

potrzebnych do wytwarzania towaru „A” państwo pobiera nadmierną akumulację pieniężną. Ta akumulacja jest tak wielka, że w kosztach wytworzenia jednostki towaru „A” wynosi przykładowo 100 zł. Dlaczego w takim razie, dla uzyskania racjonalnej ceny dla towaru „A”, czyli zniesienia dopłaty 10-ciozłotowej, należy podnieść cenę towaru „A”, a nie obniżyć nadmierną akumulację na narzędziach i materiałach, potrzebnych do wykonania tego towaru?

Nadal nikt nie policzył, jak będzie zmieniać się popyt na poszczególne towary w zależności od zmian cen. Mało tego, komisje cen obliczają zyski ze zmian cen zakładając, że popyt na nie się nie zmienia. Wydaje się, że dość dokładnie uzasadniłem we wcześniejszej części tego tekstu, że konsumenci dążą do nabycia poszczególnych towarów bynajmniej nie dlatego, że są dezinformowani cenami. To samo dotyczy producentów.

Dziwią mnie niekonsekwencje Autorów omawianego materiału. Piszą dużo o pijanym budżecie, o jego zgubnych konsekwencjach, a w doraźnych propozycjach proponują podwyżki cen alkoholu, upijając w ten sposób jeszcze bardziej budżet państwa. Argumentacja o nadmiernym alkoholizmie jest demagogiczna, dotąd dopóki nie będzie poparta konkretnymi propozycjami zmniejszenia konsumpcji alkoholu, dopóki nie rozliczy się środków, przeznaczonych na walkę z alkoholizmem, dopóki zysków z podwyżek cen wódki nie przeznaczy się w całości na tę walkę. Natomiast świadome zwiększanie wydatków ludności na alkohol o 10 %, co proponują Autorzy, ma wiele konsekwencji ujemnych, nie mówiąc już o tym, że zwiększamy w ten sposób rolę alkoholu w życiu rodzinnym i społecznym. Niepokojące jest również, że Autorzy nie biorą w ogóle pod uwagę możliwości pędzenia bimbru i wynikających z tego ujemnych konsekwencji, a jest to całkiem realne, szczególnie przy istniejącym braku zaufania dla polityki fiskalnej państwa.

Jeśli zaś chodzi o proponowaną podwyżkę cen mięsa, to przy takim dostępie do informacji, jaki posiadają autorzy oraz całe społeczeństwo, nie miałbym odwagi w ogóle czegoś takiego proponować, a tym bardziej uzasadniać tezę, że „Polacy jedzą za dużo mięsa”. Dodatkowymi czynnikami, które zwiększają moje opory wobec takiej podwyżki są:

- zbyt duże ceny nabiału, ryb i podrobów,
- niska jakość sprzedawanego mięsa,
- trudności w nabyciu innych towarów spożywczych,
- brak przekonania, że w wyniku podwyżki cen mięsa nie będzie go brakowało na rynku.

Brak przekonania wynika z obserwacji dantejskich scen w

sklepach komercyjnych i garmazeryjnych, gdzie mięso jest droższe prawie dwukrotnie. Autorzy proponowanej podwyżki kokieterijnie piszą „celem podwyżki cen mięsa nie może być jednak ani zmniejszenie, ani całkowite zahamowanie wzrostu jego spożycia w przyszłości. Chodzi o to, aby przy tej samej konsumpcji mięso rzeczywiście było w sklepach, by wyeliminować protekcję, łapówki, kolejki itp.”. Zdanie to wymaga chwili zastanowienia, jeżeli nie chcemy potraktować go jako gołosłownej, pełnej sprzeczności wewnętrznych deklaracji. Przesłanką powyższej tezy jest przekonanie, że popyt na mięso jest wyższy od jego konsumpcji oraz, że globalny poziom spożycia można utrzymać pomimo podwyżki cen, poprzez dokonanie zmian w społecznej strukturze konsumpcji mięsa. Jeżeli chodzi o pierwszą przesłankę to mięso nie jest towarem, który można nieograniczenie magazynować, a w związku z tym popyt na mięso równa się jego spożyciu. Jeżeli chodzi o zmianę struktury społecznej spożycia, to największy nacisk na konsumpcję mięsa tworzą warstwy niżej zarabiające. Można uzyskać utrzymanie poziomu konsumpcji mięsa pomimo wzrostu cen tylko wtedy, gdy zwiększą się wydatki społeczeństwa na zakup mięsa. Widzimy więc, że realizacja życzeń autorów jest niemożliwa bez zwiększenia podaży mięsa, a proponowana podwyżka podaży tej w żaden sposób nie zwiększy. Załóżmy, że przez chwilę rzeczywiście popyt na mięso jest większy od jego spożycia. W wyniku podwyżki cen udało się zrównać popyt ze spożyciem. W takim wypadku, kto zrezygnuje z jego rzeczywistego spożycia? Lepiej zarabiający zaczną dopiero jeść mięso bo kolejki przestaną ich straszyć, a gorzej zarabiający zmniejszą swoje spożycie, gdyż wystawianiem w kolejkach mięsa nie zdobędą.

Tak więc, proponowana podwyżka grozi obniżeniem poziomu spożycia mięsa w określonych grupach społecznych. A to grozi nie tylko strajkiem — założmy, że władzy i opozycji uda się przekonać całe społeczeństwo o konieczności podwyżki cen — lecz spadkiem wydajności pracy oraz dezorganizacją produkcji. Jeżeli teraz będziemy chcieli mniej zarabiającym dać rekompensatę aby mogli kupować mięso, to w ten sposób zwiększymy globalny popyt i znów będą te same kłopoty z mięsem z tą różnicą, że ceny na mięso będą wyższe i większe będą kłopoty z prawidłowym podziałem dochodu narodowego.

Przypuśćmy, że podwyżką cen chcemy opłacić import mięsa — czego Autorzy propozycji w ogóle nie biorą pod uwagę — wtedy powstaje problem, jakimi towarami pokryć ten import, bo wydrenowane pieniądze nigdzie nie mają wartości. Tak więc, jeżeli można zwiększyć podaż mięsa, to na pewno nie dzięki podwyżce cen. Obecnie wiadomo, że społeczeństwo nie zaakce-

ptuje podwyżki cen, dopóki nie zdobędzie zaufania do władz. Zaufanie to musi się opierać na przekonaniu, że władze zrobiły wszystko, co można było zrobić, że wyprowadzono gospodarkę z impasu i stagnacji, że władze potrafią zrealizować decyzje gospodarcze w rzeczywistości, a nie na papierze i w telewizji. Brak akceptacji decyzji o podwyżkach cen nie musi oznaczać od razu strajków i demonstracji, może spowodować spadek wydajności, brak zaufania do następnych decyzji władz. Może uruchomić negatywną wrażliwość na podejmowane decyzje pod hasłem „śmierć frajerom”.

Znamienne jest, że w przedstawionych propozycjach konkretnie pisze się jedynie o podwyżkach, natomiast inne propozycje są potraktowane ogólnikowo. Istotnym problemem dla naszej gospodarki jest niewłaściwa polityka eksportowa, która w konsekwencji podraża spłaty zaczerpniętych kredytów oraz niezbędnego importu. Brak wymienialności złotówki oraz aktualna polityka eksportowa w praktyce powodują wyprzedaż naszego majątku narodowego. Znamienne jest zdanie jednego z wicepremierów: „Nie ma nieopłacalnego eksportu, może być tylko nieopłacalny import, wszystko, co daje dewizy jest opłacalne”. To szkodliwe i niebezpieczne stanowisko jest stanowiskiem całego aparatu gospodarczego. Korzyści, jakie gospodarka nasza odniesie w wyniku przeprofilowania polityki eksportowej są wielokrotnie większe niż proponowane zmiany.

Zbędna jest dyskusja z następującym zdaniem: „Konieczne jest zrozumienie przez całe społeczeństwo trudnej sytuacji. Konieczna jest cierpliwość i ograniczenie żądań płacowych”. Jeśli by je brać poważnie, to należałoby spokojnie czekać aż jakoś wszystko się ułoży. Ponad trzydziestoletnia historia PRL dowodzi raczej nadmiernej cierpliwości naszego społeczeństwa niż jej braku. Uzyskiwanie równowagi poprzez manipulację cenami, poza tym, że jest nierealne, ma jeszcze aspekt społeczny. W warunkach gospodarki bilansowej, społeczeństwo tylko przez brak równowagi ma możliwość zgłaszania i wymuszania od władz swoich preferencji. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w wyniku dotychczasowej polityki cen, przez długie lata nie będziemy mogli brać pod uwagę możliwości jakiegokolwiek manewru cenami. Jest to bariera psychologiczna nie do przekroczenia, tym bardziej, że potrzeba i niezbędność takiego manewru jest niczym nie uzasadniona. Bez przekształcenia naszej świadomości, bez zrewolucjonizowania nauk społecznych i ekonomicznych bytu naszego na pewno nie zmienimy. Istnieje konieczność wyjścia poza fałszywe stereotypy myślowe.

Głos Nr 11-12.

PRAWO I OBYWATEL

Jan LITYŃSKI

BIAŁYSTOK. POLSKA 1975
(F r a g m e n t)

Wyrok Sądu Rejonowego w Białymstoku¹ opiewa na 3 i 3½ roku pozbawienia wolności. Skazani — Andrzej i Marek Czyżunowie. Według aktu oskarżenia: chuligani — pobili dwu spokojnych przechodniów (braci Kozłowskich), przy próbie zatrzymania bili, kopali, gryźli i znieważali milicjantów.

Skazani nie przyznają się do winy, ich matka śle skargę za skargą do Prokuratury Rejonowej, Wojewódzkiej, Generalnej, do Sądu Najwyższego, do Sejmu. Prosi o wyjaśnienia. Odpowiedzi² są na ogół krótkie: skarga jest bezzasadna, wyrok prawomocny i sprawiedliwy. Odrzucono również podanie obrońców do Ministerstwa Sprawiedliwości o wniesienie rewizji nadzwyczajnej.

Mam przed sobą sentencję wyroku. Andrzej Czyżun został skazany za popełnienie pięciu przestępstw. Akt oskarżenia zarzucał ich mu sześć. Sąd uniewinnił go z zarzutu „czynnej napaści” na funkcjonariusza MO, sierż. Eugeniusza Charkiewicza. Charkiewicz zeznał w śledztwie, że Andrzej Czyżun go kopał. W sądzie odwołał te zeznania stwierdzając, że nie kopał go nikt. Dlaczego więc zeznał podczas śledztwa inaczej? Sąd Rejonowy i inne organa sprawiedliwości nie próbują odpowiedzieć na to pytanie. W świetle materiałów sprawy okaże się ono retoryczne. Powstaje następne: co by się stało, gdyby milicjant swych zeznań nie odwołał? Odpowiedź może być tylko jedna: Andrzej Czyżun zostałby uznany winny pobicia Eugeniusza Charkiewicza — więc za popełnienie sześciu a nie pięciu przestępstw. Bowiem

1. Przewodniczący: Lidia Hordyńska, ławnicy: Piotr Siergiejuk, Tadeusz Szege, w obecności prokuratora: Krystyny Gryszkiewicz.

2. Np. wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej — Henryka Kujawy, czy prokuratora Prokuratury Generalnej — Mieczysława Rataja.

wyrok głosi: „Wyjaśnienia obydwu oskarżonych są nieprzekonywujące w świetle dowodów w sprawie”. I dalej: „Zeznaniom omówionych świadków Sąd dał wiarę, są one przekonujące, logiczne i znajdują oparcie w złożonych zaświadczeniach lekarskich”.

Zaświadczenia lekarskie? W skardze żony Andrzeja Czyżuna, Barbary, czytamy: „Widziałam się z mężem, wygląd jego jest okropny. Pościel cała we krwi i dlatego wnoszę o natychmiastowe dopuszczenie lekarza z zewnątrz oraz przeprowadzenie oględzin przez lekarza medycyny sądowej i udzielenie pomocy lekarskiej”.

Lekarza nie dopuszczono. W 15 dni potem już w więzieniu okazało się, że drugi brat, Marek Czyżun, ma złamaną rękę. Założono gips. Ale sprawa sądowa odbyła się dopiero po kilku miesiącach i sąd już gipsu nie widział.

W wyroku sądowym czytamy: „Sergiusz Kozłowski (jeden z pobitych, przyp. J.L.) obrażeń ciała nie miał, ale mogło być przemijające szybko zacerwienie skóry, gdyż pokrzywdzony był badany 22. X. 1975 r. (a więc dwa dni po zajściu, przyp. J.L.)”. Brat Sergiusza — Aleksander Kozłowski — „doznał okularowego podbiegnięcia w skórze prawego oka i to naruszyło czynności narządu ciała na okres nie przekraczający 7 dni”. Tyle zaświadczenia; jednak obu oskarżonych skazano na kary po roku więzienia za bicie braci Kozłowskich pięściami po twarzach, kopanie „w różne części ciała”.

Nie chcę zajmować się tu rozważaniem czy bójka między Kozłowskimi a Czyżunami rzeczywiście miała miejsce. Materiały które posiadam nasuwają podejrzenie, że Czuzynowie zostali wzięci za kogoś innego, bójka naprawdę rozegrała się w zupełnie innym miejscu i nie Czyżunowie brali w niej udział. Materiał jednak jest zbyt skąpy, by móc tak twierdzić z całą pewnością.

Interesuje mnie natomiast pobicie milicjantów przez oskarżonych. Według aktu oskarżenia pobili oni trzech funkcjonariuszy MO: sierż. Popławskiego, szer. Lepietuszkę i sierż. Charkiewicza. Charkiewicza wykluczył Sąd. Pobito więc dwóch. Według aktu oskarżenia Popławski doznał „uszkodzeń ciała na okres *przekraczający 7 dni*” (dwa lata dla Marka Czyżuna). Sąd potwierdził to oświadczając jednocześnie w innym miejscu, że Popławski doznał uszkodzenia na okres *krótszy niż 7 dni*”. Jak jest więc z tymi zaświadczeniami lekarskimi?

Lepietuszeko zgodnie z treścią aktu oskarżenia zeznał, że Andrzej Czyżun go kopał. Jestem jednak w posiadaniu zdumiewającego dokumentu z późniejszego okresu: przeniesiony już do rezerwy Lepietuszeko w dokumencie tym oświadcza: „Nie

zostałem uderzony przez Andrzeja Czyżuna ani też pogryziony, co również stwierdziłem przed sądem”.

Odpis tego dokumentu, razem z innymi materiałami świadczącymi na korzyść Czyżunów, wysłała ich matka (30.09.77) m.in. do Ministerstwa Sprawiedliwości jako dowód fałszowania protokołów zeznań przez Sąd Rejonowy w Białymstoku. Oto fragment wypowiedzi Dyrektora Departamentu Józefa Mikosa: „Wersja wydarzeń podana przez Obywatelkę w połączeniu z zarzutem fałszowania protokołów rozprawy nie znajduje żadnego potwierdzenia w aktach sprawy. Zbieranie przez Obywatelkę w trybie prywatnym oświadczeń osób przesłuchiowanych uprzednio w charakterze świadków nie może podważać dowodów zgromadzonych w toku prawidłowo prowadzonego postępowania sądowego”.

.....
Głos Nr 1.

Piotr STARZYŃSKI

WROCŁAW — „MIASTO MŁODZIEŻY”

Wrocław przed rokiem 1968 nazywany był „miastem młodzieży”. Używane były również nazwy „miasto kwiatów”, „miasto młodości”. Każdemu przyjezdnemu rzucała się w oczy przewaga na ulicach ludzi młodych. Ludzie młodzi nadawali styl i tworzyli nastrój. Aktywność młodzieży wyrównała brak integracji starszego społeczeństwa przybyłego z Ziemi Wschodnich. Brak tradycyjnych środowisk, takich jakie istnieją np. w Krakowie, był kompensowany łatwością z jaką młodzież tworzyła na poczekaniu środowiska nowe, ponad przedziałami dzielącymi ludzi starszych.

Po roku 1968 sytuacja młodzieży pragnącej żyć niezależnie od uznawanych przez państwo form organizacyjnych uległa wyraźnemu pogorszeniu. Milicja otrzymała zadanie zlikwidowania wszystkich grup młodzieży, w jakikolwiek sposób wyróżniających się na tle reszty społeczeństwa. Obecnie w blisko milionowym mieście nie ma dla nich miejsca. Każde spotkanie ze znajomymi może zakończyć się w komisariacie lub przed kolegium. Nawet niewielka liczba osób (4-5) przebywająca razem w mieszkaniu może być z tego mieszkania zabrana, jeśli spotkanie nie odbywa

się przy alkoholu i muzyce bliskiej uchu milicjanta. Każdy niekonwencjonalny szczegół w ubiorze gospodarza lub gościa zaostrza sytuację. Duża ilość takich szczegółów powoduje zarejestrowanie mieszkania jako „meliny hipisów” oraz regularne odwiedzanie go przez milicję. Odtąd lepiej nie bywać w takich mieszkaniach, jeżeli nie ma się jeszcze kartoteki ze zdjęciami i odciskami palców. Jeśli jakaś grupa strażników spotyka się nadal w zarejestrowanym mieszkaniu gospodarz narażony jest na różne szykany: od wyroku kolegium za trzymanie w mieszkaniu niemeldowanych osób, wzmocnionego uderzeniami pałki, po wypuszczenie przez okno gazu łzawiącego w środku nocy.

Pozostawałyby wobec tego kawiarnie, najlepiej Klubu Międzynarodowego Książki i Prasy, gdyż nie podaje się tam alkoholu, można poczytać prasę i podyskutować z ludźmi o różnych przekonaniach. Pierwsza pacyfikacja kawiarni „Empik”, jedynej tego rodzaju we Wrocławiu, odbyła się w roku 1970, kiedy to władze pouczyły personel kawiarni kogo należy wpuszczać a kogo nie. Między innymi zakazem wstępu do „Empiku” objęto Rafała Wojaczka. Akcja w roku 1970 powiodła się tylko częściowo. Wygnani bywalcy wracali pojedynczo i ukradkiem. Personel, mimo że poszerzony o byłych pracowników MO, nie potrafił określić, do której kategorii obywateli należą wchodzący.

W roku 1976 zdecydowano się zrezygnować całkowicie ze stałych bywalców kawiarni. Ustawiono strażę przy drzwiach i aby wygnani nie wracali z chwilą, gdy pamięć ich twarzy się zatrze, wprowadzono w kawiarni zakaz palenia tytoniu. Od przeszło roku kawiarnia, niegdyś przepelniona żywo dyskutującymi ludźmi, straszy pustymi stolikami. W innej kawiarni wrocławskiej odmawia się niektórym gościom obsługi, powołując się na milicję, która zabrania obsługiwania osób wygnanych z „Empiku”.

Pozostaje więc ulica. Należy tylko stale uważać i w razie czego uciekać, gdyż ulica bardziej niż jakiekolwiek miejsce zagraża *łapanką, pałowaniem i legitymowaniem*.

Pałowanie. Polega na biciu pałkami, pięściami i kopaniu. Pałującymi są grupy funkcjonariuszy milicji, pałowanym może być każdy: niezależnie od wieku i płci. Odbywać się może w bramie, na podwórku, w „budzie” (ciężarowy samochód milicyjny) albo na komisariacie. Pałowany może być poinformowany o powodzie pałowania (np. „szpeci Rynek Wrocławski”) albo nie. Pałowanie rozpoczęte w jednym miejscu może być kontynuowane w innym. Można po pałowaniu w bramie zostać wrzuconym do „budy”: po pałowaniu dokonanym w „budzie” zawieszonym do komisariatu itp. Osoba pałowana może otrzymać gratis $\frac{1}{2}$ litra

alkoholu wlewanego przez zęby. Jeśli zachowała silną szczękę i uda się jej obronić przed upiciem, zostaje oblana wódką, aby chociaż czuć było od niej alkohol. Zapach alkoholu jest przydatny np. przed kolegium. Albowiem pałowane osoby, co do których pałujący zorientowali się, że ich pozycja społeczna jest niska i możliwość obrony żadna, stawiane są następnego dnia przed kolegium i osądzone za czyny chuligańskie. Można dożyć później starości i nie być spałowanym ani razu, jeśli wygląd nasz sugeruje, że dzięki uprzywilejowanej pozycji społecznej będziemy mieli odwagę podjąć obronę prawną. Można też być pałowanym systematycznie, jeśli wyglądamy na lumpa, przygłupa lub recydywistę, a naszą spodziewaną reakcją na pałowanie będzie wstyd i chęć zatajenia faktu. Pałujący kierują się prawie bezbłędnie intuicją przy dobieraniu sobie ofiar i tylko wyjątkowo zdarza się im spałować kogoś kto nazajutrz spróbuje się bronić prawnie.

Pałowania nie muszą być częste i regularne. Pamięć o każdym pałowaniu trwa długo w środowisku spałowanego i wywiera określony skutek psychologiczny.

Legitymowanie jest namiastką pałowania. Jako metoda mniej drastyczna może być stosowana z większą częstotliwością. Nie polega na zwykłym odczytaniu dowodu osobistego. Niejednokrotnie należy wyjaśnić, skąd i dokąd się idzie, co ma się w torbie (z okazaniem), czemu chodzi się główną ulicą a nie bocznymi. Czasem aby legitymowanie mogło być bardziej dokładne, osoba legitymowana doprowadzana jest do jakiegoś lokalu (np. lokal MPK na Placu Solnym) i tam legitymujący funkcjonariusz może kontynuować legitymowanie siedząc na krześle. Niekiedy legitymowania przenoszone są na komisariaty i do bram kamienic, i wówczas może zatrzeć się różnica między legitymowaniem a pałowaniem. Sprawą sprytu i talentów psychologicznych obywateli jest, aby do takiego przeobrażenia nie dopuścić.

Ważne: Każda osoba wylegitymowana może być po niedługim czasie werbowana na konfidenta.

Werbowanie konfidentów. Młody człowiek, który zetknął się z milicją, a ta stwierdziła, że żyje on w interesującym ją środowisku, jest z reguły nagabywany o współpracę. Można też nigdy dotąd nie rozmawiając z milicjantem, otrzymać telefon od akademika lub mieszkańca od nieznanego stawiającego przed wyborem „albo pan przyjdzie do nas, albo my po pana”. Można być zaczepionym na ulicy przez tajniaków, wtrąconym na noc do celi, by rano otrzymać „atrakcyjną” propozycję zatrudnienia. Bywało, że młody człowiek odmawiający współ-

pracy otrzymywał broń do ręki i był informowany, iż w tej chwili ma prawo być zabity przez funkcjonariusza w obronie własnej.

Ł a p a n k a. Łączy w sobie elementy legitymowania, werbowania konfidentów, a niekiedy pałowania. Chociaż łapanką objęta jest zwykle jedna mniejszościowa grupa społeczna, łapanie są również osoby przypadkowe. Łapanki przeprowadza się w miejscach publicznych, jednak „złapanym” można też być we własnym mieszkaniu, gdy leży się w łóżku. Osoby złapane mogą być poddane przymusowym badaniom lekarskim, podczas gdy naukowcy milicyjni zbierają materiały do swych prac (wenerolog, psychiatra).

Podczas łapanki jesienią 1971 roku, pobierając przymusowo wymaz z cewki moczowej od młodych ludzi zakazano ich rzeźniczką. Ludzie ci leczyli się później w poradniach „W”, mimo iż niejednokrotnie nie mieli stosunków pćciowych.

Do tradycji miasta Wrocławia należą łapanki przeprowadzane w dniach poprzedzających pielgrzymkę do Częstochowy. Schwytani młodzi ludzie są zwalniani z aresztu z chwilą podpisania zobowiązania, że do Częstochowy nie pojadą.

Mimo pałowań, legitymowań, werbowania i łapanek ulica przez parę lat cieszyła się powodzeniem wśród młodzieży pragnącej wzajemnych kontaktów poza klubami SZMP. Obecnie popularność jej słabnie. Coraz częściej chodzące patrole, przesuujące się wolno ulicami „budy” i „suki” budzą stany lęku. Raz do roku można spotkać swych młodych znajomych na festiwalu „Jazz nad Odrą” w Hali Ludowej. Czasem jest się wyciągniętym z koncertu do pomieszczeń, gdzie odbywa się legitymowanie, ale festiwal trwa tak długo, że można być wiele razy legitymowanym i zachować coś z imprezy dla siebie. Po skończonym koncercie należy szybko oddalić się od Hali Ludowej i w ogóle opuścić dzielnicę pełną wówczas milicji i jej samochodów.

Zwlekając można by dać powody do pałowania.

Dogodną okazją do spotkań młodzieży był niegdyś Międzynarodowy Festiwal Teatru Otwartego we Wrocławiu, na czas którego zjeżdżali się młodzi ludzie z całego świata. Jednak przewidziany na rok 1977 festiwal nie odbył się i ma podzielić losy żakinał zaniechanych po roku 1968. I tak Wrocław przestał być „miastem młodzieży”, chyba, że za młodzież uznać funkcjonariuszy MO, SB, ORMO i ZOMO. Tych rzeczywiście jest coraz więcej.

G ł o s Nr 3.

DŻUNGLA WŚRÓD LASÓW I JEZIOR

„Troszczymy się i będziemy się troszczyć o to, aby prawo zawsze prawo znaczyło, by na każdym odcinku życia panowała praworządność” powiedział I-szy Sekretarz KC PZPR. Święte słowa, nic dodać, nic ująć, a każdy kto zna choć trochę historię szlacheckiej Polski, która w wieku XVIII „nierządem stała”, docenia w pełni głęboką słusność tych słów. Rzecz jednak w tym, by były one realizowane w życiu. Z tym jest niepokojąco źle w Polsce Ludowej.

Przypadek „grupy interesu”, występującej pod firmą „Pometu” (Poznańskich Zakładów Metalurgicznych), która od kilku lat bezprawnie zajmuje pod Pracownicze Ogródki Działkowe (tz. POD) 11 hektarów Wielkopolskiego Parku Narodowego (w skrócie WPN), nad jeziorem i przy lesie, stanowiącym strefę rezerwatową, jest interesujący dla kilku powodów. Przede wszystkim, jest przykładem całkowitego lekceważenia prawa i zarządzeń władz centralnych przez uprzywilejowane, materialnie bądź politycznie, kategorie obywateli, po drugie, pokazuje mechanizm „burżuazyjnienia”, a więc dorabiania się pewnych grup ludności w ustroju socjalistycznym dzięki kombinacjom i powiązaniom z terenowym aparatem władzy oraz dzięki przestrzeganiu zewnętrznych pozorów „uspołecznienia” swego działania, po trzecie, przypadek ten ujawnia cynizm, zakłamanie i bezwzględne realizowanie, społecznymi częściowo środkami, prywatnych interesów, ułatwione brakiem kontroli społecznej, wreszcie przypadek ten ujawnia ciche konflikty między władzą centralną, próbującą bezskutecznie (a może i niezbyt szczerze) bronić interesu ogólnospołecznego a tzw. władzami terenowymi, powiązanych z różnymi klikami i grupami interesu i popierającymi je w sposób na ogół dyskretny, niekiedy jednak jawny, z reguły zaś wbrew opinii publicznej jeżeli ta cicho lub wcale nie informowana, zdąży się w ogóle ukształtować i wypowiedzieć.

W tej sytuacji można się obawiać, iż rozszerzenie się u nas decentralizacji władzy i decyzji w sprawach gospodarczych, przy jednoczesnym braku demokracji i swobody słowa pisanego, zwiększy zasięg bezprawia i nadużyć lokalnych klik i grup interesu m.in. na wzór grupy „Pometu”, która nabrała zresztą już charakteru wykraczającego poza jeden zakład pracy. Grupuje ona bowiem ludzi różnych zawodów i środowisk, z reguły na ekspo-

nowanych stanowiskach, powiązanych tu węzłem przestępstwa społeczno-ekologicznego: parcelacją Parku Narodowego pod własne domki z ogródkiem. Są w tej grupie nie tylko dyrektorzy, inżynierowie i nawet paru majstrów (a jakże!) „Pometu”, lecz również dyrektorzy innych instytucji, były generał, wyższy oficer milicji, którego żona — lekarz — wprowadziła do „grupy interesu” swego profesora, kierującego kliniką, ponadto paru pracowników naukowych z Politechniki (a jakże). Szczegół charakterystyczny: lista członków tej grupy „swoich” jest utrzymywana przed władzami Parku w tajemnicy! Informacje o jej składzie nie mogą więc w obecnej chwili być dokładne; być może przyszłość ujawni tu niejedną jeszcze personalną rewelację.

A oto garść informacji, o których pisała wielokrotnie prasa centralna (np. *Polityka*, *Życie Warszawy*, *Życie i Nowoczesność*, *Prawo i Życie*, *Kierunki*, *Słowo Powszechne*, *Za i Przeciw*, *Przyroda Polska*, *Wszelchświat*, *Gościniec* a nawet *Szpilki*) lecz już nie prasa Wielkopolski, gdzie afera pometowska została obłożona lokalnym „zapisem”. Lecz macki „Pometu” sięgnęły głębiej, niż można się było spodziewać w przypadku jednej, średniej wielkości fabryki.

Ustawa „O ochronie przyrody”, zwłaszcza Rozporządzenie Rady Ministrów o utworzeniu WPN (z 1957 roku) mówi wyraźnie o ochronie całego Parku Narodowego, choć w różnym stopniu, bowiem strefa rezerwatowa (lasy i wody) podlega ochronie ścisłej, a pozostałe obszary, tzw. strefy ochronne (lasy, łąki, pola orne itp.) — ochronie częściowej (§ 2 p. 1 i 3, § 4, § 5 i 7, § 9 i 11 Rozp. z 1957 r.). Ogólnie mówiąc, sprowadza się ona do zabezpieczenia WPN przed wszelkimi niepożądanymi wpływami, zagrażającymi jego ekologii i krajobrazowi, i to zarówno w przypadku istniejących już osiedli i obiektów (przed utworzeniem Parku) jak, tym bardziej, nowo projektowanych czy zakładanych. Dlatego m.in. organa administracji są obowiązane: po pierwsze, zasięgnąć opinii władz WPN przy wydawaniu jakichkolwiek zezwoleń na wznoszenie budynków, budowli, warsztatów, przedsiębiorstw itp. i to również na terenie częściowo chronionym (całkowity zakaz zanieczyszczenia wód i terenu — § 14).

Teren przekazany przez pobliski PGR w 1971 roku Radzie Zakładowej „Pometu” (faktycznie, jak się okazało, „grupie interesu”) położony w strefie ochronnej Parku, był tylko częściowo użytkowany przez PGR jako pastwisko-pole, w znacznej części porośnięty krzakami, haszczami i lasem — samosiejką, zgodnie z ekologią tego mikro-regionu. Stan ten analfabeci ekologiczni

z „Pometu” określili jako „Dżungłę, w której my zrobimy porządek” (zob. artykuł M. Mońko: „Dżungla bez patosu”, *Prawo i Życie*, 20. II. 1977 r., str. 11), nie rozumiejąc, że argument ten zwraca się właśnie przeciwko nim i ich żalosnej akcji cywilizacyjnej. Ten, niemal naturalny, teren PGR przekazał nieodpłatnie wyżej wymienionej grupie pod Pracownicze Ogródki Działkowe (szyld zmieniał się zresztą, zależnie od sytuacji, parokrotnie). Początkowo grupa „Pometu” wnosiła o 3 hektary na „zakładowy ośrodek campingowy”, lecz apetyt wzrasta w miarę jedzenia, tym bardziej, gdy to jedzenie nic nie kosztuje: zażądano wkrótce podwójnego obszaru, a następnie wystąpiono o cały niemal teren (11 ha), o wyraźnie zaznaczonych granicach (las, jezioro, nasyp kolejowy). Więcej domagać się w tej części Parku, bez wyrębu lasu czy osuszenia jeziora, było na razie niemożliwe. Transakcja ta, podobno wiązana wzajemnymi usługami, została, niestety, potwierdzona, mimo zdecydowanego protestu Dyrekcji i Rady Parku (5 marca 1971 roku) przez Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury b. PRN w Poznaniu (w 1972 roku), a następnie tegoż roku przez Zarząd Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska Prezydium WRN, również pomimo zdecydowanego protestu władz Parku. Te więc odwołują się do Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Wyślana Komisja przeprowadza wizję lokalną a minister Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, Kusiak, na podstawie otrzymanego raportu, wydaje 17. XI. 1973 r. postanowienie *anulujące* decyzje władz powiatowych i wojewódzkich, przyznające sporny teren grupie „Pometu”, tej zaś poleca likwidację ośrodka, będącego dopiero w stadium początkowym budowy (jeden nie wykończony dom i zwieziona część materiałów). Uzasadnienie ministerialnej decyzji brzmi bardzo poważnie: „Realizacja inwestycji Zakładów Metalurgicznych 'Pomet', zagrażająca warunkom biologicznym na terenie Wielkopolskiego Parku Narodowego, stanowiła by ponadto naruszenie interesów Państwa”. Jednocześnie, oferuje się grupie 'Pometu' teren zastępczy pod ogródki, lecz już nie w scenerii rezerwatowej, poza granicami WPN. „Grupa” odmawia, wnosi o rewizję decyzji ministra i... gwałtownie przyspiesza budowę domków i ogólną urbanizację terenu (elektryczność, studnie), pragnąc stworzyć jak najwięcej faktów dokonanych.

Po ponownym dokładnym zbadaniu całej sprawy, minister nie stwierdza podstaw do zmiany swej pierwszej decyzji, wydając analogiczną drugą — 12. I. 1974 r. Staje się ona w pełni prawomocna i ostateczna, anulując poprzednie decyzje władz niższych instancji, w tym oczywiście decyzję Wojewódzkiego Zarządu Pra-

cowniczych Ogródków Działkowych, na którą tak chętnie powołuje się grupa „Pometu” (zob. artykuł „O dżungli bez patosu”, odpowiedź Rady Zakładowej „Pometu”, *Prawo i Życie* z 12. VI. 1977, str. 12), co nie przeszkadza jej bynajmniej nie stosować się do przepisów, obowiązujących ogródki działkowe w Polsce (zakaz stawiania trwałych budynków).

Sprawa toczy się dalej: Grupa „Pometu” konsekwentnie, lecz półjawnie, rozbudowuje osiedle, swe prywatne, normalne „drugie rezydencje” z przewodami kominowymi, łazienkami, garażami itp. grając jednocześnie na zwłokę. Temu celowi służy zaproszenie na poufną rozmowę jednego z wybitnych członków Rady Parku przez wyższego oficera milicji w Poznaniu, na parę miesięcy przed mającymi się odbyć w tym mieście Dożynkami Ogólnopolskimi (1974 r.) by wyrazić mu zaniepokojenie swych władz natchmiastową eksmisją grupy „Pometu”, co mogłoby wzburzyć robotników (?). Stąd prośba o zwłokę.

Argumentem „interesu robotniczego” chętnie posługiwali się zresztą i przedstawiciele Rady Zakładowej „Pometu” w rozmowach z przedstawicielami Parku, póki ci ostatni nie zaproponowali im zorganizowania wspólnego spotkania z robotnikami ich fabryki, celem publicznego przedstawienia stanowiska władz Parku w istniejącym konflikcie.

Lecz gdy opinia publiczna domaga się eksmisji grupy „Pometu” a minister Kusiak wydaje przyznanie jej wykonania, w październiku 1974 roku do sprawy włącza się dyrektor gabinetu Prokuratora Generalnego (tu zapewne czytelnik zawoła: wreszcie!), przesyłając następujące pismo (z dn. 27. X. 1974 r.) do dyrektora gabinetu Ministra Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska: „Nawiązując do naszej rozmowy, w załączeniu przesyłam fotokopie dokumentów związanych ze sprawą ogródków działkowych Zakładów 'Pomet' w Poznaniu i serdecznie proszę Towarzysza Dyrektora o przychylne dla 'Pometu' zreferowanie sprawy Towarzyszowi Ministrowi. Z poważaniem, Dyrektor Gabinetu Prokuratora Generalnego PRL, mgr Witold Rozwens, prokurator Prokuratury Generalnej”.

Od tego dnia przestano głośno mówić w Ministerstwie o eksmisji grupy „Pometu” z Parku Narodowego. Lecz ministrowie odchodzą i przychodzą inni, a protesty społeczeństwa Wielkopolski nie ustawały: obronę WPN podejmuje zastrżone Towarzystwo Miłośników Puszczykowa i WPN oraz założony przy Oddziale Poznańskim Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego (ChSS) Komitet Społeczny Przyjaciół WPN. O sprawie zostali poinformowani posłowie na Sejm z Wielkopolski, którzy jednak, jak należało się obawiać, nie próbują nawet interweniować. Na-

tomiasz w obronie WPN występują niezniewoleni publicyści prasy warszawskiej oraz grupa młodzieży poznańskich liceów i uczelni, która urządziła z okazji 1 maja na miejscu przestępstwa, u bramy wejściowej „ogródków” „Pometu” pokojową manifestację (2. V. 1976 r.) z transparentem „Młodzież Wielkopolski broni swego Parku Narodowego”. Ktoś z oburzonych członków grupy „Pometu” sprowadza radiowóz milicyjny uważając zapewne, iż zadaniem MO jest raczej obrona grupowych interesów niż troska o praworządność i autorytet władz centralnych, w obronie których to wartości ośmieliła się wystąpić poznańska młodzież. Do konfrontacji z milicją nie dochodzi, gdyż młodzież, po wysłuchaniu krótkich przemówień o znaczeniu parków narodowych dla społeczeństwa i społeczno-ekologicznej szkodliwości działań Grupy „Pometu” weszła w las przed przybyciem milicyjnego radiowozu, udając się z kolei na masowe groby pomordowanych przez okupanta Polaków (w leśnictwie „Wypalanka”) by złożyć hołd pamięci tych, którzy walczyli o wolność i niepodległość, a na pewno również o praworządność, bo bez niej nie ma prawdziwej wolności. Jedynie wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Puszczykowa i WPN, która witała manifestującą młodzież na terenie Parku, została w kilka dni później wezwana na „rozmowę” przez Służbę Bezpieczeństwa, niestety nie na temat niepraworządnego działania grupy „Pomet”...

Dyrektor Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, mgr inż. arch. J. Weiss nie przejawia żadnej działalności w kierunku eksmisji „Pometu”, ba, nawet nie interweniuje, by zahamować nielegalne budownictwo prywatne. Redaktor Mońko („Dżungla bez patosu”) pisze o dziwnych pomyłkach w protokole wspólnych obrad na temat WPN w Urzędzie Wojewódzkim, na korzyść „Pometu”, lecz również w pismach urzędowych tego Wydziału, odpowiadającego na protesty co znakomitszych obywateli przeciwko okazywanej „Pometowi” pobłażliwości, znajdują się sformułowania, broniące „grupy interesu”, a więc np. o wprowadzeniu jakoby w błąd opinii przez jednostronne informowanie o działalności „Pometu”, „albowiem istniejące dokumenty upoważniają do stwierdzenia, że podniesione zarzuty... są w dużym stopniu nieuzasadnione” (pismo mgr. inż. Weissa z dn. 14. VIII. 1977 r. w odpowiedzi na protest dr. W. Marcinkowskiego z Krakowa). Czyich interesów broni właściwie wysoki urzędnik władzy terenowej? Na pewno nie Parku Narodowego, jedyne w Polsce, a zagrożonego obecnie chciwością i głupotą ludzką i na pewno nie ludzi pracy Poznania, którzy chcą mieć Park Narodowy w pobliżu swego miasta, nie poszatowany siatkami drucianymi

z drutem kolczastym i na betonowej podmurówce (a takie właśnie ogrodzenie postawiła grupa „Pometu”, na pewno nie za swoje prywatne pieniądze).

Istotne dla sprawy dokumenty są tylko jednego rodzaju: stwierdzają ponad wszelką wątpliwość *nieprzestrzeganie* przez prywatnych inwestorów przepisów budowlanych oraz przepisów o „ogródkach działkowych”, do których tak się chętnie przyznaje grupa „Pometu” oraz lekceważenie obu decyzji Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Resort ten, po zmianie na stanowisku ministra, próbuje znowu wyegzekwować swoje decyzje. Odpowiednią akcją przygotowuje wiceminister Ochocki. Lecz tu znowu pojawia się „dywersja”: nieznanzy z nazwiska prokurator wojewódzki stwierdza — słuchajcie czytelnicy — że „w oparciu o istniejące przepisy, w strefie ochronnej WPN, nie będącej rezerwatem ścisłej ochrony, urządzenie Pracowniczych Ogródków Działkowych („Pometu” oczywiście) nie wymaga zgody władz Parku, gdyż *nie zmienia charakteru użytkowania terenu!*” (z pisma wicewojewody poznańskiego mgr. Zofii Dąbrowskiej z dn. 16. IV. 1977 do prof. Paluszkiewicza, przewodniczącego Społecznego Komitetu Przyjaciół WPN przy Poznańskim Oddziale ChSS). Opinia ta jest po prostu (pomijając dowolną interpretację przepisów) niezgodna ze stanem rzeczywistości. Dla naszego anonimowego prokuratora, przekształcenie pastwiska-pola w części porośniętego samosiejką, w zurbanizowane osiedle *nie jest* „zmianą charakteru terenu”! Z tej „dywersji” w walce o praworządność korzysta Urząd Wojewódzki, by całą tę kompromitującą sprawę jakoś zaklepać i podejmuje (podobno) decyzję, zezwalającą prywatnym inwestorom na czasowe tylko użytkowanie terenu w formie Pracowniczych Ogródków Działkowych, które przecież w chwili wydawania tej decyzji są już w znacznej mierze fikcją i stają się nią w coraz większym stopniu. Rzekomi bowiem „pometowcy” stwarzają dalsze fakty dokonane, oddzielając ponadto coraz bardziej hermetycznie swój teren od Parku (m.in. faktyczny zakaz wstępu na teren postronnym osobom, w tym i pracownikom WPN!). „Podobno”, bo władze WPN oficjalnie o decyzji Urzędu Wojewódzkiego nie zostały dotąd poinformowane. Pismo w tej sprawie otrzymały natomiast: Społeczny Komitet Przyjaciół WPN przy Poznańskim Oddziale ChSS oraz redakcja *Prawa i Życia*, która je publikuje w artykule „O dżungli bez patosu” (12. VI. 1977 r.).

Przypadkowe to czy celowe niedopatrzenie? Czy w tej bolesnej sprawie przechwycenia przez prywatne osoby płachetka narodowej własności o charakterze już zabytku kultury materialnej Polski, nie pragnie Wysoki Urząd pozostawić sobie jeszcze

możliwości manipulacji, na przypadek, jeżeli „Pomet” znalazłby sobie możniejszych niż dotąd protektorów? Czy również dlatego nie zatwierdza się gotowego już planu zagospodarowania przestrzennego Parku, że teren zajęty przez „Pomet” jest przeznaczony w planie pod przyszłe zalesienie? Cóż więc dziwnego, że w tej sytuacji, gdy zapytano się naczelnika gminy Komorniki, któremu zlecono wykonanie eksmisyjnej decyzji Ministerstwa w Warszawie, dlaczego to jej nie wykonuje, odpowiedział: „Ja tam nie będę się mieszał. Władza? A ja wiem jaka tu władza nad parkiem?” (M. Mońko, „Dżungla bez patosu”, *Prawo i Życie*, 20. II. 1977 r., str. 11). Otóż to! Kto bowiem właściwie rządzi i w czym interesie?

Głos Nr 8.

j.j.

CS₂ — DWUSIARCZEK WĘGLA

CS₂ — dwusiarczek węgla. Trucizna o przerażającym działaniu. Poraża układ nerwowy powodując często trwałe kalectwo, nierzadko zgon. Nawet u młodych ludzi wywołuje zawały, chorobę wieńcową. Ale przede wszystkim CS₂ jest silną neurotoksyną — działa trująco na układ nerwowy. Przedostaje się bardzo szybko do organizmu. Ponad połowa wchłoniętego przez organizm CS₂ dostaje się doń w ciągu 30 pierwszych sekund kontaktu z trucizną. W następstwie ostrego zatrucia CS₂ mogą powstać trwałe zmiany w układzie nerwowym. U osób o długim stażu pracy w obecności CS₂ występują przewlekłe zatrucia będące przyczyną trwałych zmian w narządach ruchu. Trwałe zmiany w narządach ruchu — to oczywiście PARALIŻ.

CS₂ — dwusiarczek węgla. Surowiec do produkcji włókien sztucznych. Otrzymuje się go prażąc węgiel z siarką. JEDYNA prażalnia w krajach RWPG i w Europie znajduje się w Polsce. W Tomaszowie Mazowieckim, w Zakładach Włókien Chemicznych „CHEMITEX — WISTOM”.

Podstawowym surowcem do produkcji uzyskiwanego tutaj włókna sztucznego jest celuloza. W wysokiej temperaturze reaguje ona z CS₂, ługiem i wodą dając wiskozę. Podczas następnego etapu produkcji z wiskozy uwalniają się resztki związków

siarki, w szczególności CS₂. Część jego zostaje wychwycona i użyta ponownie do produkcji. Reszta przenika do atmosfery. Ponieważ do tej pory nie udało się opracować technologii zabezpieczającej przed przedostawaniem się CS₂ do atmosfery, wszystkie rozwinięte państwa zastąpiły dwusiarczek węgla innymi, mniej toksycznymi surowcami.

Wszystkie — z wyjątkiem PRL.

Zakłady w Tomaszowie zatrudniają ponad 7 tys. osób. Zatrzymują — wielokrotnie więcej.

Najwyższe dopuszczalne stężenie CS₂ w powietrzu nie może przekroczyć 25 mg/m³ — Dziennik Ustaw PRL Nr 13 z dnia 6. 6. 1976 r.

— Do ostrych zatruc CS₂ dochodzi, gdy jego stężenie w powietrzu osiąga rząd 300-400 mg/m³ — Instytut Medycyny Pracy w Łodzi.

A więc ile wynosi stężenie CS₂ na oddziałach produkcji w WISTOMIE, gdzie, jak mówi jeden z pracowników — ludzie ślepną? Jest tych przypadków wiele. Utrata wzroku następuje na kilka dni. Po leczeniu pracownik wraca do zakładu. — Już samo przebywanie na terenie zakładu jest potworne — mówi inny pracownik z oddziału tekstury — ilość zatruc jest nie do zliczenia. Ile wynosi stężenie CS₂ na najbardziej zagrożonych oddziałach zakładu? Prażalni, przedzalni, wiskozowni?

W WISTOMIE musi występować przynajmniej KILKUNAS-TOKROTNE przekroczenie najwyższego dopuszczalnego stężenia.

Natomiast w samym mieście — „... Średnio w latach 1971-1975 przekroczenie dopuszczalnych stężeń CS₂ stwierdzono w 34 % prób. Całe miasto, choć w różnym stopniu, narażone jest na oddziaływanie CS₂ w stężeniach przekraczających najwyższe stężenie dopuszczalne. Jednorazowe najwyższe stężenie CS₂ w poszczególnych latach przekraczało dopuszczalne stężenie *od 4 do 45 razy*”. — „Sprawozdanie z przeprowadzonych badań powietrza atmosferycznego w Tomaszowie Mazowieckim”, Stacja San.-Epid., 1976.

CS₂ jest wszędzie. W Zakładzie, w mieście. Wciska się do każdego mieszkania, przez otwarte okna, drzwi. CS₂ opanował ulice. Zatrął rzeki.

— Zatrucia niekiedy charakteryzują się psychozą z objawami szału. Prowadzą do zaniku popędu płciowego. Alkohol znacznie sprzyja intoksykacji.

Tomaszów Mazowiecki, wczesne popołudnie. Z zakładu wychodzą pracownicy pierwszej zmiany. — Patrz głupoli wypuścili!

— mówi jakiś chłopak do kolegi. Wśród „głupoli” — kobiety. Jedną z nich znam. Pracuje na trzy zmiany. Obsługuje 800 wrzecion w czterech maszynach. Jej ubranie ochronne — jak mi mówiła — nie nadaje się do niczego, a warunki pracy bardzo ciężkie. Znam również jej męża. Nie może chodzić. Paraliż — pamiętka z WISTOMU. Znam ich córkę — kaleka. Ona jedna nie pracowała w WISTOMIE, a przecież nosi jego piętno. Znam Tomaszów — miasto kalek. Widziałem przedszkole dla dzieci pracowników zakładu. Usytuowane jest naprzeciw wejścia do WISTOMU, w rejonie największych opadów CS₂.

Zakład WISTOM istnieje od ponad 50 lat. Czy o działalności zakładu i jemu podobnych placówek była informowana opinia publiczna w Polsce?

Rok 1956. Tygodnik *Po prostu*. Artykuł R. Glutha „W sprawie milczenia”. Pisał w nim autor o zatruciach dwusiarczkiem węgla w jeleniogórskiej CELWISKOZIE. Podawał przerażające fakty i liczby. Zaznaczał, że „... nie zawierają one całego bilansu zatruć na skutek sporej fluktuacji załogi”. Opatrzył je następującym komentarzem: „... są momenty, w których myśl o CELWISKOZIE napełnia mnie strachem. Tłumaczę sobie wówczas, że ogromny mechanizm przyczyn i skutków trzeba rozpatrywać na zimno, że składa on się z realnych elementów, takich jak: nieuctwo, błędy techniczne, obojętność, bezprawie i demoralizacja”. Dzisiaj w Jeleniej Górze CS₂ nie jest już produkowany. Tradycje pielęgnuje Tomaszów.

Dzisiaj, w końcu lat 70-tych, w Instytucie Medycyny Pracy w Łodzi na oddziale Chorób Zawodowych 90 % pacjentów to chorzy w wyniku zatrucia CS₂. Wszyscy z nich — to pracownicy CHEMITEK — WISTOM lub mieszkańcy Tomaszowa Mazowieckiego!

Wskazując na przyczyny, które zaprowadziły tych ludzi na łóżka łódzkiego Instytutu, a które wymienił R. Gluth w odniesieniu do sprawy jeleniogórskiej, należy do nich dodać te najważniejsze — fałszywie (czyt.: zbrodniczo) pojmowany rachunek ekonomiczny i zimne wyrachowanie.

Tragiczne konsekwencje stosowania CS₂ w przemyśle znane są bowiem nie od dziś specjalistom z Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Już kilkakrotnie podawano ostateczne terminy wycofania tego surowca z użytku w tomaszowskich Zakładach. Dochodziło do tego, że stopniowo ograniczano produkcję opartą na CS₂, przestawano remontować i modernizować linię produkcyjną oraz instalację wentylacyjną. Do czasu. We wczesnych latach 70-tych na polecenie władz zwierzchnich Zakład zwiększył produkcję. Oczywiście

według starej, niezawodnej technologii. Wtedy — jak mówi jeden z inżynierów — było piekło.

Ile pochłonęło osób? Na to nie umiem odpowiedzieć.



Chciałbym, aby tekst ten był apelem do wszystkich osób, które znają sprawę WISTOMU. Aby zechciały znane sobie fakty przedstawić opinii publicznej. Ważne jest każde spostrzeżenie. Liczy się każdy głos w tej sprawie. Tylko szeroka akcja społeczna może przynieść efekt w postaci zaprzestania produkcji i stosowania CS₂. Jest to apel do pracowników WISTOMU, do ofiar CS₂, do pracowników Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Jest to apel do lekarzy z przemysłowej służby zdrowia. Apelu swego nie ograniczam tylko do osób związanych z WISTOMEM. Zdaję sobie bowiem sprawę, że Zakłady Tomaszowskie nie są odosobnionym przypadkiem na terenie naszego kraju. Apeluję do wszystkich ludzi, którzy cenią ludzkie życie. Swoje i innych.

Głos Nr 9.

Antoni MACIEREWICZ

WALKA O PRAWA OBYWATELSKIE

Narzucony nam po wojnie system polityczny zbudowano według zasady, że prawo jest służebne wobec państwa, to zaś stanowi aparat przemocy w rękach klasy panującej. W Polsce państwo podporządkowane jest PZPR, a prawo służy interesom tej partii. Nie ma więc miejsca na samo pojęcie „praworządność” czy też „obywatel”. Prawo staje się zbiorem przywilejów udzielanych i cofanych przez władze jednostkom oraz grupom społecznym. Praworządność zaś mierzy się stopniem uległości wobec władzy. Państwo jest ponad i poza prawem. Jego decyzje są zawsze słuszne, także wtedy gdy prowadzą do katastrofy. Winne może być tylko społeczeństwo. Gdy przychodzi kryzys, gdy braknie cukru, mięsa, mieszkań odpowiedzialnością obarcza się robotników, chłopów, inteligencję. To oni zbyt mało pracują,

to oni zbyt głośno protestują, to oni niewłaściwie zrozumieli intencję rządu i partii...

W ciągu ostatnich 30 lat wielokrotnie wskazywano na konsekwencje tego stanu rzeczy. W lutym 1976 roku prof. Edward Lipiński w liście otwartym do E. Gierka pisał o konieczności reform gospodarczych i politycznych. Kilka miesięcy później nastąpiła nieudana próba podwyżki cen żywności, a potem na robotników spadły tortury, procesy, wieloletnie wyroki. Do kalendarza kryzysów politycznych przybył Polsce jeszcze jeden miesiąc — czerwiec.

Często formułowano opinię, że kryzys ten ma charakter wyłącznie gospodarczy. Można jednak spojrzeć nań od strony stosunków między społeczeństwem i władzą. Okaże się wtedy, że rok 1976 zakończył długotrwały proces wyobcowywania się grupy sprawującej rządu w naszym kraju. Do tego bowiem czasu istnieli ludzie, którzy z pobudek ideowych popierali ustrój socjalistyczny, istniały też instytucje pośredniczące między rządzącymi a rządzonymi. Rozczarowania ideowe wyznaczone były datami kryzysów politycznych — w roku 1948 odeszli ostatecznie ci, których nazywa się lewicą laicką, w roku 1956 — komuniści, 12 lat później — rewizjoniści. Nowa ekipa, która objęła władzę po Gomułce reklamowała szeroko własny pragmatyzm i realizm. Łudzono nadzieję, że Polska zostanie wydzwignięta z zacofania i chaosu. Wydarzenia roku 1976 ukazały, iż technokratyzm Gierka był tyleż wart co patriotyzm Gomułki, że ramy wyznaczone przez system będą zawsze istotniejsze, niż interesy społeczeństwa, że mówiąc krótko przywódcy PZPR mają jedną tylko autentyczną ideologię: władzę.

Lata 1971-76 przyniosły też powrót do koncepcji z okresu stalinowskiego. Najpierw zlikwidowano organizacje młodzieżowe — łącząc je w jedną kontynuującą tradycję ZMP. Rozpoczęto prace nad przekształceniem szkolnictwa i likwidacją indywidualnego rolnictwa. W latach 1974-75 rozbito katolickie koło popleckie ZNAK powołując w jego miejsce twór całkowicie zależny od PZPR. Wreszcie w roku 1976 wprowadzono do konstytucji artykuł formalnie ograniczający suwerenność kraju na rzecz ZSRR oraz artykuł czyniący z PZPR konstytucyjny organ państwowy. Po trzydziestu latach państwo zostało ograniczone do tego, czym jest w marksistowskiej teorii „do aparatu przemocy w rękach grupy panującej”.

Wydana ostatnio przez KSS „KOR” Księga dokumentów bezprawia obrazuje sytuację w jednej tylko dziedzinie: obywatel — wymiar sprawiedliwości. Warto przytoczyć tu konkluzję:

„Dzisiaj jesteśmy w stanie z pełną odpowiedzialnością stwierdzić, że gwałcenie prawa jest zasadą funkcjonowania organów ścigania, zaś sądy ukrywają te praktyki wydając niesprawiedliwe wyroki, skazując często ludzi niewinnych, a z reguły nie dochodząc prawdy”. Taki jest bilans władzy. Jest też bilans społeczeństwa, suma dokonań: miast, fabryk, ksiązek, które stworzono mimo, a jakże często wbrew państwu, wbrew przepisom, zarządzeniom, planom i rozkazom.

W dzisiejszej Polsce, jak przed wielu laty, musimy walczyć o prawo do bezpieczeństwa, prawo do nauki i pracy, prawo do strajku. Stajemy znowu wobec pytań podstawowych: czym jest prawo i czym jest państwo? Odpowiedzi, których udziela dzisiejsza władza już znamy. Analiza dokonana przez ruch studencki w marcu 1968 roku okazała się trafna. Hasło „nie ma chleba bez wolności” skrótowo oddaje przyczynę niepowodzeń eksperymentu komunistycznego. Nie ma dziś miejsca na ład społeczny negujący prawa człowieka i obywatela.

Walka o prawa obywatelskie ma swój oczywisty wymiar moralny. Ma jednak też swój wymiar polityczny: jest walką o prawo do urzędzenia własnego kraju zgodnie z wolą i interesem społeczeństwa. Od dwóch blisko lat walkę tę z powodzeniem toczą niezależne instytucje społeczne: KSS „KOR”, ROPCiO, TKN, SKS, liczne wydawnictwa i pisma ukazujące się poza cenzurą. Działają one tam, gdzie realizacja praw zależy przede wszystkim od woli obywateli: w dziedzinie informacji, nauki, samoobrony przed represjami. Zakres tych działań nie został jeszcze wyczerpany. Dotyczy to głównie obrony interesów pracowniczych, co muszą podjąć niezależne związki zawodowe, tak jak obronę interesów konsumenta — ruch konsumentów. Nietknięta też pozostaje ciągle kwestia spółdzielczości. Ten tradycyjny niegdyś postulat lewicy, dziś stanowi punkt centralny wszelkiej reformy gospodarczej. Jeśli możliwe było powstanie Towarzystwa Kursów Naukowych i Latającego Uniwersytetu, niezależnych wydawnictw i czasopism, być może nie jest utopią ruch spółdzielczy. Z pewnością zaś jest to jedyna szansa przekształcenia gospodarki państwowej w gospodarkę społeczną.

Wszystkie te działania zmiierzają do odbudowania infrastruktury społecznej, która została zniszczona przez PZPR. Jednocześnie przywracamy odebrane nam prawa obywatelskie. Istnieje jednak sfera, w której samoorganizowanie się obywateli nie wystarczy. Jest nią przestrzeganie prawa przez władze. To samo dotyczy systemu kastowych przywilejów gospodarczych (Pewexy, przydziały samochodów i mieszkań, sanatoriów itd.) i politycznych (zakaz zajmowania szeregu stanowisk przez bezpartyjnych).

Tutaj ustępstwa trzeba wymusić. Władze nie cofną się z własnej woli. Niezbędne są działania zbiorowe: petycje, bojkot, manifestacje, strajk.

Oba typy działań — i te koncentrujące się na organizacji społeczeństwa i te skierowane na wymuszenie ustępstw — zmierzają do tego samego celu: do przestrzegania w Polsce praw obywatelskich. Jest to program wspólny wszystkim obecnie działającym ugrupowaniom. Odzyskanie praw obywatelskich nie rozwiąże ani kryzysu gospodarczego, ani palących kwestii politycznych — braku demokracji i niesuwerenności Państwa Polskiego. Prawa obywatelskie stanowią jednak minimum niezbędne by kwestie te można było podejmować i rozwiązywać.

Od blisko dwóch lat mamy w Polsce do czynienia z sytuacją swoistego „pata” politycznego: społeczeństwo nie potrafi zmusić rządu do reform strukturalnych, władze zaś nie są w stanie zlikwidować rosnącej wciąż opozycji. Ten paradoksalny stan rzeczy może utrzymać się względnie długo: ostatecznym bowiem gwarantem władzy PZPR jest potęga militarna sąsiedniego mocarstwa. Dylematy, które obecnie stoją przed nami nie dadzą się rozwiązać ani przez przygotowywanie ogólnonarodowego przewrotu ani przez rachuby na „liberalną” grupę w PZPR. Mrzonką jest odzyskanie niepodległości przez społeczeństwo składające się z bezkształtnej masy wyizolowanych jednostek, przez społeczeństwo poddanych. Mrzonką też jest nadzieja, która przyświecała rewizjonistom począwszy od 1956 roku — nadzieja, że reformy przekroczą wymiar ustępstw taktycznych mających spacyfikować społeczeństwo. Polityka — walka o władzę — nie jest w zasięgu naszego działania. Możemy zaś realnie rozszerzać sferę niezależnego działania społecznego tym samym ograniczając coraz bardziej totalitarną władzę i przygotowując warunki do odzyskania niepodległości. Możemy też wymuszać na władzy przestrzeganie praw obywatelskich. W tym działaniu zbędne są kompromisy i kruche porozumienia.

W marcu 1977 roku Rada Państwa ratyfikowała Pakty Praw Człowieka i Obywatela. Blisko rok później dzięki naciskowi opinii publicznej pakty zostały ogłoszone w Dzienniku Ustaw i stały się obowiązującą normą prawną. Powstała więc dziwna sytuacja, oto ustawy sprzeczne są z paktami i konstytucją PRL, a praktyka władz wykonawczych w ogóle niewiele ma wspólnego z prawem pisanym. Dostosowanie prawodawstwa i praktyki władz do Paktów Praw Człowieka powinno stać się najbliższym bezpośrednim celem działania niezależnych instytucji społecznych. Podporządkowanie milicji niezawisłym sędziom, wprowadzenie trybunału administracyjnego, przywrócenie prawa strajku, ustawa

prasowa znosząca cenzurę prewencyjną — to postulaty na dzisiaj. Składają się one na program minimum, na program odzyskania tych praw, których nas pozbawiono i z których często sami zrezygnowaliśmy.

Głos Nr 5.

Adam KOLESKI

INTERPELACJE SPOŁECZNE

Naród polski pozbawiony jest faktycznego przedstawicielstwa, które wypowiadałoby się w jego imieniu. Naród polski pozbawiony jest dopływu prawdziwych informacji o sprawach istotnych dla jego bytu oraz możliwości przekazywania prawdziwych informacji kierownictwu. Specjaliści mający przemyślane poglądy na temat spraw ważnych dla całego kraju i sposobów ich realizacji, nie mają możliwości przeciwstawienia się niesłusznym decyzjom, godzącym w interes kraju. Społeczeństwo coraz bardziej dojrzałe, coraz bardziej wykształcone, o coraz wyższej świadomości obywatelskiej nie ma wpływu na kształtowanie swojego bytu. Istnieje konieczność tworzenia form zastępczych, w ramach których zagwarantowany byłby przepływ informacji, możliwość analizy i oceny faktów, mających znaczenie dla kraju oraz wyłączenie Sejmu PRL w składaniu interpelacji nieformalnych, dotyczących aktualnych, żywotnych spraw. Polska znalazła się w głębokim kryzysie ekonomicznym, politycznym, społecznym, ideowym i moralnym, którego skala nie da się wyjaśnić wyłącznie sytuacją międzynarodową. Do pogłębienia się tego kryzysu przyczyniły się i przyczyniają konkretne decyzje i sposoby ich realizacji — decyzje niekiedy tak istotne dla bytu narodowego, że powinny być przedmiotem dyskusji ogólnonarodowych. Jakkolwiek każda z nich traktowana w izolacji od innych, nie wyjaśnia całości procesów — łącznie składają się one na współczesną rzeczywistość naszego kraju, zakreślając nieodwracalne często szkody dla przyszłości bliskiej i odległej.

Wobec braku prawdziwych informacji, należy dążyć do możliwie pełnego odczytywania znaczenia tych decyzji i opracowania schematów właściwych do rozszyfrowania różnych typów decyzji. Schematy te można by oprzeć na zasadzie najprostszej — takiej, jaką stosuje się w śledztwie, gdzie stwierdzenie kto ponosi

stratę a kto korzyść i na czym ta strata i korzyść polegają — pozwala ograniczyć dochodzenie do określonego grona podejrzanych a następnie wykryć sprawców i ich pomocników lub też przynajmniej zgromadzić przeciw nim poszlaki. Byłoby to śledztwo, prowadzone w sposób ciągły w imieniu Polski, w imieniu narodu, przeciw sprawcom działań, wyrządzających narodowi nieodwracalne straty. Dochodzenie należałoby prowadzić zarówno wobec decyzji „legalnych”, brzemiennych w szkodliwe dla kraju skutki, jak wobec takich form łamania praworządności, które z różnych przyczyn nie stają się przedmiotem śledztwa, prowadzonego przez formalnie zobowiązane do tego instytucje, ani przedmiotem interpelacji sejmowych.

Schematy wyjaśniania decyzji

A. Decyzja inwestycyjna szkodliwa dla Polski.

Budowa Huty Katowice, podjęta w sytuacji oczywistego już kryzysu ekonomicznego jest inwestycją, wymagającą wielomiliardowych nakładów. Budowa huty jest ekonomicznie zbędna z punktu widzenia interesów polskich, przede wszystkim obecnie, lecz i w perspektywie przyszłości.

Budowa ta wraz z linią kolejową, jest szkodliwa z punktu widzenia interesów politycznych Polski.

Budowa ta jest szkodliwa ze względu na konieczność przeznaczania na nią sił i środków, niezbędnych do ukończenia innych, rozpoczętych inwestycji, które zostały opóźnione lub zaniechane. Budowa ta jest szkodliwa z punktu widzenia lokalizacji, powodującej dalsze różnorodne zakłócenia demograficzne w południowym rejonie kraju. Tempo podejmowania decyzji i tempo jej realizacji powodują marnotrawstwo sił i środków.

Świadomość nieracjonalności tej decyzji z punktu widzenia interesów kraju oraz wielomiliardowych strat, powstałych w wyniku inwestycji zbędnej, podważa w ludzkiej świadomości sens gospodarności na niższym szczeblu, na którym straty, wynikające z błędów i nadużyć są znacznie mniejsze.

Pytanie:

1. W czym interesie ekonomicznym, politycznym i strategicznym decyzja ta została podjęta?
2. Czy władze polskie mogły się tej decyzji przeciwstawić?

3. Czy Polska uzyskała w zamian jakiś ekwiwalent (ekonomiczny, polityczny), który przynajmniej częściowo równoważy poniesioną stratę?
4. Czy specjaliści, uczestniczący w realizacji tej decyzji, są za nią współodpowiedzialni — to znaczy, czy mogli zrezygnować z bardzo wysokich zarobków z tym uczestnictwem związanych?

B. Decyzja lokalizacyjna szkodliwa dla Polski.

W interesie Polski leży rozbudowa portu w Świnoujściu. Plan lokalizacji rozbudowy został opracowany przez specjalistów — z uwzględnieniem ochrony środowiska naturalnego. Projekt lokalizacji portu omijał rejony rezerwatu przyrody oraz teren przeznaczony na cele lecznicze i rekreacyjne, ze względu na jego największe nad Bałtykiem walory zdrowotne (czystość wody, powietrza, wielkość plaży oraz zaplecze 300-letnich lasów sosnowych). Ten opracowany przez specjalistów projekt został przekreślony jednoosobową decyzją przedstawiciela najwyższej władzy państwowej i żadne wysiłki oraz racjonalne argumenty nie miały wpływu na uchylenie tej decyzji, której szkodliwość jest nieodwracalna, pozbawia bowiem naród żyjący współcześnie i następne pokolenia bogactwa naturalnego, stanowiącego jego własność. Decyzja zniszczenia terenu została zrealizowana.

Pytanie:

1. Czy istniała jakakolwiek racjonalna przesłanka podjętej i realizowanej decyzji?
2. Jaka powinna być odpowiedzialność wobec narodu i historii człowieka, który tę decyzję powziął (wydaje się, że nie jest tu istotne, czy motywem był niedopuszczalny brak kompetencji czy potrzeba wyakcentowania jednoosobowej władzy czy też jakieś inne korzyści)?
3. Czy inne ogniwa władzy miały możliwość i obowiązek przeciwstawienia się szkodliwej decyzji?
4. Czy społeczność tego rejonu, która uruchomiła przeciw tej decyzji różne, legalne formy protestu, miała jeszcze inne możliwości, by się jej przeciwstawić?
5. Czy istnieje szansa mobilizowania krajowej opinii publicznej przeciw decyzjom, mającym charakter przestępstwa wobec narodu?

Ten schemat rozważany przy okazji decyzji o znaczeniu ogólnym

nokrajowym, powinien być stosowany wobec decyzji lokalizacyjnych podejmowanych na różnych szczeblach, a niszczących w sposób nonsensowny naturalne dobra narodu.

C. Zespół decyzji o rozwarstwieniu ekonomicznym społeczeństwa.

W ciągu ostatnich lat pogłębia się jeszcze bardziej rozwarstwienie ekonomiczne społeczeństwa. W formie legalnej, nastąpił niewspółmierny (w stosunku do innych resortów) wzrost zarobków aparatu bezpieczeństwa, niektórych grup dziennikarzy. W formie pseudolegalnej — w ramach funduszu spożycia zbiorowego (przeznaczonego w założeniu na wyrównanie warunków życia grup ekonomicznie upośledzonych) oraz ewentualnych, nieujawnionych funduszy — rozbudowywane są specjalne przywileje aparatu władzy (administracja państwowa i partyjna, aparat bezpieczeństwa w różnych formach): luksusowe wille, formy wypoczynku, sieć zaopatrzenia handlowego w artykuły deficytowe, funkcjonująca od dawna specjalna służba zdrowia, rozwijająca się mimo fatalnej sytuacji osobowej (np. budowanie kliniki rządowej w zasięgu wyposażenia Centrum Zdrowia Dziecka itd.). Przywileje te rozwarstwiają coraz wyraźniej hierarchię władzy. W formie nielegalnej w oparciu o aparat władzy różnych szczebli, działają kliki zwiększające w drodze przestępczości zakres swoich przywilejów — na zasadzie wspólnych nadużyć i łapówek za załatwianie spraw, należących do kompetencji członków kliki, bądź na zasadzie wzajemnych usług w podziale stanowisk, w wymianie dóbr deficytowych i innych świadczeń, przy czym proces upowszechniania przywilejów nielegalnych osiągnął już takie rozmiary, że stał się nieomal jawny bądź całkowicie jawny, a bardzo rzadko, bywa przedmiotem rozpraw sądowych. W formie nielegalnej, na zasadzie rozpowszechnienia w różnych grupach społeczeństwa wzorów funkcjonujących w strukturze władzy, działają obyczajnie pobierania „dodatkowych” opłat za tzw. usługi, świadczone dla ludności (rzemiosło, handel, służba zdrowia, oświata itd.). Dochody tych grup zawodowych są zapewne znacznie mniejsze niż dochody grup przestępczych, powiązanych z aparatem władzy, lecz współokreślają w sposób istotny zasady współżycia społecznego w Polsce.

Analiza zjawiska i interpelacje

Państwo jest uprawnione, by w drodze legalnej decydować o strukturze płac różnych resortów, tym niemniej decyzja, o któ-

rej była mowa, powinna być przedmiotem następującej interpelacji sejmowej:

Pytanie:

Jeżeli władze administracyjne i partyjne podejmują uzgodnioną z resortem bezpieczeństwa decyzję bardzo dużej podwyżki płac aparatu bezpieczeństwa i niektórych grup dziennikarzy, czy oznacza to, iż oczekiwane decyzje są tak bardzo niepopularne w społeczeństwie, że dla ich przeprowadzenia niezbędne jest wzmocnienie (przekupienie) aparatu przemocy fizycznej (bezpieczeństwa) i aparatu przemocy psychicznej (propaganda). A zatem, czy decyzja podwyżek jest podjęta w interesie ekipy, aktualnie sprawującej władzę przeciw społeczeństwu, czy też są ku temu inne przesłanki. Jakież?

Państwo nie jest uprawnione do użytkowania funduszu społecznego na cele, niezgodne z jego przeznaczeniem — pseudolegalność takich decyzji polega na tym, iż podejmowane są w sposób nielegalny przez legalnie funkcjonującą władzę. Decyzje te są niewątpliwie uzgodnione przez aparat partyjny, administracyjny, bezpieczeństwo: odpowiedzialność za nie spoczywa więc na najwyższych władzach państwowych i partyjnych. Obowiązkiem władzy jest opieka nad własnością społeczną — natomiast czerpanie korzyści z tej własności jest już działalnością przestępczą. W Polsce sanacyjnej znany był skandal, kiedy prezydentowa Mościcka kazała przenieść zabytkową wagę z muzealnej części Zamku Królewskiego do swych prywatnych apartamentów. Nawet wypożyczenie przedmiotu stanowiącego własność narodu uznano naówczas za czyn nieetyczny. W Polsce współczesnej różnego typu korzyści z własności społecznej czerpią różne szczeble władzy w różnych zhierarchizowanych porporcjach.

Interpelacje ogólne

Należy wyciągnąć konsekwencje wobec wszystkich przedstawicieli władzy, którzy podejmują nielegalne decyzje, dotyczące specjalnych przywilejów aparatu władzy. Należy wyciągnąć konsekwencje wobec wszystkich, którzy z tych przywilejów korzystają.

System tych przywilejów: a) podważa legalność działania władz, b) naraża naród na straty ekonomiczne, c) izoluje władzę od narodu i jego codziennych problemów, lecz przede wszystkim d) tworzy sytuację, której w najlepszych nawet warunkach długo nie będzie można przewyciężyć — aparat władzy lansuje bowiem

własnym przykładem wzory nieposzanowania własności społecznej, które upowszechniły się w społeczeństwie.

Interpelacje szczegółowe dotyczące powinny konkretnych przywilejów, nadawanych w skali całego kraju i dodatkowych przywilejów nadawanych w różnych resortach i różnych jednostkach terenowych.

Decyzje pseudolegalne zacierają granice między praworządnością i przestępstwem kryminalnym — a w związku z tym stwarzają podłoże dla kradzieży, łapownictwa, nadużyć na różnych szczeblach władzy i w grupach społecznych, do aparatu władzy nie należących, a zatem działanie pseudolegalne i przestępstwa powinny być traktowane jednakowo — podlegać odpowiedzialności karnej, z uwzględnieniem szeroko rozumianej szkodliwości społecznej czynów.

Korzyści i szkody

Działalność pseudolegalna i przestępcza stwarza bezpośrednie korzyści dla grup uprzywilejowanych i przestępczych, a powoduje też bezpośrednie straty materialne narodu, którego dobro jest prywatnie przywłaszczane przez przedstawicieli tych grup. W formie długofalowej działalność taka: 1) dezorganizuje społeczeństwo, jego stosunek do pracy, własności społecznej, norm moralnych i obyczajowych, 2) pogłębia już nie kryzys zaufania, lecz przepaść między rządzącymi a rządzonymi, 3) osłabia naród jako zintegrowaną całość i prowadzi do dezorganizacji ról społecznych i poczucia odpowiedzialności, 4) stwarza poczucie powszechnego braku stabilizacji i wyzwala lękowe postawy, na gruncie których możliwe są różnorodne formy wybuchów protestu lecz także patologii społecznej, 5) w wyniku przyspieszającego się procesu rozkładającego państwo, naród i kulturę narodową, postępuje osłabienie Polski, które może leżeć w długofalowym interesie innych krajów.

W szkicu niniejszym przedstawiono tylko przykłady sposobu analizy zjawisk społecznie szkodliwych, mających dla Polski poważne konsekwencje. Zjawisk takich jest wiele i muszą one być przedmiotem stałego i konsekwentnego zainteresowania społeczeństwa. Byłaby to z jednej strony „kronika wypadków” brzemiennej dla procesów rozwojowych kraju oraz materiał dla pogłębionej diagnozy tych zjawisk podnoszących nieanonimową odpowiedzialność za szkody wyrządzone — z drugiej strony byłoby to proste ujawnianie ludzi i instytucji, ponoszących nieanonimową odpowiedzialność za szkody, wyrządzone krajowi, któ-

rzy powinni odpowiadać za swoje czyny przed narodem. Byłaby to też próba obywatelskiego myślenia każdego człowieka o własnej działalności, w której uczestniczy z racji swego miejsca w społeczeństwie. Interpelacje z całego kraju powinny napływać. Jeżeli społeczeństwo nie może o sobie decydować — musi przynajmniej na razie rejestrować i piętnować błędy, wykroczenia i przestępstwa — ujawniać je i oceniać.

Głos Nr 7.

Władysław SIŁA-NOWICKI

ADWOKACI, PROKURATORZY, SĄD*

Podstawową wadą naszego wymiaru sprawiedliwości jest przewaga oskarżenia nad obroną w procesie karnym. Ta przewaga uwidacznia się w wielu wypadkach w formie oficjalnej, ustawowej. W posiedzeniach niejawnych sądu bierze, z reguły, udział prokurator, jedynie zaś w wypadkach wyjątkowych — obrońca. Narusza to w sposób oczywisty równowagę procesową stron. Należy postulować *de lege ferenda* stan rzeczy, w którym sprawy na posiedzeniu niejawnym rozpatrywałby sąd bez udziału stron, albo jeżeli z udziałem, to co najmniej z dopuszczeniem zarówno jednej strony, jak drugiej. Ponadto w niektórych wypadkach zaskarżenie decyzji sądu do wyższej instancji służy tylko prokuratorowi (wniosek o warunkowe przedterminowe zwolnienie). Jest to, z punktu widzenia równowagi procesowej, oczywiście niedopuszczalne. Ten stan powinien ulec zmianie.

Zasadniczym zagadnieniem postępowania karnego jest system stosowania aresztu wobec podejrzanego. Nierówność procesowa stron — oskarżenia i obrony — występuje tu w sposób szczególnie jaskrawy. Wprawdzie od stanu rzeczy sprzed 1970 roku (kiedy to podejrzany w ciągu 9 miesięcy pozostawał w wyłącznej kompetencji prokuratury — bez jakiegokolwiek kontroli ze strony sądu) — uczyniliśmy poważny krok naprzód — ale i obecny stan rzeczy jest jeszcze bardzo niezadowalający. Oczywiście trudno mówić o równowadze procesowej stron gdy jedna stosuje areszt, a druga może jedynie prosić o jego uchylenie. Za prawidłowy może być uznany tylko stan rzeczy istniejący w Polsce do roku 1939, gdy stosowanie aresztu w każdym stadium postępowania

* Odpowiedź na ankietę Naczelnej Rady Adwokackiej.

należało do kompetencji sądu. Obecna kontrola sądowa — przy czym nie zawsze trafia do świadomości aresztowanego, że może z niej skorzystać — jest pod względem prawnym ograniczona (po utrzymaniu w mocy decyzji prokuratury, aresztowany pozostaje przez trzy miesiące w wyłącznej dyspozycji oskarżyciela publicznego), a pod względem faktycznym — w praktycznym stosowaniu przepisów prawnych — wysoce iluzoryczna. Doświadczenie uczy, że minimalny procent decyzji prokuratury o zastosowaniu aresztu jest uchylony przez sądy. Niestety nie świadczy to o ostrożności, i w każdym wypadku o poczuciu odpowiedzialności ze strony prokuratury, lecz o powierzchownym przeprowadzaniu kontroli przez sądy, z reguły znacznie mniej orientujące się w sprawie, niż prowadzący ją prokurator. Zasadniczym i bardzo szkodliwym w skutkach mankamentem naszego postępowania karnego jest brak możliwości udziału obrońcy w postępowaniu przygotowawczym — zarówno w sprawach poważniejszych w śledztwie, jak i w sprawach, w których prowadzi się dochodzenie. Wprawdzie obecne przepisy KPK dopuszczają obrońcę do udziału w postępowaniu przygotowawczym, uznając odstępowanie od tego za wyjątek, w praktyce jednak ten przepis uległ całkowicie degeneracji i stał się martwą literą bez żadnej realnej treści. Pozostawienie prokuraturze do niekontrolowanej, całkowicie dyskrecjonalnej, niezaskarżalnej decyzji, kiedy interes śledztwa lub dochodzenia zezwala na niedopuszczenie obrońcy do czynności procesowych, doprowadziło do tego, że wyjątek stał się regułą, którą potwierdzają — niestety bardzo nieliczne — wyjątki. Obrońcy przeważnie nawet nie starają się o dopuszczenie do udziału w dochodzeniu lub śledztwie gdyż jest to na ogół nierealne. Wręcz śmieszną rzeczą jest mówić o równowadze procesowej stron, gdy jedna z nich decyduje, czy druga w ogóle ma prawo brać udział w czynnościach i kontrolować postępowanie strony przeciwnej, choćby bez podejmowania jakichkolwiek decyzji stanowiących!

Całkowite niedopuszczenie obrony do czynności przygotowawczych powoduje nieobliczalne szkody dla osiągnięcia zasadniczego celu procesu karnego — wykrycia prawdy materialnej, i to zarówno z powodu błędów, jak niestety często również naruszania praworządności oraz nadgorliwości i jednostronnego spojrzenia na sprawę. Błędy popełnione w postępowaniu noszą często charakter nieodwracalny i nie jest w stanie naprawić ich żaden sąd.

W postępowaniu przed sądem zaznacza się również przewaga oskarżenia i przywiązywanie nierównie większej wagi do dowodów przemawiających za winą oskarżonego niż do dowodów, świadczących o jego niewinności. W wypadku sprzeczności po-

między wyjaśnieniami i zeznaniami, złożonymi w postępowaniu przygotowawczym i na rozprawie sądy w ogromnej większości wypadków dają wiarę i opierają wyroki na materiale postępowania przygotowawczego — zarówno wbrew teoretycznej randze rozprawy głównej, jak i nie ulegającemu wątpliwości faktowi, że daje ona większe gwarancje prawidłowego wyświetlenia prawdy niż dochodzenie lub śledztwo, i wbrew kategorycznemu nakazowi art. 3 § 3 KPK. W tym zakresie jedynym wyjątkiem jest sytuacja, w której oskarżony nie przyznał się w postępowaniu przygotowawczym a przyznaje się na rozprawie i gdy świadek, nie obciążający oskarżonego w postępowaniu przygotowawczym, złoży na rozprawie zeznanie obciążające. Wskazane fakty są znane tak powszechnie, że pisanie o nich jest truizmem — i to jest najbardziej niepokojące.

Odnosnie samego postępowania przed sądem, stwierdzić należy absolutnie iluzoryczną rolę ławników. Wyrok, zarówno w orzeczeniu o winie jak o karze, zależy prawie wyłącznie — z bardzo nielicznymi wyjątkami — od przewodniczącego. Czynniki społeczny jest tylko dekoracją, często bardzo niedołącznie wykonywaną. Spowodowane to jest angażowaniem na ławników wielu ludzi w wieku emerytalnym, często po prostu starych i zniechęconych umysłowo, często zaś niezależnie od wieku, w ogóle o niskim poziomie intelektualnym, zupełnie obojętnie odnoszących się do spraw, przy których swoim podpisem decydują formalnie i biorą na siebie odpowiedzialność za los innych ludzi. W Sądach Rejonowych bardzo często spotykanym zjawiskiem jest fakt niestawiennictwa ławnika na rozprawie. Poszukuje się wówczas pospiesznie drugiego ławnika, który zjawia się z opóźnieniem, bez żadnej zupełnie znajomości sprawy tak, że niejako z założenia jest kompletnie figurantem, automatycznie podpisującym wyrok. Przy wielodniowych rozprawach w Sądach Wojewódzkich, jako ławnicy występują często ludzie starzy, nie tylko nie mogący panować nad materiałem rozprawy, ale nawet nie interesujący się przebiegiem procesu, drzemający w jego toku i całkowicie, w każdej decyzji, zależni od przewodniczącego. Ogólnie rzecz biorąc, w sądach pierwszej instancji, zarówno rejonowych, jak wojewódzkich, kolegialność jest w 95 % fikcją. Faktycznie sądy te prawie zawsze, poza przestępstwami, zagrożonymi karą śmierci, sądzą jednoosobowo i z tego należy zdać sobie sprawę.

Fikcja kolegialności nie tylko pociąga za sobą zbędne koszty (w postaci przede wszystkim odrywania od pracy ławników jeszcze czynnych zawodowo), ale jest również złą szkołą pracy społecznej, uczy ludzi nieodpowiedzialności za swoje działania i to w dziedzinie niezmiernie ważnej — decydowania o losach innych

ludzi. Przeszkolenie ławników i przygotowanie ich do tej funkcji jest absolutnie niewystarczające. Sytuacja na odcinku ławników ulega zmianie na gorsze czy raczej na jeszcze gorsze. Podstawowym, najbardziej zasadniczym problemem naszego wymiaru sprawiedliwości jest fakt, że sędziowie nie czują się niezależni.

Wytyczne i wskazówki, naciski ze strony administracji sądowej, w której, zwłaszcza na prowincji, prezesi sądów występują niejednokrotnie w roli kacyków, naciski ze strony prokuratury i organów MO często na wysokich szczeblach, często niewłaściwe wystąpienia czynników partyjnych, zapominających o tym, że partia kieruje lecz nie rządzi, wpływają na brak poczucia niezależności i przekonanie, że wydanie wyroku zgodnie ze swoim sędziowskim sumieniem, pociągnie za sobą szkodliwe skutki dla osobistej kariery. Nie tylko jednostki słabe i bezwartościowe, ale i ludzie przeciętni ulegają tym presjom. Element najwartościowszy, wydający w każdej sytuacji wyroki zgodnie ze swoim sumieniem i nakazem prawa, zmuszany jest do ustąpienia, lub co najmniej pomijany przy awansach i przenoszony na niższe stanowiska. Powszechnie znane są nazwiska wybitnych sędziów, którzy za przeciwstawienie się naciskom zapłacili w sposób jaskrawy swoją osobistą karierą zawodową i materialną. Ta sytuacja sprawia, że sądy nie stoją na wysokości zadania w chwilach ważnych politycznie i nie mogą spełnić należycie swego podstawowego zadania w życiu państwa — wskazania władzy państwowej popełnianych przez czynniki polityczne błędów i uchybień wobec porządku prawnego. Przebieg spraw, związanych ze zdarzeniami czerwcowymi 1976 roku świadczy o tym dobitnie.

Domaganie się ze strony administracji sądowej „statystyki” prowadzi do gorączkowej i pośpiesznej pracy sądów w pewnych okresach roku. Czynniki domagające się takiej pracy od sądów nie zwracają uwagi na fakt, że musi to wpływać niekorzystnie na jakość orzecznictwa i że, niezależnie od okresów sprawozdawczych, lepiej jest doprowadzić do końca mniej spraw dobrze osądzonych niż więcej źle osądzonych.

Bardzo szkodliwy jest brak udziału obrońcy w wielu sprawach karnych o poważniejszym znaczeniu. Szczególnie niepokojące jest to przy art. 229 § 1 — jedynej zbrodni, rozpoznawanej w pierwszej instancji przez Sądy Rejonowe. Należy postulować przymus adwokacki przy rozpoznawaniu wszystkich spraw o zbrodnie. Należy też wprowadzić i stosować uprawnienia sądu do objęcia przymusem adwokackim spraw, co do których istnieją podstawy przypuszczenia, że oskarżony pozostawiony sam sobie, nie będzie umiał bronić się należycie. Jak niebezpieczne dla prawidłowego wymiaru sprawiedliwości jest w wielu sprawach

pozostawienie oskarżonego samemu sobie — świadczą często wypadki niezrozumienia pouczenia sądu po ogłoszeniu wyroku, odnoszącego się do środka odwoławczego. Usłyszawszy o dwóch tygodniach do wniesienia rewizji od otrzymania uzasadnienia wyroku oskarżony myśli, że ma dwa tygodnie czasu od ogłoszenia wyroku i bardzo często przychodzi do adwokata bądź w ostatniej chwili, bądź, co gorzej, już po upływie zawitego terminu tygodniowego do złożenia wniosku o sporządzenie uzasadnienia wyroku na piśmie. Jak ustalono na podstawie badań statystycznych, dotyczących warunkowego, przedterminowego zwolnienia, od wejścia w życie Kodeksu Karnego Wykonawczego w roku 1970 nie zanotowano ani jednego wypadku odwołania się przez prokuratora od niekorzystnej dla oskarżonego decyzji sądu. Świadczy to o niewłaściwym pojmowaniu swych obowiązków przez prokuraturę w postępowaniu wykonawczym i nakłada na sąd penitencjarny szczególne obowiązki. Warunkowe, przedterminowe zwolnienie jest instytucją o dużym znaczeniu praktycznym i poważny odsetek skazanych korzysta z jej dobrodziejstwa.

Bardzo źle natomiast, generalnie rzecz biorąc, przedstawia się sprawa na odcinku rewizji nadzwyczajnych. Instytucja ta — jeżeli chodzi o rewizje nadzwyczajne na korzyść oskarżonego — stała się całkowicie szcątkową i mało realną, nawet przy oczywistych i rażących uchybieniach wyroków skazujących. Jak można się zorientować, podania o wniesienie rewizji nadzwyczajnej, składane przez stronę w sprawach karnych, bywają uwzględniane w minimalnym procencie — mówi się o 1 do 3 %. Mimo braku (całkowicie w tych warunkach zrozumiałego) publikowanej w tym zakresie statystyki, z całą pewnością można określić, że uwzględnionych zostaje poniżej 5 % podań. Przy rozpoznawaniu tych podań uważa się stabilność wyroków za cel główny wymiaru sprawiedliwości. Każdą wątpliwość tłumaczy się na niekorzyść oskarżonego. Dopuszcza się już nie swobodną, lecz całkowicie dowolną ocenę dowodów, art. 3 § 3 KPK prawie nigdy nie znajduje zastosowania. W praktyce wymiaru sprawiedliwości stosuje się nierównie częściej rewizje nadzwyczajne na niekorzyść niż na korzyść oskarżonego, tak jakby sądy grzeszyły raczej nadmierną pobłażliwością, a dowody niewinności były bardziej brane pod uwagę niż dowody winy, choć wszyscy wiedzą, że jest na odwrót. Wiadomo bowiem, że jesteśmy krajem najsurowszych wyroków w Europie, a już w każdym razie należymy w tym zakresie do ścisłej czołówki.

Poruszyć tu należy problem wstecznego kierunku tego zjawiska społecznego, jakim jest surowość kar. Postęp w wymiarze sprawiedliwości polega, przynajmniej od czasów Hammurabiego,

na łagodzeniu sankcji karnych a tymczasem tendencja rozwojowa u nas jest przeciwna. Mimo niewątpliwego postępu, którego wyrazem było wprowadzenie nowego Kodeksu Karnego w dniu 1 stycznia 1970 roku i uchylene szeregu draakońsko surowych ustaw specjalnych, nasze prawo karne i praktyka wymiaru sprawiedliwosci jakiej sie ząda od sądów, w żadnym razie nie może być uznana za wyraz postępu w stosunku do krajów o wysokiej kulturze prawnej. A był czas, kiedy pod tym wzgledem przodowaliśmy całemu światu. Nasze „*Neminem captivabimus nisi iure dictum*” z epoki Władysława Jagiełły, prawie o 250 lat wyprzedza angielski „*habeas corpus act*”! I obowiązujące ustawy i — będąca w pierwszym rzędzie tematem tych rozważań — praktyka sądowa może sugerować że w porównaniu z okresem międzywojennym jesteśmy krajem, w którym zwiększyła się rozpiętość sytuacji materialnej obywateli, zaostrzyły się konflikty społeczne i nieproporcjonalnie wzrosła przestępczość. Tymczasem tak nie jest i kolosalnie zwiększona surowość kar, które jeszcze powiększa się w drodze rewizji nadzwyczajnych (o wiele częściej stosowanych na niekorzyść niż na korzyść oskarżonego) nie odpowiada faktycznym warunkom życia społecznego.

Proporcje rewizji nadzwyczajnych, wnoszonych na niekorzyść i na korzyść oskarżonego świadczą o nieprawidłowej ocenie zjawisk społecznych i błędnej polityce penitencjarnej. Można się zgodzić, że bez porównania mniejszy odsetek ludzi, przebywających w więzieniach w krajach skandynawskich niż u nas jest rzeczą zrozumiałą. Ale już fakt, że Polska w stosunku do ogółu ludności kilkakrotnie ma większy odsetek więźniów od Hiszpanii, która w ciągu ostatnich dziesięcioleci przechodziła pod wieloma względami podobne koleje losu i która jest krajem kapitalistycznym, budzić musi głęboki niepokój. Na szczęście nie świadczy to o tym, aby panował i u nas stan określany jako *bellum omnium contra omnes*, tylko o błędnych założeniach naszej polityki penitencjarnej.

Wysoce niepokojącym zjawiskiem jest problem biegłych psychiatrów. Rola ich w procesie karnym jest ogromna, kompetencje bardzo szerokie — w wielu wypadkach decydujące dla losu oskarżonego. Sądy czują się, często w sposób przesadny, związane ze stanowiskiem biegłych i zapominają, że najwyższym biegłym jest sąd i że psychiatrzy wydają opinię o stanie umysłowym oskarżonego, natomiast decyzja co do tego, czy dany człowiek z powodu swej nienormalności umysłowej jest niebezpieczny dla otoczenia, należy ostatecznie — nie tylko pod względem formalnym, ale i merytorycznym — do sądu. Powoływanie i wyznaczanie biegłych psychiatrów winno należeć do kompetencji sądu.

Strony winny mieć prawo zgłaszania swoich wniosków w tym zakresie, z możliwością uzgodnienia swego stanowiska. Obecny sposób powoływania biegłych przez prokuraturę jest równie nieprawidłowym, jak nieprawidłowym byłoby wyznaczanie biegłego przez obrońcę. Sposób ten narusza równowagę procesową stron gdyż czyni biegłych niejako funkcjonariuszami prokuratury, uzależnia otrzymanie zlecenia wiążącego się również z zarobkiem materialnym, od strony procesowej, wreszcie pozwala oskarżycielowi wybrać biegłego, który w przekonaniu prokuratury będzie popierał tezę oskarżenia. Możliwość odwoływania się od decyzji jednego zespołu biegłych do innego zespołu o wyższych lub co najmniej równorzędnych kwalifikacjach winna być rozszerzona. Rozbieżność w opinii biegłych co do stanu poczytalności oskarżonego winna być rozstrzygana przez Sądy zgodnie z nakazem art. 3 § 3 KPK. *De lege ferenda* należy wnosić o bardziej uchwytnie określenie kodeksowe. Utrzymane z kodeksu karnego z 1932 roku określenie o możliwości rozeznania czynu i kierowania swoim postępowaniem, czy ograniczone jest ono w stopniu znacznym lub nieznacznym — jest równie mało konkretne i podlegające dowolnej interpretacji jak rozstrzygnięcie zagadnienia, czy jakaś kobieta jest przystojna, czy bardzo przystojna.

Zwrócić też należy uwagę na utrzymanie u nas złej tradycji międzywojennej, że prokurator, który jest stroną, siedzi przy stole sędziowskim, na podwyższeniu i wywołuje wrażenie osoby nadrzędnej w stosunku do innych uczestników procesu. Oto autentyczny komentarz nie obznajomionego z procedurą obserwatora procesu karnego: (Prokurator i sąd) „siedzą razem, razem wchodzi, razem wychodzą — to przecież i sądzą razem”. A zwrócić należy uwagę na to, że formy odgrywają w sądzie rolę szczególną. Przed żadną władzą obywatel nie stoi i nie ma obowiązku wstawać, gdy zwraca się do niego siedzący minister czy sam Przewodniczący Rady Państwa. Równość procesowa stron winna być zaznaczona w sądzie również w formie zewnętrznej i za prawidłowy pod tym względem należy uznać stan rzeczy w Sądach Wojskowych, gdzie prokurator i obrońca zajmują miejsce równorzędne, poza stołem sędziowskim.

Wiele pozostawia do życzenia kultura sali sądowej. Jest dużo sędziów na wysokim poziomie, ale często również niestety spotyka się opryskliwość, niegrzeczność, nieuczynność, lekceważące odnoszenie się do oskarżonego, świadków, obrońców. Tymczasem tylko sąd przestrzegający w wysokim stopniu właściwych eleganckich form przy wymiarze sprawiedliwości może w sposób prawidłowy wychowywać społeczeństwo. Wielu sędziów nie

zdaje sobie sprawy z tego, że wszelkie nie na poziomie zachowanie się sądu godzi w powagę sprawiedliwości. Często też się zdarza, że sędziowie uważają, iż ich pozycja na korytarzu sądu jest taka sama jak na sali sądowej, gdy siedzą w todzie i z łańcuchem sędziowskim na szyi i uważają, że np. uwłacza im ukłonięcie się znacznie starszemu wiekiem i stażem pracy zawodowej adwokatowi. Nie sprzyja to prawidłowemu ułożeniu się stosunków między magistraturą a palestrą.

Wiele jest do zrobienia w zakresie uczynności zawodowej, chęci pójścia na rękę adwokatowi przy sytuacjach konfliktowych, jeżeli chodzi o kolizję terminów. Zarówno w tym zakresie, jak w zakresie wspomnianych wyżej względów grzecznościowych, sytuacja ulega niestety zmianie na gorsze. Podobnie jeżeli chodzi o punktualność czynności sądowych. Specyfika pracy w sądzie pozwala nie często na punktualne rozpoczęcie rozprawy i przestrzeganie zaplanowanych godzin. Nie powinno to jednak prowadzić do lekceważenia sobie terminów i lekceważenia przez sąd czasu innych ludzi przez wykorzystywanie swojej nadrzędnej pozycji. Sąd ma moralny i zawodowy obowiązek wyrażania swoim postępowaniem szacunku dla wszystkich biorących udział w procesie i jak zaznaczono to już powyżej, tylko wtedy może spełnić swe zadania wychowawcze w stosunku do społeczeństwa.

Głos Nr 7.

KULTURA, CENZURA I SZKOŁA

Jan NOWICKI

O CZYM POLACY NIE POWINNI WIEDZIEĆ

Życie społeczne polega na zdarzeniach, spotkaniach, konfliktach. Państwowe zarządzanie spotyka się z tym, co robią ludzie prywatni. Działania każdej ze stron napotykać opór ze strony przeciwnej. Obieg informacji i tworzenie kultury to także dziedzina takich spotkań, zderzeń i starć. Urząd cenzury może wstrzymać prawie każdą wiadomość, każda książka może zostać nieopublikowana, przedstawienie teatralne zdjęte ze sceny. Cenzura przyznaje sobie prawo weta. Biuletyny tej instytucji mówią o „zwolnieniu” wiadomości. Stan naturalny, zdaniem cenzorów, polega więc na tym, że wiadomości, książki i filmy są niedopuszczone do obiegu. Urzędnicy, działający jako właściciele kultury polskiej, mają dopiero „zwolnić”, amnestionować nazwiska, prace, informacje.

W tych zadziwiających warunkach życie kulturalne jednak istnieje. Kultura dostępna na rynku oficjalnym jest przedmiotem przetargów i porozumień twórców z funkcjonariuszami, autorów z rzecznikami instytucji zarządzających i kontrolujących. Kulturę wytargowuje się od władzy, przede wszystkim od partyjnych nadzorców i nominatów. Jak zwykle w handlu, doniosła rola przypada pośrednikom: dyrektorom, wydawcom, redaktorom. Reprezentują oni częściowo interesy rządzących, ale myślą też czasem o działalności merytorycznej. Niekiedy nawet upominają się o sprawy słuszne i potrzebne, ale tak, by nie naruszyć tabu ideologicznych — niezbędności cenzury, kierowniczej roli partii, bardzo szczególnej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

W kulturze oficjalnej i jawnej istnieją strefy ciszy: nakazanego milczenia. Milczeniem są objęte drażliwe fakty z historii stosunków polsko-radzieckich, a nawet polsko-rosyjskich. Cenzura broni caratu albo nazizmu — troszczy się, by komuś nie

przyszły do głowy niewłaściwe skojarzenia. A jednak można mniej więcej ustalić, jak przebiegała historia. Znacznie gorzej jest z wiedzą o współczesnym życiu społecznym. Środki przekazu upowszechniają wiadomości może prawdziwe, ale zdające sprawę z fikcyjnej nadbudowy przekazywanej w dziennikach telewizyjnych — ideologicznej w formie i produkcyjnej w treści — wzniezionej nad nieznanym już chyba nikomu życiem społecznym. O tej fikcji mówi obszernie partyjna lub pozornie bezpartyjna gazeta. Co się za tą fikcją kryje? Rzeczywistość daje czasem o sobie znać w nagłym błysku, jak w grudniu przed siedmiu laty, by znów schronić się za ideologiczną zasłonę.

Porozumienie publiczne w druku jest niekiedy możliwe, ale przy pomocy aluzji, a mowa wprost jest dozwolona wtedy, gdy mówi się w sposób aprobowany przez PZPR. Sporo jednak zależy od tego, kto mówi, do jakiego audytorium, w jakim kontekście. Zezwolenia są dawkowane. Cenzurowane jest wszystko, co ma być oficjalnie rozpowszechnione: nekrologi, ogłoszenia, bibliografie, rysunki satyryczne i przedstawienia teatralne. Ale istnieją sprawy i nazwiska, o których można pisać w miesięczniku literackim, a nie można w tygodniku, a tym bardziej w gazecie codziennej. Cenzura bierze pod uwagę zasięg odbioru. Przede wszystkim nie chce gorszyć małuczkich: młodzieży lub robotników, którzy powinni pozostawać pod szczególną opieką. Możliwości nielicznych czasopism katolickich są inne niż czasopism państwowych (w sprawach religii większe, w innych sprawach mniejsze). Prasa katolicka może pisać o Bogu lub o synodzie biskupów, a nie może o ateizmie lub o pielgrzymce robotników do Częstochowy. Czasem zezwala się na opublikowanie informacji w wybranym piśmie (na przykład w *Życiu Warszawy* o nagrodzie Nobla dla Sacharowa), ale już bez prawa przedruku czy komentarza gdzie indziej. Ukazanie się wiadomości ma wtedy świadczyć o liberalizmie władz. Odbiorcy radia i telewizji są najbardziej wnikliwie chronieni przed nieprawomyślnością. Zdarza się, że autor może swoje prace oficjalnie drukować, ale zakazuje mu się wystąpienia w telewizji i w radio. Tymi środkami przekazu kieruje Wydział Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR. Partia ta dysponuje polskimi środkami informacji i zachowuje się jak ich właściciel. Jej podporządkowana jest cenzura, z partią układają się pośrednicy i niektórzy twórcy kultury.

Istnieje obieg informacji oficjalny, ale niejawni lub nie w pełni jawny. Najwyraźniej również w życiu oficjalnym odczuwa się potrzebę informacji nieco mniej zafałszowanej. Ale dąży się do tego, aby ta informacja nie rozchodziła się zbyt sze-

roko. Polska Agencja Prasowa wydaje codziennie *Biuletyn Specjalny*, w którym wiadomości są na ogół nie zniekształcone. W ich selekcji ochrona czytelnika przed nieprawomyślnością odgrywa mniejszą rolę niż w prasie zwykłej. *Biuletyn Specjalny* zawiera przedruki z prasy zagranicznej i komunikaty agencyjne. Treść tego wydawnictwa przypomina więc treść gazety, zresztą dość bogatej w informacje ze świata. Ale jest to gazeta do której zwykły człowiek nie ma dostępu. Numerowane egzemplarze *Biuletynu Specjalnego* rozdzielane są między wyznaczonych odbiorców, zobowiązanych do nieudostępniania ich osobom postronnym. Codzienna informacja (a nie tylko cukier czy samochody) jest dobrem reglamentowanym, dobrem o zróżnicowanej dostępności. Istnieją biuletyny nasłuchu radiowego, podające nasłuchy audycji, nadawanych przez zagłuszone stacje zagraniczne. Zasięg tych wydawnictw jest jeszcze węższy niż *Biuletynu Specjalnego*. Ukazują się książki naukowe dostępne wyłącznie poza normalną sprzedażą. W ten sposób chroni się obywatele PRL przed wiedzą, która zdaniem władz jest obywatelom niepotrzebna.

Wszystko co ma zostać udostępnione publicznie, przechodzi przez kolejne kontrole. Propagandowe i ideologiczne agendy PZPR formułują polecenia dla cenzury. Cenzura częściowo przekazuje otrzymane polecenia wydawnictwom i redakcjom (część poleceń cenzura zataja, nie informuje o ich brzmieniu, ale po prostu stosuje je w praktyce). Wydawnictwa — wyprzedzając interwencje — wprowadzają własne skreślenia i uzupełnienia. Autorzy to przewidują i jeśli chcą, by książka została przyjęta do druku, cenzurują ją sami, przed działaniem wydawnictw i cenzorów. W ten sposób następuje uspołecznienie cenzury: wydawcy i autorzy przyswajają sobie cenzorskie nakazy i zakazy. Co prawda, takie przyswojenie może nie być łatwe. Polecenia są zmienne i nie wszyscy są o nich informowani. Trzeba się ich domyślać, odcyfrowywać ich treść, zestawiając ingerencje cenzury. A ingerencje te bynajmniej nie są znane powszechnie. Cenzura, tak jak policja, nie lubi jawności. Chce budzić lęk i działać skutecznie, ale woli pozostawać w cieniu, pośrednio bronić obywateli przed informacjami, uznanymi za niesłuszne, nie dość pochlebne dla władz lub po prostu niekonieczne.

Coraz częściej jednak do czytelników dociera twórczość nie-cenzurowana. Istnieje niecenzurowany obieg myśli i informacji, wydawnictwa, utrwalające choćby w małym nakładzie wiedzę o otaczającej rzeczywistości i o historii, umożliwiające tworzenie literatury niezależnej i dyskusowanie sposobów naprawy społeczeństwa.

Mamy zatem trzy obiegi informacji: obieg oficjalny i jawny — oficjalny i niejawny, wreszcie — nieoficjalny. Szkodliwość działań cenzury wynika między innymi z szerokości zasięgu pierwszego obiegu: informacja jawna i oficjalna jest cenzurowana tym wnikliwiej, im bardziej powszechny przewiduje się jej odbiór. Ochronne poczynania cenzury nie znają granic i stają się wszechobejmującą działalnością likwidatorską. Sprawa zresztą nie kończy się na zakazach. Cenzura nakazuje: jak oceniać film i jak nazywać państwa, jak rysować mapy i jakie publikować zdjęcia partyjnych dygnitarzy, co pisać o Armii Krajowej i o zbrodni w Katyniu. Zakazy te i nakazy mówią wiele o polityce władz. Za pośrednictwem cenzury władze zajmują się nami, dlatego my powinniśmy zajmować się cenzurą. Jak najszerszej powinny więc być dostępne informacje, o czym — według cenzorów i ich zwierzchników — Polacy nie powinni wiedzieć.

Głos Nr 3.

Jan NOWICKI

INTERNACJONALIZM PUKA DO SZKÓŁ

Wydana w Stanach Zjednoczonych praca o zmianach w systemach komunistycznych zaczyna się od cytatu przypisanego partyjnemu funkcjonariuszowi z Warszawy: „W naszym ustroju jedynie przyszłość jest pewna, przeszłość zaś ulega stale zmianom”.

Nakładem Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych ukazał się dwutomowy zbiór „Programy dziesięcioletniej szkoły średniej” (Warszawa, 1977). Jak autorzy zaprogramowali przeszłość?

Jednym z celów wychowawczych projektodawców programów jest internacjonalizm. Cóż to za cel? Okazuje się, że internacjonalizm bynajmniej nie dotyczy wszystkich narodów na równych prawach. Internacjonalizm jest zastępczą nazwą uczucia nieznanego dawnym podręcznikom sztuki miłości. Uczuciem najbardziej internacjonalistycznym jest miłość do jednego z państw — do Związku Radzieckiego. Na stronie 196 i 197 drugiego tomu „Programów” czytamy: „Ścisły związek między życiem

i kulturą narodu, a jego językiem umożliwi w nauczaniu języka rosyjskiego w szkole polskiej szerokie oddziaływanie ideowo-wychowawcze, w tym kształtowanie postawy społeczno-politycznej młodzieży w duchu internacjonalizmu”.

„Nauka języka rosyjskiego powinna współdziałać z innymi przedmiotami w kształtowaniu postawy i przekonań właściwych obywatelowi w pełni zaangażowanemu i oddanemu sprawom socjalistycznej ojczyzny, a w szczególności sprzyjać rozumieniu dziejowej racji przyjaźni i współpracy ze Związkiem Radzieckim”.

Majaczenie o internacjonalistycznym wychowaniu przy pomocy języka rosyjskiego można traktować jako niepoważną pisaninę aparatczyków partyjnych. Chcą oni w ten sposób służyć zakomunikować swoim zwierzchnikom i kontrolerom: widzicie, towarzysze, jacy jesteśmy ideologicznie w porządku, udało się nam ten rosyjski powiązać z internacjonalizmem i nawet z jakąś ojczyzną (socjalistyczną i internacjonalistyczną).

Bekkot urzędników od wychowania staje się jednak niebezpieczny, gdy firmuje go Instytut Programów Szkolnych i gdy rezultat internacjonalistycznego pisarstwa ma wszelkie szanse znaleźć się w rękach przestraszonego nauczyciela lub wizytatora. Nie trzeba rozjątrzać uczniów ponad miarę. Podobne prace urzędnicze nie od dzisiaj okazywały się syzyfowe.

W programie dziesięcioletniej szkoły średniej przeznaczono na język rosyjski łącznie we wszystkich klasach 17 godzin tygodniowo (w klasie V i VI po 4 godziny, w klasie VII — 3 godziny, w klasach od VIII do X — 2 godziny tygodniowo). Historia Polski i powszechna zajmuje w sumie 13 godzin w tygodniu (w klasach od IV do IX — 2 godziny, w klasie X — jedną godzinę tygodniowo).

W klasie VII uczy się historii wieków XVI-XVIII. W klasie VIII doprowadza się ją do wybuchu pierwszej wojny światowej, w klasie IX do roku 1945, klasa X poświęcona jest okresowi powojennemu. Od klasy V jest to historia bez powtórzeń, poszczególne okresy dziejowe omawia się tylko raz.

Im bliżej współczesności, tym większa jest dokładność, z jaką mówi się o wydarzeniach. Ale szczegółowość omówień jest stronicza — na rzecz tendencji i działań, o których autorzy programu sądzą, że historia była od początku po ich stronie, dlatego zapewne, że po ich stronie jest oficjalna terażniejszość PRL.

Oto tematy z programu dla klasy VIII: *Powstanie socjalizmu naukowego, Pierwsza Międzynarodówka, Utworzenie Drugiej Międzynarodówki, Marksizm w walce z rewizjonizmem i refor-*

mizmem, Początki rewolucyjnej działalności W. I. Lenina, II-gi Zjazd SDPRR, Bolszewicy i mienszewicy, Wybitni działacze polskiego ruchu robotniczego (F. Dzierżyński, M. Kasprzak, J. Marchlewski i inni).

Nazwisko *Piłsudski* wymienione jest dopiero w programie klasy IX. Tam znajdujemy „Obóz J. Piłsudskiego” oraz „Umocnienie się władzy burżuazyjnej w Polsce”.

Na str. 271 w tomie I „Programów” stwierdzono: „Wychowanie patriotyczne powinno być w nauczaniu historii ściśle zespolone z wychowaniem internacjonalistycznym”. Do ważnych zadań historii należy „budzenie przywiązania do internacjonalistycznych tradycji polskiego ruchu robotniczego i braterskiej współpracy krajów socjalistycznych”.

Sądząc z ilości wzmianek, KPP była partią, która w dwudziestoleciu międzywojennym odgrywała największą rolę. O KPRP i KPP mówią następujące sformułowania z programu klasy IX: *Powstanie KPRP (16. XII. 1918) i jej działalność* (jest to jedna z bardzo niewielu dat dziennych), *II-gi Zjazd KPRP, wybitni przywódcy KPRP (M. Koszutska, A. Warski), KPP w walce z wyzyskiem kapitalizmu i polityką sanacji, Rewolucyjna działalność KPP (czyżby chodziło o tzw. „wojskówkę?”), walka KPP o front jednolity i ludowy, rozwiązanie KPP, Komuniści polscy w przededniu wojny.*

Cel programu historii w klasie X wskazano w tomie I-szym na str. 322: „Zrozumienie miejsca i roli PRL w obozie państw socjalistycznych powinno wzmocnić i rozwinąć uczucia internacjonalistyczne”. Uczeń powinien więc opuszczać szkołę z wzmocnionymi uczuciami na skutek zrozumienia miejsca PRL w obozie. To nawet jest możliwe.

Historia bywa nie tylko takim obrazem dziejów, jaki widzieli uczestnicy wydarzeń. Bywa wzbogacana o fakty i źródła, z których nie wszyscy kiedyś zdawali sobie sprawę i które nie wszystkim były dostępne. Mówiono dawniej, że historia uczy życia. Zadaniem lekcji historii według „Programów dziesięcioletniej szkoły średniej” jest przygotowanie ucznia i obywatela do lektury *Trybuny Ludu*.

Przygotowany przez szkołę uczeń i obywatel może zostać kandydatem PZPR i autorem następnych programów szkolnych. Proponuję jednak, żeby aparatczycy PZPR kształcili swoich następców odrębnie — z tych funduszy, jakie pochodzą z partyjnych składek członkowskich. System oświaty jest finansowany przez społeczeństwo i nie ma powodu, by ponosiło ono koszty wstęp-

nych szkoleń partyjnych ukrywanych pod nazwą historii Polski i historii powszechnej.

Głos Nr 5.

Bohdan CYWIŃSKI

WYCHOWANIE DO PODMIOTOWOŚCI

Podstawowym warunkiem powodzenia wszelkich działań, zmierzających ku autentycznej demokracji w Polsce, jest radykalny wzrost podmiotowości politycznej obywatela i społeczeństwa. Szanse tego wzrostu zależą w wielkim stopniu od tego, w jakiej mierze uda się osiągnąć w naszym społeczeństwie rozbudzenie i mobilizację woli podmiotowości. W świetle dokonanej analizy czynników współstanowiących o podmiotowości osoby i społeczności ludzkiej twierdzą, że wysuwany wobec społeczeństwa program takiej mobilizacji postaw podmiotowych musi być jednocześnie programem wychowania społecznego i programem konkretnych, publicznych działań zbiorowych. Musi to być program wychowawczy, gdyż doświadczenia blisko czterdziestu lat stłumiły w społeczeństwie zdolność swobodnego wyrażania postaw podmiotowych i w szerokich rzeszach ludzi wyrobiły przyzwyczajenie biernego godzenia się z tendencjami uprzedmiotowiającymi jednostki i społeczeństwo. Przewyciężenie tych, głęboko już zakorzenionych, postaw bierności w życiu publicznym wymaga intensywnej i szeroko zakrojonej akcji wychowawczej, która zdolna byłaby pomóc w moralnym, duchowym rozprostowaniu się człowieka w Polsce. Stąd skonstruowanie jakiegokolwiek programu politycznego bez uprzedniego lub choćby równoczesnego wysiłku wychowawczego byłoby działaniem pomijającym istotę sprawy, działaniem pozornym i prędzej czy później skazanym na wewnętrzną klęskę.

Musi to być jednocześnie program konkretnego działania. Najszlachetniejsze w intencjach hasła wychowawcze okażą się werbalnym tylko moralizatorstwem, jeżeli wezwaniom do przebudzenia się i zajmowania postaw podmiotowych nie będą towarzyszyć konkretne i realne działania społeczne, w których będzie się mogła wyrazić podmiotowość indywidualna i zbiorowa. Zwrócenie się do społeczeństwa z mobilizującym apelem

wtedy tylko ma sens, gdy apelowi takiemu towarzyszyć będzie propozycja konkretnego działania, propozycja rozumiejąca rzeczywistą sytuację polityczno-społeczną, zawarte w niej szanse, ale i granice aktualnych możliwości działania. Tylko taki apel, konkretny i realistyczny, może być apelem uczciwym i skutecznym.

Program wychowawczy, o jakim myślę, nie może być programem powierzchownym, w którym pod etyczną deklamacją chodzić będzie w istocie jedynie o mobilizację określonych zachowań ludzkich, pożądanych z punktu widzenia tak czy inaczej pomowanej polskiej racji stanu. Społeczeństwo potrzebuje dziś integralnego programu etyki społecznej i wydaje się, że przy całej nieufności wobec nachalnej propagandy oficjalnej w tej dziedzinie — w istocie takiego programu od kogoś wiarygodnego oczekuje. Etyka społeczna o którą chodzi, nie może się ograniczać, ani nawet w swej wymowie koncentrować, na formułowaniu samych idealnych zasad życia społecznego. Wizja owych zasad musi być w myśli etycznej stale obecna. Ale ograniczenie się do niej, jako do zasadniczego i całościowego postulatu wydawać by się mogło czymś oderwanym od aktualnej rzeczywistości, bądź skierowanym tylko do tych którzy decydują o panującym systemie politycznym i jego moralnych konsekwencjach. Tymczasem głównym adresatem tworzonego wewnątrz społeczeństwa przesłania etycznego musi być zwykły człowiek w Polsce; jego świadomości, postawom i zachowaniom winny być postawione istotne postulaty. Ten kierunek refleksji etycznej musi więc radykalnie zerwać z wizją szarego człowieka — poddanego, wolnego od moralnej odpowiedzialności za swoje uprzedmiotowienie, a zwrócić się ku wizji szarego człowieka-obywatela, który jest moralnie współodpowiedzialny za to wszystko, co dzieje się najpierw z jego człowieczeństwem a potem z całą naszą wspólnotą.

Istnieją pewne dziedziny moralności społecznej, w których odczuwa się szczególnie brak poważnej i dostosowanej do potrzeb refleksji etycznej. Należy do nich sfera uczestniczenia w życiu publicznym, sprawy pracy, kariery, postaw konsumpcyjnych, uczestnictwa i nieuczestnictwa w kłamstwie, solidarności i niesolidarności itd. Oczywiście wszystkie te kwestie wymagają jak najbardziej docieklivej analizy i oceny moralnej i jak najgłośniejszego ich publicznego stawiania. Sformułowanie jednoznacznych postulatów w tych zagadnieniach nie wyczerpuje jednak całości problemu: jest koniecznym porządkowaniem powierzchni życia publicznego, ale nie sięga do jego wnętrza. Konieczne jest cofnięcie się w głąb, ku motywacji ludzkich działań

i eksponowanie wartości podstawowych etycznych, które jedynie uzasadnić mogą postępowanie moralne, zarówno w życiu najbardziej prywatnym, jak i w wymiarze społecznym. Postawową dla moralności społecznej zdolność osoby ludzkiej do podmiotowego sprawczego czynu i do solidarnego uczestnictwa we wspólnocie wykształcić tylko można odwołując się do tych podstawowych wartości. Oznacza to, że etyczna treść programu wychowania społecznego musi w swych założeniach odwołać się do określonej, filozoficznej wizji człowieka. Wydaje się, że wizji takiej należy szukać w przestrzeni, jaką wyznacza personalizm. Przy całej swej wieloznaczności i specyficznym zamgleniu konturów filozoficznych, personalizm stanowi bowiem dziś wspólny grunt, jednoczący bodaj wszystkich tych co chcą stawać w obronie człowieka przed niebezpieczeństwem totalnej i uprzedmiotowiającej przemocy.

Głęboko pojęte a zarazem swoiście natarczywe w swej aplikacji do konkretnych sytuacji społecznych treści etyczne winny stanowić swoistą bazę programu społecznego wychowania. Poza odnową moralności społecznej, wychowanie to musi przynieść jednak i odnowę samoświadomości społeczeństwa jako wspólnoty. Ta obecnie istniejąca i konsolidująca się dziś wspólnota stanowi podmiot kontynuujący wspólnotę narodową z jej określoną, historyczną przeszłością i przyszłością, którą określać mają nasze dzisiejsze zachowania i działania. Ideowy sens uczestnictwa w tej historycznej wspólnocie musi znaleźć adekwatne odbicie w tych treściach, które mają funkcjonować jako program wychowawczy wobec społeczeństwa. Świadomość historycznej tożsamości narodu jest dziś w znacznym stopniu przedmiotem ideologicznej manipulacji władz. Pomijanie, zniekształcanie czy wyolbrzymianie poszczególnych wątków z dziejów narodu ma sterować społecznym poczuciem tradycji narodowej i pokierować żywymi uczuciami patriotycznymi dla wzmożenia społecznej akceptacji istniejącej instytucji państwa, w jej obecnym kształcie ideologicznym i politycznym. Zabiegi te, będące w istocie uprzedmiotowaniem już nie samego społeczeństwa, ale idei wspólnoty narodowej nie budzą, jak się zdaje, większego zaufania, a u niektórych wywołują repulsję wobec całego zespołu treści tradycji narodowych. Zadaniem autentycznego wychowania społecznego winna stać się, jak sądzę, nowa waloryzacja treści, wiązanych z imieniem Polski i z poczuciem narodowej wspólnoty. W szukaniu inspiracji cofnąć by się należało ku tej epoce w kulturze i myśli politycznej, kiedy sprawa Polski rozważana była w sferze wartości moralnych, wiązana z najgłębszymi ludzkimi imponderabiliami, kiedy polski

patriotyzm i poczucie narodowe nie było skażone nacjonalizmem. Byłby to niewątpliwie świadomy nawrót do romantyzmu ale tylko na tym gruncie można odtworzyć mit Polski jako wartości zadanej, wartości do realizacji, wartości o jednoznacznym sensie moralnym, nie podlegającej uprzedmiotowieniu przez żadną ideologię. Sądzę, że tylko taką wizję ideału Polski i odpowiadający jej wizerunek wspólnoty narodowej usiłującej ten ideał realizować można stawiać jako przedmiot autentycznego i moralnie godziwego patriotyzmu. Każde zmniejszenie tej wizji do rozmiaru takich czy innych wcieleń politycznych — deformuje patriotyzm w emocje nacjonalistyczne, etatystyczne czy wręcz partyjne i kwestionuje lub nawet obala jego etyczną i humanitarną wartość.

Niełatwo wystąpić dzisiaj z programem wychowania społecznego, zwłaszcza z programem, ośmielającym się część odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy składać na sumienie zmęczonego historią najnowszą społeczeństwa. Niełatwo domagać się czegokolwiek w imię solidarności społecznej czy poczucia wspólnoty narodowej. Wygłoszony nierozważnie przez kogoś, kto nie ma w oczach społeczeństwa dostatecznej ku temu legitymacji moralnej, wszelki mobilizujący apel może wywołać w opinii publicznej oburzenie, a najpewniej spotkać się z powszechną obojętnością. Dzieje ostatnich pokoleń w Polsce i realna wartość różnych wygłaszanych już do społeczeństwa apeli w pełni uzasadniają tę pełną dystansu nieufność wobec wszelkich wystąpień. Kto zatem może wystąpić do społeczeństwa z podobnymi postulatami natury etycznej i ideowej?

Jedyną instytucją, dysponującą odpowiednim autorytetem — a jednocześnie strukturą masowego przekazu — jest oczywiście Kościół nauczający. Jego pouczenia moralne są poważnie traktowane przez znaczną większość ogółu praktykujących katolików, do których docierają bezpośrednio. Treść tych pouczeń jest również śledzona przez dość szeroki krąg ludzi spoza Kościoła. Problemy moralne — w tym również odnoszące się do niektórych aspektów moralności społecznej, są częstokroć podnoszone w duszpasterskim przekazie kościelnym. I choć zakres i sposób ujęcia tej problematyki może budzić wiele uwag krytycznych, to skala niektórych przedsięwzięć wychowawczo-religijnych duszpasterstwa polskiego (Wielka nowenna, obchody milenijne, peregrynacje obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i inne) nadaje tej akcji wychowawczej kolosalne znaczenie społeczne. Jak wynika jednak z wcześniejszych analiz, najtrudniejsze problemy moralne udziału katolików w życiu publicznym — pojawiające się w ostat-

nich latach częściej w listach pasterskich episkopatu — niemal z reguły są pomijane lub ujmowane w sposób mało wnikliwy czy wręcz pozorny, przez znaczną większość duszpasterzy w terenie. Ku zmianie tego stanu rzeczy powinien skierować się podstawowy wysiłek: Kościołowi w Polsce i jego duszpasterzom nie można pozwolić na żaden unik w dziedzinie moralności społecznej, jeśli Kościół ma pozostać w dalszym ciągu miejscem, w którym mówi się prawdę i gdzie się po prawdę przychodzi. Najostrej jednak stawiając ten postulat, należy jednocześnie pamiętać, że Kościół jako taki, będąc potencjalnym sprzymierzeńcem wszelkiej autentycznej odnowy moralnej w Polsce — i to sprzymierzeńcem o zasadniczym znaczeniu — nie może i nie powinien ze względu na specyfikę swego religijnego i uniwersalnego posłannictwa, przyjmować na siebie funkcji jedyne go głosiciela programu wychowania społeczeństwa do podmiotowości politycznej. Przypisywanie mu tej roli byłoby próbą czynienia z Kościoła elementu opozycji politycznej, a więc nadrzędnego jego traktowania, zabiegiem tyleż nierozumnym i w gruncie rzeczy nieuczciwym, co nieskutecznym.

Oceniając obiektywnie — poza Kościołem instytucjonalnym nie istnieje w społeczeństwie (i nie zaistnieje z dnia na dzień) żadna instytucja ani organizm polityczny o autorytecie wystarczającym dla wystąpienia z moralnym *poučeniem*. Inaczej jest jednak z inicjatywami społecznego *współtworzenia programu* wychowawczego, które zrodzić się mogą wszędzie, a los ich — mierzony społecznym echem — zależeć będzie przede wszystkim od ich merytorycznej wagi. Można spodziewać się że inicjatywy takie znajdą swój oddźwięk i w tymże samym Kościele.

Biorąc pod uwagę charakterystyczne cechy polskiego życia duchowego, sądzę, że szczególną rolę inspiratorską mogłaby tu spełniać współczesna kultura polska, w tym swym potężnym i wewnętrznie zróżnicowanym prądzie, który w ciągu minionego trzydziestolecia nie poddał się oficjalnemu dyktatowi ideologicznemu.

Wyjątkową wartość duchową tej kultury upatruję w jej roli demaskatorskiej wobec proponowanych przez system pseudowartości, nie zakotwiczonych w osobę ludzką, w podważaniu narzuconych mitów lub przekształcaniu ich w groteskę. Wzięta jako całość, powojenna kultura polska w znacznym stopniu uodporniała swych odbiorców przed oficjalną ideologią i uczyła sceptycznego wobec niej krytycyzmu. W jakiej mierze ta kultura wąpiąca i demaskująca może nieść społeczeństwu także przesłanie pozytywne i twórcze trudno rozstrzygnąć. Dotychczas jej dokonania

tego rodzaju są niewielkie, nurt sceptycyzmu przeważa w niej, jak przeważa zresztą w całej europejskiej — czy światowej — kulturze dwudziestego wieku. Zmiana tego stanu rzeczy wymagałaby może przekroczenia swoistego „światopoglądu groteski”, który — jakoś zgodny ze światowym trendem — w Polsce odegrał szczególną rolę — swoistego bastionu wobec totalnej ideologii. Przekroczenie takie, jak sądzę, oznaczać by musiało wysiłek nowej refleksji antropologicznej i etycznej w kulturze i ryzyko ponownego, pełniejszego i dojrzałego zarazem uwierzenia w człowieka.

W świecie kultury niczego nie da się zaprogramować — i nie należy usiłować tego czynić. Wiele dającym do myślenia faktem jest natomiast wybitny udział twórców kultury w kręgach otwartej opozycji ostatnich lat. Manifestowane przez nich osobiste postawy ideowe stanowią dla szerokiej opinii istotne pouczenie moralne i wzmacniają, tradycyjny w Polsce, prestiż duchowy twórców kultury. To narastające dziś zjawisko stopniowo upoważnia ich krąg także do ewentualnego zabrania głosu w sprawach wychowania społecznego.

Wyrosły w tym samym czasie, w litarnych środowiskach studenckich i inteligentkich, ruch ideowy przeżywa obecnie na oczach społeczeństwa swój egzamin ideowej dojrzałości. Dotychczasowe dokonania — niezmiernie ważne politycznie — dowiodły jednocześnie jego dynamizmu i zdolności jego uczestników do poświęceń dla dobra społeczeństwa. W kręgach tych zróżnicowanych wewnątrznie ale powiązanych podstawowymi wartościami — wytwarza się nowy, swoisty model ideowości, skoncentrowanej wokół zasad autentycznej demokracji i niezbywalnych praw człowieka.

Ograniczony jeszcze społecznie zasięg proklamowanych przez ten ruch haseł, stopniowo wzrasta. Wbrew wysiłkom oficjalnej propagandy, rośnie także w opinii publicznej szacunek dla manifestowanych przez tzw. otwartą opozycję postaw. Program społeczny tych środowisk — dziś jeszcze w stadium tworzenia — zawiera w sobie, obok też *stricte* politycznych, także postulaty wychowania społecznego w duchu obywatelskiej podmiotowości. Wydaje się więc, że szerszy program moralno-ideowego wychowania społeczeństwa znaleźć winien w tym kręgu szczególnie aktywnych współtwórców i współrealizatorów.

W sumie, wydaje mi się, że tworzy się w Polsce atmosfera społeczna dla głębszej, zbiorowej refleksji nad podobnym programem odnowy, jego zaczątki pojawiają się już w postaci odrębnych ale ożywionych tą samą ideą inicjatyw.

Przed odradzającą się aktualnie polską myślą społeczną stoi, jak sądzę, poważne niebezpieczeństwo, tym groźniejsze, że polegające na podświadomym wejściu w dawne, nieszczęśliwe koleiny. Niebezpieczeństwo to widzę w łatwości konstruowania projektów przemiany społeczeństwa i formułowania postulatów bez dostatecznego związku z oczywistymi faktami, poglądami, przekonaniami i pragnieniami szerokich warstw społecznych w Polsce.

O umiejętność syntetycznego widzenia problemów ogólnych najłatwiej jest oczywiście wśród elit intelektualnych. Jednocześnie elity te — z natury rzeczy wąskie — oddzielone są, jak niegdyś tak i dzisiaj, od szerokiego społeczeństwa potężną barierą nieznajomości. Doświadczenia poczynił opozycyjnych ubiegłych dwu lat uświadomiły już w znacznym stopniu istnienie potężnych różnic mentalności i sposobów reakcji między inteligencją Warszawy a pozornie podobną jej inteligencją pozostałych miast uniwersyteckich. Zaskoczenie, jakie wywołało stwierdzenie tych różnic, daje jedynie słabe pojęcie o tych niespodziankach, które zgotować może teoretykom konfrontacja z całym społeczeństwem, zbyt łatwo w rozważaniach sprowadzanym do wspólnego mianownika.

Przed elitami, które wyłaniać dziś zaczynają twórców myśli społeczno-politycznej i inicjatorów społecznych przedsięwzięć staje na nowo odwieczny paradoks inicjatywy jednostkowej i reprezentatywności społecznej. Występując w sprawie publicznej, inicjator społecznego działania zakłada niejako swą reprezentatywność i odwołuje się do społecznego poparcia, ale w istocie nie dysponuje jeszcze niczym mandatem. Mandat ten — rzeczywisty choć przecież niekoniecznie formalny — uzyska, gdy stojąca za jego inicjatywą społeczność zbiorowym jej podchwyceniem potwierdzi — *ex post* — jego reprezentatywność.

Przyjęta przez zbiorowe działanie indywidualna inicjatywa stać się wówczas może wyrazem podmiotowości całej skupionej wokół niej wspólnoty. Uczynienie programu rzeczywistą własnością społeczną winno się jednak wiązać z jego rewidującym i reinterpretującym przepracowaniem w łonie wspólnoty.

Bez tego, związek indywidualnej inicjatywy ze świadomością społeczną stanie się fikcją, fikcją będzie i dalsza reprezentatywność projektodawcy i podmiotowy udział wspólnoty w działaniu.

Aktywność programotwórcza społeczności okaże się stale, na bieżąco potrzebna, bo w stosunkach międzyludzkich nigdy nie przestanie grozić wpadnięcie w stary schemat, lepiej lub gorzej zakamuflowanego, ale w istocie autorytarnego, sterowania społeczną świadomością. Bronić przed tym może skutecznie tylko

stałe przełamywanie zbiorowej bierności w myśleniu, znalezienie właściwych struktur dialogu wewnątrz wspólnot — i posługiwanie się nimi. Od tego w końcu zależeć będzie autentyczność tworzonej demokracji. Ten sam trudny problem staje przed inicjatywą skonstruowania programu wychowania społecznego. Autentyczność samego programu i mającego zeń wynikać działania wymaga, by był to program i działanie *samowychowawcze*.

Kategoryczniej niż jakakolwiek działalność, wychowanie do podmiotowości wymaga podmiotowego współdziałania wychowawczego. Stąd ta sama inicjatywa wyjściowa musi być pomyślana i sformułowana tak, by uchylić możliwość konstruowania jakiegokolwiek programu wychowawczego w oderwaniu od świadomości zbiorowej. Nie wystarczy tu także poddanie sformułowania też mniej lub bardziej elitarnej dyskusji i kołaudacji. W praktyce program społecznego samowychowania — bo takie sformułowanie wydaje się tutaj właściwe — musi powstawać etapami, z których każdy oznaczać winien konfrontację poszczególnych postulatów z rzeczywistym dynamizmem życia społecznego. Istotne jest bowiem, czy owe propozycje znajdą swój odźwięk w tych szerokich kręgach społecznych, które nie przywykły na rzuconą propozycję odpowiadać zwerbalizowaną i uogólnioną krytyką, ale praktycznym jej podjęciem lub zaniechaniem.

Wnioski z tych reakcji stać się muszą punktem wyjścia do wprowadzenia zmian w uprzednio przyjętych prowizorycznie postulatach. Tylko takie tworzenie programu samowychowania społecznego, które zapewni realizację sprzężenia zwrotnego: inicjator — społeczność — inicjator — społeczność — inicjator... może stać się nauką podmiotowości. Tylko takie tworzenie programu uczynić go może własnością szerokich kręgów społecznych. Tylko tak tworzony program może więc być naprawdę skuteczny.

G ł o s Nr 7.

Ludwik DORN

DALSZY ROZWÓJ SOCJALISTYCZNEJ OŚWIATY

Rytm funkcjonowania różnych dziedzin życia społecznego i politycznego w PRL (i innych krajach socjalistycznych) charak-

teryzuje się niekiedy za pomocą pojęcia cyklu. Wyróżnia się parę faz takiego cyklu: zaostrażający się konflikt władzy ze społeczeństwem — któremu towarzyszy na ogół kryzysowa sytuacja w gospodarce — kończy się wybuchem społecznego protestu. Następują zmiany na najwyższych posadach partyjnych, odwołanie szczególnie niepopularnych decyzji, podjętych przez poprzędną ekipę (mawia się wtedy, że kierownictwo partii niestety oderwało się od mas, ale teraz będzie w stanie na nowo przywiązać je do siebie), korektura polityki gospodarczej i obietnice wszechstronnych reform. Tej fazie cyklu towarzyszy na ogół tak zwana liberalizacja, mierzona najczęściej ilością i typem aluzji politycznych, które mogą przecisnąć się przez sito cenzury. Po jakimś czasie okazuje się, że zapowiedziane reformy nie są konieczne, ponieważ jest tak wspaniale, że reformowanie czegokolwiek mogłoby tylko zaszkodzić.

Liberalizacja owocuje moralno-polityczną jednością narodu, skonsolidowanego wokół jedynie słusznej linii partii, a masy są już na tyle mocno przywiązane, że można zacząć się od nich odrywać.

Łatwo zauważyć, że nie zawsze występują w jakiejś fazie cyklu te same elementy, nie zawsze też kolejne fazy następują po sobie z nieuchronną koniecznością. Po czerwcu 1976 roku nie nastąpiły zmiany w ekipie rządzącej, nie zaobserwowano też całego repertuaru ukłonów pod adresem społeczeństwa. Okazało się, że robotnicy strajkujący postąpili niedemokratycznie, a zatem Polacy — jak oznajmił 2 lipca tegoż roku Edward Gierek — powinni uczyć się demokracji. Ta nauka demokracji trwa po dziś dzień.

Trudno także porównać głębokość i zakres zmian, które nastąpiły po 1956 roku z tymi, które miały miejsce po roku 1970 — w tym popaździernikową odwilż — jeżeli trzymać się terminologii PIHM — z pogrudniową pluchą.

Uważa się, że zmiany, które następowały po kolejnych kryzysach miały charakter pozorny, były taktycznymi ustępstwami, które władza odwojowywała gdy fala politycznych żądań społeczeństwa opadła a spełnione zostały postulaty wzrostu stopy życiowej. Istnieją jednak ważne dziedziny życia społecznego, w których zmiany nie mają charakteru cyklicznego. Władza steruje nimi niezależnie od aktualnej koniunktury politycznej, od tego, kto zasiada na stołku I-go Sekretarza, ilu ludzi więzionych jest za przekonania polityczne i jakie filmy, po wielu latach leżakowania dopuszczono na ekrany. Jedną z takich dziedzin jest oświata.

Szkolnictwo w Polsce jest upaństwowione w dwojakim sensie.

Po pierwsze, szkoły w przeważającej większości są państwowe. Po drugie szkoła może stać się — zwłaszcza w państwie totalitarnym — skutecznym instrumentem podporządkowywania sobie obywateli przez państwo.

Po roku 1970 stwierdzono, że stan oświaty w Polsce jest katastrofalny, przypomniano maksymę: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Przywódcy partii i rządu stwierdzali, że wbrew niektórym — tu miano zdaje się na myśli poprzednich przywódców partii i rządu — rozwój oświaty nie jest luksusem lecz koniecznością. Być może pod wpływem ówczesnej mody na pragmatyzm wspomniano, że najbardziej opłacają się inwestycje w „czynnik ludzki”. Ponieważ zaś jedynym inwestorem w ustroju socjalistycznym jest państwo, nic dziwnego, że inwestowało ono tak, by osiągnąć jak największe zyski.

Z dużym hałasem powołano „Komitet ekspertów dla opracowania raportu o stanie oświaty w PRL” (po trzech latach po cichu dzieło Komitetu wycofano z bibliotek). W „Raporcie” tym można było przeczytać, że konieczne jest „koordynowanie instytucji kształcących”. To brzmiało zastanawiająco. Przewodniczący Komitetu, prof. Jan Szczepański, w esejach o wychowaniu w społeczeństwie socjalistycznym dowodził, że pluralizm światopoglądów, głoszonych przez różne instytucje, oddziaływujące wychowawczo (np. Kościół, rodzinę) koordynacji takiej przeszkadza i jest sprzeczny z koncepcją socjalistycznego społeczeństwa wychowującego. To już brzmiało groźnie.

Socjologowie sądzą, że cechą modelu wychowawczego, realizowanego w PRL jest tzw. superpedagogizacja — „integralny nadzór i wpływ wyspecjalizowanych instytucji oświatowo-wychowawczych na proces formowania się osobowości wychowanków” („Młodzież w procesie przemian”, Warszawa, 1977). Zorganizowany system oświatowy może kształtować u wychowanków takie cechy osobowości i przekazywać taką wiedzę, która ułatwiała władzy manipulowanie ludźmi.

Podstawowe informacje, dotyczące oświaty utrzymywane są przez władze w tajemnicy. Na zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Socjologiczne sesji, poświęconej problemom oświaty, jeden z referentów stwierdził „... czym jest dziesięciolatka w sposób kompetentny, jednoznaczny — czy jest szkołą średnią ze wszystkimi konsekwencjami stąd wynikającymi, czy jest po prostu jakimś nowym tworem — na to pytanie ja przynajmniej w żadnych dokumentach oficjalnych nie znalazłem odpowiedzi”.

Niekiedy przez długi okres czasu utajniane były projekty zreformowanych programów szkolnych. Czasem programotwór-

cze poczynania władz oświatowych (można przypuszczać, że nie tylko oświatowych) kończyły się skandalem. Tak było z próbą wycofania III części „Dziadów” z zestawu lektur obowiązkowych. Okazuje się, że zdejmowanie „Dziadów” jest czynnością, od której powstrzymać się może rzadko która ekipa władzy w PRL.

Władza traktuje oświatę jako jeszcze jedno narzędzie indoktrynacji. Ale może też czerpać z niej inne korzyści. Studentom mówi się że w przyszłości będą kierować Polską. Część z nich będzie to zapewne czynić. Dla władzy nie jest obojętne, jakie będą cechy charakteru przyszłych członków elity. Dotychczas ich kształtowaniem zajmował się aparat partyjny i aparat organizacji młodzieżowych. Z ostatnich poczynąń władz wynika, że postanowiono rozszerzyć front oddziaływania wychowawczo-ideowego. Tak można interpretować zniesienie egzaminów i wprowadzenie konkursu stopni przy przyjęciach do szkół ogólnokształcących (wiadomo, że szanse zdania egzaminu na studia dla absolwentów liceów są wielokrotnie wyższe niż dla absolwentów techników), czy przyjmowanie na studia bez egzaminu tak zwanych prymusów. Wyraźnie większą szansę na dalsze kształcenie zyskują konformiści, którzy potrafią najlepiej przystosować się do systemu szkolnego i są za to premiowani piątkami ze wszystkich przedmiotów. Ludzie ci często nie dają sobie później rady na studiach. Czasami nieokreślony konformizm zyskuje wyraźną polityczną postać. Swoją wymowę ma fakt wmuszania najlepszym maturzystom legitymacji PZPR. Ponadto, przy rekrutacji kandydatów na kierunki społeczne (a więc szczególnie ważne dla władz z racji przypisanej im funkcji ideologicznej) po raz pierwszy w tym roku przestrzegano rygorystycznie zarządzenia, w myśl którego kandydat, poza maturą, powinien legitymować się zaświadczeniem dyrektora szkoły średniej stwierdzającym, że nadaje się on na te studia.

Można zaobserwować następujące prawidłowości: im wyższy szczebel kształcenia, tym większy stopień wymaganego konformizmu. Wydawane są zarządzenia, że na studia doktoranckie nie wolno przyjmować „niebłągonadiożnych”. Jak dotąd, zarządzenia te nie obejmują kandydatów na studia magisterskie. Sprawa docentów mianowanych jest tak oczywista, że nie trzeba było wydawać żadnych zarządzeń.

Podobno jeden z notabli partyjnych miał, dziesięć lat temu, powiedzieć, że socjalizm w Polsce ma trzech głównych wrogów: rewizjonizm, syjonizm i niepohamowany wzrost inteligencji. Z dwoma wrogami socjalizm już się rozprawił. Pozostał trzeci:

inteligencja. Z nim trudniej walczyć, przeprowadzając czystki w aparacie. Łatwiej — wykorzystując system kształcenia. Zmniejszą się szanse na to, że szkoły i uczelnie wyższe będą kształcić inteligentów.

Władze czynią wszystko, by ludzie, którzy je ukończą byli posłusznymi wykonawcami poleceń: urzędnikami od prawa, literatury, matematyki, obrabiarek.

G ł o s Nr 8.

Łucja BRACKA

KOGO KSZTAŁCĄ UCZELNIE

„Celem naszym jest pełne wyrównanie szans oświatowych dla młodzieży z miast i wsi, wielkich aglomeracji i małych ośrodków, dla młodzieży ze środowisk społecznych o różnym stopniu zaawansowania kulturalnego”. Ta deklaracja, wygłoszona przez Edwarda Gierka na jednej z sesji sejmowych, nie stanowi dla nas żadnego novum. Tego rodzaju postulaty, czy, jak kto woli, pobożne życzenia, wygłaszano w PRL z oficjalnych trybun często i od dawna. Co więcej, niejednokrotnie przy okazji egzaminów na wyższe uczelnie, środki masowego przekazu posuwały się nawet do stwierdzeń, że młodzieży, pochodzącej ze środowisk robotniczych i chłopskich jest na naszych uczelniach wyższych coraz więcej.

Prawda to, ale nie całkiem. Rzeczywiście biorąc pod uwagę liczby bezwzględne, wśród studentów jest coraz więcej dzieci robotników i chłopów. A wynika to stąd, że w latach 1971-1974 liczba osób, przyjętych na I-szy rok studiów wyższych wzrosła w Polsce o 21,6 %. Inne dane, publikowane w kraju, lecz niedostępne szerokim rzeszom czytelników wskazują jednak na to, iż procentowy udział młodzieży pochodzenia robotniczego wśród ogółu przyjętych na studia wynosił w roku 1970 — 34,3 %, natomiast w roku 1974 — 31,1 %. Z młodzieżą chłopską sytuacja jest podobna — było jej wśród przyjętych na studia w roku 1970 — 15,1 %, a w roku 1974 — 10,8 %. Nie są to różnice nic nie znaczące, jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż w roku 1974 przyjęto na studia wyższe w Polsce około 70.000

osób. W tej zbiorowości młodzież zwana popularnie „robotniczo-chłopską” nie stanowiła nawet połowy.

Od czasu do czasu, przy okazji ogłaszania corocznych wyników rekrutacji na studia wyższe, w prasie, radio i TV pojawiają się ubolewania na zbyt niski poziom przygotowania młodzieży do egzaminów wstępnych. Ubolewania te odnoszą się do zbyt małego udziału młodzieży „robotniczo-chłopskiej” wśród nowego narybku studenckiego. Wtedy właśnie rozważa się niedociągnięcia szkolnictwa prowincjonalnego i podkreśla uprzywilejowaną sytuację kandydatów na studia, wywodzących się z wielkich miast i ze środowisk inteligentnych. Wydawać by się mogło, iż problem trudności w dostępie do szkół wyższych dzieci z małych miast i wsi polega na niedostatkach materialnych i kadrowych tych środowisk. Jest to oczywiście jedna z przyczyn, lecz nie jedyna. Dla ludzi mających cokolwiek wspólnego z problematyką uczenia, od dawna nie jest tajemnicą, iż o składzie społecznym studentów nie decyduje egzamin wstępny i postępowanie kwalifikacyjne, lecz podjęcie nauki w szkole średniej. Od wielu lat, procent absolwentów liceów ogólnokształcących wśród przyjętych na studia wyższe wynosi przynajmniej 70 %, a niekiedy nawet 80 %. Odsiew egzaminacyjny wśród tych kandydatów wynosi około 31 % zdających, podczas gdy wśród absolwentów średnich szkół zawodowych — 57 %. Widać więc, że młodzież ucząca się w szkołach zawodowych ma znacznie mniejsze szanse dostania się na studia niż absolwenci liceów ogólnokształcących.

O składzie społecznym studentów przesądza w dużej mierze fakt, iż rekrutują się oni właśnie spośród absolwentów „ogólniaków”. Dla nikogo nie jest tajemnicą, iż młodzieży pochodzenia inteligentnego, czy, jak to się dawniej mówiło, z grupy „pracowników umysłowych” jest w liceach ogólnokształcących więcej niż w innych szkołach średnich. Skład społeczny studentów odzwierciedla więc, przynajmniej w pewnym stopniu, ten stan rzeczy. Dane, pochodzące z badań socjologicznych i oficjalnych statystyk dowodzą, że młodzież kierowana po szkole podstawowej do szkół zawodowych ma mniejsze szanse na osiągnięcie wyższego wykształcenia w porównaniu z jej rówieśnikami z liceów ogólnokształcących. Zostało tu użyte celowo słowo „kierowana”. Wiadomo bowiem, iż decyzja podjęcia nauki w takim a nie innym rodzaju szkoły nie wynika wyłącznie z chęci młodego człowieka, a jest w dużym stopniu wynikiem aspiracji jego rodziców. A aspiracje dania dziecku „fachu do ręki” są o wiele częstsze w środowiskach robotniczych i chłopskich niż inteligentnych. Wszyscy wiedzą, że matura z liceum ogóln-

kształcącego to droga do okienka na poczcie albo na wyższą uczelnię.

Tak więc, problem nie polega wyłącznie na niedostatkach prowincjonalnego szkolnictwa lecz na niedrożności polskiego systemu edukacyjnego. System punktów preferencyjnych, jak widać, niewiele w tej materii może zdziałać. Wychowawczo-moralny aspekt tego systemu to sprawa oddzielna. Wprowadzenie takich metod popierania młodzieży ze środowisk robotniczych i chłopskich przy rekrutacji na studia jest typowym przykładem likwidowania skutków a nie przyczyn, co więcej likwidowania metodami formalnymi i prostackimi. Nierówność szans w dostępie na uczelnię wyższą poszczególnych grup młodzieży nie jest wyłączenie polskim zmartwieniem. Kwestia demokratyzacji szkolnictwa żywo interesuje również zachodnią opinię publiczną. Sposobów na rozszerzenie dostępu do szkolnictwa, szczególnie wyższego, dla grup społecznie tzw. nieuprzywilejowanych wymyślono na Zachodzie wiele, żaden z nich nie okazał się idealny a niewiele zadowolających. Jest to sprawa, której nie sposób załatwić dopisaniem kilku cyferek do wyników kandydatów na studia.

W broszurze „Reforma systemu edukacji narodowej (materiał pomocniczy na zajęcia szkoleniowe i lektorskie w środowisku młodzieży” (Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR, Warszawa, 1978 r.) znajdujemy zwięzły opis projektowanej, powszechnej, dziesięcioletniej szkoły średniej. Dowiadujemy się, że część programu nauczania będzie się odbywać w zakładach pracy, a uczniowie, poza normalnymi lekcjami, będą mieli obowiązek pracować fizycznie w zakładach produkcyjnych, na polu itp. Przewidziany system kształcenia obejmuje: poza powszechną obowiązującą szkołą średnią — na jej podstawie, półroczny — dwu i półletni okres przygotowania zawodowego lub dwu-trzy-letni okres kształcenia w szkołach zawodowych, organizowanych po VII klasie szkoły średniej. Młodzież, która po siedmiu latach nauki pójdzie do szkół zawodowych, podobnie jak w starym systemie, odpadnie z konkurencji, jeżeli chodzi o studia wyższe. Konieczność zdobywania zawodu dopiero po dziesięciu latach szkoły średniej również wielu zniechęci. Ponadto, nastawienie szkoły średniej na przygotowanie do pracy a nie na kształcenie ogólne, zmniejsza szanse młodzieży, nie pochodzącej ze środowisk inteligenckich. Szerokie otwarcie bram uczelni dla młodzieży ze środowisk robotniczych i chłopskich jest więc, w zreformowanym szkolnictwie, jedynie pozorem.

Aby uzupełnić obraz sytuacji dodajmy, że ilość miejsc na uczelniach, przeznaczonych dla osób, wygrywających egzamin

konkursowy, jest coraz mniejsza. Poza olimpijczykami, którzy od dawna dostawali się na uczelnie bez egzaminu, bez egzaminów dostają się także prymusi. Z roku na rok zwiększa się liczba miejsc, pozostawionych do dyspozycji rektorów uczelni.

Zaostrzono kryteria ideologiczne. Przypomnijmy dyrektywę KC PZPR (materiał na ten temat zamieściliśmy w numerze 6 *Głosu*): „W przypadku dyscyplin o największym znaczeniu ideologicznym, selekcję należy rozpoczynać już przy przyjmowaniu maturzystów na studia wyższe. Negatywna opinia społeczno-polityczna powinna stanowić zasadniczą przeszkodę w przyjęciu na te kierunki studiów”. Chodzi tu głównie o takie kierunki jak socjologia, ekonomia polityczna, nauki polityczne, filozofia i dziennikarstwo.

Tak więc, młodym ludziom, którzy nie są olimpijczykami, nie mieli w szkole samych piątek, nie mają tatusiów wojskowych ani milicjantów i nie mają także „chodów” ani „socialistycznego światopoglądu” pozostanie wąska furтка na wyższe uczelnie.

Głos Nr 8.

WYWIAD Z LEKARZEM TADEUSZEM M.

Pytanie: — Kiedyś w rozmowie wspomniał Pan, że wkrótce lekarzowi zostanie jedynie etyka. Dlaczego?

Odpowiedź: — Jest to jedyna rzecz, którą będzie można zaofiarować pacjentowi. To oczywiście pewna przesada, ale w sytuacji, kiedy jest coraz mniej pieniędzy na służbę zdrowia, kiedy fundusze w sposób odczuwalny maleją... Nieustannie słyszy się w oficjalnych, wewnętrznych komunikatach, że znowu tego nie ma, a tamtego nie będzie. Z końcem ostatniego kwartału brakuje już wielu leków, ponieważ skończyły się pieniądze na dany rok. To przemawia za tym, że wkrótce będziemy uzbrojeni tylko w etykę.

P.: — Pozostaliśmy jeszcze przy sprawie lekarstw. Co się robi w przypadku, gdy pacjent wymaga leku, którego nie ma?

O.: — Wtedy decyduje właśnie etyka lekarska. W pewnym momencie apteka szpitalna oznajmia, że np. dany antybiotyk już się skończył. Zabrakło nań pieniędzy — zaczął się ostatni kwartał.

P.: — Wtedy stosuje się jakieś surogaty, środki zastępcze?

O.: — Używa się wówczas innego antybiotyku — to jest droga którą postępuje większość. Natomiast jeżeli chce się zrobić jak najlepiej dla pacjenta, to zaczyna się stawanie na głowie.

P.: — To znaczy?

O.: — Lekarz tak długo wyklóca się z kierownikiem apteki, aż on jakimiś swoimi sposobami zdobywa ten lek. Jedną z metod jest zamiana leków z apteką innego szpitala. Handel zamienny. Zabiera to niesłychanie dużo czasu.

P.: — Odbywa się to w sposób zupełnie nieformalny?

O.: — Całkowicie. Jest to dobra wola wielu osób.

P.: — A na czym polega precyzja leczenia antybiotykami?

O.: — Prawidłowo leczy się antybiotykami w taki sposób (nie zawsze jest to możliwe), że wyhodowuje się w laboratorium bakterie z wydzieliny, pobranej od pacjenta i oznacza się odporność tego szczepu bakteryjnego na antybiotyki.

P.: — Czy jest to stosowane w praktyce?

O.: — Nie zawsze. Jeżeli nie jest stosowane to dlatego, że albo jest za mało personelu w laboratorium albo, jak to z reguły dzieje się na prowincji, przy szpitalach nie ma laboratorium bakteriologicznego. Wówczas próbkę wysyła się do stacji sanepidu i zanim przyjdzie wynik, pacjent może pięć razy umrzeć. Są jednak choroby, przy których tej metody nie można zastosować i wówczas próbuje się w ciemno, bo nie ma innej możliwości. Tam jednak, gdzie jest to możliwe, świętą zasadą powinno być tzw. leczenie kierowane.

P.: — Słyszałem o formule, ograniczającej zużycie leków, którą stosuje się przy leczeniu szpitalnym. Są to tzw. lekodni. Na czym to polega?

O.: — Podobnie jak stawka żywieniowa, istnieje dzienna stawka finansowa na leki w odniesieniu do jednego pacjenta. Tej stawki nie można przekroczyć. Słyszałem o celowym przetrzymywaniu w szpitalu pacjentów, którzy nie wymagają podawania leków lub nie używają leków kosztownych. Robi się to, by „zarobić” pieniądze na tych chorych, którzy muszą przejść intensywną terapię drogimi lekami. Personel szpitala cieszy się, gdy ma pacjentów,

nie wymagających otrzymywania leków za dużą sumę pieniędzy. Pobyt „tanich” pacjentów umożliwia leczenie „drogich”.

P.: — A co się dzieje, gdy przekroczona zostaje ilość pieniędzy, przeznaczonych na leki? Przecież względy ekonomiczne nie mogą ograniczać potrzeb szpitala?

O.: — Istnieje dążność do ograniczenia podawania leków drogich. Zamawiając jakiś „jeszcze dostępny” lek trzeba wystosować odrębne pismo. Nie wystarczy napisać w receptariuszu (receptariusz na drogie leki jest oddzielny), jest jeszcze zeszyt rozchodowania drogich lekarstw, z nazwiskami pacjentów, którzy je biorą. Ale i to jeszcze nie wystarcza. Potrzebne jest oddzielne pismko z prośbą o potrzebny medykament. To są utrudnienia biurowe, praktyczne nie, ponieważ dopóki są pieniądze, lekarz nie spotyka się z odmową wydania leku. To są jednak progi, przez które trzeba przejść, ten i ów się zawaha...

P.: — Jaki jest praktyczny efekt tych utrudnień?

O.: — Lekarze nabierają przekonania, że rzecz jest tak trudna do zdobycia, tak bezcenna, iż należy ją podawać w wyjątkowych najstaranniej dobranych przypadkach, a jeżeli się można tylko obyć bez tego, to tak właśnie się czyni. Obecnie jest permanentny brak albuminu, mimo, iż produkuje się go w Polsce. Jest to białko do stosowania dożylnego. Bardzo szeroko stosuje się je na Zachodzie. Trudno je zdobyć z apteki szpitalnej, która ma bardzo małe przydziały tego leku. Znam przypadek, gdy zapotrzebowanie na każdą flaszkę albuminu musiał podpisywać kierownik kliniki. Jest to wierutna bzdura, ponieważ kierownik, zawiadujący kilkoma oddziałami nie jest w stanie znać poszczególnych przypadków. Inną formą białka do podawania dożylnego jest plazma ludzka. Jest ona dostępna bez ograniczeń. Podawanie jednak plazmy może powodować wiele działań ubocznych, m.in. wszczęcie wirusa żółtaczk. Stosowanie plazmy nie wymaga jednak wysyłania żadnych pism ani użerania się na żadnym szczeblu. Pisze się jedno zapotrzebowanie i dostaje się ją. I tak czyni większość.

P.: — Może te utrudnienia podyktowane są dążeniem do nadmiernego szafowania drogimi lekami? Może lekarze za bardzo fascynują się drogimi nowościami?

O.: — Dopuszczenie do tego, by czynniki pozalekarskie podawały w wątpliwość zasadność stosowania jakiegoś preparatu uwa-

żam za nadzwyczaj szkodliwe. To nie może mieć miejsca. Za sposób leczenia pacjenta odpowiedzialny jest lekarz prowadzący i jego szef, zajmujący się medyczną stroną danego oddziału. Wszelkie rozmowy telefoniczne lub osobiste z najlepszym nawet kierownikiem apteki — „Ale czy ten lek jest konieczny?” — są absurdem.

P.: — Dlaczego lekarstw brakuje?

O.: — Między innymi dlatego, że produkcja krajowa jest niedostateczna. Po drugie, leki krajowe, w wielu przypadkach, są złej jakości. Na przykład heparyna. Jest ona podawana przy różnych ciężkich schorzeniach i działanie tego leku powinno być niezawodne. Otóż nigdy nie wiadomo, która aktualnie otwarta fiolka będzie działać a która nie, która bardziej a która mniej. Wobec tego, w szczególnie ciężkich przypadkach usiłuje się sprowadzić ten lek przez tzw. import docelowy dla danego pacjenta.

Nie wszystkie asortymenty leków są wytwarzane w kraju. Bardzo wiele jest takich, które są importowane, a obecnie przywóz lekarstw bardzo ograniczono. I ogranicza się coraz bardziej. Są w tej sprawie oficjalne pisma Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Sądzę, że powodem jest brak dewiz. I wtedy należy sobie radzić przy pomocy tego, co się ma.

P.: — Niektóre lekarstwa są jednak złej jakości...

O.: — Oficjalnie nie bierze się pod uwagę tego, że leki krajowe mogą być złej jakości...

P.: — Są choroby, których nie można skutecznie leczyć przy pomocy lekarstw krajowych. Czy pamięta się o tym przy ograniczaniu importu leków? Czy też skreśla się preparaty z powodów finansowych?

O.: — Skreśla się. Są jeszcze grupy leków, które wolno zamawiać „na ratunek”. To jest jeszcze inna forma załatwiania. Ilość lekarstw, które wolno w ten sposób zamawiać została ostatnio znacznie zmniejszona. W kraju uruchamia się produkcję leków, którymi można jakoś zastępować tamte. Czasem można, czasem nie, taka jest praktyka.

P.: — Najbliższa zatem perspektywa, która nas czeka, to oznajmienie przez lekarza rodzinie chorego, że nie ma go czym leczyć — „Niech Państwo zdobywają leki”?

O.: — Otóż tego mówić nie wolno. Co więcej istnieje pismo

mówiące o tym, że powinna istnieć taka wymiana informacji między lekarzami a farmaceutami, aby lekarz nie przepisywał tych medykamentów, których brak. Wystosowano to pismo, aby pacjenci nie oblegali Ministerstwa Zdrowia z reklamacjami. Zwłaszcza, że często dotyczy to leków, których pacjent używał od dłuższego czasu, otrzymywał je bez kłopotu i w każdej aptece.

P.: — Jest to swoiste załatwienie problemu. Po prostu lek ma zniknąć z recept...

O.: — Tak oficjalnie to napisano.

P.: — Co ma począć lekarz, którego pacjent miał nieszczęście zachorować na „drogą” chorobę?

O.: — A właśnie nie wiem co. Wracam do tego, o czym mówiliśmy na początku. Być może jedyną rzeczą, jaka nam pozostanie, jest etyka.

P.: — Ale samą etyką niczego się nie zdiąła. Pacjent chce, aby go wyleczono...

O.: — Oczywiście. Po wyczerpaniu wszystkich sposobów zdobycia leku pozostaje tylko jedno. Jest to śliska metoda, która może zwichnąć karierę i niewielu lekarzy na nią się zdobędzie. Należy wypisać receptę do odpowiedniego departamentu Ministerstwa Zdrowia.

P.: — Dlaczego to może szkodzić karierze?

O.: — Ministerstwo tego nie lubi. Wręcz nie wolno wypisywać recept pacjentowi, który leży w szpitalu. Zdarza się, że w aptece szpitalnej brakuje potrzebnego leku. Wiadomo natomiast, że ten lek jest w aptekach miejskich. I wtedy, a robi się to nierzadko, wypisaną receptę wręczamy rodzinie chorego. Pudełko z tym preparatem jest wówczas podpisane jego nazwiskiem i to jest prywatny lek. Tego nie wolno robić. Jak w szpitalu brakuje to chory ma nie dostawać i koniec. Sytuacja w której lekarz wypisuje receptę na lek, o którym wie że jest niedostępny i wysłała z nią rodzinę do Ministerstwa Zdrowia, jest bardzo ryzykowna.

P.: — Rośnie strach przed pójściem do szpitala, gdy to się wie...

O.: — Przypuszczam, że ogół pacjentów nie ma tego rodzaju informacji. Strach przed pójściem do szpitala istnieje w społec-

czeństwie i jest on zupełnie uzasadniony, ale z innego powodu. Ze względu na bardzo złe warunki w szpitalach.

P.: — Tłok, łóżka na korytarzach...

O.: — Łóżka na korytarzach, brud i zupełny brak obsługi. Brakuje salowych. Bywają takie ośmiogodzinne zmiany, na których w całym szpitalu nie ma ani jednej salowej.

P.: — Dlaczego ich nie ma?

O.: — Ponieważ jest to bardzo ciężka praca i bardzo złe płatna. Nieliczne salowe pracują bardzo źle, bo im się nie chce. Nikt ich z posady nie wyrzuci, ponieważ brak chętnych. W związku z tym, przyjmuje się każdego, nawet osoby o bardzo niskiej kulturze osobistej i moralnej. Zła sytuacja jest w pełni rozwoju. Jestem pewien, że to się pogłębia.

P.: — Na wszystkich szczeblach? Od salowych, przez pielęgniarki do lekarzy?

O.: — Tak do szefów oddziałów włącznie. Nierealne staje się egzekwowanie elementarnych nawet wymagań od wszystkich służb. Nie można wymagać od salowej, aby wszystko zrobiła tak, jak należy, gdy ma do obsługi oddział 40-50-ciołóżkowy. Wobec tego przyryka się oko... Nie! Już dawno zamknęło się oko na brudy, panujące w szpitalach. Za mało jest również pielęgniarek. One także są za nisko płatne.

P.: — Co się z nimi dzieje? Przecież co roku wiele pielęgniarek kończy szkoły medyczne?

O.: — Przede wszystkim, starają się dostać do przychodni lub pracować w zakładzie pracy. W przychodni jest znacznie mniej pracy, w „przemysłowce” są lepsze zarobki. W szpitalu pracy jest bardzo dużo, jest ona trudniejsza i znacznie bardziej odpowiedzialna. Część pielęgniarek w ogóle odchodzi z zawodu. Pielęgniarki są bardzo obciążone pracą. Nie są w stanie przestrzegać wszystkich reguł postępowania. Złe przyzwyczajenia wchodzą w nawyk i nawet wtedy, gdy jest ich więcej, sytuacja się nie zmienia. Sprawa zachowania czystości w szpitalu nie jest błaha, nie chodzi o wygląd i schludność, ale, przede wszystkim, o zapobieżenie infekcjom wewnątrzszpitalnym. Szczepy bakteryjne, które hodują się w brudzie danego oddziału, są szczególnie groźne, ponieważ są uodpornione na większość antybiotyków. Był problem gronkowca, teraz doszły inne bakterie, nawet bardziej szkodliwe.

P.: — Są chyba jednak oddziały, na których wszystko jest w porządku. Chociaż... z tego co Pan mówi wynika, że ich nie może być...

O.: — I ich nie ma. Pomijam lecznice rządowe i MSW. Bywają placówki, w których jest nieco lepiej, jeżeli dyrekcja podniesie pensję salowym i pielęgniarkom. Próbuje się też polepszyć sytuację, zatrudniając studentów medycyny, żołnierzy...

P.: — Jak zatem można polepszyć sytuację, gdy władze centralne nie mogą lub nie chcą poprawić?

O.: — Powinno się mówić otwarcie rodzinom: „Proszę Państwa, bardzo prosimy przynosić pacjentowi jedzenie, bo mamy niedostatki żywienia” i do ręki wtykać spis potraw. „Bardzo prosimy, by ktoś z rodziny, spokojny, sprawny, codziennie przychodził, bo pacjenta trzeba umyć i obsłużyć”. Od czasu do czasu wystawiać recepty chorym leżącym, w przypadku, kiedy nie ma leku w aptece szpitalnej. Powinno się o tym otwarcie mówić.

P.: — Dlaczego się tego nie robi?

O.: — Z różnych względów. Najważniejsza jest opinia oddziału u pacjentów i władz. Robi się tak, by oficjalnie wszystko było dobrze. Nie mówi się, bo władze oskarżą szpital o złośliwą propagandę wśród rodzin, a z kolei pacjenci orzekną, że ten oddział jest fatalny, bo wszystkiego brak.

P.: — Ta opinia, wyróżniająca jedne oddziały i postępująca inne wiąże się jednak chyba przede wszystkim z czym innym. Wiele słyszałem o dużych sumach pieniędzy, płaconych za operacje, wykonywane w szpitalu. I ta opinia ma chyba pokrycie w faktach?

O.: — Z pewnością tak. Jedną z form łapówek są opłaty za przeprowadzone operacje. Inną formą jest wizyta prywatna u lekarza, który kieruje do siebie na oddział. To jest najniższa stawka, bo płaci się tylko za prywatną wizytę, na którą idzie się po to, żeby dostać miejsce w szpitalu.

P.: — Obecnie jest to chyba uważane za coś normalnego. Pacjenci uważają, że to zło konieczne. Możliwe jest wtedy uzyskanie miejsca w szpitalu, co nie jest proste. Jest to na pewno mniejsze zło niż branie pieniędzy od pacjenta za zbadanie już leżącego w szpitalu lub za operację. Te metody jednak, to szczególnie obrzydliwy sposób nielegalnego zarabiania pieniędzy.

Dotyczy to chorych ludzi, którym nierzadko wydziera się ogromne sumy w sytuacjach rozpaczliwych.

O.: — Cała dotychczasowa rozmowa dotyczyła szpitali w dużych miastach, na prowincji jest jeszcze gorzej.

P.: — Czy może być jeszcze gorzej?

O.: — Tak. Przydziały leków są mniejsze, mniej personelu, nieporównanie gorzej wyposażone są laboratoria diagnostyczne. Niektóre z badań elementarnych są tam wykonywane tylko czasami i tylko przed południem.

P.: — Proszę Pana, właściwie nie wiem, o co dalej pytać. Połowę rzeczy, o których rozmawialiśmy, znałem wcześniej, ale tak to wszystko zebrać razem, to ogarnia przerażenie.

O.: — Jest naprawdę niedobrze, rozpaczliwie źle. Nikt nikomu nie wierzy, rodzą się ogromne antagonizmy, a wówczas trudno jest pracować. Lekarze są nadmiernie zapracowani, nie zdarza się właściwie lekarz, który miałby tylko jedną posadę. Jeśli ktoś jest głównym żywicielem rodziny, musi szukać dodatkowych zarobków, bo z jednej pensji trudno wyżyć. Jeżeli ktoś nie bierze łapówek od pacjentów, a takich lekarzy jest przecież dużo, musi brać dodatkową posadę. Lekarze potrafią dobrze zarobić, ale odbywa się to kosztem pracy ponad siły i ponad zdrowy rozsądek. Uniemożliwia to np. doksztalcanie się zawodowe, co dla lekarza jest absolutnie konieczne.

Jest takie pompatyczne nieco powiedzenie: „Aby zostać lekarzem, trzeba mieć powołanie”. Myślę, że jest to obecnie bardziej aktualne niż kiedykolwiek.

P.: — Dziękuję za rozmowę.

G ł o s Nr 8.

KOŚCIÓŁ I SPOŁECZEŃSTWO

Ks. Henryk SZAREYKO

DEKLARACJE I RZECZYWISTOŚĆ

W ostatnim czasie mnożyły się ze strony szefa PZPR deklaracje o gotowości współdziałania z Kościołem. E. Gierek składał je zarówno wobec Papieża na Watykanie jak i potem w kraju na forum Krajowej Konferencji Partyjnej czy Sejmu. Wypowiedzi te są powszechnie znane. Ale to tylko jedna strona medalu, bo druga niestety nie dociera do szerszej opinii publicznej, a wygląda znacznie mniej różowo i nie nastraja do optymistycznych wniosków. Chodzi po prostu o zwykłą, codzienną rzeczywistość, na tle której owe slogany o współdziałaniu z Kościołem brzmią groteskowo, trącąc wyraźnie obłudą i hipokryzją, a w rezultacie nasuwają nieuchronne podejrzenia, że oto „diabeł w ornat się ubrał i na mszę dzwoni”.

Normalizację, pożądaną ze wszech miar przez Kościół, wyklucza nie tylko zdecydowana rozbieżność w sferze ideologicznej, nie tylko gorzkie i bolesne doświadczenie z górą 30-letniej obecności Kościoła w PRL, ale także owe konkretne fakty z ostatnich tygodni i miesięcy ilustrujące faktyczny stan stosunków władzy z Kościołem.

Przede wszystkim więc na uwagę zasługuje nowa próba sił na terenie diecezji przemyskiej. Oto po wybudowaniu w dramatycznych okolicznościach, nowego monumentalnego kościoła w Stalowej Woli udało się następnie uzyskać pozwolenie i zbudować nową plebanię dla kilkunastu księży przy nowym kościele.

Przyłączono ją, po zezwoleniu władz, do miejskiej elektrociepłowni. Równocześnie jednak dalej czynny jest stary, drewniany kościół służący, obok nowego, wzrastającym potrzebom duszpasterskim w tak poważnym, dalej rozbudowującym się ośrodku przemysłowym, jakim jest Stalowa Wola. Przy starym kościele księża od 30 lat mieszkają w budynku pozostającym w gestii

administracji komunalnej. Obecnie po wybudowaniu plebanii przy nowym kościele władze zażądały opuszczenia budynku komunalnego. Wówczas poproszono o zezwolenie na wybudowanie przy starym, nadal czynnym kościele nowej plebanii. Niestety takiego pozwolenia nie uzyskano. Wynik pertraktacji na szczęblu wojewódzkim był też bezowocny. Władze obstawały przy swoim sztywnym stanowisku, a księża budynku nie opuszczali. I wówczas tuż po świętach Bożego Narodzenia 1977 roku, aby zmusić księży do opuszczenia starej plebanii, władze miejskie Stalowej Woli przy 17-stopniowym mrozie odcięły dopływ ciepła do nowej plebanii, żądając definitywnego opuszczenia budynku przy starym kościele. W tej sytuacji noszącej wszelkie cechy szantażu, księża Stalowej Woli odmówili jakichkolwiek rozmów z władzami i po porozumieniu się bezpośrednio z ordynariuszem swojej diecezji, ks. Biskupem I. Tokarczukiem złożyli na ręce naczelnika miasta pisemne oświadczenie stwierdzające, że jeśli w terminie 48-godzinnym nie będzie ponownie podłączony ich dom do miejskiej sieci ogrzewniczej, to poinformują oficjalnie w niedzielę na wszystkich Mszach św. swoich wiernych o zaistniałej sytuacji i wraz z jednym z biskupów przemyskich oraz grupą parafian podejmą na terenie nowego kościoła w Stalowej Woli protestacyjną głódówkę aż do chwili zmiany stanowiska władz. Minęły trzy godziny od momentu przekazania oświadczenia 13 księżom ze Stalowej Woli, a zarówno ze strony władz miejskich w Stalowej Woli jak i wojewódzkich w Tarnobrzegu, tak do parafii w Stalowej Woli, jak i do Kurii w Przemyśle, nadeszła wiadomość o ustąpieniu przez władze z dotychczas zajmowanego stanowiska.

Nowa plebania jest znowu podłączona do elektrociepłowni, księża mieszkają nadal przy starym kościele w dotychczas zajmowanym budynku i można mieć nadzieję, że wkrótce uda się im wybudować własny dom.

To niewątpliwie dzięki zdecydowanej postawie przemyskiego duchowieństwa, na czele z bezkompromisowym biskupem I. Tokarczukiem, wspólnym wysiłkiem tamtejszych księży i świeckich katolików działających w ciągu ostatnich kilku lat na terenie diecezji przemyskiej wybudowano bez oglądania się na zgodę władz administracyjnych, mimo szykan i trudności, 104 nowe kościoły i kaplice, co jest faktem bez precedensu w skali kraju w ciągu powojennego 30-lecia.

Ale może właśnie tej bezprecedensowej, zdecydowanej, wysoce świadomej społecznie postawie przemyskiego kleru, a zwłaszcza ordynariusza, należy przypisać fakt, że na obrady wojewódzkiej konferencji w Przemyśle w styczniu 1978 roku w ramach

trwającej obecnie partyjnej kampanii sprawozdawczo-wyborczej przybył w imieniu władz centralnych nie kto inny jak tylko S. Kania — sekretarz KC i członek Biura Politycznego PZPR, odpowiedzialny w kierownictwie tej partii za sprawy Kościoła w Polsce, w towarzystwie kierownika Urzędu d/s Wyznań — min. E. Kąkola.

I to ten sam Kania, którego można aktualnie oglądać na ekranach całej Polski, nie tylko podczas szeroko rozbudowanej sekwencji Polskiej Kroniki Filmowej, ale również na specjalnie nakręconym filmie dokumentalnym poświęconym wizycie szefa partii we Włoszech i Watykanie, jak z szerokim uśmiechem na twarzy, siedząc na przyjęciu w rzymskim Grand Hotelu obok ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, prowadzi z nim ożywioną rozmowę. W Przemyślu parę tygodni później, nie wymieniając wprawdzie nazwiska, publicznie na konferencji partyjnej, scharakteryzował miejscowego ordynariusza ks. Biskupa Tokarczuka — jako człowieka, który „zionie zoologiczną nienawiścią do ustroju PRL i do Związku Radzieckiego”, mocno równocześnie podkreślając, że jest to raczej stanowisko zajmowane przez mniejszość Episkopatu, bo zdaniem Kani z większością biskupów można się „dogadać”.

Próby podziału polskich biskupów na lepszych i gorszych w stosunku do władz są podejmowane od dawna. Niedawno dał temu chociażby wyraz Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR w przeznaczonych do użytku wewnętrznego materiałach pomocniczych na zajęcia szkoleniowe i lektorskie na obozach młodzieżowych i studenckich, zatytułowanych „Państwo a Kościół” z sierpnia 1977 roku, gdzie stwierdzono, że chociaż „większość biskupów cechuje realizm w ocenach i stanowisku politycznym”, to jednak zdarza się, że „niektórzy biskupi szerzą publicznie defetystyczne tezy o zagrożeniu Kościoła i wiary, rzekomej dyskryminacji ludzi wierzących, występują w sposób demagogiczny z zarzutami pod adresem państwa, obciążają rząd i partię odpowiedzialnością za wszelkie ujemne i destrukcyjne zjawiska życia społecznego w Polsce”.

Podobne stanowisko zajął przedtem, podczas głośnej konferencji prasowej w Warszawie w dniu 5 maja 1976 roku, K. Kąkol oświadczając, że trzeba „zauważyć wśród episkopatu i wiernych, tych, którzy myślą normalnie i zgodnie z postępem, tych którzy nie boją się słowa socjalizm, którzy przyjmują nasze zasady wychowawcze i okazują nam życzliwość”, dodając bez ogródek, z pełnym cynizmem, że „jeżeli nawet jako minister muszę się

uśmiechać, aby budzić zaufanie, jako komunista będę walczył bez wytchnienia z religią i Kościołem z każdego punktu widzenia”.

A przecież to nie „niektórzy biskupi”, ale Konferencja Plenarna Episkopatu Polski jednomyślnie w ogłoszonym z ambon całego kraju liście pasterskim poświęconym zagrożeniu wiary w Ojczyźnie, w dniu 28 listopada 1976 roku stwierdziła, że „metody zaprogramowanej ateizacji są wielorakie [...], stajemy wobec coraz to nowych sposobów zwalczania wiary i Kościoła [...], niezwykle bolesny jest obraz warunków pracy Kościoła w naszej Ojczyźnie. Program ateizacji politycznej wznaga się coraz bardziej. Wprowadzenie go zamierzone jest etapami, tak, aby społeczeństwo nie mogło dostrzec, że zostało podporządkowane procesowi niszczenia wiary”.

Sytuacja pod tym względem w ostatnim czasie, i to zarówno w aspekcie ogólnym, jak i szczegółowym, nie uległa żadnej zmianie. Świadczy o tym skonfiskowany w całości przez cenzurę komunikat z obrad Konferencji Episkopatu w dniach 14-15 grudnia 1977 — a więc już po spotkaniu Gierka z ks. Prymasem i po wizycie szefa PZPR u Papieża — podnoszący cały szereg zastrzeżeń, obaw i pretensji. Warto może bliżej zasygnalizować jedną z nich. Oto „Konferencja uznała, że z prawem wiernych do zaspokajania ich potrzeb duchowych, jak również z właściwą atmosferą stosunków kościelno-państwowych, jest wysoce niezgodne karanie księży i właścicieli lokali za przyjmowanie młodzieży odprawiającej rekolekcje liturgiczne (tzw. Oazy) i za odprawianie Mszy św. w ich pomieszczeniach zwłaszcza dla dzieci”.

Dodajmy, że dzieje się tak przede wszystkim na podstawie zarządzenia nr 58/77 wojewody nowosądeckiego Lecha Bafii — z dnia 30 czerwca 1977 roku, w sprawie „kontroli i likwidacji nielegalnych obozów i kolonii na terenie województwa nowosądeckiego”. Zarządzenie to powołało „wojewódzki zespół do kontroli i likwidacji nielegalnych obozów i kolonii”, w skład którego wszedł również dyrektor wojewódzkiego Wydziału d/s Wyznań, co w jednoznaczny sposób wskazało o jakie to, przez kogo i dla kogo organizowane, obozy i kolonie przede wszystkim chodzi. Wynikiem tego zarządzenia było ukaranie 37 gospodarzy z terenu województwa nowosądeckiego „za przyjmowanie uczestników rekolekcji służby liturgicznej w 1977 roku w okresie wakacji letnich (m. VI-VIII)” na ogólną sumę 61.965 zł. W tym miejscu trzeba dodać, że krajowemu duszpasterzowi służby liturgicznej, a więc głównemu animatorowi ruchu tzw. Oaz, ks. dr. hab. Franciszkowi Blachnickiemu, użytkującemu wspólnie z dziećmi i młodzieżą dom w Krościenku n/Dunajcem, miejscowe wła-

dze odmówiły z początkiem tegorocznej zimy przydziału węgla opałowego. W odpowiedzi na tę szykanę władz przyjaciele ks. Blachnickiego przysyłają mu z całej Polski węgiel w paczkach pocztowych!

Była tu mowa o cięciach cenzorskich wobec dokumentów kościelnych w Polsce. Oficjalnie w całej rozciągłości potwierdza to „Księga Zapisów G.U.K.P.P.iW.”, w której sprawy wyznaniowe zajmują niemało miejsca, ingerencje cenzury w tej dziedzinie są szczególnie liczne i surowe. Toteż słusznie stwierdza oświadczenie Samoobrony Społecznej „KOR” z dnia 18 listopada 1977 roku, że „cenzura wkracza tu nie tylko w artykuły publicystyczne, ale również w teksty wypowiedzi Papieża Pawła VI i Ks. Prymasa Polski, Kardynała S. Wyszyńskiego, a nierzadko skreśla również fragmenty Pisma św.”. Trafnie też oświadczenie przypomina to, o czym szeroko wiadomo, iż najwięcej ingerencji cenzury spośród polskich czasopism dotyczy *Tygodnika Powszechnego* w Krakowie. Surowym cięciom cenzury podlegają zresztą po dzień dzisiejszy i inne katolickie periodyki w Polsce jak *Więź*, *W drodze*, *Znak*, czy też nastawiony na masowego odbiorcę poznański *Przewodnik Katolicki*, z łamów którego np., dosłownie w przeddzień audiencji Gierka u Pawła VI, w całości skonfiskowano artykuł z okazji 50 rocznicy koronacji obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie.

Jak więc w świetle chociażby powyższych, tylko przykładowo ujętych, faktów i wydarzeń, nie wyrazić głębokiej nieufności wobec podejmowanych, jak się okazuje, wyłącznie na płaszczyźnie propagandowej, czysto werbalnych deklaracji o braku konfliktu między państwem a Kościołem w Polsce i o gotowości wzajemnego współdziałania?

Byłoby wielką naiwnością, gdyby traktować na serio i poważnie oferty składane obłudnie.

G ł o s Nr 5.

Tadeusz MAZOWIECKI

CHRZEŚCIJAŃSTWO WOBEC PRAW CZŁOWIEKA*

O rewindykacji praw człowieka

Będę się zajmował nie tyle stosunkiem chrześcijan czy chrześcijaństwa do samych praw człowieka, bo o tym mówiłem w

* Tekst wygłoszony podczas sesji poświęconej prawom człowieka, zorganizowanej w listopadzie 1977 przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej.

referacie otwierającym sesję, co stosunkiem do *rewindykacji tych praw*. I to nie w ogóle, lecz w odniesieniu do warunków naszych, polskich. Stosunkiem do tego procesu, który uważam za tak ważny i nieuchronny. Punktem wyjścia jest dla mnie to stwierdzenie mego referatu, że chrześcijanin może w różny sposób walczyć i służyć prawom człowieka — nie może natomiast jednego — tam gdzie wolność i godność ludzka jest uciskana i gdzie toczy się walka o prawa człowieka pozwalać sobie na gest Piłata.

Nie zamierzam więc nikomu niczego narzucać, jako wyłącznego właściwego podejścia, chcę natomiast zwrócić uwagę na kilka spraw, które i z chrześcijańskiego i z ludzkiego punktu widzenia uważam za istotne, dotyczące się stosunku do tego procesu rewindykacji praw obywatelskich i ludzkich.

I. Sprawa pierwsza: przewyżczenie — w stosunku chrześcijan do tego procesu rewindykacyjnego — czegoś, co bym nazwał „*myśleniem zastanowym*” czy „*postawą zastanową*”.

Wyjaśniam, o co mi chodzi:

Była mowa podczas tej sesji, że tak jak Chrystus nie był Mesjaszem politycznym, tak i Kościół nie jest — nie powinien być Kościołem politycznym: a więc albo Kościołem władzy, albo Kościołem opozycji politycznej. Jest to słuszne. Kościół idzie i musi iść swoją drogą. Stanowiska, postulaty, akty w określonych sprawach wychodzące od Kościoła i różnych grup ludzi walczących o prawa człowieka mogą okazywać się zbieżne, ale identyfikacja jest niemożliwa, bo Kościół — z istoty swej — ma własne, odmienne, ponadpolityczne cele. Tu nie może być ani nieporozumień ani złudzeń.

Ale! Czy znaczy to, że od Kościoła, jako instytucji, nie można czegoś oczekiwać? i że nie można czegoś oczekiwać od chrześcijan nie tylko jako członków pewnej wspólnoty lecz jako obywateli społeczności?

Więc, co jest tu tym, co nazywam „*myśleniem zastanowym*”? Podam je najpierw na przykładzie pewnego tekstu. Tekstu, który ukazał się w jednym z naszych pism, autora którego cenię, ale tekst ten posłuży mi za egzemplifikację tego, co nazywam „*myśleniem zastanowym*”. Tekst ten brzmi tak:

„Człowieczeństwo pojmowane jako znak sprzeciwu zmienia świat. Ale nie należy sprowadzać tego znaku do bycia działaczem, usiłującym zmieniać społeczno-polityczne struktury. Cele działacza są bliskie, niejako pod ręką i nie domagają się łaski lecz siły. Dokonywane przez niego zmiany nie sięgają zbyt głą-

boko. Chrystus nie zmieniał struktur politycznych, uczył patrzeć dalej, w nieskończoność łaski. Chrystus nie jest znakiem politycznego sprzeciwu. Jego sprzeciw jest głębszy, stale On mówił o Królestwie Bożym, które w żadnym wypadku nie jest strukturą polityczną. Jezus przeciwstawił się światu na innej płaszczyźnie, nie broniąc swego Królestwa, lecz je proponując. Gdyby był przeciwstawił się strukturom świata defensywnie, stworzyłby z Kościoła opozycję strukturalną na miarę politycznych struktur świata. Bardzo często mylimy tę właśnie strukturalną opozycję ze „znakiem sprzeciwu” podczas gdy być tym znakiem, wydaje się, znaczy tak być, aby całe nasze jestestwo było komunią z cierpiącymi”.

Rozumowanie takie budzi zarówno moją afirmację jak i sprzeciw. Afirmację — bo istotnie i absolutnie Chrystus jest znakiem innego sprzeciwu, Kościół musi być znakiem innego sprzeciwu i chrześcijanin — także chrześcijanin w polityczne życie wchodzący, w nie uwikłany, — musi nosić w sobie znak tego innego, głębszego sprzeciwu — bez tego bowiem nie jest chrześcijaninem.

I to afirmuję. Ale jak powiedziałem, rozumowanie to budzi również mój sprzeciw. Bo co zrobić, jeśli tak pięknie sformułowany tu postulat że: „aby być tym znakiem, wydaje się, znaczy tak być, aby całe nasze jestestwo było komunią z cierpiącymi” — jeśli to piękne i zasadnicze zadanie — nie da się podjąć inaczej — jeśli w ogóle ma coś znaczyć — niż przez zanurzenie się w rzeczywistość tego świata, niż przez świadectwo, które oceniane być musi jako świadectwo polityczne i które w istocie swej będzie świadectwem i zaangażowaniem się także politycznym. Politycznym — nie w znaczeniu gry lecz w znaczeniu moralno-politycznym.

Sprzeciw mój kieruję więc nie wobec tego, co zostało tu napisane, lecz wobec tego, czego w tym rozumowaniu nie ma, co jest w nie wmontowane, a co w praktyce staje się unikiem moralnym i właśnie „rozumowaniem zasłonowym”.

Była na tej sesji mowa o tym, że Kościół nie będąc Kościołem politycznym, musi wypełniać swą funkcję krytyczną i uwrażliwiającą. Mówią o tym nowe poszukiwania teologiczne. No dobrze: Kościół — ale chrześcijanie w swym działaniu obywatelskim, katolickie środowiska, ludzie poszczególni? Otóż „rozumowaniem zasłonowym” nazywam zasłanianie się Kościołem w odpowiedzi na to pytanie, które jest także pytaniem moralnym.

Myślę, że jest to problem szczególnie ważny, szczególnie istotny dla chrześcijan żyjących w sytuacji Kościoła silnego. Takiej jak nasza.

Możemy jako katolicy w tym kraju być dumni z tego, że w ciągu tych 30 lat Kościół w Polsce stawał się w praktyce w niektórych okresach jedynym obrońcą wolności i godności ludzkiej. Że dawał tej wolności i godności azyl.

Możemy się cieszyć, że od pewnego czasu coraz wyraźniej w jego wystąpieniach na plan pierwszy wybija się nie tyle ton obrony Kościoła i jego instytucjonalnych spraw, lecz ton obronny praw człowieka w ogóle. I wiemy, że ta siła Kościoła — wynika: po pierwsze z tego, co jest wewnątrznie w nim najistotniejsze, co z Chrystusa w nim. Po drugie, w aspekcie ludzkim, ze stanowiska Episkopatu — po trzecie z masowości Kościoła w Polsce, z jego ludowości, po czwarte z jego żywotności, jaką potwierdził w ciągu tych 30 lat, także intelektualnej. A więc z czegoś, w czym jest jakiś udział nas wszystkich. Ale czy nie jest tak, że ta siła, bywa zasłoną dla naszej własnej odpowiedzialności indywidualnej i środowiskowej? Nie zwolni nas od tej odpowiedzialności i nie załatwi za nas tego problemu Kardynał-Prymas i jego wypowiedzi, Kardynał Wojtyła, Biskup Tokarczuk i cały Episkopat.

A ponadto zapytajmy się, czy nie jest także naszym katolickim widzeniem Mesjasza politycznego i Kościoła politycznego, jeśli w tym, co ma być naszą odpowiedzialnością, naszym wyborem i naszym zaangażowaniem, zasłaniamy się, że za nas już mówi Kościół? Odnoszę wrażenie, że jest to problem, którego całą ostrość trzeba sobie uświadomić.

W płaszczyźnie wewnętrznej Kościoła czasem myślę, że choć jesteśmy Kościołem silnym, bardzo by nam się przydało nieco więcej takiego poczucia także własnej, indywidualnej odpowiedzialności, jaką mają chrześcijanie Kościołów żyjących w diasporze. W płaszczyźnie zaś obywatelskiej — im chrześcijanie jako obywatele są bardziej świadomi i bardziej zaangażowani w obronę podstawowych praw człowieka i praw w ogóle, tym Kościół jest mniej polityczny. Nie sądzę więc, żeby można było poprzestać na takim rozumowaniu: „no dobrze, ale chrześcijanie u nas nie mogą się angażować, nie mają form obywatelskiego działania, wobec tego wypowiada się za nas także i politycznie Kościół”, a jednocześnie przy tym rozumowaniu powtarzać, że Kościół to przecież znak innego sprzeciwu i tym rozumowaniem załatwiać ową „komunię z cierpiącymi”.

Wiemy, że jest to problem trudny, bardzo trudny i złożony, a stawiam go po prostu jako problem naszej świadomości i postawy, ponieważ sądzę, że „myślenie zasłonowe” i „postawa zasło-

nowa” prowadzi do uników i może być także tym właśnie gestem Piłata.

II. Sprawa druga — której przemyślenie *adresuję* nie tylko do katolików, ale do *wszystkich*, którzy walczą u nas o prawa człowieka — to sprawa, jaki *zakres ma ta rewindykacyjna walka*, co nią jest?

Myślę, że jak dwie strony tego samego medalu, ten proces rewindykacji ludzkich i obywatelskich tworzą dwa zakresy działań:

- po pierwsze *protest*, demaskowanie nadużyć i deptania tych praw, domaganie się ich przywrócenia;
- po drugie — tworzenie czegoś, co bym nazwał *społeczną infrastrukturą tych praw*, a co można nazwać także tworzeniem ethosu społecznego.

Odnoszę wrażenie, może mylne, ale takie wrażenie mam, więc się nim dzielę — że tak jak dawniej, przed kilku jeszcze laty, wyobraźnia nasza nie dostrzegała możliwości protestu, jako rzeczy, poza wyjątkami, niemożliwej, tak teraz, kiedy od dwóch lat zjawiska protestu nabrały szerszego zasięgu — mówię o proteście, a nie o wybuchu, bo to inna sprawa i inne prawa społeczne nim rządzą — nie zawsze może docenia się pracę nad tworzeniem owej społecznej infrastruktury, będącej też rewindykacyjnym działaniem na rzecz praw obywatelskich i ludzkich, na rzecz tożsamości i kultury narodu, siły społeczeństwa.

W języku niemieckim i pojęciach tam używanych jest także rozróżnienie, którego chciałbym tu użyć: *Grundrechte* i *Grundwerte*. Otóż każde demokratyczne społeczeństwo musi dbać o jedno i o drugie. A każde demokratyczne państwo musi pierwsze (tzn. *Grundrechte*) zapewniać, a drugie (*Grundwerte*) szanować. To znaczy umożliwić różnym strukturom społecznym, Kościołom, partiom politycznym, uczelniom, pisarzom i ludziom kultury, związkom zawodowym, związkom młodzieżowym, wszelkim stowarzyszeniom, rodzinom i wspólnotom wreszcie — każdemu indywidualnemu człowiekowi — swobodę dobrowolnego uczestniczenia w procesie, który owe wartości zasadnicze wytwarza i podtrzymuje w społeczeństwie.

Czym natomiast jest tworzenie owych wartości zasadniczych w sytuacji, w której prawa zasadnicze są nieszanowane, szanowane częściowo lub tylko na papierze? Jest to tworzenie pomimo wszystko, pomimo niesprzyjających warunków, tej społecznej infrastruktury, bez której istnienia społeczeństwo staje się

— lub może się stać — zmierzwione, zniaczone, bez której w rezultacie nie ma społeczeństwa, choć jest masa. I bez której także wszystko inne, od najwyższych wartości duchowych po wartości materialne, ekonomiczne, po same procesy wytwarzania się załamuje, kuleje, chroma.

Użyłem pojęcia „infrastruktura”. Cytuję: „To co duchowe jest także infrastrukturą [...]. Najbardziej nawet racjonalna struktura ekonomiczna, jeżeli oparta jest na pogardzie dla zasadniczych wymagań osoby, nosi w sobie swoją własną ruinę” (Mounier).

Tworzeniem tej infrastruktury zajmowaliśmy się przez lata. Tworzy ją Kościół w sobie właściwy sposób, i to jest działanie w zasięgu swym najszerze. Tworzą ją od lat pisma i środowiska, takie jak nasze. Tworzą ją środowiska i indywidualni ludzie w nauce, w kulturze, tam wszędzie, gdzie jest to działanie autentyczne, prawdziwe, jeśli nawet cenzurowane i nie całkiem wolne zewnętrznie, to poczęte z wewnętrznej wolności i pozostające jej wyrazem. Takie działanie tworzy infrastrukturę.

Sumarycznie biorąc, oceniałbym ten dorobek polskiej kultury i polskiego społeczeństwa nie tylko jako coś niezmiernie cennego, lecz jako coś, czego bilans — mimo wszystko — jest dodatni, jako coś, co stanowi jednak o naszej odmienności sytuacyjnej w stosunku do innych krajów tego obozu, co jest podstawą ocalanania naszej tożsamości.

Ale — nie muszę przekonywać że i zagrożenia są wielkie i niepokojące. Chodzi dzisiaj nie tyle o indoktrynację ideologiczną społeczeństwa, co o depolityzację, o bierność, o to, co nazywam zniaczeniem. Po wtóre — jak już mówiono — a co wymagałoby osobnej analizy — skład, charakter, ethos społeczeństwa wskutek różnych czynników — i tych, które wynikają z przyczyn politycznych i tych, które wynikają z przyczyn cywilizacyjnych uległ i ulega zmianie. W tej sytuacji tworzenie owej społecznej infrastruktury, budzącej i podtrzymującej wartości, kształtującej ethos i podtrzymującej i rozwijającej naszą tożsamość jest sprawą zasadniczą.

Pan Szulczyński postawił tu w jednej z dyskusji na naszej sesji pytanie: co mamy robić na rzecz praw człowieka. Mówił o tym, że pojawiły się nowe formy walki o te prawa, że nie wszystkim one odpowiadają, ale że każdy musi sam sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Nie zamierzam sugerować recept ani dzielić ról, ponieważ zresztą uważam, że są one podzielone i niepodzielone. Chcę tylko zwrócić uwagę, przy szukaniu tych odpowiedzi, na to,

że np. infrastrukturą jest także to, co się dzieje wychowawczo, np. w życiu rodziny. Ale nie wtedy, kiedy jest to wychowanie z założenia wycofujące się ku prywatyzacji życia. Myślę, że jest tu coś do zrobienia, ażeby ten trend ku prywatyzacji odwracać, odnawiać ethos obywatelski w wychowaniu. Wiem, że nie są to sprawy łatwe, że każdy z nas staje tu przed bardzo trudnymi decyzjami, ale są to sprawy do przemyślenia. Mówiono też w dyskusji, że niedobrze jest, kiedy człowiekowi w działaniu, zwłaszcza w kulturze pozostaje albo konformizm, albo heroizm. Rzeczywiście nie jest dobrze kiedy pozostaje tylko konformizm, albo tylko heroizm.

Czasem wszakże tego wyboru nie da się uniknąć. Rzecz polega jednak na tym, aby przy tworzeniu ethosu społecznego i w tym procesie rewindykacji poprzeczka wymagań stawianych człowiekowi żyjącemu normalnym, zwykłym życiem ustawiana była właściwie. Nie za nisko i nie za wysoko.

Stąd także wynika w moim przeświadczeniu waga widzenia w tym działaniu wzajemnego związku tego, co jest protestem i tego, co jest tworzeniem owej infrastruktury społecznej. Nastawienie na protest bez kontynuacji tworzenia tej infrastruktury społecznej — to jeden ekstrem, ekstrem — że tak powiem — izolacjonistyczny. Nastawienie na tworzenie infrastruktury społecznej bez widzenia zjawisk nowych i bez uznawania konieczności także i protestu — to drugi ekstrem, ekstrem polegający na statystycznym widzeniu zjawisk, ekstrem nie zauważający, że po- ciąć już pojechał dalej.

III. Sprawa trzecia i ostatnia, którą chcę poruszyć.

Mówiliśmy i mówimy tu o prawach człowieka. Obywatelskich prawach człowieka, ale prawach człowieka. Chcę położyć akcent na oba te słowa: *prawa i człowiek*.

W wielu referatach i dyskusjach mówiono o tym, z różnych stron ten problem naświetlając, do czego prowadzi relatywizacja człowieka. Relatywizacja wartości. Stanisława Grabska mówiła wczoraj, że człowiek jest *sacrum*. Jedlicki mówił o owej małej, mojej własnej niepodległości, którą muszę zachować, Strzelecki pokazywał, jak to się działo, że ruch, który u samych zasad podniósł tak bardzo walkę o społeczne prawa człowieka, przez pewną filozofię życia publicznego, prawom człowieka wolnego i uczestniczącego społecznie zaprzeczył. Nie będę tego wątku dalej rozwijał. Myślę, że zgadzamy się że gdzieś u dna leży tu problem niesłuchanie istotny, problem, o którym tu dzisiaj mówił Jerzy Turowicz, podkreślając tę wspólną, personalistyczną

w najszerszym znaczeniu tego słowa, podstawę szanowania człowieka. I przeciwieństwo tego stanowiska, problem relatywizacji człowieka.

Istnieje też problem relatywizacji prawa. Wspomniał o tym Jakub Karpiński i pani Jolanta Strzelecka. Znow nie rozwijam, tylko z punktu widzenia tej rewindykacyjnej walki — bo tego pragnę się trzymać — chcę powiedzieć, że przeciwdziałanie relatywizacji prawa jest czymś podstawowym. Istnieje problem prawa słusznego.

Przeciw prawu niesłusznemu trzeba walczyć, trzeba je zmieniać. Ale istnieje także problem, o którym przed chwilą mówił Adam Stanowski — czy prawo jest prawem, czy przywilejem udzielanym czy nieudzielanym obywatelowi. Wychowanie społeczne, kultura polityczna jest odzyskiwaniem poczucia praw. I wymaganiem od władzy szanowania praw i traktowaniu ich jako praw, a nie jako przywilejów. Dotyczy to tego, co wynika z Paktów, które Polska ratyfikowała.

Wszystko to, co tutaj mówimy, mówimy wszakże nie na Księżycu, ani w sferze idealnych pragnień, ale pamiętając o twardych realiach warunków politycznych i geopolitycznych, w jakich żyjemy. I wiemy, że rewindykacja tych praw nie dokona się prosto, bezkonfliktowo i łatwo. Jan Strzelecki mówił o swojej *Ceterum censeo*, Jedlicki zachwalał zasadę mądrych kompromisów. Więc pozwólcie, że ja także na koniec tej wypowiedzi, powiem coś jeszcze o *ceterum censeo* i o kompromisie.

„Jest taka partia!” — wykrzyknął Lenin, kiedy pytano, kto ma program realizacji rewolucji w Rosji. I od tego czasu rządzące partie komunistyczne powołują się na to zdanie, z którego wywiodły zasadę, że istnieje tylko jeden program, jedna oficjalna myśl, ba! — jedna oficjalna wersja troski o to, co jest dobre dla społeczeństwa, narodu, państwa.

Otóż chciałoby się powiedzieć, bez żadnej złośliwości i ironii — jest taki naród, który nie oczekuje i nie żąda rzeczy niemożliwych, który posądzany o niepohamowany romantyzm, w ciągu tych 30 lat dowiódł w ciężkich i dramatycznych chwilach, że wie, gdzie w istniejących warunkach jest granica możliwego i niemożliwego. A posądzony o skłonność do jałowego anarchizmu, zwierzał się i zawierzał — wbrew zawodom — każdej lepszej szansie. Naród, w którym istnieje myśl i wola działania ku lepszemu, nie jedna myśl, lecz wiele myśli kompetentnych i żarliwych i napełnionych troską, które przez ich wymianę mogłyby popchnąć sprawy naprzód. Wola działania — nie ta z popieranych deklaracji, lecz ta, która bierze się z nadziei i poczucia odpo-

wiedzialności. Jest ten naród, temu narodowi potrzeba nowego otwarcia, potrzeba oddechu, potrzeba rzeczywistego traktowania go jako podmiotu praw, jako podmiotu współodpowiedzialności za jego losy, za wspólne losy kraju.

Słowem — by przejść do słowa kompromis — kompromis między rządzonymi i rządzącymi nie jest poza granicą naszych rozważań o prawach człowieka i obywatela i o procesie rewindykacji tych praw. Ale chodzi o kompromis, a nie o poddaństwo myśli i postaw ludzkich. Wiemy jednak, że taki kompromis, który nie jest poddaństwem, musi być wywalczony. Tylko społeczeństwo, które okazuje swą zdolność do samoobrony w proteście i budowie owej społecznej infrastruktury — o której mówiłem — tylko społeczeństwo, które w sobie zachowuje zdolność bycia podmiotem, może w ogóle coś ocalać i coś wywalczać.

Dlatego o tym wszystkim mówimy, o czym mówiliśmy przez te pięć dni. Dobrze, że jest Belgrad, dobrze że w świecie mówi się o prawach człowieka. Ale liczyć musimy przede wszystkim na siebie. To znaczy, że decydujące jest to, czym jest i jakie będzie społeczeństwo polskie.

A realizacja — ciągła, nieustanna realizacja — odpowiedzi na to pytanie zaczyna się u każdego od tej najprostszej zasady, którą Zbigniew Herbert wyraził w „Panu Cogito”: Wstań i idź prosto. Czuć się wolny!

Głos Nr 5.

Bohdan CYWIŃSKI

OBYWATEL I PODDANY*

Temat dzisiejszej dyskusji uważam za centralny dla całej naszej sesji o prawach człowieka. Ten temat właśnie najbardziej bezpośrednio dotyka naszej wrażliwości moralnej, stąd w wielu dotychczasowych wypowiedziach sesji ujmowany jest w aspekcie powinności. Chciałbym kontynuować ten sposób myślenia.

Chrześcijańska refleksja o naszych powinnościach wobec praw człowieka w znacznym stopniu zależy od tego, w jaki sposób patrzymy na rzeczywistość tych praw i na mechanizmy ich reali-

* Tekst wygłoszony podczas sesji poświęconej prawom człowieka, zorganizowanej w listopadzie 1977 przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej.

zacji. Można mianowicie wyjść od wyobrażenia sobie idealnego systemu społecznego. W systemie tym prawa człowieka winny stanowić fundament życia zbiorowego. Na tym fundamencie można budować udział jednostki w życiu publicznym, uznając przestrzeganie praw człowieka za warunek wyjściowy wszelkiego działania.

Mając przed oczami tę wizję, oceniamy istniejącą rzeczywistość polityczno-społeczną, zapytując, czy prawa człowieka są w niej przestrzegane dostatecznie, tak byśmy mogli uznać ją za właściwy klimat do naszego działania. A kiedy ocena wypadnie negatywnie uznajemy się za pokrzywdzonych, zniewolonych — i zarazem za uwolnionych od odpowiedzialności. Nie zapewniono nam ludzkich praw, nie nadano ich nam, pozostajemy więc w biernym, statycznym oczekiwaniu, w poczuciu krzywdy i zniechęcenia.

Można jednak na to samo zagadnienie spojrzeć inaczej, bardziej dynamicznie. Należy wówczas zdać sobie sprawę, że jak świat światem, toczy się w nim walka między ludźmi silniejszymi i słabszymi. Stale istnieje między nimi napięcie. W tym napięciu prawa człowieka, zwłaszcza człowieka słabszego, obowiązują na tyle, na ile ci słabsi ludzie potrafią ich wymagać. Przestrzegane bywają w świecie tylko prawa wymagane, wymagane kategorycznie i nieustannie. Jeśli dziś impet wymogów zmaleje, jutro już prawa zostaną przekroczone. Tak było zawsze i tak zawsze w historii pozostanie.

Zapewne, powinno być inaczej. Pragnęlibyśmy, by „wilk z jagnięciem legali pospołu”. Ale ta wizja dla chrześcijanina przekracza historię. Tu, na ziemi, zawsze trzeba będzie spełniania praw człowieka domagać się, stale o nie walczyć. Nigdy nie będzie można spać spokojnie i — o tym, jako chrześcijanie, musimy być najgłębiej przekonani — żaden bój w ich sprawie nie będzie ostatni.

Powiedziałem, że prawa człowieka i ich realizację widzę, jako wynik napięcia między ludźmi, między ludźmi a instytucjami, między podmiotami osób i społeczności ludzkich. Prawa człowieka to prawa podmiotu. Źle się dzieje, gdy w spotkaniu silniejszego ze słabszym, ów drugi przestanie działać jako podmiot. Od kiedy człowiek pozwoli się uprzedmiotowić, wszelkie jego prawa zostają przekreślone. A człowiek bywa uprzedmiotowiony w życiu publicznym. Kiedyś tak było z reguły, z zasady — i to oddawała formuła: poddany. Poddany nie miał praw gwarantowanych godnością osoby ludzkiej. Miewał prawa nadane, gwarantowane godnością i siłą suwerena, władcy. Przeciwnieństwem

pojęcia „poddany” jest pojęcie „obywatel”, oznaczające świadomy i wolny w swym działaniu podmiot działania publicznego. Charakterystyczne, że w dziejach myśli społecznej kwestia praw człowieka wybuchła właśnie wtedy, gdy pojawiła się nowoczesna koncepcja obywatela i gdy została przeciwstawiona dawnemu pojęciu poddanego.

Ta rewolucja w myśleniu nie zapobiegała oczywiście odbieraniu praw człowieka i później. Tyle że dziś pojmujemy już, iż odbieranie tych praw oznacza czynienie człowieka znów poddanym. Stąd płynie wniosek: chcąc odzyskiwać prawa człowieka nie wolno czekać ich nadania przez jakąkolwiek władzę.

Należy natomiast stawiać je jako podmiot w życiu publicznym i zachęcać innych do takiego stawiania.

Andrzej Grzegorzczak nazwałby to może naprawianiem państwa. Jeśli jest to naprawianie czegośkolwiek, to naprawianie społeczeństwa, a w ostatecznym rachunku — naprawianie człowieka. Sądzę, że takie postępowanie jest obowiązkiem chrześcijanina. I tu bardzo zasadniczo nie godzę się z Grzegorzczakiem. Skoro jestem osobą, to osobą pozostać muszę i w życiu publicznym. Mogę zrezygnować z wielu rzeczy, nawet z realizacji wielu zamierzeń, wynikających z moich praw, ale samego prawa zrzec mi się nie wolno. Po prostu dlatego, że nie wolno dać się gwałcić i nie wolno pozwolić, by przy mnie gwałcono kogoś drugiego. I sądzę, że teocentryzm, radykalny czy mniej radykalny, niewiele ma tu do rzeczy. Stworzył mnie Bóg osobą — osobą wobec Niego, ale i wobec ludzi i osobą wobec instytucji, wobec władzy i wobec prześladowcy. Gdybym z dochodzenia swych praw osoby wobec tych wszystkich instancji zrezygnował byłoby to świadectwo zdecydowanie antychrześcijańskie. I tu dania takiego świadectwa byłbym winien, byłbym kiedyś musiał zostać osądzony. Wiem, nawet gdy najbardziej się w to zaangażuję, świat nie stanie się idealny. Ale jeśli będę milczał i czekał świat stanie się jeszcze gorszy nieco. A jeśli nie zaangażuje się nikt — świat stanie się piekłem.

Tak rysuje mi się perspektywa zadań indywidualnego, małego chrześcijanina. Ale w teże perspektywie rysują się także zadania wielkiego Kościoła — instytucji Kościoła — wspólnoty. Zadania te są wielorakie: Kościół winien być i wychowawcą i adwokatem i ratownikiem tych wszystkich, którym odmawia się praw człowieka. Świadectwo zbiorowości chrześcijan, a tym bardziej Kościoła instytucjonalnego, świadectwo solidarności po stronie skrzywdzonego — to bardzo wiele. To sprawa najważ-

niejsza na dziś. I tu rysuje się rola Kościoła jako wychowawcy do podmiotowości — w życiu publicznym.

Etyka chrześcijańska — i to nie tylko teoretyczna, ale i ta, która wyraża się w duszpasterskim pouczeniu — staje przed alternatywą wychowania poddanego albo obywatela. I w moim przekonaniu musi wybrać wychowanie postaw podmiotowych i obywatelskich. Inny wybór byłby dziś niezgodny z logiką chrześcijańskiego świadectwa.

Jak to wygląda dziś w Polsce? Trzeba przyznać z radością, że Kościół w Polsce w roli obrońcy i ratownika ludzi skrzywdzonych prezentuje się świetnie, trzeba nam się wszystkim uczyć odeń stanowczości wystąpień w obronie praw człowieka. Myślę jednak, że rola wychowawcy spełniana jest przez nauczający Kościół w Polsce słabiej. Zbyt często Kościół dopuszcza przyjmowania przez wiernych statusu poddanego — nawet w odniesieniu do tego prawa człowieka, które dotyczy wolności wyznania i swobody praktyk religijnych. Przykładem są tu wszystkie śluby, chrzty i pierwsze komunie dzieci, organizowane potajemnie, potajemne praktyki religijne w myśl zasady, by naraz służyć Bogu i mamonie. Bo przecież zagrożenie dotyczy tu — bądźmy szczerzy — tylko owej mamony. Za tolerowaniem takich postaw w sprawach religijnych — nie mówiąc już o innych aspektach moralności publicznej — kryje się nieodpowiedziane głośno pouczenie „Biedny człowieku, odebrali ci twoje prawa, nadać Ci ich z powrotem nie chcą. Twoja podmiotowość jest na razie nierealną mrzonką, musisz pozostać poddanym. Jesteś pokrzywdzony i nie odpowiadasz moralnie za to: winni są źli, bezbożni ludzie. Czekaj więc lepszych czasów i skoro musisz, uczestnicz biernie w tym co się dzieje...”. Być może jestem zjadliwy, ale przedstawiona wyżej sugestia duszpasterska wydaje mi się i bardzo szkodliwa społecznie, i niezgodna z chrześcijańskim świadectwem godności człowieka. U jej źródła tkwi w dalszym ciągu odziedziczone od stuleci przekonanie, że prawa człowieka muszą być z góry nadane, i że dopóki to na drodze jakiejś przemożnej interwencji nie nastąpi, nikt nie jest za nie odpowiedzialny, a wszelkie usiłowania społecznej rewindykacji i aktywnej obrony są mrzonką, a nie realnym także chrześcijańskim obowiązkiem.

Obawiam się, że wychowawcza linia polskiego duszpasterstwa bliższa jest tu koncepcjom Andrzeja Grzegorzcyka niż moim.

Długo można by szukać wyjścia z tej sytuacji. Przykładowo tylko chciałbym napomknąć o jednej sprawie, która wydaje mi się rzeczą pierwszorzędną wagi. Chodzi o... katechizm obywatelski. Zdajmy sobie sprawę, że Kościół jest dziś w Polsce jedy-

nym autorytetem, od którego społeczeństwo zgodziłoby się taki katechizm przyjąć. Myślę o wykładzie chrześcijańskiej etyki społecznej, aplikowanym do sytuacji współczesnego Polaka w całym trudnym uwarunkowaniu jego udziału w życiu publicznym.

Katechizm taki musiałby odpowiedzieć jednoznacznie na najbardziej drażliwe pytania, wniknąć w realia sytuacji poszczególnych grup społecznych, środowisk, zawodów.

Sądzę, że jest to rzecz wagi pierwszorzędnej. Ale zamówienia na ten katechizm nie kieruję pod adresem Kościoła instytucjonalnego, ale pod adresem jego wspólnot — takich jak nasza, klubowa. Myślę, że byłoby to zadanie wychowawcze, w którym potrafilibyśmy podsumować cały nasz dotychczasowy dorobek formacyjny i jednocześnie znaleźć kierunki dla zadań dalszych.

Niosąc w ten sposób pomoc Kościołowi, budowalibyśmy w naszym środowisku wolę podmiotowości, wznosilibyśmy jednocześnie trwałą wkład w obronę i rewindykację praw człowieka w Polsce.

Głos Nr 5.

TRADYCJE I TERAŻNIEJSZOŚĆ

Stefan KAWALEC

TRADYCJE DZIAŁANIA POLITYCZNEGO

1

W ciągu ostatnich dwóch lat 1976 i 1977 zaszły w Polsce zmiany, które trudno było sobie przedtem wyobrazić.

W 1967 roku Nina Karsow została skazana na 3 lata więzienia za treść swojego prywatnego dziennika. W 1975 roku Stanisława Kruszyńskiego skazano na 10 miesięcy za opinie wyrażone w w trzech listach: do żony, brata i przyjaciela.

Gdy 23 września 1976 roku zawiązał się Komitet Robotników i zaczął wydawać komunikaty informujące o prowadzonej akcji pomocy, niewielu ludzi wierzyło, że taka forma działania może się utrzymać, że może dać efekty. Nie brakowało takich, którzy byli przekonani, że jeżeli KOR jest tolerowany, to znaczy, że gdzieś na górze (w kierownictwie partii) toczy się walka o władzę i ktoś przeciwko komuś chce KOR wykorzystać.

Ludzie czytali, przepisywali komunikaty KOR-u, dawali pieniądze na pomoc i zastanawiali się jak długo jeszcze członkowie KOR będą chodzić na wolności.

Władze nie bardzo wiedziały jak na działalność KOR-u zareagować. Dotychczas inteligencja i robotnicy występowali osobno. W marcu 1968 roku wobec wystąpień inteligencji i studentów robotnicy zachowali się biernie. W grudniu 1970 roku bierna była inteligencja.

Akcja pomocy dla ofiar represji po wydarzeniach czerwcowych rozpoczęta w lipcu 1976 roku, była wystąpieniem grupy inteligencji w sprawie robotników.

Aresztowanie i skazanie członków KOR stworzyłoby inteligentnych męczenników za sprawę robotniczą. Na to władze się nie zdecydowały, wobec KOR-u stosowano jedynie szykany policyjne, pogroźki, fałszerstwa. Widać było, że władze najchętniej cofnęłyby czas i spełniły postulaty KOR-u przed jego powstaniem, teraz nie chciały pokazać, że ustępują przed żądaniem.

Ostatecznie po 10 miesiącach sprzecznych posunięć wszystkich uwięzionych robotników zwolniono.

Obecnie działają ugrupowania opozycyjne skupione wokół dwóch instytucji: Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (istnieje od marca 1977 roku). W kilku miastach powstały Studenckie Komitety Solidarności. Ukazuje się kilkanaście pism i wydawane są broszury, książki w nakładach od kilkuset do 3 tys. egzemplarzy. Liczba wydanych egzemplarzy pism i broszur zbliża się do 100 tys.

W mieszkaniach prywatnych odbywają się regularne wykłady z historii Polski, ekonomii, literatury itd. Działają kluby dyskusyjne.

Temu wszystkiemu towarzyszy życzliwe zainteresowanie w wielu kręgach społeczeństwa. Uważa się ten ruch za bardzo pozytywny, lecz widzi się jego słabość.

Ludzie, którzy kiedykolwiek zetknęli się z niezależną prasą, widzieli choć raz *komunikat „KOR”, Opinię, Zapis*, stanowią nikłą część społeczeństwa. Ruch opozycyjny jest nadal ruchem przede wszystkim inteligentnym, mimo, że akcja pomocy dotarła do ponad 500 represjonowanych robotników, że ukazuje się w nakładzie ponad 2.000 egzemplarzy dwutygodnik *Robotnik* i że zaczęło wychodzić pismo *Gospodarz*.

Częste jest przekonanie, że istnienie tego ruchu jest możliwe tylko dzięki zbiegowi okoliczności. Po pierwsze — niezwykle sprzyjającej sytuacji międzynarodowej (konferencje w Helsinkach i Belgradzie oraz polityka Cartera na rzecz przestrzegania na całym świecie praw człowieka), po drugie — kryzys gospodarczy w Polsce i niezadowolenie ludności z powodu złego zaopatrzenia, co związuje władzom ręce.

Niewątpliwie bez tych czynników niemożliwa byłaby tak zasadnicza zmiana sytuacji politycznej w Polsce w tak krótkim czasie.

Wielu ludzi zadaje sobie pytanie czy ruch opozycyjny będzie trwałym składnikiem naszego życia społecznego i politycznego, po pierwsze czy nie zostanie zlikwidowany, a po drugie czy będzie w stanie wywrzeć istotny wpływ na życie kraju.

Czy jeśli sytuacja gospodarcza się poprawi i ulegnie zmianie

koniunktura w polityce międzynarodowej to represje w takiej skali jak w 1968 roku, lub w większej, nie spacyfikują tego ruchu? Można przecież nie oglądać się na zagranicę, aresztować kilkaset osób, zrobić parę pokazowych procesów i kilkadziesiąt osób skazać na wieloletnie więzienie, rozwiązać kilka wydziałów, powyrzucać z pracy sympatyków, ludzi podpisujących różne listy. Czy w ten sposób sytuacja nie wróci do normy?

Czy np. z perspektywy roku 1984, ożywienie lat 1976-78 (lub 9) nie będzie takim epizodem jak „odwilż” lat 1955-1957, marzec 1968, grudzień 1970 roku.

W 1968 roku mogliśmy obserwować ożywienie środowisk intelektualnych: były uchwały walnego zebrania warszawskiego pisarzy, rad naukowych kilku wydziałów uniwersytetu, rezolucje i strajki studenckie w całym kraju. Represje okazały się na tyle skuteczne, że w dwa lata później wobec masakry na wybrzeżu w grudniu 1970 roku nie odezwał się żaden głos inteligencji.

Odpowiedzi na pytanie o perspektywy na przyszłość szuka się zatem w doświadczeniach lat 1956-1975. Opiera się to na założeniu, że po wojnie rozpoczęła się nowa epoka — okres w życiu narodu mający niewiele wspólnego z tym co było przedtem, a co za tym idzie poprzednie doświadczenia są nieaktualne, nie mają dziś żadnej wartości i nie warto do nich wracać. Bowiem zmieniły się warunki społeczno-ekonomiczne i praktyczne, a zachowanie się społeczeństwa jest tymi warunkami wyznaczone.

Ponieważ w 1956 roku nowe warunki życia społecznego były już ukształtowane, zatem właśnie następne 20 lat pokazują nam jakie są prawidłowości systemu, co jest w nim możliwe a co nie.

Uważam, że pogląd ten jest błędny. Na postawę społeczeństwa w latach 1956-1975 wpływ miała nie tylko aktualna sytuacja lecz w znacznym stopniu wydarzenia okresu 1939-1954 r.

II

W latach 1939-1954 społeczeństwo polskie doznało strat i wstrząsów jakich w podobnie krótkim czasie nie zaznało w swojej historii. Olbrzymie straty ludzkie, emigracja, przesunięcie granic i części ludności o kilkaset kilometrów na zachód, *elementy rewolucji społecznej*.

Istniejące przedtem ruchy polityczne i społeczne zostały zniszczone, sterroryzowane, pozbawione najaktywniejszych przywódców. Nawet komuniści organizujący władzę po wojnie pozbawieni byli całej czołówki działaczy zamordowanych w ZSRR w latach

1936-1938. Większość przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej zginęła z rąk hitlerowców lub znalazła się w stalinowskich więzieniach w Polsce lub ZSRR, albo by tego uniknąć wybrała emigrację. Straty innych stronnictw były podobne lub większe. Oprócz Kościoła i rodziny zniszczono wszystkie niezależne od państwa formy organizacji życia społecznego. Zlikwidowano organizacje polityczne, ruch chłopski, robotniczy, związki zawodowe, ruch spółdzielczy, samorządowy, samodzielne organizacje młodzieżowe, harcerstwo. Władze hitlerowskie i stalinowskie prowadziły celową eksterminację inteligencji: mord profesorów lwowskich, wymordowanie polskich oficerów w Katyniu, wywołanie przedstawicieli inteligencji z ziem zajętych przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 roku. Oprócz tych, którzy zginęli w czasie wojny, oprócz młodzieży poległej w Powstaniu Warszawskim, oprócz ludzi którzy zginęli w ZSRR, pamiętać trzeba o ponad prawie 1 mln. osób, które zostały na emigracji. Byli to zazwyczaj ludzie o większej niż przeciętna aktywności, ci którzy przedarli się do polskiego wojska we Francji i Anglii, ci którzy organizowali rząd w Londynie, żołnierze armii Andersa, jeńcy z 1939 i z powstania 1944 roku, więźniowie obozów koncentracyjnych z terenu Niemiec, ludzie wywiezieni na roboty do Rzeszy. Nie wrócili oni do Polski w obawie przed represjami, które w kraju spotykały ich kolegów.

Uwięzienie żołnierzy AK, którzy wspólnie z armią radziecką wyzwolili w 1944 roku Wilno, a wkrótce aresztowanie i proces 16 przywódców Polski Podziemnej zaproszonych na rozmowy z dowództwem radzieckim rozpoczęły 12-letni okres prześladowań organizatorów i uczestników antyhitlerowskiego podziemia. Ponieważ w czasie drugiej wojny światowej wszystkie aktywne środowiska organizowały życie podziemne, cywilne (tajne nauczanie, prasa) i wojskowe, po wojnie represje i prześladowania paraliżowały najaktywniejszą część społeczeństwa.

W 1956 roku, po kilkunastu ciężkich latach społeczeństwo polskie było wycieńczone i wyjałowione.

Zmiany w ZSRR po śmierci Stalina, rewelacje Światły, referat Chruszczowa na zamkniętym posiedzeniu XX Zjazdu KPZR, wreszcie wydarzenia 28 czerwca 1956 roku w Poznaniu doprowadziły do kryzysu. O jego wymiarach świadczyć może oddolny rozpad Związku Młodzieży Polskiej i rozwiązanie się jego władz. Nieco upraszczając można powiedzieć, że najdalej idące żądania wyrażane publicznie (w środkach masowego przekazu) wysuwali ci, którzy poprzednio identyfikowali się z systemem, a pod wpływem wydarzeń przeżyli przełom ideowy.

Z takich ludzi składała się w większości redakcja *Po prostu*. Olbrzymia zaś większość społeczeństwa, przeciwko której skierowany był poprzednio stalinowski terror, miała mniejsze aspiracje. Ludzie wychodzili z więzień, cieszyli się, że mogą pracować w swoich zawodach, że nie muszą się na codzień bać.

Odrodził się Związek Harcerstwa Polskiego, powstały kluby, związki i organizacje (m.in. kluby inteligencji katolickiej, związek brydżystów).

Przełom był wielki, amnestia, procesy rehabilitacyjne, uwolnienie Prymasa Wyszyńskiego. Zrewidowano umowy gospodarcze z ZSRR, usunięto marszałka Rokossowskiego i doradców radzieckich, oficjalnie odwołano kolektywizację rolnictwa. Jednak wobec świeżej pamięci hitlerowskich okrucieństw, stalinowskiego terroru, interwencji na Węgrzech godzono się powszechnie z tym, że Polacy nie mogą sami stanowić o sobie.

Między Rosją a Niemcami Polska niepodległa i demokratyczna wydawała się niemożliwa.

III

Jeżeli nie będziemy ograniczać pola naszego widzenia do ostatniego 30-lecia to zauważymy, że postawa, zachowanie się społeczeństwa w ciągu tychże 30 lat nie jest czymś nowym, niezwykłym. Po klęskach powstań 1830 i 1863 roku aktywność społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim również zamierała na mniej więcej 30 lat tj. okres jednego pokolenia.

Niezwykle interesujące są przemiany w świadomości po powstaniu 1863 i 1864 roku i ewolucja postawy społeczeństwa w następnych latach. Interesujące dlatego, że choć sytuacja społeczna dziś i wtedy jest pod pewnymi względami zupełnie różna, to analogie i podobieństwa są w wielu wypadkach zaskakujące.

Po klęsce, okresie terroru, wywózkach na Sybir, wobec rozbioru między trzy zaborcy, po rozwianiu się nadziei pomocy Francji i Anglii wydawało się, że społeczeństwo rozstało się z myślą o niepodległości. Władze podjęły próbę przebudowy świadomości społeczeństwa, podręczniki szkolne fałszowały historię Polski, przedstawiały ją tak, by wynikało, że Polacy nigdy nie umieli się rządzić sami i że dopiero związek z Rosją zapewnił Polsce stabilizację polityczną i rozwój gospodarczy.

Pozytywiści odcinali się od romantycznej tradycji, negowali możliwość i potrzebę niepodległości. Wpływowi tygodnik *Kraj* stawiał za cel stopniową integrację gospodarczą i kulturalną ziem

polskich z Rosją. Przez prawie 30 lat polskie ośrodki myśli politycznej wychowywały społeczeństwo w przekonaniu, że zależność i związek z Rosją nie jest złem koniecznym, lecz źródłem wielkich korzyści (np. gospodarczych, dzięki łatwemu dostępowi polskich towarów na wielki rynek rosyjski).

Nawoływano społeczeństwo do spokojnego bogacenia się, do pracy i działań społecznych w ramach legalnych struktur. Legalna praca organiczna przynosiła krajowi pożytek. Napotykała jednak na wielkie trudności i jej efekty były dużo mniejsze od oczekiwania. Przyznawał to sam główny ideolog pozytywizmu Aleksander Świętochowski i w 1889 roku pisał „żyć musimy pod bezprawiem”.

Pierwsze próby działania poza ramami wyznaczonymi przez władze nie zyskiwały większego poparcia społeczeństwa i były likwidowane przez policję. I tak w 1878 roku aresztowania zakończyły kilkumiesięczną działalność organizacji patriotycznej kierowanej przez Adama Szymańskiego i Jana Popławskiego.

W latach 1884-1886 aresztowania zlikwidowały pierwszą partię socjalistyczną „Proletariat” — Ludwika Waryńskiego.

Doświadczenia pierwszych 20 lat nie okazały się jednak miarodajne. Dorastać zaczęły pokolenia ludzi, którzy nie pamiętali klęski powstania. To że nie ma terroru, że można normalnie żyć i przeczytać w gazecie kronikę Prusa dla ich rodziców było osiągnięciem, czymś cennym co można stracić. Dla nich samych była to rzecz normalna. Brakowało im za to wielu innych rzeczy.

Ponieważ w szkole prawie nie uczono historii i literatury polskiej, zaczęły powstawać kółka samokształcenia. Powstawały biblioteki książek zakazanych, książek z historii Polski i wydawanych za granicą wybitnych dzieł polskiej literatury.

W 1888 roku powstały tajne kursy naukowe, na których wykładali wybitni uczeni, nazwane później „Uniwersytetem latającym”.

Zadano kłam tezie, że jedyną alternatywą działania w ramach wyznaczonych przez władze, może być dążenie do nowego powstania oznaczającego tragedię narodową. Okazało się że między biernością a walką zbrojną jest szerokie pole do działania i jest tam dużo do zrobienia. Zamiast pytania: na co władza pozwoli? coraz częściej zaczęto zadawać pytanie: co jest potrzebne? Co trzeba zrobić? Na tyle na ile się dało wykorzystywano oczywiście instytucje legalne, gdy było trzeba tworzone instytucje własne. Zaczęto wydawać prasę.

Represje policji mogły jeszcze zadawać poważne ciosy tworzącemu się niezależnemu życiu. I tak aresztowania, zesłania w

1894 roku (m.in. członków redakcji legalnego *Głosu*) zahamowały na pewien czas pracę Ligi Narodowej w zaborze rosyjskim. Aresztowania w 1900 roku m.in. wpadka drukarni *Robotnika* z Józefem Piłsudskim — redaktorem naczelnym i drukarzem w jednej osobie, zachwiały poważnie Polską Partią Socjalistyczną.

Aresztowania, represje nie mogły już jednak zlikwidować tego niezależnego życia. Za wiele było ośrodków inicjatywy, za bardzo to niezależne życie było społeczeństwu potrzebne.

Poglądy na temat sensowności działań poza legalnymi strukturami były wtedy — jak dzisiaj — podzielone. Wielu ludzi uważało te działania za szkodliwe. Zwolennicy ugody myślący realistycznie i rozumiejący „polską rację stanu” uważali, że pewną liberalizację można osiągnąć tylko przez lojalność i działanie akceptowane przez władze. Przecież w legalnych ramach toczyło się bogate życie kulturalne. Działała co prawda słynna cenzura kierująca się szczegółowymi instrukcjami, zmieniająca nawet przemówienia cara, gdy podawano je do publicznej wiadomości. O wielu sprawach nie można było w ogóle pisać. Lecz mimo to ukazywały się wybitne dzieła literatury, książki Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Konopnickiej, a nawet niektóre dzieła Żeromskiego.

Zwolennicy ugody uważali, że jawny opór, próby wymuszania ustępstw nie mogą dać nic prócz represji.

Znakomity publicysta *Kraju* Erazm Piltz w wydanej w 1903 roku w Krakowie pracy „Nasze stronnictwo skrajne” oceniając działalność Ligi Narodowej i jej przybudówki Stronnictwa Narodowej Demokracji stawiał sprawę jasno: powstania zbrojnego nie wygramy, Europa nam nie pomoże, na zmiany w Rosji liczyć nie można, bo nikt tam naszej niepodległości się nie domaga, zatem w „warunkach takich robota SND nie tylko nie może przynieść społeczeństwu żadnych korzyści pod postacią częściowych chociaż zdobyczy, *ale wstrzymuje jego rozwój na jedynej przystępnej dla niego drodze*”.

Ligę Narodową, PPS i wielu ludzi nie związanych z tymi partiami łączyło przekonanie, że uznanie aktualnej sytuacji w zaborze rosyjskim za normalną, oznaczałoby rezygnację z podstawowych wartości narodowych i ogólnoludzkich. Wychowali oni ludzi w przekonaniu że normalną sytuacją może być tylko istnienie Polski niepodległej i demokratycznej.

Prasa socjalistyczna i narodowa ukazująca się nielegalnie w zaborze rosyjskim nie miała dużych nakładów. W latach 1895-1899 ukazało się w sumie 29 numerów organu PPS *Robotnik*

o przeciętnym nakładzie 1.000-2.000 egzemplarzy, inne pisma PPS wychodziły rzadziej i miały mniejsze nakłady np. 2 numery *Radomianina* miały razem 775 egzemplarzy.

Powielane pismemka narodowe np. *Kiliński* nie dorównywały *Robotnikowi*. Z kilkutyśięcznego nakładu *Polaka* legalnie wydawanego w Galicji do zaboru rosyjskiego docierała tylko część. Wydawany również w Galicji przez Romana Dmowskiego główny organ narodowej demokracji *Przegląd Wszechpolski* rozchodził się słabiej, w późniejszej ostoi endecji w zaborze pruskim miał w 1902 roku 200 prenumeratorów. W tym czasie aktywy PPS i Ligi Narodowej nie przekraczał zapewne kilkuset osób. Jednak, gdy w 1905 oprócz wojska i policji zawiodła infrastruktura władzy okazało się, że oddziaływanie PPS i SND na społeczeństwo jest olbrzymie.

Polityka wobec narodu polskiego w okresie po upadku powstania styczniowego miała okresy łagodniejsze i ostrzejsze.

Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie jak mimo niekonsekwencji władze powoli rezygnowały ze swoich planów przebudowy świadomości społeczeństwa widząc ich nierealność.

Wydarzenia 1905 roku w sposób niezwykle jaskrawy pokazały, że społeczeństwo uważa warunki w jakich żyje za głęboko nienormalne.

Władze i zwolennicy ugody miały społeczeństwu coraz mniej do zaproponowania. Działalność przekraczająca ramy wyznaczone przez władze odrodziła polskie życie społeczne i polityczne. Wychowała całe pokolenie Polaków, tych którzy budowali potem niepodległe państwo po prawie 120-letniej niewoli.

Sukcesy, a także niepowodzenia ludzi, którzy ją prowadzili, błędy, antagonizmy między nimi decydowały w dużej mierze o życiu w Polsce międzywojennej.

IV

W ciągu ostatniego 30-lecia niejedną raz okazywało się, że społeczeństwo nie uważa warunków, w których żyje za normalne. Nie powiodła się próba przebudowy świadomości społeczeństwa, symbolem tego może być fakt, że po 30 latach polityki ateizacji i walki z Kościołem, władze zwracają się do niego o pomoc w wychowaniu społeczeństwa.

Dzisiaj władze mają niewiele do zaproponowania społeczeństwu.

W 1956 roku wielu ludzi wierzyło, że „Polska droga do socjalizmu” przyniesie dalszą demokratyzację.

W 1971 roku wielu ludzi, a także władze wierzyły w cud gospodarczy.

Dzisiaj ani władze ani społeczeństwo w nic nie wierzą. Powtarzają tylko to co Erazm Piltz mówił w 1903 roku: że jesteśmy na jedynej przystępnej drodze rozwoju kraju.

Głos Nr 5.

Wacław PAŃSKI

NIEPODLEGŁOŚĆ, DEMOKRACJA, SOCJALIZM

(PPS W DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ)

Ten szkic z dorobku Polskiej Partii Socjalistycznej w latach Drugiej Rzeczypospolitej poprzedzić trzeba kilkoma zdaniami wstępnymi. Niezależna myśl polityczna nie może obejść się bez refleksji dotyczącej przeszłości. Nawet jeśli problemy przed którymi stoimy mają całkowicie współczesny charakter, historia tkwi w nas. W starszej generacji przez bezpośrednie doświadczenie, w młodszej — przez przekazy, rodzinne, środowiskowe, szkolne, literackie. Zresztą wiele naszych problemów zdradza bliskie pokrewieństwo z problemami minionych epok. Myślimy i działamy także — choć nie tylko — na zasadzie uświadomionych lub nieuświadomionych powtórzeń, czasami wręcz analogii.

W nawiązywaniu do przeszłości tkwić może wielka siła, poczucie ciągłości i kontynuacji naszej myśli, wzmocnienie naszej tożsamości, która nie pozwoli Polakom rozpląnąć się w podobnie jak oni indoktrynizowanej masie ludzkiej od Łaby po Amur, ostać się tylko w postaci folklorystycznego rezerwatu. Tkwi jednak także poważne niebezpieczeństwo. Jesteśmy dziś właściwie społeczeństwem zintegrowanym przez negację. Nie aprobujemy naszego „dzisiaj”, przeciwstawiamy mu się niekiedy czynnie, ale znacznie częściej biernie, co najmniej w myśli. Nasze czyny paraliżuje, obok strachu, poczucie niemocy.

Najważniejszym zadaniem ośrodków samoobrony społecznej jest nadanie tej integracji charakteru pozytywnego, uzyskanie możliwie powszechnego porozumienia co do tego, jakich wartości

bronimy, o jakie wartości walczymy. Nie podpowie nam rozwiązań historia, zaś w każdym razie nie podpowie nam ich w sposób prosty.

Druga Rzeczypospolita była okresem zmagania się kilku koncepcji politycznych, dzieliły one społeczeństwo, a nie łączyły je. Nawiązywać dziś bezpośrednio do myśli politycznej endeków, piłsudczyków, chadeków, ludowców, socjalistów czy komunistów to ożywiać anachroniczne spory, wprowadzać linie demarkacyjne już nieistotne.

W każdej z tych myśli politycznych znajdowały się elementy warte nadal refleksji, choć prowadzić ona może zarówno do twórczego przyswojenia, jak do odrzucenia przez znalezienie alternatywnego rozwiązania. Natomiast deklarować się Anno Domini 1978 w szeregach ND, sanacji, SL czy PPS nie ma po prostu sensu, świadczyłoby to tylko o braku samodzielnego myślenia, o epigonizmie. Każdy z nas zadaje sobie czasami pytanie, dokąd prowadziłaby jego droga w Drugiej Rzeczypospolitej. Ma do tego prawo, bo mierzy się ówczesnymi sprawami, ówczesnymi sporami. Jest to jednak tylko igraszka myślowa.

Formułuję te uwagi pełen obaw, aby dalszy tekst nie został odczytany jako swoista próba reaktywowania PPS, działającej zresztą nadal na emigracji. W dzisiejszej Polsce jest miejsce tylko na jeden podział zasadniczy, między tymi, którzy akceptują system i tymi, którzy go odrzucają, choćby w ciszy własnego sumienia. Jeśli ci, którzy odrzucają system, nie znajdą wspólnej podstawy myślenia i działania — triumfować będzie system. Nie jest to wezwanie do uniformizacji niezależnej myśli politycznej. Może ona rozwijać się w wielu wariantach, nawet powinna, lecz w atmosferze tolerancji i wspólnych poszukiwań, jako myśl otwarta.

Koncepcję polityczną PPS określały trzy bezsporne punkty: dążenie do utrwalenia niepodległości, dążenie do demokracji politycznej, dążenie do demokracji społecznej. Każdemu z tych punktów socjaliści dawali własną, nieraz nawet w szeregach PPS kontrowersyjną interpretację. Choć wszystkie trzy punkty uważano za ściśle ze sobą powiązane, szeregowano je w sposób, który socjaliści traktowali jako logiczny: prymat miała sprawa niepodległości, od której uzależnione były obie pozostałe; demokracja polityczna warunkowała z kolei możliwości urzeczywistnienia demokracji społecznej.

Utworzenie Drugiej Rzeczypospolitej było realizacją programu niepodległościowego, ogłoszonego przez socjalistów od 1892 roku. PPS miała jednak nadal poczucie zagrożenia bytu państwa niepodległego, podobnie jak inne polskie kierunki polityczne.

Toteż przez całe międzywojenne dwudziestolecie uwzględniała tzw. rację stanu, zarówno w kwestiach zagranicznych, jak wewnętrznych.

Szczególne komplikacje pojawiły się tu w pierwszych latach niepodległości, w okresie stabilizacji terytorium i władz państwa polskiego. PPS chciała Polski silnej. Jednocześnie przeciwstawiała się wszystkim dążeniom aneksyjnym jako podnoszącym tylko pozornie siłę państwa, w rzeczywistości osłabiającym je. Tego rodzaju zasady wydawać się mogły jasne, ale w konkretnych sytuacjach trudno było zdecydować, co podnosi siłę Polski, co jest osłabiającą tę siłę aneksją. Nie budziła wśród socjalistów wątpliwości potrzeba poparcia sprawy przyłączenia się do Rzeczypospolitej Polaków ze Śląska Cieszyńskiego czy ze Śląska Górnego. Bez wahania podjęli oni także walkę — współdziałając ze wszystkimi innymi kierunkami politycznymi — kiedy stanęli przed faktem dokonanym: próbą przejścia przez Ukraińców władzy we Lwowie.

Najtrudniejszym problemem, z którym borykała się wówczas PPS, była kwestia wschodnia. Stosunek do niej określało kilka czynników: zabezpieczenie Polski przed potęgą rosyjską, uznanie praw Ukraińców, Białorusinów i Litwinów do własnej państwowości, silnie zakorzenione w świadomości polskiej poczucie misji cywilizacyjnej wobec narodów na wschód od Polaków mieszkających. Wydaje się, że zupełnie spójnej odpowiedzi nie udało się PPS udzielić.

W partii panowała pełna nieomal jednomyślność w tygodniach sowieckiej ekspansji na zachód latem 1920 roku, kiedy Armia Czerwona podchodziła pod Warszawę. Tylko niewielkie grupy, które wkrótce znalazły się w szeregach komunistycznych, wyłamały się z frontu obrony narodowej. Natomiast podczas działań polskich na terenach białoruskich czy ukraińskich dochodziło w PPS do poważnych różnic zdań. Znaczna część PPS popierała program federacyjny, realizowany w praktyce przez siły zainteresowane w utrzymaniu polskiej hegemonii i polskiego stanu posiadania na wschodzie, przy minimalnym odzewie potencjalnych kontrahentów litewskich, białoruskich czy ukraińskich. Nie będzie dalekie od prawdy stwierdzenie, że podważało to wiarygodność socjalistycznych deklaracji o poszanowaniu praw wschodnich sąsiadów etnicznych.

Inna sprawa, że dylematów wschodnich nie potrafił w Polsce międzywojennej rozwiązać żaden z kierunków politycznych. Komuniści przesądzali przyłączenie terenów wschodnich do Sowieców, nawet jeżeli ze względów taktycznych nie stwierdzali tego w niektórych okresach wręcz. Wszystkie inne polskie partie w

różnym stopniu, ale zawsze silniej od PPS, podkreślały polskie dążenia hegemonistyczne. Było dużą zasługą socjalistów, że po ustabilizowaniu granic Drugiej Rzeczypospolitej, kiedy znalazły się w niej miliony Ukraińców, Żydów, Białorusinów i Niemców, przeciwstawiali się kampaniom nacjonalistycznym, dążyli do rzeczywistego zabezpieczenia mniejszościom narodowym wszelkich praw obywatelskich — w imię ogólnych zasad socjalistycznych i w imię interesów Polski.

Niepodległościowy program PPS kazał jej przyjmować przez całe dwudziestolecie międzywojenne samoograniczenie celów i form własnej działalności. Socjaliści usiłowali — nie oni jedni zresztą — znaleźć drogę między dwoma skrajnościami, które osłabiały w ich przekonaniu polską niepodległość. Pierwszą z nich była uniformizacja społeczeństwa, bezkrytyczne podporządkowanie się dyrektywom każdorazowej władzy. Drugą — walka polityczna prowadząca do całkowitego załamania spójności społeczeństwa, wytwarzająca nastrój wojny domowej. Znalezienie drogi pośredniej nie było łatwe, bowiem społeczeństwu polskiemu brakowało doświadczenia politycznego. Nie funkcjonowały mechanizmy życia politycznego, swoiste dla krajów o długiej tradycji parlamentarnej, umożliwiające zmiany ewolucyjne i zgodne z wolą większości obywateli.

PPS, jako partia robotnicza, musiała reprezentować interesy swego środowiska społecznego, a jednocześnie dbać o ich uzgodnienie z interesami narodowymi i państwowymi. Była to obowiązująca reguła, która doraźnie występowała w sposób mało widoczny. Decydowała ona w 1919 roku o ustąpieniu rządu ludowego Moraczewskiego, nie zaakceptowanego przez większość społeczeństwa, w 1920 roku o wstąpieniu do rządu obrony narodowej Witosy, w 1923 o zahamowaniu wielkiego ruchu strajkowego po krwawych wydarzeniach krakowskich, w 1924 roku o tolerowaniu stabilizującego gospodarkę rządu Grabskiego, w 1925 o udziale w rządzie koalicyjnym Skrzyńskiego. We wszystkich tych przypadkach decyzja była dla socjalistów trudna, bowiem wymagała znacznego kompromisu, rezygnacji z wielu własnych dążeń.

Ta sama reguła decydowała o samoograniczaniu form walki PPS z sanacją za czasów Centrolewu. Przywódcy socjalistyczni nie kryli podczas procesu brzeskiego, że wojny domowej nie chcą i uważaliby ją za śmiertelne niebezpieczeństwo dla polskiej niepodległości. Ta sama reguła określała pozycję PPS w drugiej połowie lat trzydziestych, kiedy sprzeciwom wobec tendencji totalistycznych towarzyszyła troska o utrzymanie ładu wewnętrznego wobec nadciągających międzynarodowych niebezpieczeństw.

Czy udało się PPS połączyć bez kolizji program niepodległościowy z rolą polityczną reprezentacji robotników? Nie ma na to precyzyjnej odpowiedzi. Wiele decyzji budzić może kontrowersje i nigdy spory takie nie będą rozstrzygnięte — ba historia nie daje możliwości powtórzenia eksperymentu przy innym układzie współrzędnych. Na pewno jednak trudno kwestionować ową regułę, która nadawała kierunek poszczególnym działaniom czy też stawiać pod znakiem zapytania uczciwość socjalistów w realizowaniu tej reguły. Czynili tak komuniści, wielokrotnie oskarżając PPS o zdradę interesów robotniczych, ale też w istocie rzeczy odrzucali oni jakąkolwiek służbę ogólnym interesom narodu i dbałość o interesy istniejącego wówczas państwa polskiego.

PPS była przekonaną zwolenniczką demokracji politycznej jako systemu mechanizmów zabezpieczających równowagę kraju, gwarantujących łączność między władzą państwową a najszerszymi rzeszami społeczeństwa. Socjaliści uważali, że demokracja polityczna z jednej strony wzmacnia polską niepodległość, z drugiej umożliwia praworządną i pokojową przemianę społeczną w miarę dojrzewania jej przesłanek. PPS musiała więc odrzucić formułę rad delegatów robotniczych jako instytucji władzy — choć dopuszczała możliwość ich istnienia jako reprezentacji robotników. Socjaliści kwestionowali postulat dyktatury proletariatu, skoro bowiem robotnicy nie stanowili większości społeczeństwa nic nie uprawniało ich do szczególnych przywilejów panowania nad większością. PPS zdawała sobie zresztą sprawę ze złudności hasła dyktatury proletariatu osłaniającej dyktaturę oligarchii komunistycznej.

Nie oznaczało to bezkrytycznej apologii parlamentaryzmu. Najwybitniejszy ideolog międzywojennej PPS — Mieczysław Niedziałkowski nie krył swej opinii o poważnych wadach systemu parlamentarnego. Niektóre z nich uważał, nie bez racji, za występujące także w innych systemach politycznych. W każdym razie parlamentaryzm pozwalał ludziom niekompetentnym uczestniczyć w ośrodkach dyspozycji politycznej, stwarzał możliwość przyspieszonej rotacji rządów. Za sprzeczne z samą istotą demokracji parlamentarnej uważał Niedziałkowski jednak wytwarzanie się w jej systemie swoistej oligarchii. Mimo tak poważnych zastrzeżeń, dochodził w końcu do wniosku, że demokracja parlamentarna jest najbardziej elastyczną formą ustrojową, zaś, na domiar, w maksymalnym możliwym zakresie realizuje pragnienie wolności osobistej jednostki.

Socjaliści zastanawiali się nad sposobami doskonalenia demokracji parlamentarnej. Ich poszukiwania szły w kilku kierunkach.

Z jednej strony chodziło o ograniczenie zakresu stosowania centralnych decyzji politycznych. Temu służyć miała autonomia obszarów, zamieszkałych przez kilka narodowości, samorząd terytorialny, samorząd gospodarczy. Z drugiej strony, PPS pragnęła wmontować w centralne mechanizmy dodatkową instytucję — Naczelną Izbę Gospodarczą, z szerokim zakresem kompetencji, dotyczących ekonomiki i życia społecznego, zaś na wypadek kontrowersji bardziej zasadniczych i konieczności podejmowania decyzji — przeprowadzanie głosowania ludowego, referendum.

Najbardziej samodzielnym punktem myśli politycznej PPS był program demokracji społecznej. Socjaliści uważali, że cała Europa wkroczyła, od Pierwszej Wojny Światowej, w fazę rewolucji społecznej. Wyobrażali ją sobie jednak jako bardzo długi okres historyczny, prowadzący od kapitalizmu do socjalizmu. W okresie tym następować będzie uspołecznienie gospodarki, zgodnie z regułą: „Żaden nowy ustrój nie zdoła się utrzymać, o ile obniży poziom życia ludzkiego zarówno pod względem gospodarczym jak i kulturalnym”.

Uspołecznieniu miały więc podlegać tylko te dziedziny gospodarki, które do niego dojrzały. Było to zgodne ze stanowiskiem, zajmowanym przez najwybitniejszych ideologów socjalistycznych w międzywojennej Europie, którzy przeciwstawiali się „socjalizacji nędzy”. Warunkiem uspołecznienia był nie tylko odpowiedni poziom gospodarczy. Społeczeństwo musiało także osiągnąć określony poziom dojrzałości, aby mogło faktycznie zarządzać uspołecznionymi przedsiębiorstwami. Stąd ogromny nacisk, jaki kładła PPS na działalność masowych organizacji robotniczych: związków zawodowych, spółdzielni, Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

Tego rodzaju organizacje miały oczywiście do spełnienia także różne doraźne zadania. Dotyczyły to zwłaszcza związków zawodowych, które broniły codziennych interesów robotników lub pracowników umysłowych, dążyły do polepszenia ich warunków pracy i płacy. Spore możliwości bieżącego działania miały także spółdzielnie, głównie spożywcze, choć także mieszkaniowe (wśród nich Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa) i zajmujące się produkcją. PPS nie spodziewała się zresztą nadmiernych sukcesów spółdzielni w konkurencji z przedsiębiorstwami kapitalistycznymi. Najistotniejszą rolę miało być wychowanie robotników do samorządności, do rozumowania kategoriami społecznymi, do podniesienia wiedzy ogólnej i ekonomicznej. Duże znaczenie miały organizacje kulturalno-oświatowe, szczególnie Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, które miało służyć kształceniu i samo-

kształceniu robotników. W węższym zakresie przygotowaniu do przyszłych zadań w uspołecznionej gospodarce służyła także aktywność PPS w samorządach miejskich, gdzie zdobywała doświadczenie liczna grupa działaczy socjalistycznych.

PPS odrzucała bowiem bolszewicką wizję upaństwowienia gospodarki i wtłoczenia jej w ramy scentralizowanego, biurokratycznego systemu. Nie wyrzekano się wprawdzie przejścia największych przedsiębiorstw przez państwo, ale mniejsze znaleźć się miały w ręku samorządu terytorialnego lub spółdzielni. Zresztą zakłady upaństwowione nie podlegałyby także administracyjnemu zarządzaniu. W ślad za teoretykiem austriackiej socjaldemokracji Otto Bauerem i innymi myślicielami socjalistycznymi, zastanawiano się nad tym jak zabezpieczyć gospodarce równowagę różnych interesów społecznych. Dominowało przekonanie, że zachować należy gospodarkę rynkową, zaś w instytucjach zarządzających gospodarką — zarówno większymi przedsiębiorstwami jak całymi gałęziami — skupić obok siebie na równych prawach przedstawicieli robotników, konsumentów i państwa. Nie oznaczało to rezygnacji z planowania w skali państwowej, ale plany stanowić miały tylko ogólne dyrektywy, zaś oddziaływanie państwa następowałoby przy użyciu instrumentów ekonomicznych.

Dorobek PPS w dziedzinie przygotowania mas robotniczych do samorządności i przyszłych przemian społecznych był ogromny. Niestety znaczna jego część została zmarnotrawiona. Wielu doświadczonych działaczy socjalistycznych, społecznych i gospodarczych zginęło podczas Drugiej Wojny Światowej. Ważniejsze jednak, że po upaństwowieniu przemysłu i wprowadzeniu w PRL gospodarki planowej zdławiono różne próby samorządności zakładów państwowych, stopniowo doprowadzono do zupełnego zbiurokratyzowania spółdzielczości. Socjalistów odsunięto także, po krótkim czasie, od wpływu na planowanie centralne, zaś obowiązującym stał się biurokratyczny i centralistyczny model planowania radzieckiego.

Program niepodległościowy w jego międzywojennej interpretacji oraz wychowanie mas robotniczych do demokracji politycznej i demokracji społecznej uznać można za najważniejsze osiągnięcie PPS w Drugiej Rzeczypospolitej. Nie brakowało jednak doświadczeń negatywnych. Jedno z nich ciążyło nad ruchem socjalistycznym najsilniej w latach dwudziestych — było to urzeczenie się wielkim człowiekiem, poddawanie się jego mitowi i współtworzenie tego mitu. Rola Józefa Piłsudskiego była w dziejach nowoczesnej Polski tak ogromna, że trudno ją ująć w jednoznacznych, zwłaszcza pozytywnych lub negatywnych, ocenach. Jeżeli jednak mowa tu o negatywnym doświadczeniu PPS to

dlatego, że urzeczenie jego osobowością przesuwano przez długi czas ciężar zainteresowań socjalistów z ich zasadniczego, wyznaczanego przez myśl polityczną obszaru działań masowych, doraźnych i długofalowych, ku wypaczającym świadomość społeczną nadziejom na jednorazowe rozstrzygnięcia personalne. Gra polityczna, oparta na popularności Piłsudskiego, zdominowała przez wiele lat cierpliwą akcję wychowania demokracji.

Ogromna użyteczność bieżąca odwoływania się przez ruch polityczny do symbolu — wodza sprawdzała się w dziejach Polski i innych krajów wielokrotnie. Równie często jednak ukazywały się wielkie niebezpieczeństwa takiego postępowania, swoiste obezwładnianie postaw demokratycznych przez wstawianie indywidualnego pełnomocnictwa *in blanco*. Dopiero w latach po zamachu majowym 1926 roku sama PPS miała się stopniowo przekonać, jak ujemne skutki przyniosła jej bezkrytyczna fascynacja Piłsudskim prowadząca w poddanych oddziaływaniu socjalistów szerokich kręgach społecznych do gwałtownej kolizji między podstawowymi zasadami a wytworzonym mitem wodza.

Inne negatywne doświadczenie miało różne uwarunkowania. Było nim uleganie części socjalistów naciskowi myśli politycznej i działań komunistycznych. U podstaw tej skłonności znajdowała się pozycja PPS w życiu społeczno-politycznym jako partii robotniczej i dążącej do przeobrażeń socjalistycznych. Komuniści zdawali się więc niemal sojusznikami, zaś różnice między nimi a socjalistami przypisywać można było wybraniu różnych dróg, a nie różnych celów. Dwukrotnie PPS znalazła się pod silnym naciskiem komunistycznym, oba razy w okresach porażek, które zachwiały zaufaniem do jej demokratycznej myśli politycznej.

Pierwszy raz nastąpiło to wkrótce po odzyskaniu niepodległości. W euforii końca 1918 roku, środowiska socjalistyczne przekonane były, że w bardzo szybkim tempie realizowana będzie demokracja polityczna i społeczna. O ile nadzieje te w dużej mierze potwierdzone zostały co do demokracji politycznej, zawiodły co do demokracji społecznej. Tłumaczy to rozczarowanie do PPS części jej dotychczasowych zwolenników, którzy rychło znaleźli się w szeregach komunistycznych.

Drugie poważniejsze zachwianie się części PPS to lata trzydzieste. Przyczyny wewnątrzpartyjnego przesilenia są powszechnie znane: załamanie gospodarki kapitalistycznej po 1929 roku, klęska polskiego parlamentaryzmu, uświadomiona ostatecznie po wydarzeniach brzeskich 1930 roku, dojście do władzy Hitlera w Niemczech, wzrost tendencji totalistycznych w Polsce. Do zamętu w szeregach PPS przyczyniała się także taktyka polskiego i mię-

dzynarodowego komunizmu: podkreślanie haseł niepodległościowych, przyznawanie się do obrony demokracji.

W drugiej połowie lat trzydziestych liczna grupa socjalistów zamazywała granicę między sobą a komunistami, gotowa była do wyrzeczenia się przez PPS roli obrończyni demokracji politycznej. Prawda, że rezygnacja z demokracji politycznej miała być tylko czasowa — nie odbiegało to jednak daleko od haseł głoszonych przez propagandę komunistyczną. Niezbyt jasno ukazywała się granica między lewicą PPS a komunistami w obu pozostałych kluczowych punktach socjalistycznej myśli politycznej: sprawie niepodległości i sprawie demokracji społecznej. Niepodległościowa mimikra KPP, nie dostrzegana zresztą także przez wielu młodych ludzi, wstępujących wówczas do ruchu komunistycznego, dyskretnie przesłaniała zamierzenia podporządkowania Polski sowieckim interesom. Gotowość lewicy PPS do jednorazowych, radykalnych reform społecznych — wynik doświadczeń kryzysu gospodarczego — zbliżała ją do komunistów. Choć socjaliści pozostawali nadal zwolennikami samorządnej i możliwie zabezpieczonej przed biurokratyzmem gospodarki uspołecznionej, wielu z nich poddawało się wpływowi krzykliwej propagandy sowieckiej o wspaniałych osiągnięciach społecznych i gospodarczych ZSRR. Złudzenia lewicy socjalistycznej prowadziły do jej przyszłej klęski w pierwszych latach PRL.

Bilans dorobku międzywojennej PPS prowadzi raz jeszcze do tezy wyjściowej: nie ma dziś prostego powrotu do koncepcji z lat Drugiej Rzeczypospolitej i sporów o nie. Polska Partia Socjalistyczna ze wszystkimi swymi osiągnięciami i błędami, współkształtowała jednak społeczeństwo w Polsce, szczególnie zaś świadomość i postawy polskich robotników. Zastanawiając się stale nad aktualnymi problemami niepodległości oraz demokracji politycznej i społecznej mamy obowiązek rozpatrzenia i przemyślenia dorobku PPS.

Głos Nr 10.

WŁASNĄ DROGĄ

(ROZMOWA Z PROF. EDWARDEM LIPiŃSKIM)

Urodził się w roku 1888; teoretyk ekonomii i historyk myśli ekonomicznej; profesor przedwojennej Wyższej Szkoły Handlowej i Szkoły Głównej Handlowej, powojennej Szkoły Głównej

Planowania i Statystyki i Uniwersytetu Warszawskiego; organizator tajnego nauczania w czasie okupacji; twórca i wieloletni kierownik przedwojennego Instytutu Badania Koniunktur i Cen i powojennego Instytutu Gospodarstwa Narodowego; wiceprzewodniczący Rady Ekonomicznej i redaktor naczelny czasopisma *Ekonomista*; członek Polskiej Akademii Nauk i wielu innych krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych; jeden z nestorów polskiego ruchu socjalistycznego. We wrześniu 1976 był jednym z założycieli Komitetu Obrony Robotników. Członek Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”.

Prof. Edward Lipiński: — „Nie znam bardziej interesującego zjawiska niż samo życie. Człowiek, który przeżywa życie w sposób indyferentny marnotrawi ten jedyny, unikalny dar, jakiego mu użyczono. Jak mi się wydaje, życie polega na dążeniu do przekroczenia samego siebie. Wyraziłem to kiedyś w ten sposób: żyć trzeba przynajmniej tak, jak kaczka domowa, która jednak usiłuje fruwać. Te wysiłki fruwania nadają barwę życiu, nasycają je jakąś treścią. A jeśli usiłuje się fruwać, to usiłuje się pofrunąć do czegoś. Stąd sprawa perspektyw, sprawa wizji nie tylko świata bieżącego, ale i wizji przyszłości stanowią konieczne elementy poglądu na świat”.

ROZMOWA Z PROFESOREM EDWARDEM LIPIŃSKIM

Panie Profesorze, obchodzimy Pański Jubileusz, dziewięćdziesiąte urodziny. Był Pan świadkiem wielkich wydarzeń w historii naszego narodu. Jest Pan konsekwentnie przez całe długie życie obrońcą praw narodowych i ludzkich. W jaki sposób zetknął się Pan po raz pierwszy z działalnością polityczną?

W niepodległościowej organizacji politycznej znalazłem się gdy miałem 14 lat, był to rok 1902. W Tomaszowie, gdzie się urodziłem, działał wtedy Narodowy Związek Robotników, będący pod wpływami — również zresztą tajnego — Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Postulaty tej organizacji były wówczas jeszcze bardzo radykalne społecznie i politycznie i choć zetknęłem się z tymi ludźmi przypadkowo, szybko zostałem członkiem ZNR. Potem przyszła rewolucja 1905 roku. Olbrzymie wrażenie zrobiła na mnie literatura socjalistyczna. Pamiętam szczególnie taką bro-

szurę „Nauka i robotnicy”. To dzięki prasie i wydawnictwom stałem się w 1906 roku socjalistą. Wkrótce potem poznałem Ludwika Krzywickiego i innych intelektualistów pepeesowskich...

Lata poprzedzające wybuch pierwszej wojny światowej szczególnie obfitowały w starcia i dyskusje w polskim ruchu niepodległościowym wokół pytań o drogi odzyskania niepodległości. Jakie było Pana stanowisko w tej sprawie?

Rzeczywiście, w PPS - Lewicy, w której się znalazłem prowadzono wówczas nieustannie dyskusje o możliwościach wyzwolenia Polski i o metodach działania. Ukształtowały się dwa nurty: bolszewicki, który zresztą ostatecznie w tej partii zwyciężył i doprowadził do połączenia z SKDPIŁ i nurt niepodległościowy. Wraz z najbliższymi przyjaciółmi reprezentowałem stanowisko niepodległościowe. Utworzyliśmy grupę „Plenum”, dyskutowaliśmy o niepodległości i drogach jej odzyskania. Między innymi krytykowaliśmy tezy Róży Luksemburg o tzw. organicznym wcieleniu Królestwa Polskiego do Rosji. Na nasze zebrania przychodzili też przedstawiciele kierownictwa PPS - Lewicy: Wera Kostrzewa, Waław Wróblewski i inni. Dyskusje więc były bardzo ostre... Pamiętam scysję na zebraniu „Plenum”, kiedy jeden z członków grupy probolszewickiej, Edward Grabowski (statystyk-ekonomista) mówił, że nie można włączyć Śląska do przyszłej Polski, ponieważ groziłoby to obniżeniem poziomu kulturalnego Ślązaków. Identyczne stanowisko zajmowała później KPRP i KPP. My, w „Plenum” uważaliśmy, że Polska w bliskiej przyszłości musi odzyskać niepodległość. Zajmowaliśmy więc stanowisko antybolszewickie. Uważaliśmy, że Polska powinna być państwem demokratycznym z rozbudowanym systemem opieki społecznej i zagwarantowaniem praw robotniczych. Spodziewaliśmy się niepodległości. Zaskoczył mnie zaś, a nawet przeraził, wybuch wojny światowej.

A przecież ta wojna stała się najszybszą i najskuteczniejszą drogą do niepodległości. Takie stanowisko reprezentował Piłsudski. Jaki był wasz stosunek do jego koncepcji?

Ani ja ani moi przyjaciele nigdy nie byliśmy piłsudczykami. Związek z PPS - Lewicą stawiał nas poza grupą piłsudczykowską, poza PPS - Frakcją. Uważaliśmy, że jesteśmy bardziej „na lewo” od nich, jakkolwiek dzisiaj nie wiem, czy to było rzeczywiście

„na lewo”... W tej sytuacji bezpośrednia współpraca z Piłsudskim nie była możliwa. Natomiast docenialiśmy rolę Piłsudskiego, jako człowieka, który organizował siły zbrojne, kiedy jeszcze nikomu do głowy nie przychodziło, że może nadejść sytuacja historyczna, która rolę wojska polskiego wysunie na pierwszy plan. Również po 11 listopada, po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga nie doszło do bliższej współpracy. PPS - Lewica rozpadła się: większość połączyła się z SDKPiL, powstała partia komunistyczna. Nasza grupa — „Plenum” też przestała istnieć, lecz do partii komunistycznej nie weszliśmy. Było nas ok. 30 osób: Stefania Sempołowska, Tadeusz Rechniewski, Ludwik Krzywicki i inni; w niepodległej Polsce nie widzieliśmy dla siebie miejsca ani w PPS, ani, oczywiście, wśród komunistów.

Czy znaczy to, że w ogóle zrezygnował Pan z działalności politycznej?

Nie bardzo widziałem dla siebie miejsce w polityce. Nigdy zresztą nie uważałem się za polityka, raczej za małego pionka w ruchu socjalistycznym. Jednym z niewielu moich wystąpień politycznych było przemówienie na wiecu zorganizowanym przez grupy lewicowe w Towarzystwie Higienicznym po zabójstwie prezydenta Narutowicza. Zacząłem od przytoczenia słów Strońskiego: „Ciszej nad tą trumną...”; sala zamarła. Muszę powiedzieć, że odniosłem wtedy sukces. W zasadzie jednak nie czułem się powołany i uzdolniony do pracy politycznej. Byłem później członkiem pierwszego składu Ligi Ochrony Praw Człowieka i Obywatela. Przewodniczącym był Andrzej Strug a wśród członków znaleźli się też działacze polityczni jak np. Stanisław Thugutt — przywódca PSL - Wyzwolenie. Główną troską Ligi była obrona komunistów. Pamiętam, że przychodził do mnie Wacław Wróblewski jako przedstawiciel KPP. Przedstawiał mi różne sprawy, a ja referowałem je na posiedzeniach Rady Ligi. Dzięki współpracy wielu wybitnych adwokatów interwencje nasze były bardzo często skuteczne. Liga działała do 1939 roku, ja jednak szybko z niej wystąpiłem... Nie było to związane z negocjowaniem racji działania Ligi. Postanowiłem zerwać z wszelką polityką.

Poświęcił się Pan pracy naukowej. Zapewne uczestniczył Pan w przygotowywaniu programu gospodarczego dla odradzającego się państwa polskiego?

Nie. Brałem natomiast udział w różnych dyskusjach. W 1918 roku powstało Towarzystwo Ekonomistów i Statystyków Polskich. Dyskutowano tam również aktualne problemy gospodarcze. Zaproponowano mi stanowisko doradcy naukowego w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Zakończyło się to fiaskiem. Nikt nie potrzebował moich rad i podałem się do dymisji. W 1920 roku przeszedłem do Głównego Urzędu Statystycznego, gdzie organizowałem statystykę przemysłu i pracy. Wkrótce też rozpocząłem wykładać teorię koniunktur w Szkole Głównej Handlu. Z tego względu, gdy w 1927 roku z inicjatywy ministra Szatkowskiego zaczęto organizować Instytut Badania Koniunktur i Cen, mnie właśnie powierzono kierownictwo tego instytutu. Wyjechałem do Harvardu w Stanach Zjednoczonych, gdzie narodził się pomysł badania koniunktur gospodarczych i gdzie powstawały nowe metody w tej dziedzinie. A już od początku 1928 roku Instytut rozpoczął działanie. Był to jeszcze okres ożywienia gospodarczego. W 1928 roku na berlińskim zjeździe kierowników ośrodków badania koniunktur uchwalono jednomyślnie, że kryzys nam nie grozi.

Jaka była rola Instytutu w życiu gospodarczym kraju?

Myślę, że znaczna. Oprócz całościowych badań sytuacji gospodarczej, badano ruch cen a także stan poszczególnych gałęzi przemysłu. Zajmował się tym Wincenty Jastrzębski — znany wówczas analityk gospodarki. Mieliśmy prawo wejść do każdej fabryki i zażądać udostępnienia całej dokumentacji. Nie znaczyło to, że sprawowaliśmy jakieś funkcje kontrolne. Zadanie nasze polegało raczej na uświadamianiu na czym polegają błędy i skąd biorą się niepowodzenia poszczególnych gałęzi przemysłu. Wpływ Instytutu na decyzje rządu wzrósł podczas wielkiego kryzysu gospodarczego. Eugeniusz Kwiatkowski, kiedy został po raz drugi ministrem zwrócił się do nas o opinię co do dróg wyjścia z kryzysu. Zaproponowaliśmy, by potraktować przemysł budowlany jako najważniejszy. Uważaliśmy, że rozwijanie tego przemysłu pobudzi inne gałęzie i umożliwi przezwycięzenie zjawisk kryzysowych. Można powiedzieć, że spełnialiśmy rolę ekspertów. Oczywiście Instytut był w pełni niezależny od jakichkolwiek nacisków z zewnątrz i wszelkie próby ingerencji w nasze prace czy wydawane opinie były nieskuteczne. Sprawozdania z prac Instytutu były regularnie drukowane i podawane do wiadomości opinii publicznej.

Wiadomo, że pracę naukową i pedagogiczną kontynuował Pan również podczas okupacji. Był Pan współtwórcą tajnego nauczania. Kiedy powstał pomysł utworzenia tajnej wyższej szkoły ekonomicznej?

Jeszcze w 1939 roku. Wojna zaskoczyła mnie w Warszawie. Zdecydowałem, że nie ruszę się z domu. Najgorsze co mogło się stać to śmierć, a wolałem, by zastała mnie w domu niż gdziekolwiek indziej. Razem z prof. Lothem podjęliśmy próbę uzyskania zgody władz niemieckich na otwarcie szkoły. Nic z tego nie wyszło. Próbowaliśmy więc zorganizować kursy handlowe dla sprzedawców. Tego również władze okupacyjne zakazały. Natomiast zezwolono na utworzenie szkoły podstawowej z jednym kursem dla starszej młodzieży. Przez pierwszy rok prowadziliśmy tę szkołę z dwiema klasami podstawowymi i jedną dla ludzi z maturą. Ponieważ szkoła była zbyt obciążona, zwróciliśmy się do prezydenta miasta o pomoc w uzyskaniu zatwierdzenia wcześniej projektowanych Kursów Handlowych. W rezultacie tych zabiegów powierzono mi, jako człowiekowi od początku zajmującemu się tymi sprawami, dyrekcję Miejskiej Szkoły Handlowej. Od początku chcieliśmy by spełniała ona rolę SGH i tak się stało. W późniejszym okresie pracowało tam około 60 profesorów. Według rozporządzeń władz okupacyjnych mogliśmy przyjmując 80 uczniów. W roku akademickim 1943-44 mieliśmy 820 studentów.

Ale organizacja tajnego nauczania nie wyczerpuje Pańskiej działalności podczas okupacji. Współpracował Pan też z AK?

Tak. Z Biurem Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Byłem członkiem grupy, która zajmowała się opracowywaniem zasad funkcjonowania gospodarki w Polsce po wojnie. Nie ulegało dla nas wątpliwości, że gospodarka musi być planowa, jak również, że część przemysłu ciężkiego powinna zostać upaństwowiona. Jeśli chodzi o reformę rolną, to byłem zwolennikiem reformy bez odszkodowania. Równocześnie uważałem, że część ziemi należy pozostawić poprzednim właścicielom. Miało to na celu utrzymanie wysokiego poziomu kultury rolnej. Sądziłem, że całkowita likwidacja gospodarki ziemiańskiej doprowadzi do drastycznego obniżenia produkcji rolnej. Prace nasze przerwało Powstanie. 1 sierpnia zostałem wywieziony do obozu przejściowego, a potem przez Pruszków do Skierniewic, gdzie od

władz oświatowych Rządu RP otrzymałem zlecenie wyjazdu do Częstochowy i zorganizowania tam pierwszego roku SGH. Rok akademicki jesienią 1944 roku rozpoczęło około 1000 słuchaczy. W 1945 roku SGH została przeniesiona do Warszawy.

I wtedy zetknął się Pan z nową rzeczywistością, z komunizmem praktycznym?

Tak. 1 kwietnia 1945 roku przyjechałem do Warszawy wezwany przez Prezydium Rady Ministrów Rządu Tymczasowego utworzonego z Komitetu Lubelskiego. Zrobiono mnie dyrektorem departamentu finansów w Ministerstwie Przemysłu, kierowanym przez Hilarego Minca. Jednocześnie założyłem Instytut Gospodarki Narodowej przy Radzie Ministrów. Miał on spełniać podobną rolę jak przedwojenny Instytut Badania Koniunktur. Wkrótce okazało się, że niemożliwa jest rzeczywista praca, ani żadna prawdziwa działalność naukowa. Szybko więc wycofałem się z tego wszystkiego. A Instytut w 1949 roku został wcielony do GUS-u.

Panie Profesorze, po wojnie wstąpił Pan do PPS, partii, której działalność była koncesjonowana przez ówczesne władze kraju, gdy jednocześnie uniemożliwiono legalizację WRN skupiającej zdecydowaną większość socjalistów. Co spowodowało Pana decyzję?

Sytuacja była bardzo trudna. Zagrożone były nasze interesy narodowe, zagrożona była polskość kraju. Uważałem, że trzeba o to walczyć, że walkę tę powinna podjąć legalna PPS. Rzeczywistość okazała się inna. Pamiętam, że wysyłano mnie na prowincję. Przemawiałem w imieniu partii. Spotykałem się z niesłychaną nieufnością słuchaczy. Ktoś powiedział po takim wystąpieniu: „Panie co Pan robi, do trzech osób możesz mówić takie rzeczy, ale nie publicznie”. Nie potrafiłem przystosować się do nowych warunków. Poproszono więc grzecznie — takie były jeszcze stosunki, że o to proszono — abym podał się do dymisji.

To był rok 1948?

Tak. Do 1950 roku byłem jeszcze prorektorem SGPiS, potem profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Wkrótce zostałem jako profesor w ogóle zlikwidowany. Dopiero od jesieni

1956 roku zacząłem znowu wykładać. Byłem równocześnie dziekanem Wydziału Ekonomii Politycznej UW.

Czy w Październiku 1956 roku miał Pan nadzieję na istotne zmiany w kraju?

Na pewno. Istotne zmiany były wtedy faktem. Mogłem pisać. Wynikiem była książeczka pt. „Rewizje”. Rozczarowanie przyszło później, gdy Gomułka w związku z rozwiązaniem *Po Prostu* jesienią 1957 roku urządził pogrom młodzieży. Wtedy powiedziałem: To jest koniec. Koniec epoki wolności.

W tym czasie był Pan też wiceprzewodniczącym Rady Ekonomicznej, z której działaniem wiązano duże nadzieje, jak Pan ocenia te prace? W jakim stopniu Rada była ciałem niezależnym?

Rada była niezależnym zespołem twórczym. Opracowywała zasady systemu gospodarczego, które potem, w dużym stopniu, naśladowali Czesi i Węgrzy. Początkowo mieliśmy nadzieje, że dojdzie do rozsądnej reformy systemu gospodarczego. Trwało to niedługo, bo już w 1957 roku było jasne, że do niczego nie dojdzie. Wprowadzono jakąś reformę, później się z niej wycofano, ponieważ sytuacja była kryzysowa i właśnie w tej reformie upatrywano źródło niepowodzeń ekonomicznych co oczywiście nie było prawdą.

Czy mógłby Pan scharakteryzować zasady postulowanego wtedy programu?

Samodzielność przedsiębiorstw, ograniczenie planowania do ogólnych linii rozwoju gospodarczego. Byłem wtedy jedynym chyba w Polsce autorem zajmującym się teoretycznie zagadnieniami przedsiębiorstwa jako całości. Zacząłem wtedy traktować przedsiębiorstwo jako źródło kreatywności w gospodarce. Uważałem, że spontaniczna działalność kreatywna jest podstawą rozwoju i postępu. W tym okresie dużą rolę w zarządzaniu przedsiębiorstwami przyznawano samorządom robotniczym. Miałem inne zdanie. Byłem zwolennikiem Rad Robotniczych, ale nie jako instytucji zarządzających przedsiębiorstwami. Uważałem, że przedsiębiorstwo nie może być zarządzane w sposób demokratyczny. Proces zarządzania wymaga specjalizacji, umiejętności, wiedzy, doświadczenia i talentu. Uważałem, że zarządzanie to czwarta siła wytwórcza, obok urządzeń wytwórczych, pracy i nauki.

Czy teraz, w 1978 roku, gdy zaistniała możliwość przeprowadzenia reform gospodarczych byłby Pan zwolennikiem projektów z Października 1956?

Nie. Nauczyliśmy się wtedy wiele. Ale dziś sytuacja jest całkowicie nowa.

Rozmawiali: Krzysztof Hagemajer i Piotr Naimski.

G ł o s Nr 10.

Ludwik COHN

W R N

Przed kapitulacją Warszawy w końcu września 1939 roku, kierownictwo Polskiej Partii Socjalistycznej ogłosiło zawieszenie jej działalności na okres wojny. Miało to na celu zmylenie czujności okupantów i ochronienie członków organizacji przed represjami. Jednocześnie przystąpiono do tworzenia konspiracyjnych form działania w myśl dotychczasowych ideałów PPS z głównym celem odzyskania ponownie utraconej przez Polskę niepodległości.

Nowa organizacja miała być liczebnie niewielka, ale składająca się z ludzi nadających się do specjalnego typu pracy, jakiego wymagają warunki konspiracji. Oparta była na zespołach najwyższej pięcioosobowych, przy czym członkowie jednej piątki nie znali składu osobowego i działalności innych piątek. Tylko jeden z każdej komórki należał do nadrzędnej niejako jednostki, również najwyższej pięcioosobowej. W mniejszych ośrodkach działali mężowie zaufania. Poszczególni członkowie posługiwali się pseudonimami.

W miarę wzmagania się represji ze strony władz okupacyjnych czynniejsi działacze przechodzili na stopę nielegalną, posługując się fałszywymi dokumentami i zmieniając często miejsce zamieszkania. Organizacja przyjęła nazwę „Wolność, Równość, Niepodległość”.

W stosunkowo krótkim czasie WRN miał swoje ogniwa we wszystkich większych ośrodkach utworzonej przez hilerowców tzw. Generalnej Guberni, obejmującej centrum kraju z Warszawą,

Krakowem i Zagłębiem Dąbrowskim, a także na terenach przyłączonych do Rzeszy (Łódź, Wielkopolska, Pomorze, Górny Śląsk), choć tam trudności były większe wskutek prześladowań i wydalania ludności z tych ziem, które Niemcy uważali za swoje.

Najtrudniejsze okazało się utrzymanie stałych wpływów i organizacji WRN na ziemiach wschodnich zajętych przez wojska sowieckie na mocy tzw. umowy Ribbentrop - Mołotow, a to wskutek penetracji środowisk polskich przez komunistów i agentów NKWD.

Ścisłe kierownictwo WRN spoczywało w rękach długoletnich członków Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS: Tomasza Arciszewskiego, Kazimierza Pużaka i Zygmunta Zaremby. Należy dodać, że dwaj pierwsi byli członkami Organizacji Bojowej PPS w latach dziewięćsetnych. Wkrótce rozszerzono skład kierownictwa przez wprowadzenie do niego obu przedwojennych sekretarzy warszawskiego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS Bolesława Dratwy i Józefa Dzięgielewskiego, a później wielu działaczy z innych ośrodków w kraju. Reprezentantem WRN w Komitecie Zagranicznym PPS w Londynie był Adam Ciołkosz, członek przedwojennego CKW PPS.

Uważając za podstawowy obowiązek wszystkich Polaków walkę czynną z okupantem hitlerowskim oraz, że walka ta wymaga jednolitego działania, WRN na początku istnienia nawiązał kontakt z generałem Michałem Karasiewiczem-Tokarzewskim, jako organizatorem sił zbrojnych w kraju.

Podobnie jak utworzona przez PPS Ochotnicza Robotnicza Brygada Obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku pod względem wojskowym podporządkowane były dowództwu obrony miasta sformowane przez WRN oddziały wojskowe, które otrzymały nazwę „Gwardia Ludowa” zmieniona następnie na Oddziały Wojskowe PPS, poddane zostały komendantowi Z.W.Z., a potem Armii Krajowej (gen. Stefan Rowecki, po nim gen. Tadeusz Komorowski-Bór). Oddziały te zachowały jednak autonomię.

Ze znaczniejszych samodzielnych akcji wojskowych formacji WRN wymienić należy nawiązanie łączności z towarzyszami przebywającymi w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu i udzielanie z zewnątrz pomocy w organizowaniu ucieczek tamtejszych więźniów. Udało się pomóc w ucieczce kilku ludziom, ale nie Józefowi Cyrankiewiczowi, który z jakichś powodów z okazji nie skorzystał. Ostatnia akcja tego rodzaju skończyła się tragicznie. Zginęło wówczas od kul hitlerowskich kilku bojowców krakowskich, a wśród nich najwybitniejszy Adam Rysiowicz, który po aresztowaniu Cyrankiewicza był „okręgowcem” w Krakowie.

W Warszawie Oddziały Wojskowe PPS oraz Milicja PPS szczególnie odznaczyły się w czasie Powstania Warszawskiego zwłaszcza na Żoliborzu i Starym Mieście.

Inicjatywy zmierzające do porozumienia z innymi grupami wywodzącymi się z dawnej PPS nie dały wyniku wskutek aresztowaniu szeregu czołowych działaczy (Barlicki, Czapiński, Dubois), którzy zginęli w obozie oświęcimskim oraz nagłej śmierci Adama Próchnika. Z powstałą w 1943 roku R.P.P.S. (Robotnicza Partia Polskich Socjalistów) porozumienie WRN było niemożliwe z powodu zasadniczych różnic dotyczących stosunku do rządu emigracyjnego w Londynie i do ZSRR.

W początku 1940 roku powstało w kraju podziemne przedstawicielstwo stronnictw stanowiących podstawę rządu przebywającego na emigracji, którego premierem był generał Władysław Sikorski. Do tego przedstawicielstwa, które nazwano Politycznym Komitetem Porozumiewawczym (P.K.P.) należała delegacja WRN. Po zawarciu układu między rządem gen. Sikorskiego a ZSSR WRN zawiesił czasowo udział swój w Komitecie z powodu odmiennej wartości tego porozumienia pozostawiającego jako otwartą sprawę los dawnych ziem wschodnich Polski zajętych w 1939 roku przez Armię Czerwoną. W 1943 roku WRN wznowił swój udział w P.K.P., który z czasem przekształcił się w Radę Jedności Narodowej. Na jej przewodniczącego wybrano Kazimierza Pużaka, sekretarza generalnego WRN. Rada Jedności Narodowej działała do końca istnienia polskich władz podziemnych tj. do wiosny 1945 roku. Do składu Delegatury Rządu gen. Sikorskiego na kraj (czyli tzw. Krajowej Rady Ministrów) jako przedstawiciel WRN należał dr Antoni Pajdak. Obaj działacze WRN wraz z całym kierownictwem polskiego antyhitlerowskiego podziemia zostali w marcu 1945 roku wywiezieni do Moskwy pod pretekstem zaproszenia na rozmowy z dowództwem radzieckim, gdzie czekał ich wyrok skazujący Pużaka na 1½ roku więzienia, a Pajdaka na 5 lat więzienia i dodatkowo na 5 lat zesłania na Syberię.

Mimo trudnych warunków działalności w konspiracji WRN nie ustawał w pracy nad określeniem form ustrojowych Polski po odzyskaniu niepodległości, o czym świadczy choćby fakt, że już w 1941 roku opublikowana została pierwsza wersja dokumentu programowego dla wolnego kraju w wizji WRN.

Poza wydawnictwami nieperiodycznymi WRN wydawał kilka czasopism m.in. *Robotnik w walce*, którego kontynuacją od czerwca 1944 roku był *Robotnik* jako organ WRN. Pismo to, związane z PPS od 1894 roku, wychodziło dalej w Londynie, jako organ WRN pod redakcją A. Ciołkosza, a potem znów Zaremby,

który w 1945 roku osiadł na emigracji w Paryżu i był redaktorem aż do swej śmierci w roku 1967. W związku z rozwiązaniem polskiego podziemia antyhitlerowskiego WRN oficjalnie zamknęło swoją działalność z końca czerwca 1945 roku. Organizacja WRN formalnie przestała istnieć, ale pozostali ludzie którzy do niej należeli. Kiedyś podjęte przez Zygmunta Żuławskiego, przewodniczącego przedwojennej Rady Naczelnej PPS, próby porozumienia z oficjalnie działającą pod tą nazwą partią w sprawie połączenia obu odłamów w jedną organizację nie dały wyników, nadeszła chwila do zrealizowania dążeń większości byłych WRN-owców i utworzenia jawnej partii socjaldemokratycznej. W odpowiedzi na ogłoszenie przez Żuławskiego, który sam do WRN nie należał, o powstaniu komitetu organizacyjnego „Polskiej Partii Socjaldemokratycznej” U.B. uprzedziło wszystkich jego członków, iż utworzenie nowej partii uważane będzie za nielegalne, a członkowie jej będą traktowani na równi z członkami N.S.Z. (Narodowych Sił Zbrojnych) i poddani represjom. Nowa partia nie powstała, ale ówczesne władze nie zrezygnowały ze zwalczania socjaldemokratów spod znaku dawnej PPS. Ci, którzy po nowym apelu Żuławskiego wstąpili do oficjalnie istniejącej, ale zależnej od komunistów PPS („koncesjonowana PPS”), zostali wydaleny z jej szeregów przed tzw. Zjednoczeniem ruchu robotniczego. Innych zamknięto w więzieniach, przynajmniej kilkunastu otrzymało skazujące wyroki. Jawnie odbył się tylko proces sześciu działaczy z tzw. kierownictwa WRN. Kazimierz Pużak, który był już skazany przez sąd moskiewski na 1½ roku więzienia, otrzymał od polskiego sądu karę 10 lat pozbawienia wolności. Tę samą karę otrzymał Tadeusz Szturm de Sztrem; Józef Dziegielewski i Wiktor Krawczyk skazani zostali na 9 lat. Feliks Misiorowski i Ludwik Cohn który związał się z WRN po powrocie z niewoli niemieckiej w 1945 roku, dostali po 5 lat więzienia. Wszystkich pozbawiono praw honorowych i obywatelskich na odpowiednią ilość lat oraz na przepadek całego mienia na rzecz Skarbu Państwa. Do wszystkich skazanych zastosowano amnestię, która darowała kary do 5 lat więzienia, a zmniejszała do połowy kary wyższe. Nie skorzystał z niej Pużak, który zmarł w Rawiczu po trzech latach pobytu w więzieniu. Dziegielewski i Misiorski zmarli niedługo po wyjściu na wolność w następstwie cierpień spowodowanych w toku śledztwa i warunków życia więziennego. Pozostali działacze WRN sążeni byli pojedynczo w procesach niejawnych, które odbywały się w jednej z cel więzienia moko-towskiego. Min. skazani byli w tych procesach: Józef Bielicki, Edmund Błaszczyk, Henryk Kwiatkowski, Wiesława Pajdakówna, Kazimierz Rysiewicz, Stanisław Sobolewski, Władysław Wil-

czyński, Stefan Zbrożyna. Większość z nich otrzymała kary 6 lat więzienia, złagodzonych do połowy na mocy amnestii. Janina Pajdakowa i Antoni Zdanowski nie doczekali procesów. Pajdakowa odebrała sobie życie wkrótce po zaarrestowaniu. Zdanowskiego wypuszczono śmiertelnie chorego, zmarł nazajutrz po wyjściu na wolność. Kilka osób zwolniono bez wyroków. Bolesław Gałaj i Adam Obarski, też działacze WRN, skazani byli w procesach innych formacji politycznych. Obarski skazany był na karę śmierci zamienioną z mocy amnestii na 15 lat więzienia.

Stosującym masowe represje w stosunku do ludzi o innych poglądach władzom komunistycznym zdawało się wtedy, że zduszą na zawsze wolnościowe dążenia Polaków.

Dzisiaj chyba widać, jak się pomyliły.

Głos Nr 10.

Wojciech ZBRUCZ

PAŹDZIERNIK 1956

Październik roku 1956 do dzisiaj jest żywym symbolem w społecznej pamięci. Symbolem wieloznacznym: końca stalinizmu, oczekiwania na humanistyczny socjalizm, powrotu do spokojnej pracy dla milionów cierpliwych i upartych obywateli niezależnej duchowo Polski, ale też połowiczności, złudzeń czy zawieszonych nadziei na więcej demokracji i więcej wolności.

Okres ten, mimo że tak ważny dla powojennej historii, nie doczekał się wyczerpujących opracowań w kraju. Skazani jesteśmy na własne wspomnienia, amatorskie poszukiwania historyczne w wczesnej prasie lub na lekturę książek wydanych za granicą, zawierających fragmenty poświęcone tej sprawie, jak np. Zbigniewa Brzezińskiego „Blok sowiecki: jedność i konflikty” czy świetną „Historię demokracji ludowych” węgierskiego emigranta-historyka F. Fejtö. Nasza wiedza jest więc wrywkowa i „nocne Polaków rozmowy” na temat Października nie mogą być pogłębione. Dzielimy się jednak na zwolenników Października-odwilży i przeciwników Października — straconej szansy, i podział ten nie zniknie z pewnością wraz z wydaniem wyczerpujących monografii, tak jak nie znikną spory o sens wielkich wydarzeń historii narodowej — Powstania Styczniowego, września 1939

czy Powstania Warszawskiego. Im więcej będziemy o nich wiedzieć, tym pełniejsza i bardziej pouczająca dla ludzi wszelkich poglądów będzie dyskusja. Oceny historii nigdy się bowiem nie zamyka.

O d w i ł ź

Zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy Października zgodzą się jednak, że w latach 1954-57 zmieniła się technika sprawowania władzy, co umożliwiło milionom ludzi normalniejsze życie, choć nadal pozbawione suwerenności. Zakończyła się atmosfera wojny domowej, jaka trwała w Polsce od roku 1944. Pokonanych w tej wojnie — uczestników konspiracji z okresu okupacji niemieckiej, aresztowanych czasem bez najmniejszych powodów oraz tysiące „młodszych braci” żołnierzy Drugiej Wojny Światowej, spontanicznie przystępujących po wojnie do „leśnych ludzi” i nowej konspiracji — wypuszczono z więzień. Prasa pełna była notatek o tzw. procesach rehabilitacyjnych. Proces taki miał i Moczarski, autor głośnych dziś „Rozmów z katem”, którego jako żołnierza AK zamknięto w jednej celi z hitlerowskim przestępcą wojennym. Gorzką ironię zawierało słowo „rehabilitacja”. W latach 1944-48 żołnierzom Polski podziemnej nowa władza udzielała amnestii, teraz musiała już rehabilitować po latach cierpień i tułaczki, często nie tylko po krajowych ale i po rosyjskich więzieniach i obozach. Nie mogło być już żadnego zadośćuczynienia dla tych, których jak socjalistę Pużaka czy narodowego demokratę Doboszyńskiego pozbawiono życia w sfingowanych procesach, albo i bez nich. Nazwano to łącznie „nadużyciami socjalistycznej praworządności”. Był to z pewnością eufemizm, ale oznaczał on, że ci którzy przeżyli, m.in. historyk Władysław Bartoszewski, poeta i działacz polityczny Stronnictwa Pracy Jerzy Braun, działacz polityczny PPS Ludwik Cohn, a także prymas Polski Stefan Wyszyński, mogli odzyskać wolność osobistą.

Odwilż to także możliwość powrotu z przymusowej emigracji w ZSRR tysięcy Polaków, których przywożono specjalnymi pociągami, gdy w przeciwnym kierunku odjeżdżali nadmiernie liczni, jak się okazało, doradcy radzieccy. Odwilż to także wolność dla kultury. Realizm socjalistyczny, wprowadzony przez oficjalnych polityków kulturalnych — Borejszę, Putramenta, Sokorskiego, Żółkiewskiego nie dał nic prócz produkcyjniaków prozą i wierszem, do pisania których przyuczano część najmłodszego pokolenia literatów, wśród nich późniejszych wybitnych

pisarzy — Tadeusza Konwickiego czy Wiktora Woroszyńskiego. Jednym ze zwiastunów nowego były studenckie kabarety — Studencki Teatr Satyryków (STS) lub Bim-Bom Zbyszka Cybulskiego, które powstały już w 1954 roku. Stawiano w nich na autentyzm i spontaniczność — niezależnie od tego, czy miała to być satyra społeczna czy poetycka zabawa — a to oznaczało całkowite zerwanie z socrealizmem.

Po kilku latach przymusowego postu, kultura krajowa złąkonia była nowości z Zachodu. Wreszcie można było się pasjonować tym, co czyta się i ogląda na wystawach w Paryżu i Nowym Jorku. W porównaniu z socrealizmem, wzorowanym na XIX-wiecznym naturalizmie, wszystko wydawało się nowoczesne i świeże. Nowoczesny był Hemingway, Sartre i Ionesco. Malarstwo abstrakcyjne, wiersz wolny i egzystencjalizm. Okazało się też, że polscy artyści-emigranci jak np. Gombrowicz zdobywają światowe uznanie, a twórczość poetycka Wierzyńskiego, Miłosza, Lechonia czy Łobodowskiego, powieściowa Parnickiego, publicystyczna Herlinga-Grudzińskiego, Wańkowicza, Cata-Mackiewicza, publikacje prasy emigracyjnej czy twórczość pamiętnikarska i historyczna, dotycząca Drugiej Wojny Światowej, stanowią poważny wkład w kulturę narodową. Wielu emigrantów zdecydowało się powrócić do kraju, wśród nich Wańkowicz, Cat i Parnicki.

W okresie Października przebudziła się kultura. Literackie debiuty Władysława Terleckiego i Zbigniewa Herberta, malarstwo Kantora, Jaremiarki, Wróblewskiego i Lebensteina, rodząca się „polska szkoła filmowa” czy wreszcie początki polskiego jazzu, tworzonych przez Komedę i Wróblewskiego — wszystko to powstało w atmosferze Października, będącej zarazem manifestacją polskiej kultury narodowej i jej przynależności do zachodniej. W tej sytuacji, sockultura demaskowała się jako administracyjny twór, którego bezpłodność dla wszystkich stała się oczywista. W opozycji do niego uwidaczniała się siła ciągłości kultury polskiej, od międzywojnia i „Skamandra”, poprzez okupację i Baczyńskiego do teatru Białoszewskiego na Tarczyńskiej, filmów Munka i Wajdy czy twórczości Gombrowicza czy Mrożka. Twórczość ta miała entuzjastyczną publiczność. Pozostawało to w związku z wielkimi zmianami stylu życia, jakie przyniosły lata 1954-57. Zapowiedzi tego, co określa się jako współczesną kulturę masową, upowszechniało się u nas pod postacią kultury studenckiej i młodzieżowej: mody na autostop, rozwoju turystyki, zjawisk podkultury młodzieżowej i rock-and-rolla, stroju i sposobu zachowania, a także upowszechnienia się kawiarni, klubów dyskusyjnych.

Popularność zyskała prasa odwilżowa *Po prostu* czy *Nowa Kultura*. Społeczeństwo po długim okresie pompacyjnych kłamstw i drętwej mowy witało z ulgą i radością każde słowo prawdy, nawet jeżeli nie była to cała prawda i jeżeli nawet była ona wypowiediana przez ludzi, którzy nie posiadali szerokiego zaufania społecznego. Takim właśnie głosem był „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka, ongiś twórcę oficjalnej polityki kulturalnej, wydrukowany latem 1955, w *Nowej Kulturze*, której redaktorem naczelnym był Paweł Hoffman, również niegdysiejszy utwardzacz tej polityki.

*Są ludzie oczernieni, opluci
są odzierani na ulicach
przez zwykłych opryszków
dla których szuka się definicji prawnej
są ludzie czekający na papierek
są czekający na sprawiedliwość
są ludzie którzy długo czekają*

Były to słowa odwilży, którą niełatwo było znieść zwolennikom stalinowskiego porządku. Ważyka zaatakowano, a broniącego się Hoffmana usunięto ze stanowiska. W kilka miesięcy później wydarzenia w kraju doprowadziły do tego, że oficjalnie uznano rzeczywistość, opisaną w „Poemacie dla dorosłych”.

Kultura i polityka w Październiku

W dyskusjach o Październiku uwaga koncentruje się często na wydarzeniach politycznych. Dla poznania historii nie zawsze jednak są najistotniejsze dzieje polityczne, w przypadku zaś Października, *dążenia społeczeństwa znalazły najgłębszy wyraz w przemianach kulturalnych. One to okazały się najtrwalszą jego zdobyczą*, podczas gdy przemiany polityczne, nie poparte poważniejszymi reformami, w znacznym stopniu zostały cofnięte już w roku 1957.

To, że w tak krótkim czasie styl życia społeczeństwa mógł ulec tak gwałtownej zmianie, ujawniło jego masowe i decydujące dążenia. Było też dowodem, że komunistyczny system nie tworzy własnej i oryginalnej kultury i na dłuższą metę będzie importować kulturę z bardziej rozwiniętych krajów Zachodu. Budowa nowej, komunistycznej cywilizacji okazała się fikcją. Okazało się, że jesteśmy wobec Zachodu zacofani, co znalazło również odbicie w

głośnym chruszczowowskim hasłem „dogonimy i przegonimy”, a owo „przegonimy” kojarzyło się ze stalinowską tezą, że „kapitalizm stoi nad przepaścią”.

Zmiany we władzy czyli w partii

Lata 1954-57 były burzliwe nie tylko w Polsce ale w całym wschodnim bloku. Zaczęło się od śmierci Stalina w marcu 1953. „Kult jednostki” zastąpiony zostaje tzw. kolektywnym kierownictwem. Wypuszcza się ludzi z łagrów i więzień. Wkrótce skończy się zimna wojna i zmieni się styl propagandy. Kulminacją tych przemian jest XX Zjazd KPZR w marcu 1956 roku i tajny referat Chruszczowa, w którym podaje on m.in. że ze 126 członków KC z 1936 roku zamordowano 90-ciu, czyli 70 %.

Również i w Polsce od 1954 roku zaczęło się powoli zmieniać. Pierwsze poważniejsze poruszenie wywołały rewelacje płk. Światły, zbiegłego na Zachód wysokiego urzędnika Bezpieczeństwa. Szybsze zmiany nastąpiły po śmierci Bieruta w marcu 1956 roku. Pierwszym Sekretarzem PZPR został po nim Edward Ochab. Prowadził on politykę sterowanej liberalizacji. Napór społeczny nie zmniejszał się jednak, a w aparacie władzy panowało zamieszanie, spowodowane nowymi dyrektywami z Kremla i walkami frakcyjnymi. Narastał społeczny ruch niezadowolenia oraz kryzys władzy. Za męża opatrnościowego dla niej uchodził coraz częściej Gomułka. Wspierali go zwolennicy liberalizacji uważając, że może on uratować sytuację, wykorzystując prestiż więźnia Stalina i męczennika polskiej drogi do komunizmu. Stawka na Gomułkę dla wielu działaczy była wynikiem kalkulacji politycznej, obliczonej na zachowanie władzy. Zachowanie się rządzących ekip we wszystkich niemal krajach bloku w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych świadczy o odśrodkowych tendencjach w rosyjskim imperium. Osadzone i podtrzymywane przez Moskwę grupy władzy zaczynają dążyć do częściowego usamodzielnienia się. Odrębności narodowe zaczynają grać coraz większą rolę i okazuje się, że los nie jest dla wszystkich jednokowy. Zjawisko to osłania liczne słabości rosyjskiego imperium w Europie. Cóż bowiem je cementuje? Rosyjskie dominia są na ogół wyżej rozwinięte gospodarczo od metropolii, ich ludność posiada zazwyczaj wyższą kulturę. Wschód jest dla nich mało pociągający, atrakcyjny jest natomiast Zachód. Imperium cementuje jeszcze ideologia i czołgi. Gdy zaś czar ideologii przyska, właścicielom imperium pozostaje smutna konieczność wysyłania swoich czerwonych marines na Węgry i do Czechosłowacji,

bo tubylców nie ęci ani Hilton Hotel (w stylu Pałacu Kultury, którym obdarzono kilka bratnich stolic) ani „Stolicznaja” ani radziecka kultura masowa, która obdarza obywateli broszkami z dzieciątkiem-Lenin, lub portretami nieco starszego Breżniewa. Moment kryzysu ujawnił paradoksy imperium, w którym miejscem najmniej atrakcyjnym, gdy chodzi o warunki życia, wydaje się właśnie centrum. Ta obserwacja skłaniała i skłaniać odtąd będzie zagorzałych nawet zwolenników radzieckiego internacjonalizmu w krajach satelickich do uchylania drzwi również ździebko na Zachód i zdobywania przynajmniej na tyle samodzielności, by móc z tej szczeliny korzystać, chociażby w skromnym gronie rządzącej elity.

Gomułka dostrzegając wzrost swoich wpływów, zażądał usunięcia Hilarego Minca, twórcy polityki gospodarczej okresu stalinowskiego. Uczyniono to 9 października. Następnie zażądał usunięcia Rokossowskiego, ale nie było to już takie łatwe, bowiem bezpośrednio dotykało stosunków z ZSRR. 13 października Gomułka uczestniczył w posiedzeniu Biura Politycznego, choć nie był jeszcze jego członkiem. Zaniepokoiło to Kreml, który wezwał BP PZPR do Moskwy na 17 października. Ochab wymówił się twierdząc, że wizyta taka nie pozwoliłaby na przygotowanie obrad VIII Plenum, zapowiedzianego na 19-tego. W tej sytuacji natolińczycy, licząc na poparcie Rokossowskiego i innych generałów na etacie obywatela polskiego, postanowili postawić Biuro Polityczne przed faktami dokonanymi, dokonując licznych aresztowań. Lista potencjalnych aresztowanych została jednak przechwycona, osoby te ostrzeżono.

Głównymi ośrodkami, popierającymi w tych dniach Gomułkę były zakłady żerańskie i uczelnie, *Po prostu* oraz warszawskie KW. Ogłosiły one pełną mobilizację. Poparł ich generał Komar, a wielu działaczy i wojskowych odmówiło wykonywania rozkazów Natolina. VIII Plenum zebrało się, jak zapowiadano, 19-tego. W kilka godzin później, w Warszawie nieoczekiwanie zjawił się Chruszczow, Mikojan, Mołotow, Kaganowicz i marszałek Koniew (naczelnym dowódcą Paktu Warszawskiego). Mimo to Gomułkę oraz Spychalskiego, Kliszkę i Logę-Sowińskiego włączono do KC. Obrady Plenum przerwano, a Gomułka na czele kilkusobowej delegacji udał się na rozmowy z Rosjanami. W nocy z 19-go na 20-ty, społeczeństwo Warszawy było w stanie pełnej mobilizacji, w obliczu groźby interwencji rosyjskiej. Rankiem 20-tego delegacja rosyjska opuściła Warszawę. Plenum zajęło się informacjami o ruchach wojsk radzieckich w kierunku stolicy. O wyjaśnienia zwrócono się do wypożyczonego nam ze Związku Radzieckiego marszałka Rokossowskiego.

Wielka demonstracja na rzecz Gomułki odbyła się 24 października, co przypomniał Wajda w „Człowieku z marmuru”. Rok później na placu Narutowicza milicja rozgoniła demonstrację studentów Warszawy, protestującą przeciw zamknięciu *Po prostu*.

Spółeczeństwo w Październiku

Kreml życzył sobie liberalizacji (często się to powtarza, jakoby bez woli Moskwy do żadnej odwilży w Polsce nie mogło dojść). Trzeba zaś stwierdzić, że Kreml życzył sobie liberalizacji, ale jedynie wewnątrz partii. Chodziło o to, by wśród komunistów nie zabijać się odtań nawzajem i nie wsadzać do więzień. W Polsce sprawy poszły jednak znacznie dalej. Uwolniono również AK-owców, dawnych socjalistów i ludowców, 25 kwietnia wydano dekret o amnestii, który objął około trzydziestu tysięcy więźniów politycznych z wyrokami poniżej pięciu lat. Po tym przysłała fala procesów rehabilitacyjnych. Nie przeprowadzano ich dobrowolnie. Nie były to jak wiadomo jedynie zaplanowane przez Moskwę ustępstwa władzy na rzecz społeczeństwa. Był to jeden z wyników masowego nacisku społecznego. Jakie były formy tego nacisku?

Jedną z najistotniejszych była z pewnością presja świata pracy. Plan 6-letni doprowadził do kryzysu gospodarczego, który wyrażał się nie tylko w brakach na rynku, ale i w dezorganizacji życia gospodarczego kraju. Władza, jak zwykle w takich sytuacjach, miała gotową diagnozę. Winna jest pogoda, bumelantwo i wrogowie ustroju. Znana jest też recepta: ludzie niech więcej pracują i zacisną pasa. Pytanie, czy kryzysowi nie są winne błędne decyzje rządu, ignorancja czołowych polityków itd. pozostaje w takich razach poza dyskusją. Bez masowego oporu wobec takiej polityki, jakiegokolwiek zmiany są niemożliwe. I opór ten, wbrew częstym wyobrażeniom, nie sprowadza się dla robotników do żądań ekonomicznych, obejmując również sprawy socjalne, stosunek kierownictwa do pracowników i samorządu. Sięga aż do spraw ogólnospołecznych i politycznych.

Charakterystyczne pod tym względem są wypadki poznańskie. Zmiana norm w fabryce wagonów Cegielskiego spowodowała, że płace realne robotników, już przedtem niezbyt wysokie, obniżyły się o 3-4 %. Konflikty nie umiano rozwiązać na miejscu, mimo że zakładowa organizacja partyjna obejmowała 38 % spośród 15 tysięcy pracowników. Do Warszawy udała się delegacja, którą min. Tokarski odprawił z kwitkiem. Robotnicy zdecydowali się

na strajk i przemarsz przez Poznań, w którym odbywały się w tych dniach Międzynarodowe Targi. Początkowo niesiono plakaty z żądaniami ekonomicznymi, wkrótce jednak zaczęto wznosić okrzyki „wolności i chleba”. Milicja usiłowała interweniować. Spowodowało to eskalację wydarzeń. Zaatakowano siedzibę władz bezpieczeństwa, sąd, więzienie i stację zagłuszającą. Wybór celów znamienity.

Zamierały też instytucje, które dotychczas dobrze służyły władzy. Ludzie przestawali po prostu uczestniczyć w szopce, do której dotychczas skutecznie ich zmuszano. Rozpadowi uległ Związek Młodzieży Polskiej, całkowicie wtedy skompromitowany, choć dziś władze usiłują powracać do jego niechlubnych tradycji. Na jego miejsce spontanicznie powstało wiele innych organizacji młodzieżowych: Związek Młodzieży Robotniczej, Rewolucyjny Związek Młodzieży, Związek Młodzieży Demokratycznej, Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”, wznowili swe działanie harcerze, wśród nich wybitny działacz Aleksander Kamiński, autor „Kamieni na szaniec”.

Odrobiny autentyzmu nabierać zaczęły fasadowe do tej pory instytucje satelickich stronnictw politycznych SD i ZSL. W okresie stalinowskim dążono, mimo ich podporządkowania, do całkowitej likwidacji. W lutym 1953 roku kierownictwo SD, z Leonem Chajnem na czele, podjęło decyzje poważnie ograniczające działalność, likwidujące koła członkowskie, wydawnictwo i dziennik *Kurier codzienny*. W lipcu 1956 roku opublikowano jednak „nowe wytyczne programowe”, które wyraźnie zahamowały ten proces, a następnie zmieniono władze naczelne, usuwając z nich działaczy najbardziej skompromitowanych bezpośrednią podległością PZPR. Zmieniły się również władze ZSL. Komunista w przebraniu ludowca, Włodzimierz Kowalski zastąpiony został przez Stefana Ignara. Zwiększyła się ilość członków, Stronictwo zyskało własną organizację młodzieżową.

Spółeczeństwo spontanicznie samoorganizowało się, wykorzystując luki w istniejących ramach instytucjonalnych. Powstały dziesiątki klubów dyskusyjnych, afiliowanych później przy Krajowym Ośrodku Współpracy Klubów Inteligencji, przy *Po prostu* czy Ogólnopolskim Klubie Postępowej Inteligencji Katolickiej.

Wskutek przyhamowania działalności cenzury, uniezależniła się prasa. Powstawały studenckie czasopisma *Wyboje*, *Zebra* czy *Odnowa*, a poza środowiskiem studenckim *Przegląd Polski i Obcy*, *Nowy nurt* czy łódzka *Kronika*. Do redakcji wielu istniejących czasopism weszli nowi ludzie i nowy duch. Było tak np. z tygodnikiem *Stolica*, dopóki ludzi związanych z tradycjami AK nie zmieniono na ludzi związanych ze ZBOWiD-em.

Orientacje polityczne tworzących ten szeroki nurt społeczny były różne: prawicowe, lewicowe, radykalne i umiarkowane, rewolucyjne i ewolucyjne. Ważną rolę odegrali tzw. rewizjoniści, młodzi przeważnie działacze, pragnący zreformować marksizm i partię komunistyczną od wewnątrz. Nie tak może aktywnym aktorem wydarzeń, ale z pewnością dysponującym nieporównywalnie większym zapleczem był Kościół, jako instytucja i masa wiernych. Robotnicy w Poznaniu krzyčili „uwolnić Wyszyńskiego” i hasło to powtarzano na wielu wiecach i zebraniach. Pielgrzymka do Częstochowy w sierpniu 1956 roku była wyjątkowo liczna i stanowiła świadectwo nie tylko religijności, ale i nastrojów społecznych. Kościół odzyskał część swych czasopism, *Gościa niedzielnego* czy *Przewodnik katolicki*, przygasała działalność manipulowanej przez komunistów organizacji antykościelnej „PAX”, a inteligencja katolicka odzyskała *Tygodnik Powszechny* i *Znak*.

Dzieje władzy i historia społeczeństwa

Przebieg wydarzeń październikowych i walk w kierownictwie PZPR jest w ogólnym zarysie znany, choć wiele pozostaje do wyjaśnienia. Dziennikarze i historycy zachodni, bardziej zainteresowani Rosją niż samą tylko Polską, widząc w wydarzeniach październikowych przejaw ogólniejszych wstrząsów, jakie dotknęły rosyjskie imperium (sprawa Chin i Rumunii, a także Albanii, interwencja na Węgrzech), zajmują się najczęściej przemianami aparatu władzy i stopnia jej zależności lub usamodzielnienia się od Kremla. Mniej natomiast interesują się społeczeństwem, chyba że chodzi o sprawy tak widoczne jak np. wypadki poznańskie, które bezpośrednio wpływają na politykę. Nic dziwnego zresztą. O konkretnych działaniach społeczeństwa, w systemie dyktatury z natury rzeczy rozproszonych, pozbawionych wewnętrznej sieci powiązań a także samowiedzy politycznej, trudno dowiedzieć się człowiekowi, przybyłemu z zewnątrz bez znajomości warunków miejscowych.

Krajowym autorom również jednak zdarza się koncentrować na historii konfliktów w łonie samej tylko władzy. Błyskotliwy esej „Chamy i Żydy” Witolda Jedlickiego przedstawia wydarzenia październikowe wyłącznie jako wynik walk frakcyjnych w partii, a społeczeństwo jest w nim obecne jedynie jako przedmiot manipulacji ze strony władzy. Niezależnie od tego, jak wiele racji można by przytoczyć za takim poglądem, nie wydaje się, aby historię społeczeństwa dało się zredukować do historii samej tylko

dyktatury. Historia partii i jej władzy ma, z uwagi na sposób jej sprawowania, charakter na pół spiskowy, bowiem koncentrować się musi na frakcyjnych i personalnych sporach oraz intencjach i osobowościach poszczególnych działaczy. Nie ma wtedy miejsca chociażby na dzieje masowych i nie zaprogramowanych przez władzę procesów społecznych. Społeczeństwo ma swoją własną podmiotową historię, będącą dziejami oporu i walki o samodzielność. Zdobywanie świadomości takiej historii jest też koniecznością dla każdego ruchu społecznego, którego celem jest emancypacja społeczeństwa.

Wydarzenia 1956 roku nazywa się czasem „polskim Październikiem”. Kryje się w tym dwuznaczność, która, jak się wydaje, szczególnie istotna była już w samym roku pięćdziesiątym szóstym. Dla wielu, polski Październik miał być narodową, swoistą odmianą Wielkiego Października 1917 roku, powrotem do źródeł czystego socjalizmu, a wyzbyciem się jego „błędów i wypaczeń”. Dla większości społeczeństwa, październik jest polskim miesiącem w takim samym sensie jak polski jest sierpień z rocznicą Powstania Warszawskiego, styczeń, listopad, a ostatnio marzec i czerwiec. Osobiście sądzę, że to drugie znaczenie polskiego Października stanowi o jego wadze w narodowej historii.

Głos Nr 8.

SĄSIEDZI

Ks. Jan ZIEJA

DAWNIEJ, DZIŚ, JUTRO

Cała ziemia staje się powoli a w wielkim trudzie swych najlepszych synów ojczyzną CZŁOWIEKA, siedzibą jednej wielkiej rodziny ludzkiej.

Na drodze do tej jedności — we wszystkich częściach świata są do przezwyciężenia różne przeszkody, krzywdzące podziały i krwawe konflikty.

W tej części Europy, jaka się rozciąga od Bałtyku do Morza Czarnego przez wiele wieków rozwijało się życie Litwinów, Polaków, Białorusinów i Ukraińców.

W naszych wzajemnych stosunkach i w naszych dziejach przez długi czas wspólnych bywały rzeczy piękne, godne wspomnienia i podtrzymywania; były też błędy, ciężkie winy i krzywdy oczekujące naprawienia i wzajemnego zadośćuczynienia.

Dlatego teraz, na nowo Boga wzywając na pomoc, bierzmy się do roboty.

Duchem wolni, w prawach równi — pielęgnujmy swą mowę ojczystą: białoruską, litewską, polską i ukraińską. Czytując utwory Mickiewicza, Szewczenki, Majronisa, Kupały i innych naszych pisarzy narodowych, bierzmy z nich to, co jest w zgodzie z najwyższym światłem ludzkości — z Ewangelią Jezusa Chrystusa. W swoich obyczajach narodowych zachowujmy co jest dobrego i pięknego i na ziemiach naszych usiłujmy budować wciąż nowe życie w prawdzie, sprawiedliwości, wzajemnym zrozumieniu i bratniej miłości. Odwiedzajmy się jak najczęściej, dzielmy się myślami i doświadczeniami, podawajmy sobie ręce w pracy, czujnie strzegąc się fałszywych przyjaciół.

Tylko trzymając się razem będziemy mogli ostać się jako narody odrębne i wolne.

*„O, nieskończona jeszcze dziejów praca,
nie przepalony jeszcze glob sumieniem”*

(C. K. Norwid)

„Powstaje plemię nowych ludzi, jakich jeszcze nie widziano...
W nadziei zakonspirowani, legitymujący się wiarą, zbrojni Mi-
łością...”. Jesteśmy w drzwiach.

A ty?

Jeżeli i ty tak myślisz, przepiszuj ten apel i podawaj dalej.
I rób co ci każe twoje sumienie.

Głos Nr 1.

Jacek KUROŃ,
Antoni MACIEREWICZ,
Adam MICHNIK

SPRAWA POLSKA — SPRAWA ROSYJSKA

Wielokrotnie już w historii naszego kraju podejmowano temat stosunków polsko-rosyjskich. Jak zawsze, tak i obecnie należy on do najtrudniejszych zagadnień dotyczących kluczowych kwestii politycznych i niezwykle powikłanych losów Europy Środkowo-Wschodniej. Suwerenność państwa polskiego wszyscy musimy stawiać na pierwszym miejscu. Nie jest nam jednak obojętny kształt polskiej niepodległości, dlatego też dążymy do niej budując niezależne od władzy, samorządne instytucje społeczne. Niektórzy bronią hasła: najpierw niepodległość a potem demokracja. Nie sposób się z tym zgodzić: obydwie sprawy mają wagę zasadniczą i są od siebie nieodłączne. Niewątpliwym jest, że demokracja, a więc suwerenność społeczeństwa spełnia się tylko w suwerennym państwie.

Dziś, podobnie jak w XVIII i XIX wieku o niepodległości państwa polskiego należy mówić w kontekście stosunków polsko-rosyjskich. Łatwo z tej perspektywy o przeświadczenie, że nic się nie zmienia, że uwięzieni jesteśmy we własnej historii a problemy naszych przadków będą problemami naszych prawnuków. Oczywiście, nie sposób wykluczyć tej możliwości. Ale położenie geograficzne to nie tylko sprawa geografii, lecz także polityki, w tym polityki polskiej.

Rosja panująca nad narodami dzielącymi ją od Polski jest i musi być państwem imperialistycznym godzącym w niepodległość Polski. Nie zawsze jednak uświadamiamy sobie, że twierdzenie to można odnieść również do Polski. Państwo polskie aspirujące do panowania nad Ukrainą, Białorusią i Litwą musi być imperialistyczne. Trudno — co prawda — przypuścić by komukolwiek w Polsce marzyła się dziś taka sytuacja. Lecz jest również prawdą, że w okresie Drugiej Rzeczypospolitej na równi z Rosją Radziecką uczestniczyliśmy w polityce rozbioru Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Gwarancją suwerenności Polski jest suwerenność narodów dzielących nas od Rosji i polityka godząca w suwerenność tych narodów jest antypolska. Nie ma granicy polsko-rosyjskiej, a każdy, kto ją buduje, musi sobie uświadomić, że robi to za cenę uciemnienia Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Dla Polski jest to program niesuwerenności, stałego śmiertelnego niebezpieczeństwa, dla narodu rosyjskiego — program dyktatury deprawującej społeczeństwo.

Przedstawiciele demokratycznej opozycji rosyjskiej dawali już wyraz swemu stanowisku w tej kwestii. Podpisując deklarację wydaną w 35-tą rocznicę agresji ZSRR na Polskę i deklarację w sprawie ukraińskiej jednoznacznie podkreślali, że imperialistyczne dążenia ZSRR zarówno w przeszłości jak i obecnie stanowią zasadniczą przeszkodę we wspólnym wszystkim narodom Europy Środkowo-Wschodniej dążeniu do demokracji. Podkreślali, że warunkiem zarówno demokracji jak i suwerenności Polaków i Rosjan jest wolność narodów ciemnionych przez ZSRR. Nie wahamy się powtarzać starych prawd i starych hasel. Razem z demokratami rosyjskimi głosimy dziś znowu: za wolność naszą i waszą. Dziś, kiedy na Ukrainie i Litwie coraz silniejsza staje się walka o swobody demokratyczne, a demokracja rosyjska odważnie się z nią solidaryzuje — hasło za waszą i naszą wolność jest bardziej niż kiedykolwiek dotąd jedynym realistycznym programem suwerenności Polski.

Narody zniewolone i narody, które niewolą, jednakowo zatrują się nienawiścią i pogardą. Totalitaryzm sprzyja ksenofobii ufundowanej na przesądach, uprzedzeniach i nienawiści. Bez przewyciężenia wzajemnej wrogości niemożliwa jest wspólnota celów Ukraińców, Litwinów, Białorusinów, Polaków i Rosjan. Bez tej zaś wspólnoty pozostaniemy uwięzieni w historii na następne stulecia. Wynika stąd program działania: walczyć z ksenofobią i szowinizmem we własnym narodzie, krzewić zrozumienie niepodległościowych aspiracji Ukraińców, Białorusinów, Litwinów. Krzewić zrozumienie, że z demokratami rosyjskimi

łączy nas wspólnota celu w dążeniach demokratycznych i wolnościowych. Oto realistyczna droga do suwerenności Polski.

Głos Nr 1.

POLSKA - CZECHOSŁOWACJA

Latem 1978 roku odbyły się dwa spotkania członków Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” i sygnatariuszy Karty 77. Wywiad, który zamieszczamy poniżej, został przeprowadzony podczas drugiego spotkania, we wrześniu 1978 roku, na granicy polsko-czechosłowackiej. Ze strony Karty 77 w rozmowie uczestniczyli: Marta Kubisova, pieśniarka, rzecznik Karty, Vaclav Havel, pisarz, dramaturg Ladislav Heydanek, filozof i teolog ewangelicki, rzecznik Karty, Pavel Landovski, aktor, Petr Uhl, działacz młodzieżowy z okresu wiosny praskiej. Jednego z uczestników rozmowy wymieniamy tylko z imienia. Jest to Jiri.

Jan LITYŃSKI,
Antoni MACIEREWICZ

ROZMOWA Z SYGNATARIUSZAMI KARTY 77

Karta 77 nie jest stowarzyszeniem, komitetem, ugrupowaniem politycznym. Jest społecznością ludzi domagających się przestrzegania Praw Człowieka i Obywatela. Jak doszło do tego, że spotkaście się, jak powstała Karta 77?

Ladislav Heydanek: — Zaczęło się od procesu grupy muzycznej „Plastic People” latem 1976 roku. Doszło do porozumienia między intelektualistami i byłymi działaczami komunistycznymi, usuniętymi z KPCz po 1968 roku: Cerny, Kriegel, Mlynar, Patocka, Seifert wystosowali wspólnie list protestujący przeciwko procesowi. Było to pierwsze publiczne wystąpienie od czasu „normalizacji”. Oczywiście i przedtem represje spotykały się

z potępieniem zachodniej opinii publicznej. Protestowali Böll, Grass, Dürrenmatt. W kraju jednak panowała cisza.

Vaclav Havel: — Był to pierwszy proces ludzi nie związanych z działalnością polityczną, ludzi bez politycznej przeszłości. W systemie takim jak nasz, kryzys następuje wtedy, gdy reżym ściera się z przeciwnikami nie politycznymi. Tak było właśnie w tym wypadku. Tu już nie chodziło o różnice ideologiczne, spory przeszłości. Przed sądem postawiono młodych ludzi atakując ich styl życia, działalność artystyczną. Fakt ten sprawił, że doszło do porozumienia: byli działacze z 1968 roku, chrześcijanie i intelektualiści wystąpili ze wspólną akcją protestacyjną. Odniesiono sukces: w pierwszym procesie skazano 27 osób na kary do dwu i pół roku więzienia, zaś po protestach dwadzieścia trzy osoby zwolniono, a pozostałym obniżono karę o rok.

Doszło więc do porozumienia się grup i środowisk opozycyjnych już istniejących. Czy zjawisko to nie było jednak uwarunkowane głębszymi procesami społecznymi?

L.H.: — Z pewnością tak. W roku 1976 nastąpiła zasadnicza zmiana atmosfery społecznej i intelektualnej. Coś się w społeczeństwie przełamało. Proces grupy „Plastic People” był jakby katalizatorem tej przemiany.

V.H.: — Po zrywie jakim były lata 1968-69 społeczeństwo popadło w apatię. Ludzie nie chcieli mieć nic wspólnego z jakąkolwiek opozycją, nie chcieli nawet czytać powieści przepisywanych na maszynie, bali się. Początek lat 70-tych to okres najgorszej depresji. Potem nastąpiło zmęczenie zmęczeniem. Stąd właśnie wywodzi się obecny klimat... Różne, izolowane grupy odczuły potrzebę wzajemnego kontaktu, wspólnoty. Ludzi tych połączyła potrzeba wspólnego dawania świadectwa prawdzie. Ta moralna potrzeba stanowi płaszczyznę, na której spotkali się ludzie ideowo tak różni jak eurokomunista Młynar, piosenkarka Kubisova, fenomenolog Patocka.

Czy inicjatywa powołania Karty związana jest z jakimś konkretnym środowiskiem, grupą?

V.H.: — Nie sposób wyróżnić tu którejkolwiek grupy. Była to wspólna inicjatywa poszczególnych ludzi.

Koncepcja powołania Karty kształtowała się mniej więcej w tym samym czasie, w którym w Polsce doszło do wystąpień robotniczych, i utworzenia Komitetu Obrony Robotników. Jaki był wpływ wydarzeń w Polsce na sytuację w Czechosłowacji?

Petr Uhl: — Aby na to odpowiedzieć trzeba się cofnąć do wydarzeń wcześniejszych, do tego co działo się w roku 1968. Na nasz ruch studencki miał olbrzymi wpływ zarówno warszawski Marzec jak i paryski Maj. Początkowo, do momentu interwencji, ruch studencki w Czechosłowacji był słaby, niezorganizowany, dopiero potem stał się masowy.

A demonstracja studentów praskich na osiedlu Strachov, w październiku 1967 roku?

P.U.: — Oczywiście, zdarzały się wystąpienia studenckie. Miały one jednak charakter doraźny, były nie zorganizowane. Dopiero po marcu 1968 roku ruch studencki zaczął się organizować. Szczególnie duży wpływ doświadczeń polskich dawał się zauważyć na wydziale filozofii. Już dużo później, bo w listopadzie 1968 roku wielki strajk studencki w Pradze wzorowany był na strajkach studentów polskich z Marca. Wydaje mi się, że również wydarzenia grudniowe 1970 roku miały duży wpływ na Czechów i Słowaków. Trudno mi jednak powiedzieć coś konkretnego — byłem wówczas w więzieniu.

Jeśli zaś chodzi o demonstracje robotnicze w czerwcu 1976 roku i powstanie Komitetu Obrony Robotników, to praktycznie nie mieliśmy żadnych informacji o przebiegu wypadków w Polsce. Oczywiście dowiedzieliśmy się o powstaniu KOR ale to było praktycznie wszystko. Gdy powstawała Karta żałowałem, że nie może ona dotyczyć tak konkretnej sprawy jak KOR.

V.H.: — Dla mnie wydarzenia czerwcowe, a potem powstanie KOR miały bardzo duże znaczenie. KOR stał się dla mnie programem działania. Myślę, że powstanie KOR-u grało dużą rolę dla wszystkich, którzy inicjowali Kartę 77. Trudno mi jednak powiedzieć czy takie było odczucie powszechne.

L.H.: — Myślę, że odczucie powszechne było takie, iż w Polsce można zrobić o wiele więcej niż u nas. Powstanie KOR miało niewątpliwie duże znaczenie. Ze względu jednak na odmienne tradycje KOR nie mógł stać się dla nas modelem działania. Pewną rolę odegrał też fakt, że początkowo KOR deklarował

bardzo ograniczone cele. Po przekształceniu KOR w Komitet Samoobrony Społecznej i przyjęciu ogólniejszej płaszczyzny działania opublikowaliśmy wybór z dziesięciu Komunikatów.

Często formułuje się opinię, że opozycja w Czechosłowacji jest bardziej jednolita niż w Polsce. Czy Karta jest rzeczywiście jednolita ideowo, czy też dadzą się wyodrębnić różne nurty?

V.H.: — Przede wszystkim trzeba podkreślić, że z ponad 1.000 sygnatariuszy, sześciuset w ogóle nie podejmuje działalności politycznej. Chcą dawać świadectwo, żyć w prawdzie.

P.U.: — Tylko bowiem prawda jest rewolucyjna.

V.H.: — Można natomiast mówić o trzech głównych nurtach ideowo-politycznych. Pierwszy tworzą eurokomuniści, czyli ci dawni członkowie KPCz, którym bliskie są idee komunistycznej partii Hiszpanii czy komunistycznej partii Włoch, np.: Jiri Hajek, Jiri Dienstbier, Jaroslav Sabata czy Frantisek Kriegel. Ludzi tych łączy pewna wspólnota ideowa, lecz trudno mówić o nich jako o jednolitej grupie. Nie należy zresztą ich mylić z byłymi komunistami, którzy znajdują się w różnych nurtach ideowych w zależności od obecnych poglądów. Do drugiego nurtu zaliczyłbym rewolucyjnych marksistów, którzy reprezentują idee demokracji robotniczej jak np. Petr Uhl. W większości są to ludzie młodzi, nie związani z wydarzeniami praskiej wiosny. Nurt trzeci tworzą niezależni socjaliści jak Jiri Miller, Rudolf Batek, Jaroslav Meznik inspirowani ideami socjaldemokracji, zwolennicy systemu parlamentarnego.

Istnieją też grupy, których nie sposób określić w kategoriach politycznych. Myślę tu przede wszystkim o tych, którzy zaangażowali się w Kartę z inspiracji chrześcijańskiej — są to zarówno ewangelicy (np. Ladislav Heydanek) jak i katolicy (np. Jiri Nemeč, Vaclav Benda). Lecz także o niezależnych politycznie intelektualistach (np. Jiri Grusa, Pavel Kohout, Pavel Vaculik). Do tej grupy zaliczyłbym i siebie. Olbrzymią rolę odgrywa też zupełnie apolityczny ruch młodzieżowy zwany *underground*.

Podziały między poszczególnymi nurtami i grupami są płynne, w żadnym wypadku powyższego wyliczenia nie należy traktować jako sztywnego i wyczerpującego schematu. Przykładowo marksista Frantisek Kriegel z trudem mieści się w jakiegokolwiek grupie. Jedno można powiedzieć z całą pewnością — nie ma wśród nas reakcjonistów.

A kogo uważacie za reakcjonistów?

L.H.: — Reakcjonistami nazwałbym zwolenników odgórnego sterowania społeczeństwem, przeciwników idei samorządności, tych dla których elita bogatych ważniejsza jest od społeczeństwa.

Z tego co wiemy Karta 77 skupia przede wszystkim Czechów. Czym tłumaczyć stosunkowo mały udział Słowaków w Karcie?

Jiri: — To trudne pytanie. Karta powstała w Pradze, na Słowacji była zbyt mało propagowana. Wpływ tu też miała tradycyjna nieufność Słowaków do Czechów, pewien konserwatyzm słowacki. Na Słowacji prawie nie występuje *underground*, który stanowił swoiste podłoże Karty.

Pavel Landowski: — Myślę, że pewną rolę odegrał też fakt, że w Słowacji jest stosunkowo niewielu byłych członków KPCz.

V.H.: — Społeczeństwo słowackie jest mniej ustrukturalizowane bowiem walka o identyczność narodową była tu dłuższa i trudniejsza. I dlatego problem narodowy pozostaje do dzisiaj głównym problemem Słowaków, a walka o swobody demokratyczne jest na drugim planie.

Karta 77 mówi przede wszystkim o Prawach Człowieka i Obywatela, o konieczności ich przestrzegania. Czy w tym zawiera się cel waszego działania?

V.H.: — Podoba mi się rozróżnienie dokonane przez Hansa Brocka. Twierdzi on, że istnieją dwa typy organizacji społecznych, jedne mają cel pragmatyczny. Karta mieści się w drugim: nie ma celów doraźnych, nie chce zastąpić jednej ekipy rządzącej drugą, lecz dąży do zmiany sytuacji społecznej. Nie jest więc Karta klasyczną opozycją.

Lecz czy zmiana sytuacji społecznej jest osiągalna bez zmiany sytuacji politycznej?

L.H.: — Nasza działalność ma przede wszystkim charakter moralny, punktem wyjścia jest dla nas człowiek. Cele nasze są więc w pierwszym rzędzie humanitarne, potem dopiero polityczne. Przemiany powinny zaczynać się od zmian moralnych,

dopiero później mogą nastąpić zmiany polityczne. Wielokrotnie dokonywano zmian politycznych, które natrafiały na nieprzygotowane społeczeństwo, dlatego też były nieskuteczne. Chcemy uniknąć tej sytuacji w przyszłości.

Czy liczyacie się ze zmianami sytuacji politycznej w bliskiej przyszłości?

L.H.: — Tak, w perspektywie około dziesięciu lat.

Czy byłby to powrót do idei praskiej wiosny?

V.H.: — To dzisiaj już za mało. Nawet eurokomuniści uważają, że reformy praskiej wiosny były niewystarczające, że powinno się iść dalej. Takie stanowisko zajmuje na przykład J. Sabata.

Załóżmy, że nastąpiłby przewrót. Czy Karta opowiedziałaby się wtedy za którąś z grup w KPCz?

L.H.: — Nie. Robilibyśmy to samo co dzisiaj.

Jeśli już mówimy o przyszłości. Czy sądzicie, że narody ujarzmione przez ZSRR uzyskają niepodległość?

L.H.: — Jestem przekonany, że przyszłość nie należy do państw narodowych. Powinna powstać federacja europejska. W jej skład wejdą oczywiście Estonia, Litwa, Łotwa, Białoruś i Ukraina, a także Polska i Czechosłowacja.

Czy ci spośród was, którzy są ludźmi religijnymi, nie obawiają się, że w razie zmiany sytuacji politycznej eurokomuniści staną się przeciwnikami religii?

L.H.: — Mlynar pragnąłby przedstawić wszystkie sukcesy Karty jako triumf eurokomunistów. Jest to błąd polityczny. Przy każdej zmianie *status quo* komuniści znajdują się w defensywie. Istnieje niebezpieczeństwo, że ludzie będą wtedy chcieli, by komuniści wycofali się w ogóle ze sceny politycznej. To również byłoby złe. My, niekomuniści, programowo chcemy współdziałać z komunistami. Trzeba umieć różnicować komunistów i współpracować z tymi, którzy chcą działać na rzecz demokracji. Partne-

rami mogą być tylko ci, którzy zrezygnują z dążeń do hegemonii. Komuniści w warunkach demokratycznych mogą na krótki czas przejąć władzę, później muszą stać się jedną z wielu partii, albo zniknąć ze sceny politycznej.

Pytanie do Marty Kubisovej i Pavla Landovskiego: Co skłoniło was, ludzi mogących spokojnie wykonywać swój apolityczny zawód, że zdecydowaliście się na działalność, która naraża na nieustanne szykany?

P.L.: — Każdy człowiek pracując chce być uczciwy, chce myśleć. Otóż po agresji stało się to niemożliwe; miałem wrażenie, że robię coś co nie jest prawdą.

M.K.: — Śpiewałam protest-songi, ludzie mi wierzyli. Nie przeszłam żadnej edukacji politycznej lecz wiedziałam co jest białe a co czarne. Nie chciałam więc podpisywać deklaracji lojalności. W latach 70-tych jeździłam po Europie Zachodniej. Tam dowiedziałam się jakie salta psychiczne wykonywali różni moi przyjaciele w kraju. Ja chciałam być wolna. Mogłam występować nadal, mieć liczne engagement. Nie. Postanowiłam dobrze reprezentować Czechy. I dlatego robię to co robię.

V.H.: — W ten sposób człowiek staje się dysydem. Chce być wolny, być sobą i zostaje dysydem.

Pytanie do Marty Kubisovej: Czy jesteś wolna?

M.K.: — Tak. Jestem wolna od 10 lat... byłam wolna zawsze.



Ze względu na szczególne okoliczności rozmowy nie mogliśmy autoryzować jej tekstu. Staraliśmy się jednak o zapis możliwie dokładny. Tekst rozmowy ukazuje się również w *Biuletynie Informacyjnym*.

*Rozmowę przeprowadzili: Jan LITYŃSKI
Antoni MACIEREWICZ*

G ł o s Nr 9.

RÓŽNE

Drużynowy TIMUR

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

W ONZ, w komisji utracono na wniosek Kuby projekt powołania Komisarza ONZ do obrony praw człowieka i większość delegacji reprezentujących wszystkie kraje członkowskie ONZ nie ośmieliła się wprowadzić utrupić projektu wprost, ale uznała, że można z nim poczekać przynajmniej do następnej sesji. W skład tej większości weszły oczywiście *en bloc* wszystkie kraje komunistyczne, nadto najrozmaitsze dyktatury wojskowe, „Republiki ludowo-socjalistyczne” i operetkowe cesarstwa z trzeciego świata — krótko mówiąc, właśnie wszystkie te państwa, które mają powody obawiać się kompetencji Komisarza ONZ do prowadzenia samodzielnego śledztwa w krajach oskarżonych o niepraworządność w dziedzinie praw ludzkich.

Jak zwykle w takich razach, koronnym argumentem przeciwników projektu była suwerenność każdego państwa. Można przyjąć, że w wielu krajach do niedawna kolonialnych argument ten istnieje, dominuje w wyobraźni politycznej społeczeństw. Dlatego też nie chcą one często pojąć, iż sam fakt przyznawania się do ponadnarodowych wartości, takich jak prawa człowieka, zmusza, jeśli akces nie jest tylko werbalny, do przyjęcia również ponadnarodowych mechanizmów kontroli i sankcji. Nie ma, rzecz jasna, nic wspólnego pomiędzy takim niezrozumieniem ze strony młodych społeczeństw które pławią się jeszcze w euforii świeżo uzyskanej państwowości (aczkolwiek prześladowani w tych krajach też już wołają o pomoc międzynarodowej opinii) — a cynizmem delegacji komunistycznej, reprezentującej państwa o niepełnej suwerenności oraz mocarstwo, które je zholdowało i które

w celu skutecznego mieszania się w sprawy wewnętrzne swych wasali delegowało kilkadziesiąt dywizji.



Po rekonstrukcji gabinetu japońskiego premiera Fukudy w Tokio zapowiedziano w połowie grudnia, że nowy minister spraw zagranicznych, Sonoda, udaje się w styczniu 1978 roku do Moskwy. Podróż tę przedstawia się półoficjalnie w Tokio jako „ostatnią szansę” dla ZSRR przed zawarciem japońsko-chińskiego traktatu o pokoju i przyjaźni. Traktat ten negocjowany skiego traktatu o pokoju i przyjaźni. Traktat ten, negocjowany z dużymi przerwami (obecna trwała dwa lata) od roku 1972, zobowiązującą obie strony do przeciwdziałania usiłowaniu jakiegokolwiek mocarstwa osiągnięcia pozycji hegemonia w Azji Wschodniej. Związek Radziecki od początku nie ukrywał, że rozumie tę klauzulę jako wymierzoną przeciw sobie i robił wszystko co mógł, aby odwieść Japonię od podpisania tak zaprojektowanego traktatu. Chińczycy ze swej strony zgodzili się na złagodzenie sformułowania klauzuli, ale z utrzymania jej zasadniczej treści uczynili warunek *sine qua non* traktatu. Dla Pekinu klauzula antyhegemoniczna stanowi niezbędną odpowiedź na manewry radzieckie obliczone na zmontowanie wokół Chin swoistego kordonu sanitarnego zwanego azjatycką strefą bezpieczeństwa. Japończycy jak twierdzi tokijski korespondent monachijskiej *Süd-deutsche Zeitung* są zdecydowani sfinalizować układ z Chinami. Dyplomacja radziecka przeciągnęła mianowicie strunę. Już w roku 1956 kiedy mimo braku traktatu pokojowego oba kraje nawiązały stosunki dyplomatyczne, ZSRR dawał do zrozumienia, że po pewnym czasie byłby skłonny zwrócić Japonii dwie z zabranych jej w 1945 roku czterech Wysp Kurylskich: Habomai, Szikotan. Ten czas nigdy nie nadszedł, a warunki nigdy nie zostały sformułowane — tylko wówczas, gdy Japonia zbliża się do Chin żelazny minister Gromyko przypomina sobie dane słowo i znów „daje do zrozumienia, że...”. Tak też się stało na jesieni 1977 roku — ale tym razem Japończycy podbili stawkę. Sonoda oświadczył, że Japonia żąda nie dwóch, ale czterech wysp i że nawet gdyby ZSRR tamte dwie teraz zwrócił, to nie powstrzyma to już Japonii od podpisania traktatu z Chinami. Niezależnie od dyplomatycznych gier Japończyków, sprawa czterech wysp Kurylskich ilustruje pewien bardzo istotny dylemat imperializmu radzieckiego w dobie obecnej. Zaludnione przez rybaków głównie Ajnów i Japończyków, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia gospodarczego, strategicznie ważne tylko dla sztabu generalnego

który by planował inwazję Japonii od północy, przez Hokkaido — zabrane przez Rosjan wyspy nigdy nawet, inaczej niż południowym Sachalin, do nich nie należały. Zostały im przyznane lekką ręką przez Amerykanów, co potwierdzi traktat pokojowy z Japonią, podpisany w San Francisco w 1952. Ponieważ Amerykanie w roku 1945 uważali Japonię za swego pokonanego przeciwnika, najperfidniejsi z polityków amerykańskich chcieli zaangażować ZSRR w rozbiór rdzennie japońskiego terytorium. Że to się „opłaciło” dowodzi głęboka uraza, jaką żywi Japonia do ZSRR: cztery wyspy Kurylskie stały się symbolem upokorzenia i krzywdy i nawet japońska partia komunistyczna piętnuje imperializm radzieckiego okupanta. Trudno zatem uchylić się od pytania, jakież to obłęd każe wytrawnej dyplomacji moskiewskiej obstawać przy tej wątpliwej zdobyczy czterech wulkanicznych wysepek, za które ceną jest nienawiść całego potężnego narodu i ułatwienie gier dyplomatycznych Pekinu, najbardziej zniechęconego z wrogów? Otóż są niestety racje tego obłędu i nieskomplikowane: dobrowolnie niczego nigdy nie oddawać! Dyplomacja radziecka sądzi, iż nie można wyrzec się Kuryli, bo byłby to zbyt groźny precedens. Czy może być jeszcze skutecznym imperializmem imperializm, który oddaje? Pytanie, zapewne, dla Makiawela. Ale można zauważyć, bez trudu, że zasada „dobrowolnie niczego nie oddawać” obciąża politykę ZSRR reumatyczną sztywnością.



Na trzy miesiące przed wyborami parlamentarnymi we Francji szanse lewicy dojścia do władzy stały się bliskie zeru. Przede wszystkim, jest dość prawdopodobne, że po wielu miesiącach rekryminacji w łonie „zjednoczonej lewicy”, którą przypomina nienawidzące się stadło, spora grupa zniechęconych i pełnych niesmaku wyborców lewicy po prostu nie chce głosować. Po drugie, i ten efekt jest już właściwie nieunikniony, nie może być w tej atmosferze w pełni skutecznego układu o wzajemnym przenoszeniu głosów na lepiej uplasowanego kandydata, nawet jeśli by go w ostatniej chwili zawarto. We Francji, jak wiadomo, głosuje się w dwóch turach, chyba że któryś z kandydatów uzyskuje już w pierwszej turze bezwzględną większość. Do drugiej tury stają tylko kandydaci, którzy mieli dobre wyniki w pierwszej, ponadto partie sojusznicze wycofują kandydatów gorzej uplasowanych wzywając do głosowania na alianta tak, że regułą w drugiej turze jest walka dwóch tylko kandydatów. W ostatnich latach przedstawiciela większości rządowej i przedstawiciela lewicy. Otóż jest bardzo wątpliwe, czy wyborcy komunistyczni

i socjalistyczni wykazaliby tym razem odpowiednią dyscyplinę i posłuchali wezwań partyjnych sztabów, nawet szczerych: wyborcom komunistycznym partię socjalistyczną przedstawia się od miesięcy jako przeżartą duchem socjaldemokracji i chcącą tylko „zarządzać kryzysem” na rzecz kapitału — zaś wyborcom socjalistycznym cała ta kampania zdyscyplinowanej maszyny PPK przypomina że francuscy komuniści mają bardzo jeszcze stalinowską partię.

Szanse lewicy mogłoby uratować jakieś bardzo dramatyczne i bardzo widowiskowe „pojednanie” FPK i PS, ale poważni obserwatorzy nie wierzą w tę możliwość, ponieważ ich zdaniem FPK po prostu nie chce wybrać wyborców w sojuszu z socjalistami i na podstawie wspólnego programu. FPK bowiem czuje się pewnie tylko na gruncie dotychczasowego komunistycznego programu przekształceń społecznych, odziedziczonego po Leninie i Stalinie. Innego spójnego programu jeszcze nie posiada, nawet szczerze chciałaby zachowania pluralizmu politycznego i wolności demokratycznych. FPK byłaby więc w razie zwycięstwa skazana na polityczne kierownictwo PS, co jest dla niej nie do przyjęcia.

Raczej niż wielkiego pojednania można przed wyborami spodziewać się manewrów FPK obliczonych na mniej czy bardziej otwarty rozłam wśród sojuszników, np. przedkładanie kandydatom socjalistycznym do podpisu dodatkowych *pacta conventa* z FPK, z komunistyczną wersją aktualizacji wspólnego programu.

FPK ma w gruncie rzeczy w ręku wyniki marcowych wyborów. Ale właśnie dlatego klęska lewicy może tę partię kosztować bardzo drogo. Jeśli francuska klasa robotnicza obciąży komunistów odpowiedzialnością za porażkę, może to partii Georges Marchais przetrząść kark.

FPK przyznaje się wprawdzie do 600 tys. członków i w perspektywie widzi się partią milionową: ten stały wzrost liczebny mimo polemiki z socjalistami dodaje kierownictwu FPK otuchy. Ale jest całkiem możliwe, że FPK zdobywa nowych członków i zarazem traci wpływy, które wyrażają się liczbą wyborców: byłby to proces cofania się do własnego getta społeczno-politycznego gdzie FPK mogłaby wprawdzie przetrwać ale skąd nie byłaby w stanie niczego zdziałać.

Znacznie prościej jest skonstruować scenariusz możliwej przyszłości partii socjalistycznej, która inaczej niż FPK jest w całości owocem jednościowych tendencji na lewicy i która może nie przeżyć rozwiania się nadziei na marzec 1978: przesunięcie ku centrum spowodowałoby niemal na pewno rozłam w partii. Mitterrand daje do zrozumienia, że jeśli nie nastąpi pojednanie z FPK, to wprawdzie PS nie ma gotowej żadnej strategii alter-

natywnej, ale ma pewne szanse uzyskać prawie połowę elektoratu francuskiego i sformować rząd jednopartyjny, który byłby najmożliwszym z jedynie wówczas możliwych rozwiązań w układzie parlamentarnym. Jest to rodzaj kombinacji portugalskiej, która właśnie w grudniu poniosła porażkę, bo jednopartyjny rząd Soaresa upadł; przede wszystkim jednak trzeba uzyskać w marcu ponad 40 % głosów, o połowę prawie więcej niż w wyborach komunalnych wiosną 1977 roku.

G ł o s Nr 3.

Jan WALC

PAMIĘCI JANA WORECZKI

Zazwyczaj bywa tak, że w chwili, gdy ktoś odchodzi, nie pamięta się już dokładnie wszystkich okoliczności, związanych z jego pojawieniem się na świecie i chociaż Janowi Woreczce przyszło istnieć zaledwie parę miesięcy, jest tak i w jego wypadku.

Pamiętam, że Woreczko urodził się we wrześniu 1977 roku w „Harendzie” podczas mojej rozmowy z redaktorem nieistniejącego jeszcze *Głosu*, Antkiem Macierewiczem, nie potrafię jednak sobie przypomnieć, co było powodem tych urodzin, czy decydującą rolę odegrał tutaj mój strach przed podpisaniem tekstu własnym nazwiskiem, czy cię nadziei, że jeżeli tym podpisem nie będę prowokował losu, zdobędę możliwość znalezienia pracy czy publikowania.

Czy więc — jeżeli dziś przychodzi mi Woreczkę pogrzebać — jego powołanie do życia było pomysłem poronionym, skutkiem nieprecyzyjnej analizy rzeczywistości, złudnych strachów i złudnych nadziei? Pewnie sprawa nie jest aż tak prosta, tym bardziej, że do dziś jeszcze trafiam na rozmaite, również jakby nieco dziwne nazwiska, a wymyśleni ludzie prowadzą nawet ze sobą polemiki (np. Filip Płaskowicki z Natalią Naruszewicz). Myślę, że ogromna większość tych, zaludniających niezależne wydawnictwa, fantomów zrodziła się podobnie jak Woreczko i często żyje dzisiaj prawem inercji, korzystając z tego, że powszechna jest niechęć do zabijania (nawet piórem), czego natomiast powiedzieć nie można o prokreacji, uznawanej zazwyczaj za czynność przyjemną.

Morduję dzisiaj Jana Woreczkę z dwu niezależnych powodów: z jednej strony ruch, w którym Woreczko uczestniczył i który

współtworzył, osiągnął taki zasięg, że chroni swego uczestnika, z drugiej zaś prawdziwy podpis wydaje mi się niezwykle ważny i z innego punktu widzenia — wszem i wobec wiadomo, że zwolennicy obecnego systemu społeczno-politycznego Polski po prostu nie istnieją, a niepodpisana imieniem i nazwiskiem opozycja liczy w Polsce około trzydziestu milionów ludzi, bo nawet dzieci z młodszych klas szkoły podstawowej przynoszą masowo do domu kawały polityczne, a czegoż nie mówią dorośli w kolejkach i tramwajach...

Jest jednak tak, że to bycie przeciw jest anonimowe, że kiedy trzeba coś podpisać, „nasza partia” ma miliony zwolenników karnie i w ordynku idących do urn wyborczych albo na masówkę, protestujących odważnie przeciw bombie neutronowej. Kilkanaście podpisów założycieli KOR-u latem 1976 roku dokonało pod tym względem świadomościowej rewolucji w społeczeństwie.

Woreczkę trzeba dziś pogrzebać także dlatego, aby wreszcie zerwać z tak charakterystycznym dla naszego polskiego życia schizofrenicznym brzuchomówstwem. Przecież, jeżeli powoływałem go kiedyś do życia, to właśnie po to aby — przynajmniej takie były moje intencje — mówić jednocześnie dwoma przynajmniej głosami, aby Woreczko w *Głosie* mówił swoje, a Walc w *Polityce* swoje. Oczywiście żywiłem nadzieję, że między tymi dwoma głosami nie będzie sprzeczności a tylko różnice. Była to oczywiście droga szukania jakiegoś kompromisu, z głęboką nadzieją, że będzie to kompromis mądry, a jednocześnie honorowy.

Ale tego kompromisu nie ma i nie może być, bo — jak mówi Boy-Mędrzec — „w tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”, a nie muszę tu chyba powtarzać analiz dokonywanych wielokrotnie przez Woreczkę, analiz z których wynikało, że władza w Polsce istnieje sama dla siebie i w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowana jakimikolwiek kompromisami z ludźmi o poglądach niezależnych — jej celem jest wyeliminowanie ich z życia publicznego i zastąpienie ludźmi dyspozycyjnymi, a więc takimi, którzy żadnej niezależności nie dają po sobie poznać.

Jasne, że nie jest to tylko problem mój i Woreczki, ani też tylko dziennikarzy, piszących w rozmaitych, niezależnych czasopiśmie pod pseudonimami: jest to problem całego polskiego społeczeństwa, od lat trzydziestu paru uczącego się mówić dwoma językami. Sformułujemy problem jasno: zdecydowaną już dziś większość obywateli PRL uczono tej dwujęzyczności od urodzenia. Wiadomo, że istotniejsza od prawdziwości wygłaszanego sądu jest sytuacja, w jakiej się go wygłasza, bo jak ludzie są równi i równiejsi, tak i prawdy są różne: jedna dla księdza,

druga dla pani nauczycielki, jedna przy wódce, druga na zebraniu, jedna uczciwa, druga użyteczna.

Dzień po dniu, przez 365 dni w roku, przez tysiące dni naszego życia jesteśmy uczeni, że prawda oficjalna, prawda przed panią nauczycielką, na zebraniu pracowniczym, w gazecie czy w dzienniku telewizyjnym musi być nieprawdziwa w tradycyjnym sensie tego słowa, musi być sprzeczna z naszym doświadczeniem, z naszą wiedzą, wreszcie z naszymi poglądami, jeżeli przypadkiem takie posiadamy. Jesteśmy uczeni, że jeżeli komuś przyjdzie wypowiadać się właśnie w sytuacji oficjalnej, musi mówić odpowiednim językiem, musi kłamać czy przynajmniej mówić półprawdy.

Nie chcę wcale występować tu jako radykalny moralista, który nie dopuszcza w ogóle kłamstw nigdy i nigdzie, ale przecież zdajmy sobie sprawy, że jeżeli kłamstwo jest wszechogarniające, jeżeli nie jest ograniczone ani w czasie (trwa już ponad trzydzieści lat) ani też nie ma ludzi poza jego krąg wyłączonych (jest nas ponad 30 milionów dwujęzycznych), stopniowo będziemy zapominać języka, którym mówi się prawdę.

I dlatego urządzam dziś uroczysty pogrzeb Jana Woreczki. Człowiek ma tylko jeden głos, a jeżeli mówi dwoma, to jest to albo cyrk, albo paranoja. Za uczestnictwo w tej zbiorowej wariacji każdy odpowiada sam, tak jak sam godzi się albo nie godzi na dwujęzyczność.

I jeszcze jedno: Woreczko mógł żyć, jeżeli ja, razem ze swoim nazwiskiem mogłem żyć gdzie indziej. Jeżeli zaś mnie nie dają żyć — ja nie dam żyć Woreczce i zajmę jego miejsce.

Głos Nr 6.

Jan WALC

T O T A L E K

Od dosyć dawna sceptycy zadają mi pytanie, jaki sens może mieć ruch opozycyjny, skoro nie ma ciągle człowieka, który byłby niekwestionowanym przywódcą po zwycięstwie. Sceptyków jest ostatnio dużo, bowiem jest to postawa latoś ze wszech miar korzystna: pozwala ona na manifestowanie swojej głębokiej troski *de publicis*, na ukazywanie wszem i wobec swego krytycznego intelektu, a przy tym nie zmusza do podejmowania żadnych dzia-

łań, nadając owemu niedziałaniu sankcję najwyższej mądrości. Nabierając się na ową mądrość, próbowałem wielokrotnie odpowiadać sceptykom pytaniem, czy mianowicie wedle ich wiedzy historycznej, ktokolwiek z ludzi biorących się 14 lipca 1789 roku do rozbierania Bastylli na kawałki mógł słyszeć o podporuczniku Napoleonie Bonaparte. Odpowiedź otrzymywałem na ogół wymijającą, a moim rozmówcom najwidoczniej wydawało się, że dwa wieki jakie upłynęły od tamtych wydarzeń, każą traktować je wyłącznie abstrakcyjnie, że dzisiaj przyszłego Konsula wszyscy powinni znać *a priori* i zapewne byłoby najlepiej, gdyby kometa prowadziła hołdowników do jego kołyski a bydłatka mówiły nad nią ludzkim głosem.

A może 1984? Próżnują wieszczce i ciągle jeszcze dokładnie nie literatów i tyle literackich czasopism — dlaczego nigdzie nie zostało jeszcze objaśnione, kto ów Maż, wskrzesiciel Narodu, i ile właściwie wynosi jego imię — 44, 56, 68 czy może 76? A może 1984? Próżnują wieszczce i ciągle jeszcze dokładnie nie wiadomo, a sceptycy by chcieli wiedzieć dość wcześniej, żeby odpowiednio ustawić żagle, zgodnie z kierunkiem wiatru historii. Ale oto niedawna prasa przyniosła wiadomość o nagłej chorobie wojewody katowickiego, który w związku z nią zmuszony był podać się do dymisji. Nie ma w tym nic dziwnego ani nadzwyczajnego, powiem więcej: podziwiać należy zdrowie wojewodów pozostałych. Na przykład ja osobiście mam serce na tyle słabe, że chyba na tym stanowisku nie przeżyłbym nawet 48 godzin (do wyjaśnienia), choć skądinąd przeczekiwanie tej ilości godzin opanovałem nienajgorzej. Koła dobrze poinformowane donosiły zresztą o dymisji w Katowice wcześniej niż PAP i chociaż do momentu, kiedy to piszę, rewelacje te nie zostały jeszcze sprawdzone, historię choroby wojewody warto przedstawić jako scenariusz, wiele sceptykom wyjaśniający.

Oto sesja plenarna Wojewódzkiej Rady Narodowej. Pełna gala. Na sali pod portretami i hasłami, miejscowi notable i wybrani przez nich radni. Wojewoda uroczyście otwiera sesję i rzece: Towarzysze! Sytuacja w kraju jest katastrofalna. Gospodarka faktycznie nie funkcjonuje. Zaopatrzenie ludności w podstawowe artykuły nie przekracza 25 % zapotrzebowania. Plany w zakresie budownictwa mieszkaniowego są permanentnie nie wykonywane. Władze centralne nie prowadzą żadnej konsekwentnej polityki gospodarczej, kulturalnej, oświatowej. Edward Gierk zawiódł oczekiwania społeczne i nie dotrzymał słowa danego narodowi pamiętnej zimy 1970/1971.

Grobowa cisza sali pęka nagle i rozlegają się *burnyje aplotdismienty pieriechadiaszczyje w owacju*. Wojewoda ciężkim kro-

kiem opuszcza mównicę i wraca na swoje miejsce za stołem prezydialnym. Nikt nie kwapi się zabrać głosu. Ale przecież jeszcze przed rozpoczęciem sesji zapisano do głosu z urzędu siedmiu wiernych towarzyszy, którzy mieli poprzeć. Co poprzeć? Władzę oczywiście. W tej chwili zachodzi jednak istotne pytanie: którą? Pierwszy z siedmiu jeźdźców to właśnie pytanie zadaje sobie spazmatycznie w jakże długiej drodze na mównicę. I oto jego szacunek dla hierarchii każe mu wyrzucić z siebie: Towarzysze! W całej rozciągłości popieram stanowisko, wyrażone w referacie zwierzchności, upostaciowanej w osobie Towarzysza Wojewody i pozwólcie, że ze swego terenu podam garść przykładów, dowodzących jego niezbitą słuszności... (*burnyje* etc.). Następni dyskutanci nie przeżywali już tych wątpliwości, co pierwszy. Drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty, w niesłychanym *crescendo* wyrzucali z siebie kolejne fakty. Tylko wojewoda zachowywał się jakoś dziwnie, na co mało kto jednak zwracał w podnieceniu uwagę. Gdy szósty skończył, Towarzysz Wojewoda wstał ze swego miejsca, wyszedł na *proscenium* i zdjął marynarkę. I nawet niektórzy radni również zaczęli zdejmować swoje marynarki bo było gorąco, ale oto Towarzysz Wojewoda zdjął również krawat, koszulę, wreszcie spodnie. A potem panowie w białych fartuchach zabrali Towarzysza Wojewodę na sygnale.

Siódmy z zapisanych do głosu po dziś dzień leży krzyżem w kościele, dziękując Bogu, że nie zdążył się wypowiedzieć...

Wojewoda załamał się, nie wytrzymał nerwowego napięcia i *noles volens, strip-teas'em* uratował ustalony porządek rzeczy. Czy jednak na tak kabaretowy numer może władza liczyć chociażby raz jeszcze? Czy któregoś pięknego dnia inny z 49 wojewodów nie wykaże się silniejszymi nerwami? Może któregoś zawczasu skreślić? Ile trzeba skreślić z 49, żeby wygrać? *Faites vos jeux, messieurs!*

Głos Nr 7.

Urszula DOROSZEWSKA

PRZEGLĄD PRASY

Pogoda jest fatalna. Prasa tego nie ukrywa. Wielkie tytuły informują o kłopotach ze sprzętem zbóż. Przybył więc jeszcze jeden argument do tłumaczenia kłopotów gospodarczych.

Tymczasem o zaopatrzeniu rynku nie pisze się prawie wcale. Głośno natomiast o rozwoju produkcji i kolorowych telewizorów, jak i potrzebnych każdemu obywatelowi samochodów Polonez — do nabycia za dolary.

Nikt nawet nie stara się nas przekonać, że jest dobrze — raczej już, że nie jest źle. Pismo *Ideologia i polityka*, poświęcone sprawom szkolenia partyjnego, zamieszcza coraz bardziej skomplikowane recepty na poprawę nastrojów społecznych drogą perswazji. Ostatnio (nr 7-8) pisze o krytyce: „Różnie można rozumieć i interpretować prawo do krytyki. Słuszne pojmowanie krytyki przez osoby krytykujące nie musi — rzecz jasna — zgadzać się z rozumieniem krytyki przez osobę krytykowaną. Możliwa jest również sytuacja odwrotna. Dlatego też można by powiedzieć, że elementarnym warunkiem właściwego pojmowania i właściwej atmosfery krytyki jest zrozumienie sensu krytyki w ustroju socjalistycznym”. Jasne?

Autor tego artykułu, Zbigniew Szawarski, pracownik naukowy UW, pisze dalej, że istniejące napięcia „w gruncie rzeczy w dalszej perspektywie działają mobilizująco. Powodują bowiem, że nie przekształcamy się w społeczeństwo skostniałe, sztywne i zamknięte. Poprzez swoją obecność zmuszają do myślenia”. A więc to dobrze, że jest źle. I dalej pisze ów pracownik naukowy: „Publiczna dyskusja o naszych niedociągnięciach stanowi dowód zaufania partii do dojrzałości społecznej i politycznej naszego społeczeństwa”.

Ciekawe tylko, czy dojrzałe społecznie i politycznie nasze społeczeństwo odwzajemnia partii to zaufanie.

Gazety przygotowują obchody 60-lecia odzyskania niepodległości. Pełno jest artykułów historycznych, mających nam dorobić właściwą tradycję. Obchodzi się też rocznice różnych dziwnych wydarzeń, które zaszły już w PRL.

Obchody rocznicy utworzenia ZMP przyćmiły nawet 22 lipca. Gazety zapełnione były fotografiami i nostalgicznymi wspomnieniami z dawnych, dobrych czasów. Dziesiąta rocznica najazdu na Czechosłowację stała się pretekstem do postraszania nas: widzicie, jak będziecie rozrabiać, to i z wami będzie to samo... Starannie dobierano artykuły, przedrukowywane z czeskiej prasy. Warszawska *Kultura* (27. VIII) przedrukowała artykuł z *Rudeho Prava*, w którym czytamy m.in., że rewizjonizm polega na „rozdmuchiwaniu społecznej roli inteligencji. Była to demagogia stosunkowo wąskiej grupy ludzi, krążących na marginesie nauki i sztuki [...]. Ulegli oni złudzeniu co do własnych mesjanistycznych zadań [...]. Hasło o pisarzach jako sumieniu narodu interpretowali tak, jakby ludzie pracy nie posiadali sumienia”. W tym

samym numerze *Kultury* Michał Misiorny pisze: „Głównym zagadnieniem, z jakim musimy się uporać [...] są nie tyle trudności, wynikające z obiektywnych i subiektywnych przyczyn, ile właśnie odbicie kłopotów i sprzeczności w świadomości zbiorowej [...]. Ich skrajnym przejawem są ironia, grymas szyderczy i postawa antysocjalistyczna środowiska naszych przeciwników politycznych”. Misiorny pisze również: „Jedna z powieści współczesnych — która wcale nie trafiła do polskiego wydawcy, bo od razu skierowana została do wydawcy powielaczowego, a następnie emigracyjnego — dzieje się w kolejce przed sklepem 'Jubiler'a. Nawet nie w kolejce przed sklepem mięsnym, gdzie może spotkałby się pisarz z odbiciem realnych trosk pracujących ludzi, lecz przed 'Jubilerem', gdzie można papierki zamienić na lokaty”.

Ciekawy jest historyczny artykuł Barbary Dróżdź (*Ż.W.*) z 23-24. IX „Podręcznik kontestacji” — o PSL-u i Mikołajczyku, a raczej o „anatomii mącenia, hamowania i przeszkadzania”. Pisany jest językiem potocznym, z wieloma wykrzyknikami i sformułowaniami „ta sama śpiewka”, „koronna zagrywka” itp. Wiedocznie z czymś tu się walczy. Tak to uczymy się historii Polski.

Ż.W. walczy z aktualnymi wrogami też. Proces członków Teatru Ósmego Dnia o jazdę bez biletu i awanturę w autobusie doczekał się aż trzech obszernych sprawozdań (8, 9-10, 11. IX) podpisanych literkami akł (albo to Anna Kłodzińska, albo ktoś się pod nią podszywa). Ostatnie sprawozdanie — „Wyrok w procesie o czynną napaść” — zajęło 3/4 rubryki „Kronika sądowa”. Pozostała 1/4 zajęły artykuły: „Ujęcie włamywacza”, „Zatrzymanie pirata drogowego” i wreszcie „25 lat za morderstwo”.

Życie walczy również ze Szwedami. Ostatnio nie wpuszczono do Polski dwóch emigrantów z PRL pochodzenia żydowskiego, obecnie obywateli szwedzkich. Prasa szwedzka nadała tej sprawie duży rozgłos — i Adam W. Wysocki odpowiedział (15. IX) wyliczając bezceństwa, popełnione przez Szwedów w stosunku do interesów Polski (zapomniał tylko o jakże oburzającej Polaków chęci zdobycia Inflant i wybudowaniu nam Hotelu Forum). Słowem wstrętni Szwedzi nie będą nas uczyć, kogo mamy wpuszczać. Oskarżenie rządu PRL o dyskryminację rasową uznał Wysocki za „obrażające uczucia wszystkich Polaków, a nie wątpimy że i wszystkich uczciwych Żydów. Wielu, bardzo wielu z nich fakt, że w ogóle jeszcze żyją, zawdzięcza bowiem owym tysiącom rodzin polskich, które z narażeniem własnego życia ratowały żydowskich współobywateli”.

Podział na „wszystkich Polaków” i uczciwych Żydów jest tak odkrywczy, że kwalifikuje p. Wysockiego na kolejnego członka Klubu Aryjskiego (Klub ten założyliśmy w 2-gim numerze *Głosu*). Gratulujemy!

P.S. Jan Walc w felietonie „Pogrzeb Jana Woreczki” (*Głos* nr 5) uznał, że kiedy ludzie mówią różnymi głosami, to jest to albo cyrk albo paranoja. Przekonana jego argumentami, zmieniam Grzegorza Gracjana, który do tej pory pisał przeglądy prasy, na Urszulę Doroszewską.

G ł o s Nr 10.

SPIS TREŚCI

DO CZYTELNIKA	7
---------------------	---

PROGRAMY I IDEE

<i>Deklaracja Ruchu Demokratycznego</i>	11
Jacek Kuroń: <i>Notatki o samorządzie</i>	17
Irena Nowakowa: <i>Funkcje milczenia i niemilczenia inteligencji w systemie scentralizowanej władzy</i>	20
Marek Tarniewski: <i>Polaryzacja i różnorodność</i>	23
Bohdan Cywiński: <i>Mity lewicy i prawicy a przeszłość społeczeństwa</i>	25
Antoni Macierewicz: <i>Tradycje polityczne w PRL</i>	28
Marek Tarniewski: <i>Demokracja, inicjatywa, kontrola społeczna</i>	31
Marek Turbacz: <i>Niepodległość</i>	34
Jan Józef Lipski: <i>Prawica — lewica</i>	47
Marek Tarniewski: <i>Niepodległość od wewnątrz</i>	50

GOSPODARKA

Ewa Rybarska: <i>Urawniówka, bodźce, egalitaryzm</i>	57
Krzysztof Hagemajer: <i>Konsument, plan, demokracja</i>	60
Stefan Kawalec: <i>Rozwiązanie</i>	66
Marek Tarniewski: <i>Spór o gospodarkę</i>	68

Krzysztof Hagemajer: <i>Nadzieje i rozczarowania czyli o polskich reformach gospodarczych 1946-1973</i>	70
Prof. Karol S.: <i>Dzień dzisiejszy i jutro polskiej gospodarki</i>	82
Mateusz Matecki: <i>Poza społeczeństwem</i>	93
Zygmunt Karliński: <i>Mity gospodarcze</i>	95
Zygmunt Karliński: <i>Uwagi do uwag</i>	104

PRAWO I OBYWATEL

Jan Lityński: <i>Białystok. Polska 1975</i>	115
Piotr Starzyński: <i>Wrocław — „miasto młodzieży”</i>	117
Anzelm Grodzki: <i>Dżungla wśród lasów i jezior</i>	121
j.j.: <i>CS₂ — dwusiarcezek węgla</i>	127
Antoni Macierewicz: <i>Walka o prawa obywatelskie</i>	130
Adam Koleski: <i>Interpelacje społeczne</i>	134
Władysław Siła-Nowicki: <i>Adwokaci, prokuratorzy, sąd</i> ..	140

KULTURA, CENZURA I SZKOŁA

Jan Nowicki: <i>O czym Polacy nie powinni wiedzieć</i>	151
Jan Nowicki: <i>Internacjonalizm puka do szkół</i>	154
Bohdan Cywiński: <i>Wychowanie do podmiotowości</i>	157
Ludwik Dorn: <i>Dalszy rozwój socjalistycznej oświaty</i>	164
Łucja Bracka: <i>Kogo kształcą uczelnie</i>	168
Wywiad z lekarzem Tadeuszem M.	171

KOŚCIÓŁ I SPOŁECZEŃSTWO

Ks. Henryk Szareyko: <i>Deklaracje i rzeczywistość</i>	181
Tadeusz Mazowiecki: <i>Chrześcijaństwo wobec praw człowieka</i>	185
Bohdan Cywiński: <i>Obywatel i poddany</i>	193

TRADYCJE I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Stefan Kawalec: <i>Tradycje działania politycznego</i>	201
Wacław Pański: <i>Niepodległość, demokracja, socjalizm</i> ...	209
<i>Własną drogą</i> (rozmowa z prof. Edwardem Lipińskim) ..	217
Ludwik Cohn: <i>WRN</i>	225
Wojciech Zbrucz: <i>Październik 1956</i>	229

SĄSIEDZI

Ks. Jan Zieja: <i>Dawniej, dziś, jutro</i>	241
J. Kuroń, A. Macierewicz, A. Michnik: <i>Sprawa polska — sprawa rosyjska</i>	242
J. Lityński, A. Macierewicz: <i>Rozmowa z sygnatariuszami Karty 77</i>	244

RÓŻNE

Drużynowy Timur: <i>Przegląd zagraniczny</i>	253
Jan Walc: <i>Pamięci Jana Woreczki</i>	257
Jan Walc: <i>Totalek</i>	259
Urszula Doroszevska: <i>Przegląd prasy</i>	261

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Luty 1980

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka — Szkice 1970-1978</i> (Seria „Bez Cenzury”)	272	65,00
Bartecki, J.: <i>Gospodarka na manowcach</i> (z uwagami Pawła Tenczyńskiego)	80	20,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Bobkowski, A.: <i>Szkice piórkciem</i> (Francja 1940-1944) t. I/II	760	25,00
Brandys, Kazimierz: <i>Nierzeczywistość</i> (Seria „Bez Cenzury”) ..	128	25,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i>	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „Opowiadania” ..	208	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „Teatr”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „Varia”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. XI <i>Wspomnienia Polskie</i>	256	55,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjście</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i> (Seria „Archiwum Rewo- lucji”)	256	45,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hersch, J.: <i>Polityka i rzeczywistość</i>	225	9,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li ziźń na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii</i> (1940-1945)	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Re- wolucji”)	240	13,50
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. II	544	110,00
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. III	536	110,00
Korboński, St.: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	288	40,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie</i> (1939-1962)	80	9,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie roślinie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cen- zury”)	104	25,00
Krzyżanowski, Br.: <i>Wileński matecznik 1939-1944</i> (Seria „Bez Cenzury”)	264	65,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Do- kumenty”)	144	12,00
<i>Kultura masowa</i> — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	145	6,00

	Stron	F.
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00
Mackiewicz, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	17,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury (Seria „Bez Cenzury”)</i>	208	30,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i>	196	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i>	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i>	224	50,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Oliwia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i>	484	45,00
Orłoś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i> (przedmowa M. Brońskiego)	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smągła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i> <i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim,</i> <i>białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i</i> <i>ukraińskim (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
<i>Program Związku Komunistów Jugostawii (Seria „Doku-</i> <i>menty”)</i>	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL (Seria „Dokumenty”)</i>	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946 (Seria „Dokumenty”)</i>	288	18,50
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GUŁag, T. II (Cz. III i IV)</i> <i>z przesyłką</i>	606	72,50
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GUŁag, T. III (Cz. V, VI i VII)</i> <i>z przesyłką</i>	544	110,00
Staliński, T.: <i>Ludzie w akwarium</i>	148	25,00

	Stron	F.
Staliński, T.: <i>Sledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	55,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i>	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Ewolucja czy rewolucja</i>	288	40,00
Tarniewski, M.: <i>Porcja wolności</i> (Seria „Dokumenty”)	144	35,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
Vincenz, St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism</i> , opr. i przekład Cz. Miłosz	384	15,00
<i>Węgrzy</i> , opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zaremba, P.: <i>Historia Polski</i> , Cz. I	588	25,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 20, 40, 41 i 46 są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 51 (luty 1980) Cena pojedynczego Zeszytu	45,00	
<i>(Zeszyt 50-ty ze względu na objętość kosztuje F. 50,00)</i>		

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 10 MARS 1980
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1980.

